



Mary Alice Monroe

Lato marzeń

Odyseja

Morze jest ciemne, mroczne. Widzicie mnie?

Płynę wzdłuż brzegu, z południa na północ, niesiona potężnym prądem naprzód, cały czas naprzód, przed siebie.

Jestem wielką żółwicą morską. Odbyłam daleką drogę, przemierzyłam ocean. Jestem niewolnicą kompasu wewnętrznego, on mną kieruje. Słyszę głos niosący się ponad rykiem fal. To głos moich przodkiń, głos, który przez dwieście milionów lat prowadził kolejne pokolenia matek. Posłuszna jego wołaniu wyciągam daleko swoje piękne płetwy. Jakaś wewnętrzna siła każe mi skierować się na wschód. Robi się ciemno, ocean nabiera koloru indygo, odyseja trwa.

Nie zwracam uwagi na głód, na niemiły ucisk w żołądku. Przepływam przez gęstą chmurę planktonu, widzę bezkręgowce, dziwne stworzenia jak z halucynacji, wrak łodzi, ryby, a dalej skałę, na której rośnie różowy koral i anemony. Płynę cały czas z ciepłym prądem, czuję słońce na pancerzu, zmierzam do miejsca, gdzie się urodziłam.

Płynę... płynę... płynę do domu.

Część pierwsza

Najpierw się zanurz, pocuj się bezpiecznie w wodzie.

Pozwól, by twoje umiejętności budziły się w sposób naturalny, w zgodzie z twoim własnym rytmem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ostatniej nocy Toy Sooner śniła znowu o żółwicy. Sen się powtarzał, zawsze w identycznej wersji, tak realistyczny, że budziła się w skłębionej pościeli, zdezorientowana, zniewolona tęsknotą, której nie potrafiła nazwać.

Siedziała na szczycie wydmy i patrzyła na plażę, na brzeg oceanu obmywany falami przyboju. Kolejny dzień dobiegał końca. Wokół zieleniły się trawy wydmowe, nad głową Toy, po ciemniejącym niebie przeleciał lelek. Zbliżał się przypływ, niosąc ze sobą wymyte przez ocean kawałki drewna, muszle i wspomnienia. We śnie była żółwicą. Czyżby myślała tylko o żółwiach? Wpatrywała się w bezkresny ocean. Gdzieś tam w oddali zbierały się żółwice, nadchodził czas składania jaj. Toy wyczuwała obecność matek. Czekały jeszcze, ale lada chwila, lada dzień instynkt każe im wyjść na brzeg, opuścić bezpieczne wody i zadbać o ciągłość gatunku.

Dla Toy była to pora przepełniona uczuciem. Kiedy w maju żółwice wracały na Isle of Palms, czuła, że jej ukochana mentorka, Olivia Rutledge, wraca razem z nimi.

Mocniej objęła kolana ramionami. Niewielka wydma na pustej plaży była jej samotnią, azylem i sanktuarium. Często tu przychodziła, by pomyśleć, wspominać, znaleźć ukojenie. Tutaj czuła się bliżej Olivii Rutledge, panny Lovie, jak nazywali ją wszyscy znajomi. Wydma Toy była też ulubionym miejscem Lovie. Wieczorem, kiedy słońce chowało za widnokretem i ptaki cichły jak teraz, Toy miała

wrażenie, że słyszy głos Lovie niesiony słodko pachnącym wiatrem od morza.

Minęło pięć lat od śmierci panny Lovie, pięć lat to kawał życia, myślała Toy, która miała dopiero dwadzieścia trzy. Po śmierci Olivii Rutledge, przez tych pięć lat Toy ciężko pracowała, żeby zapewnić sobie i córeczce, małej Lovie, znośne warunki. Złożyła takie przyrzeczenie przy grobie swojej mentorki.

- Dotrzymałam obietnicy - powiedziała na głos, czując, że duch Olivii jest gdzieś blisko. - Skończyłam college, mam dobrą pracę, dach nad głową, stworzyłam małej Lovie ciepły dom. Mieszkamy przytulnie, na stole zawsze stoją kwiaty, tak jak mnie uczyłaś. Bardzo chcę być dobrą matką. - Oparła brodę na kolanach i westchnęła. Powracała tęsknota, którą rodził sen.

- Powiedz mi, Olivio, dlaczego nie czuję, że jestem? Ciągle dokądś zmierzam, jak żółwica ze snu, i nie mogę osiągnąć celu.

Z zamyślenia wyrwał ją niosący się donośnie w wieczornym powietrzu dziecięcy głos:

- Mamo!

Toy spojrzała w kierunku córeczki. Mała siedziała na piasku otoczona kolorowymi wiaderkami z plastiku i łopatkami. Długie, jasne i sztywne od soli włosy opadały jej na plecy. Nachylała się nad zamkiem z piasku, który dopiero wyłaniał się z niebytu.

- Czego chcesz, Lovie?

- Chodź tu, mamo, i pomóż mi budować zamek. Toy westchnęła ciężko.

- Pracuję, kochanie.
- Ty zawsze pracujesz.

Przez twarz Lovie przemknął grymas niezadowolenia, po czym schyliła głowę i wróciła do budowania swojego zamku. Toy usłyszała pośród szumu fal głos Olivii Rutledge: Idź, pobaw się ze swoim dzieckiem.

Toy niczego bardziej nie pragnęła niż cieszyć się każdą ulotną, bezcenną chwilą spędzoną z Lovie. Spojrzała znowu na córeczkę. Lovie formowała małymi łapkami kolejną wieżę.

Jest najszczęśliwsza, kiedy przychodzi ze mną na plażę, pomyślała Toy z czułością. Lovie uwielbiała zbierać muszle, budować zamki, biegać w falach przyboju, ale nigdy nie wchodziła głębiej do wody. Miała dopiero pięć lat, a tak bardzo przypominała Oliwię Rutledge, że Toy odnosiła czasami wrażenie, iż duch jej mentorki zamieszkał w ciele małej imienniczki. Wydawało się jej, że słońce wstaje po to, by opromieniać małą. To dla niej zmuszała się do dyscypliny i uparcie dążyła do celu.

- Skończę tylko ten raport i pomogę ci budować zamek - zawołała.

- Obiecujesz?
- Obiecuję.

Mała kiwnęła głową, a Toy strzepnęła piasek z note-8U i wróciła do pisania raportu, który miała oddać następnego dnia rano. Była akwarystką i miała pod opieką cały dział w Akwarium Karoliny

Południowej. Musiała teraz dowieść, że jest osobą odpowiedzialną i w pełni zasłużyła na awans, który niedawno otrzymała.

Komary cięły niemiłosiernie, piasek przyklejał się do wilgotnej skóry, ale uparła się skończyć raport, póki było jeszcze trochę światła. W końcu zamknęła notes i spojrzała w stronę córeczki. Zamek wzbogacił się o kolejną wieżę.

Mała zniknęła.

Toy ścisnęło się gardło, nie mogła oddychać. Gorączko rozglądała się po pustej plaży.

- Lovie! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi.

- Mamo, popatrz!

Obróciła głowę w kierunku, skąd dochodziło wołanie. Lovie stała nachylona na samym brzegu, pupę w różowym kostiumie pokrywała gruba warstwa piasku. Podniecona wskazywała coś, co wypatrzyła w morzu.

Toy podbiegła do niej i chwyciła w ramiona.

- Wiesz, że nie wolno ci zbliżać się do wody

- zbeształa córkę i otarła jej czułym gestem zapiaszczoną buzię. -

Wystraszyłaś mnie okropnie.

Lovie nie zwracała uwagi na matczyne łajanie. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w fale.

- Tam jest! - zawołała głośno, wyciągając palec.

- Widzę go!

- Co zobaczyłaś? Delfina? - Toy spojrzała w kierunku wskazywanym przez Lovie. Teraz i ona dojrzała to coś, duży, ciemny kształt unoszący się na fali, nie dalej niż sto metrów od brzegu.

Nie był to delfin. Toy zmrużyła oczy i postąpiła krok. Czyżby żółw? Nie poruszał się, tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka.

- Zostań tutaj, nie odchodź - nakazała Toy stanowczym tonem, i mała posłusznie zastosowała się do polecenia matki.

Toy podwinęła nogawki spodni, upięła włosy na czubku głowy i weszła do zimnej wody. Zaintrygowana chciała z bliska spojrzeć na ciemny kształt, który unosił się na falach.

Żółw! Musiał ważyć przynajmniej sto kilogramów i chyba nie żył. Jaka szkoda, pomyślała Toy, zastanawiając się, czy to żółwica, która zmierzała do brzegu, żeby złożyć jaja. Zawsze przykro, kiedy ginie żółw, ale śmierć samicy, która mogła mieć młode, to prawdziwa tragedia. Razem z nią ginęło następne pokolenie.

Fala przyniosła zwierzę bliżej i Toy ścisnęło się serce. Żółwica, jeśli była to rzeczywiście żółwica, musiała przebyć długą drogę. Była wyniszczona, cały pancerz pokrywały pąkle.

- Biedna mamó - szepnęła Toy. W ostatnich latach fale co jakiś czas wyrzucały na brzeg martwe żółwie. Poinformuje kolegów, rano przyjdzie ekipa i zabierze martwe zwierzę. Toy miała już wracać na brzeg, gdy zobaczyła, że żółw poruszył wiosłem.

- Niemożliwe... - Toy zmrużyła oczy, nachyliła się nad żółwicą i dojrzała kolejny ruch.

-Ona żyje zawołała do Lovie.

Mała zaczęła podskakiwać i klaskać z radości. Toy podeszła kilka kroków, żeby córka lepiej ją słyszała.

Kochanie, będę potrzebowała pomocy. Biegnij do Flo i powiedz jej, żeby zaraz tu przyszła, dobrze? Zrobisz to dla mnie?

- Tak, mammo!

Mała pomknęła jak strzała w stronę wydmy. Florence Prescott mieszkała w białym drewnianym domku plażowym. To ona kierowała zespołem, który zajmował się żółwiami, w ogóle była osobą aktywną, urodzoną społecznicą, wiecznie zajęta. Ciągłe komuś pomagała, ale o tej porze powinna być już w domu. W każdym razie Toy miała taką nadzieję.

Odwróciła się ponownie do żółwicy. Unosiła się na wodzie, jak wywrócony do góry dnem ponton. Będzie trzeba jakoś przyholować ją do brzegu, pomyślała Toy z rezygnacją, westchnęła, spojrzała na swoje mokre już spodnie i podeszła bliżej do zwierzęcia.

Piasek usunął się jej spod stopy, poczuła, że rozcięła palec o ostry brzeg jakiejś muszli, nogę przeszył nagły, piekący ból, woda zabarwiła się na czerwono. Żółwica oddaliła się trochę, niesiona prądem i Toy musiała do niej podpłynąć.

Żółwica była w o wiele gorszym stanie, niż wydawało się w pierwszej chwili. Obróciła z wysiłkiem głowę o parę centymetrów i spojrzała żałośnie na Toy.

- Nie bój się, dziewczynko - przemówiła do zwierzęcia, czując, że nawiązały kontakt. - Wyciągnę cię zaraz, zobaczysz.

Fala zalała jej twarz, woda dostała się do ust, do oczu.

Wypluła wodę i opłynęła zwierzę, teraz mogła popchnąć je od tyłu. Oparła dłonie na skorupie i zaczęła płynąć do brzegu.

Szło jej całkiem dobrze, gdy dojrzała kątem oka srebrzysty błysk, jakiś ruch... Wstrzymała na moment oddech. Powierzchnia wody skrzyła się różnobarwnymi refleksami w promieniach zachodzącego słońca, ale Toy nie dała się zwieść tej idylli. O zmroku rekiny zaczynają żerować, szukając ofiary.

Z krwawiącą stopą stanowiła nęcący łup, powinna zostawić żółwicę i natychmiast wyjść na brzeg.

Teraz zobaczyła go wyraźnie. Nie miała już żadnych wątpliwości. Z wody wyłonił się łeb rekina. Drapieżnik podpłynął powoli, zatrzymał się, po czym zanurzył i zmienił kierunek. Po chwili zobaczyła go znowu. Rekin odpływał, a wystraszona żółwica kilka razy poruszyła wiosłami, reagując z opóźnieniem na niebezpieczeństwo, które już minęło.

- Nikt nigdy nie twierdził, że jestem mądra - mruknęła Toy, popychając żółwicę z całych sił. Jeszcze dwa mocne pchnięcia i poczuła grunt pod nogami. Szło jej teraz łatwiej, ale rekin pojawił się znowu, krążył w pobliżu, jakby sprawdzał, co się właściwie dzieje.

Toy miała świadomość, że w każdej chwili może zaatakować. Zmieniła teraz taktykę i zamiast pchać, zaczęła ciągnąć żółwicę.

- Jeszcze trochę, jeszcze nie jesteśmy w domu - tłumaczyła zwierzęciu. Za plecami usłyszała dobiegające z plaży nawoływanie Florence Prescott.

- Pospiesz się, Flo! Chodź tu szybko - krzyknęła przez ramię.
Flo, która pomimo dość podeszłego wieku była w doskonałej kondycji, wbiegła do wody, nawet nie zdejmując tenisówek.

- Ciagnij ją do brzegu - ponagliła przyjaciółkę Toy. - Mamy towarzystwo.

Flo rozejrzała się szybko.

- Niech to wszyscy diabli. Mała Lovie też weszła do wody.

- Wracaj natychmiast na plażę! - rozkazała Toy surowo.

- Ale ja chcę pomóc.

- Rób, co mama każe - odezwała się Flo. - Rekin może zaatakować przy samym brzegu, a ty stanowisz smaczkę, w sam raz dla takiego żarłacza. Wychodź natychmiast z wody.

Lovie w końcu usłuchała.

Toy i Flo dopchnęły żółwicę do brzegu i dopiero teraz poczuły, jaka jest ciężka. Musiały użyć całej siły, żeby w końcu zległa na piasku.

Żółwica nie ruszała się. Toy usiadła i obejrzała skaleczenie. Rana była głęboka, cały czas krwawiła, a noga bolała jak wszyscy diabli. Toy dopiero teraz tak naprawdę uświadomiła sobie, jak bardzo ryzykowała, zostając w wodzie z krwawiącą stopą. Podniosła głowę i spojrzała w morze. Rekin zniknął. Zrobiło się jej lekko na sercu i wybuchnęła śmiechem.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała Flo i nachyliła się, zatroskana niczym kwoka. - Rozcięłaś nogę.

- Nic wielkiego.

- Pozwól, że ja to ocenię. Te muszle są jak brzytwy. Pokaż mi ranę.

- Flo, naprawdę nic mi nie jest.

- Jasne, że nie. - Flo przyklęła, obejrzała rozciętą stopę, gwizdnęła cicho i podniosła się. - Zrób opatrunek z jakimś antybiotykiem. Przeżyjesz.

Toy uśmiechnęła się do malej Lovie.

- Nie mogę uwierzyć, że nie uciekłaś, natychmiast jak tylko zobaczyłaś rekina. Kompletna bezmyślność.

Toy przyjęła reprimendę spokojnie.

- Nie wiedziałam, że krwawię - skłamała i dodała z dumą: - Ale za to uratowałam żółwicę, prawda?

Florence Prescott zawsze miała coś do powiedzenia, i to na każdy temat. Zwykle do niej musiało należeć ostatnie słowo. Teraz spojrzała na zwierzę z zatroskanym wyrazem twarzy i pokręciła głową.

- Nie wiem, czy warto było ryzykować. Ta żółwica ledwie żyje. Ma cały pancerz pokryty mazią. Grzebałam już lepiej wyglądające żółwie.

- Nie, jest piękna. Ta maż to tylko algi i pąkle. Trzeba będzie ją gdzieś przetransportować i oczyścić skorupę.

Zanim zdążyły wdać się w dyskusję, usłyszały nawoływania.

- Dzięki Bogu przybywa kawaleria - odezwała się Flo i pomachała ręką. - Cara! Brett! Chodźcie tutaj.

Toy odwróciła się i zobaczyła dwoje ludzi w spodniach khaki i zielonych podkoszulkach z napisem „Barrier Island Eco-Tours” i logo firmy, której oboje byli właścicielami. Uśmiechnęła się od ucha do ucha ucieszona widokiem przyjaciół i też zaczęła machać.

Pierwsza ruszyła w ich kierunku kobieta. Była szczupła, wysoka, długonoga. Ciemne włosy rozwiewał wiatr od morza. Toy знаła ją dobrze i wiedziała, że Cara musi być podekscytowana widokiem odpoczywającej na plaży żółwicy.

Za Carą szedł jeszcze od niej wyższy Brett. Miał na sobie identyczną firmową koszulkę, tylko że na Bretcie wszystko zawsze wyglądało jak wyciągnięte przed chwilą psu z gardła.

Mała Lovie pisnęła z uciechy i rzuciła się ku Brettowi, wiedząc doskonale, że chwyci ją w ramiona i uniesie wysoko.

- Tam jest żółwica, widzisz?

- Widzę. - Niebieskie oczy Bretta pojaśniały, uśmiechnął się szeroko, zakręcił Lovie w powietrzu, a potem oparł ją sobie o biodro i tak niósł.

- Co my tu mamy? - Cara nachyliła się nad zwierzęciem.

- Najpewniej żółwica. Płynęła tutaj złożyć jaja

- powiedziała Flo, podchodząc do Cary. - Ma cały pancerz w pąklach. Popatrz, ile tu pijawek... Cholerne wampiry.

Cara westchnęła ze współczuciem.

- Musiała odbyć daleką drogę. Prąd niósł ją pewnie tygodniami.

- Tygodniami? Dłużej. Wygląda, jakby nie jadła od miesięcy.

Ma taką wychudzoną szyję, sama skóra.

- Cmoknęła z rezygnacją. - Nie wiem, czy przeżyje.

- Jeszcze nie umarła - powiedziała Toy z mocą, stając obok przyjaciółek. Czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za żółwicę, którą uratowała. - Żółwie morskie są niezwykle silne. Wierzę w dobre zakończenie tej historii.

- Jest ogromna - włączył się Brett, który podszedł z Lovie w ramionach.

- Sprawdźmy.- Cara wyjęła z plecaka taśmę i zmierzyła zwierzę, a Flo zapisała liczby w notesie. Mała Lovie uwolniła się z ramion Bretta i podeszła bliżej, zafascynowana i jednocześnie przerażona stanem biednej żółwicy.

Toy wsunęła kciuki do tylnych kieszeni spodni. W mokrym ubraniu w szybko zapadającym zmroku zaczynało być jej zimno.

- Skorupa ma dokładnie sto dwa centymetry długości. Ta dziewczynka musi ważyć ponad sto kilogramów.

Flo otrzepała dłonie z piasku.

- Tak. Zadzwoń chyba do DuBose z Wydziału Ochrony Przyrody, niech przyjedzie i ją zabierze.

- Ja mogę zadzwonić do Akwarium - wtrąciła pospiesznie Toy.

Cara spojrzała na zegarek.

- Jest niestety po szóstej, nie zastaniecie już DuBose w pracy.

- Nie, ale mam ich numer całodobowy - odpowiedziała Flo. - Ktoś na pewno przyjedzie.

- Nie wcześniej niż jutro - zauważył Brett.

- Oni nie zaopiekują się nią, nie robią takich rzeczy. Nie mają lekarza - powiedziała Cara, zapinając plecak. - Co poczną z wycieńczonym żółwiem?

Flo wzruszyła ramionami.

- Masz jakiś lepszy pomysł?

- Ja mogę zadzwonić do Akwarium - powtórzyła Toy, tym razem trochę głośniej.

Flo i Cara równocześnie obróciły się ku niej.

- Akwarium? Akwarium nie przyjmie chorego żółwia morskiego - stwierdziła powątpiewająco Flo.

- Przyjmie... To znaczy, przyjmiemy - zapewniła Toy. - Kiedyś przyjęliśmy dwa. Kilka lat temu. Przetrzymamy żółwicę, dopóki nie zajmie się nią weterynarz. Nie wiem... Pomyślałam, że to jest jakieś rozwiązanie.

- Nawet gdyby, to w Akwarium o tej porze też nikogo już nie ma. Dlaczego takie rzeczy zdarzają się, zawsze gdy wszystko jest już zamknięte? To jakieś niepisane prawo - tu Cara westchnęła bezradnie.

- Możemy zadzwonić - upierała się Toy. - Mamy dyżury, zawsze ktoś jest pod telefonem.

- Naprawdę? - zainteresowała się Cara. - To jest jakieś rozwiązanie.

- Niezależnie od wszystkiego trzeba będzie zawiadomić wydział ochrony przyrody, żółwie morskie są pod ich jurysdykcją.

- Owszem, są, tylko że akurat ten żółw jest chory i trzeba go leczyć, a to już nie ich działka - przypomniała Toy.

Cara pokręciła głową.

- Flo, nie rób takiej miny. Zadzwońmy do DuBose, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Toy zostawiła zdenerwowane przyjaciółki i pakuwała do zamku zbudowanego przez Lovie. Dopiero teraz miała okazję przyjrzeć się z bliska krzywej budowli udekorowanej muszelkami. Schyliła się i zaczęła pakować wiaderka i łopatkę do dużej płóciennej torby.

- Wszystko w porządku?

Odwróciła się z uśmiechem do Bretta, który stanął tak, że nie widziała teraz Flo i Cary.

- To tylko małe skaleczenie - zbagatelizowała sprawę i wróciła do pakowania zabawek.

- Wiesz, że nie o to pytam.

Wrzuciła kolejną łopatkę do torby, wsparła dłonie na biodrach i ponownie podniosła głowę. Brett czekał cierpliwie. Taki właśnie był: spokojny, cierpliwy, przywykł łagodzić spory między popędliwymi przyjaciółkami. Toy traktowała go jak starszego brata, którego zawsze jej brakowało, a on wspierał ją w trudnych chwilach i pomógł rozwiązać niejedną problem.

- Naprawdę wierzysz, że Akwarium przyjmie żółwicę? - zapytał.

Toy wzruszyła ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, Brett. Mówiło się, że moglibyśmy w tym sezonie przygarnąć kilka żółwi, ale nic nie zostało postanowione. Decyzja nie zależy ode mnie. - Toy zawahała się, a

potem dodała już z przekonaniem: - W każdym razie istnieje taka możliwość i należy spróbować.

- Oczywiście, zrób to. Wiesz, do kogo zadzwonić? Skinęła głową, powściągając uśmiech.

- To na co czekasz? Dzwon. Nie potrzebujesz przecież naszego przyzwolenia. To chyba najlepszy pomysł, jaki tutaj zaproponowano.

Wyjęła z torby telefon komórkowy, trochę wystraszona, jak zostanie przyjęta jej propozycja. Skoro jednak tak napierała, teraz już nie mogła się wycofać. Brett założył ręce na piersi i czekał, ona tymczasem wybrała numer swojego szefa, tłumacząc sobie, że palce zgrabiały jej z zimna i kłopoty przy naciskaniu guzików aparatu nie biorą się wcale ze zdenerwowania. Bzdura, oczywiście była zdenerwowana, przyspieszone bicie serca mówiło samo za siebie. Oto osoba, która, pomimo niedawnego awansu, niewiele znaczy w hierarchii, dzwoni do jednego z dyrektorów Akwarium.

Jason odebrał po dwóch sygnałach. Zasięg na plaży był kiepski, musiała powtarzać zdania, ale udało się jej w miarę składnie i szybko przedstawić sytuację. Po kilku minutach zamknęła aparat i spojrzała na Bretta z triumfem w oczach.

- Jason powiedział, że mamy ją przywieźć.

- Świetnie - ucieszył się Brett. - Dobra robota, dzieciaku.

Po chwili Toy z satysfakcją przyjmowała gratulacje od Flo i Cary.

- Jest tylko jeden kłopot - dodała. - Możemy ją zawieźć dopiero rano.

- Co z nią zrobimy do tego czasu? - zmartwiła się Flo.

- Kiedy miałam praktykę w szpitalu dla żółwi morskich w Topsail, Jean Beasley opowiedziała mi o pierwszym żółwiu, którego znalazły z Karen - zaczęła Toy. - Dokładnie mówiąc, to też była żółwica, równie wielka. I też nie miała już siły płynąć, kiedy ją znalazły. Było późno, nie wiedziały, dokąd ją zawieźć, więc umieściły ją w garażu Jean. Wymyły ją, owinęły ręcznikami i czuwały przy niej całą noc. Rano zawiozły ją do szpitala dla zwierząt, ale jeszcze tego samego wieczoru żółwica wróciła do garażu. - Toy uśmiechnęła się. - I tak powstał szpital dla żółwi morskich Karen Beasley.

- Ty też zamierzasz założyć szpital? - zainteresowała się Flo.

Toy pokręciła głową z uśmiechem.

- Może, kiedyś. Przestańmy już gadać i zabierzmy ją stąd. Słońce zaszło, Lovie na pewno jest zimno, mnie też jest zimno, żółwica marznie...

Jakby dla podkreślenia słów Toy, żółwica poruszyła się z trudem, prowokując nazbyt rozgadanych ludzi do działania.

- Jeśli Karen i Jean dały sobie radę, to my też sobie poradzimy. Chwytajcie za pancerz - zakomenderowała Cara, nachylając się.

Brett natychmiast się przyłączył, Toy też.

- Ej, silna grupa, dokąd ją niesiemy? - zapytała trzeźwo Flo.

- Do domku plażowego, gdzieby indziej? - odparła Cara i uśmiechnęła się krzywo.

ROZDZIAŁ DRUGI

Primrose Cottage był miłym drewnianym domkiem plażowym z dużą werandą, posadowionym na porośniętej trawami wydmie. Skromny, ale wygodny, należał do tych nielicznych pozostałości, które zachowały się z pierwszej fali zabudowy na Isle of Palms. Kiedyś należał do Olivii Rutledge, a po jej śmierci przeszedł w posiadanie jej córki, Cary, która z kolei wynajęła go Toy za symboliczny czynsz. Była to raczej przysługa wyświadczana bliskiej osobie niż transakcja.

Tutaj właśnie ekipa ratownicza zdecydowała się przetrzymać chorą żółwicę do rana. Cała czwórka wspólnymi siłami, przy wydatnym udziale Bretta, przetransportowała ogromne zwierzę z plaży wąską ścieżką przez wydmy do chatki.

Było już prawie ciemno, kiedy zobaczyli wreszcie światło w oknach Primrose Cottage. Cara zmęczyła się chyba najbardziej.

- Teraz rozumiem, jaki to wysiłek dla tych przyszłych mam przepłynąć taką długą drogę do miejsca, gdzie składają jaja-wysapała, kiedy kładli ostrożnie żółwicę na żwirze przed chatą. - Zobaczcie, kolana mi się trzęsą.

- Aż takie to było męczące? - zaśmiał się Brett.

- W porównaniu z wycieczkami, które urządzasz mi po mokradłach, to był spacer po parku.

Toy i Flo zachichotały, a Cara wydeła usta.

- Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne - burknęła. -Następnym razem dorzucę ci jeszcze kilka kilogramów do plecaka.

Brett uniósł brwi.

- Ja już dźwigam na swoich barkach zbyt wiele - poźalił się, wywołując kolejną salwę śmiechu.

Nie rozweselił tylko Cary, która dała mu solidnego kuksańca, mimo że podniósł ręce w geście kapitulacji. Toy obserwowała sprzeczkę małżeństwa i zastanawiała się, jak to jest mieć swojego mężczyznę i spierać się z nim żartobliwie, nie czyniąc z tego faktu dramatu, a przeciwnie, okazując partnerowi czułość.

- Oszczędzajcie energię, jeszcze nie skończyliśmy - zawołała Flo, wchodząc do schowka pod gankiem chaty.

Primrose Cottage, wystawiona przez całe lata na wiatr od morza, piekące słońce i działanie zasolonego powietrza wymagała nieustannej troski. Trzeba było impregnować deski, nakładać nowe warstwy farby, wysypywać ścieżkę i podjazd nowym żwirem. Schowek pod gankiem z czasem zamienił się w taką graciarnię, że Toy nigdy chyba nie miała okazji zobaczyć cementowej posadzki.

- Musisz zrobić trochę miejsca, jeśli żółwica ma spędzić tu noc - stwierdziła Flo, rozglądając się po schowku. - A mnie się wydawało, że ja zgromadziłam za dużo kłopotów.

- To nie moje rzeczy - próbowała bronić się Toy. - Należały, w każdym razie większość, do panny Lovie i jakoś nigdy nie mogłam się zdecydować, żeby jej usunąć.

- Dlaczego nie? - zapytała Flo. - Jej już nigdy się nie przydadzą.

Toy nie spodobała się ta uwaga, ale Flo wzruszyła tylko ramionami i chwyciła różowy dziecięcy rowerek zaopatrzony w dodatkowe kółka z tyłu.

- Jeśli chcesz wiedzieć, a wygląda na to, że nie chcesz, to ci powiem, że obydwie Lovie zmagazynowały góry śmieci.

- Dobrze, już dobrze - odezwała się Cara. - Szkoda, że nie widziałas, ilu szpargałów pozbyłam się ostatnio z domu. Wiesz, jaka była moja matka, wszystko chomikowała, nie potrafiła rozstać się z żadną rzeczą. Wszystko mogło się jeszcze przydać, zardzewiałe nożyczki, wyszczerbiona doniczka... Jak tylko próbowałam coś wyrzucić, biegła do pojemnika na śmieci i wyciągała to z powrotem.

- To reakcja na lata recesji, dziecko - wyjaśniła Flo, wypychając rowerek ze schowka. - Nauczyłyśmy się gromadzić przedmioty.

- Wszystko jedno... Przez nią mam uraz, nie lubię otaczać się rzeczami, bo one przysysają się do ludzi niczym wampiry, taką mają tendencję. - Pokręciła głową, wodząc wzrokiem po narzędziach ogrodniczych, workach karmy dla żółwi, zabawkach i doniczkach zgromadzonych w schowku pod gankiem. - Sama widzisz. To wszystko badziewie z ostatnich pięciu lat. Powinnam zrobić tu porządek dawno temu, Toy.

- Powinnaś, owszem - odparła Toy. - Ja sama nie mogłam się zmusić do tego, żeby wyrzucać rzeczy, które należały do panny Lovie.

- O Jezu - westchnęła Cara, podnosząc ręce. - Walczyłam z matką o każdy pojedynczy przedmiot. Nie zmuszaj mnie, żebym teraz walczyła z tobą.

- Najpierw zróbmy tu trochę miejsca - pogoniła przyjaciółki Flo.
- Potem zdecydujcie, co należy wyrzucić, a co zostawić.

- Przyniosę kluczyki i wyprowadzę samochód - powiedziała Toy. - Od razu zrobi się więcej miejsca. - Poklepała czule złotego volkswagena garbusa rocznik 72 i otworzyła drzwiczki. - Staruszek trochę niedomaga, ale nigdy się go nie pozbędę. - Garbus był niegdyś dumą i radością Olivii Rutledge. Wszyscy na wyspie wiedzieli, co oznacza widok złotego garbuska zaparkowanego na Palm Boulevard: pani od żółwi jest na plaży, dogląda gniazd z jajami. Zapisła samochód Toy. Miał na liczniku grubo ponad sto tysięcy kilometrów, ale ciągle sprawował się całkiem nieźle.

Toy wyprowadziła garbuska, a reszta samozwańczej ekipy ratowniczej wyносиła kłamoty na trawnik, zostawiając jedynie plastikowy basen małej Lovie, który wyszorowali porządnie, obmyli i napełnili do połowy wodą.

- Może być - oceniła Cara łaskawie wspólne wysiłki. -
Przynieśmy ją.

- Ostrożnie, ostrożnie - napominała resztę Flo, kiedy dźwigali żółwicę. Wtargali ją do schowka i ostrożnie ułożyli w basenie. Olbrzymi zwierzak ledwie się tam zmieścił.

- Jak u pana Boga za piecem - stwierdził Brett z zadowoleniem.

- Żartujesz chyba.- Flo otarła mokre dłonie o szorty. - Biedaczka nie ma ani centymetra wolnego miejsca. Gdyby była zdrowa, natychmiast wy dostałaby się z tego idiotycznego więzienia, poszłaby

jak czołg, nie bylibyśmy w stanie jej zatrzymać. - Flo spojrzała ze współczuciem na żółwicę. - Jest tak osłabiona, że nawet nie próbuje.

Toy stanęła koło żółwicy, która przypominała bardziej nadmuchiwane zabawki małej Lovie niż prawdziwego żółwia morskiego. A przecież mimo to była pięknym, majestatycznym zwierzęciem. Udało się jej umknąć czyhającym w oceanie niebezpieczeństwom i dożyć dorosłych lat. Przebyła niezliczone kilometry, by dotrzeć na plażę, na której się urodziła i złożyć tu jaja. Nie zasłużyła na takie cierpienia.

- Wyczyszczę jej pancerz. - Toy podwinęła rękawy bluzy.

- Czy aby powinnaś? - zaniepokoiła się Flo. - Może lepiej jej nie ruszać.

- Flo, kochana... - Toy podniosła się. - Pozwól, że ci coś przypomnę. Pracuję w Akwarium i odbyłam staż w szpitalu w Topsail. Nie pierwszy raz mam do czynienia z chorym żółwiem. Odpowiem na twoje pytanie. Tak, jestem pewna, że powinnam ją wyszorować. - Widać było, że zbyteczne obawy Flo mocno ją zniecierplwiły.

Flo uniosła brwi, zaskoczona gwałtowną reakcją Toy, po czym zwiesiła ramiona i uśmiechnęła się.

- Czasami jestem okropnie zasadnicza - przyznała, kapitulując.

Z tyłu doszedł cichy chichot Cary.

- Ty?

Toy spojrzała na uśmiechniętą Flo i odetchnęła z ulgą.

- Cóż, wygląda na to, że żółwica jest w dobrych rękach. - Flo klasnęła w dłonie. - Pójdę już, dzieciaki, jeśli mnie nie potrzebujecie. Umówiłam się i nie chcę się spóźnić.

- Z kim, jeśli wolno wiedzieć? - zainteresowała się Cara.

Flo zbyła pytanie machnięciem ręki.

- Poradzicie sobie beze mnie. Przyjdę jutro rano, pomogę, w czym tam trzeba będzie pomóc. O której będziemy ją ekspediować do Akwarium?

- Jason będzie w pracy z samego rana, przygotowuje miejsce dla naszej podopiecznej. Prosił, żeby ją przywieźć około ósmej - odpowiedziała Toy.

- W takim razie będę tutaj o siódmej. Przyniosę kawę. Nachyliła się, cmoknęła małą Lovie w policzek i pomachała pozostałym.

- Zaopiekujcie się dobrze naszą dziewczynką - rzuciła wszystkim na pożegnanie i zniknęła za rozrośniętym oleandrem. Jeszcze przez chwilę słychać było, jak klapki uderzają o jej pięty.

W schowku pod gankiem zrobiło się raptem pusto bez kipiącej energią Flo.

Cara spojrzała pytająco na Toy.

- Od czego zaczniemy?

Toy podrapała się za uchem, trochę zdziwiona, że została raptem szefową ekipy. Kątem oka dostrzegła stojącą na stopniach ganku córeczkę. Owinięta ręcznikiem plażowym Lovie trzęsła się z zimna, wilgotne włosy, posklejane w strąki, przylgnęły do głowy. Była chudziutka, skóra i kości, jak mówiła Toy.

- Najpierw muszę zająć się moim żuczkiem, bo już szczęka zębami z zimna.

- Pozwól, że ja się nią zajmę - zaofiarował się Brett, podchodząc do małej Lovie. - Widzę przecież, że obie nie możecie się doczekać, żeby pomóc żółwicy. Wyszorujcie ją, a ja przygotuję gorącą kolację dla nas wszystkich. - Odwrócił się do małej. - Co ty na to?

Mała Lovie pokiwała głową.

- Chodźmy zatem szybko do domu, bo jesteś już sina z zimna.

- Kochanie - zawołała Cara za mężem i mrugnęła wesoło, kiedy spojrzał w jej stronę - skoro już przygotowujesz kolację, zrób mi, proszę, wódkę z martini i wrzuć trzy oliwki.

Toy uwielbiała obserwować tych dwoje i słuchać ich przekomarzań. Teraz patrzyła, jak Brett kładzie dłoń na plecach Lovie i popychają delikatnie ku drzwiom: Tak powinien, w jej mniemaniu, odnosić się ojciec do córki. A ja nie potrafię zapewnić małej ojcowskiej opieki, pomyślała smutno i, jak zawsze w takich chwilach, ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- On jest niezwykły - powiedziała do Cary.

- Wiem.

- Będzie wspaniałym ojcem. Uśmiech znikł z twarzy Cary.

- Dałby Bóg.

Toy wyczuła natychmiast, że lepiej nie ciągnąć tematu. Miss Lovie zwykła mawiać, że klimat wyspy ma dobroczynny wpływ na ludzi. W przypadku Cary była to absolutna prawda - zawsze miła,

delikatna, po wyjściu za mąż stała się jeszcze łagodniejsza. Ona i Brett odnosili się z ogromną serdecznością do Toy i małej

Lovie, byli dla nich jak rodzina, jedyna rodzina, na której wsparcie zawsze mogły liczyć.

- Bierzmy się do roboty - powiedziała Cara dziarskim głosem i otrzepała dłonie z piasku. - Ty tu rządzisz. Mów, co mam robić.

- Tak naprawdę, niewiele możemy zdziałać. - Toy zaczęła rozwijać wąż. - Jutro w Akwarium zajmie się nią lekarz. Oczyszczymy pancerz i usuniemy pijawki, to wszystko. Nawet jeśli nie przeżyje, kąpiel dobrze jej zrobi.

- Rozumiem. - Cara podeszła do kranu. - Odkręcić wodę?

- Odkręcaj. Do mycia woda z kranu będzie znacznie lepsza niż morska, bo unieszkodliwi pąkle.

- Pora wziąć prysznic, maleńka - przemówiła Cara, kiedy strumień wody zaczął spływać po pancerzu żółwicy.

Cara polewała żółwicę, a Toy postawiła obok basenu wiaderko ze szczotkami, uklękła i zabrała się do szorowania pancerza.

- Nienawidzę pijawek - mruknęła, wzdrygając się.

- Ja też. - Cara uklękła obok niej. Wymieniły pełne rezygnacji spojrzenia i teraz już obie zgodnie usuwały pąkle i pijawki.

Pracowały zawzięcie, Toy miała wrażenie, że usunęły z pancerza tony paskudztwa, ale nie było to wcale łatwe zadanie, bo duże pąkle przywarły mocno do skorupy. W każdym razie udało się usunąć pijawki, i żółwica wyglądała teraz znacznie lepiej. Pancerz był ciągle

gąbczasty, kiedy się go dotykało, ale miejscami odzyskał swój naturalny, zdrowy kolor.

Żółwica poddawała się zabiegom bez protestów i od czasu do czasu spoglądała na Toy niemal ludzkim wzrokiem.

- Jest kochana. Jakby chciała powiedzieć nam „dziękuję”.

- Bardzo proszę, maleńka. - Cara poklepała żółwicę po pancerzu.

- Powinniśmy jakoś ją nazwać.

- A mnie się wydawało, że wy, biolodzy, nie lubicie angażować się osobiście, kiedy macie do czynienia ze zwierzętami. - Słowo „biolodzy” Cara wymówiła z lekkim przekąsem.

Toy zrobiła obrażoną minę, ale spodobało się jej, zaliczenie do grona „biologów”. Ciężko na to pracowała.

- To prawda, ale ja lubię nadawać imiona zwierzętom, z którymi się stykam. Lepiej je zapamiętuję, kontakt jest miłszy. Poza tym łatwiej zapamiętać imię niż numer. - Zamilkła na moment i spojrzała na żółwicę. - Może Caretta?

Cara parsknęła śmiechem i zamierzyła się na Toy węzem. Matka zawsze jej powtarzała, że imię Cara wzięło się od *Carretta carretta*, łacińskiej nazwy wielkich żółwi morskich.

- Ani się waż. Poza tym macie już chyba w Akwarium jedną Carettę. Wymyśl coś oryginalniejszego dla naszej maleńkiej.

Toy przysiadła na piętach.

- Świetnie! - ucieszyła się. - Jest taka olbrzymia... nazwijmy ją Maleńka.

Cara kiwnęła głową.

- Niech będzie Maleńka.

- Koniec, Maleńka - powiedziała Toy, wrzucając szczotkę do wiadra. - Na dzisiaj wystarczy. Zrobiliśmy, co mogliśmy, żeby oczyścić ci pancierz. Owiniemy cię w wilgotne ręczniki, a resztą zajmą się jutro moi koledzy w Akwarium.

- Módlmy się, żeby przeżyła - dodała Cara. - Ta biedaczka wygląda na bardzo chorą. Nie możemy jej tutaj zostawić samej. Co będzie, jeśli wyjdzie z basenu? Albo zainteresuje się nią jakieś zwierze?

- Ja z nią zostanę.

- Jesteś pewna?

Toy podniosła się i wyprostowała, opierając dłonie na plecach, zeszywniałych od długiego klęczenia przy basenie. Spodnie miała zupełnie mokre i utyłane w błocie, bolały ją kolana.

- Tak. - Stłumiła ziewnięcie. - Żaden problem. Zniosę sobie fotel z ganku. Będzie jak na kempingu - zakpiła. - Powiedzmy.

Cara skrzywiła się.

- Nienawidzę kempingów.

- Ja też.

Obydwie wybuchnęły śmiechem.

- Zmienię cię w nocy - zaofiarowała się Cara, podniosła wysoko rękę, ziewnęła głośno, a potem zaczęła zwijać wąż.

Toy zebrała szczotki, wrzuciła je do wiaderka. Obie poruszały się z trudem, zmęczone pracą.

- Mam prośbę - odezwała się po chwili. - Ja tu zostanę, ale czy mogłabyś położyć Lovie?

Carze zablęskły oczy.

- Z przyjemnością. Nie musisz mi tego powtarzać dwa razy.

Po kolacji Cara i Brett ułożyli Lovie do snu, Toy przeciągnęła do schowka fotel z ganku, przyniosła z domu śpiwór, latarkę, płyn przeciwko komarom i butelkę schłodzonego białego wina. Natarła się płynem i naląa sobie kieliszek wina. Pod gankiem pachniało jaśminem, który piał się po kratownicy zamykającej z jednej strony przestrzeń schowka. Nie dochodziła tu bryza od morza, ale zapach kwiatów zabijał odór stęchlizny i rybi fetor płynący od żółwicy. Toy ustawiła fotel przy samym wyjściu, gdzie miała trochę świeżego powietrza, choć niewiele zyskała, bo noc była duszna, i nie zdejmując ubrania, wsunęła się do śpiwora.

Widziała gwiazdy nad głową, sunący po niebie księżyc, słyszała świerszcze i kojący, usypiający szum oceanu. Każdego wieczoru dziękowała Bogu, że może mieszkać z Lovie w Primrose Cottage. Tutaj, po raz pierwszy w życiu, czuła się naprawdę bezpieczna i szczęśliwa.

Stary drewniany fotel zaskrzypiał pod jej ciężarem, odezwał się jakiś nocny ptak, nad uchem brzęczały komary. Toy zakłęła pod nosem, plasnęła dłonią w kark i owinęła się szczelniej śpiworem.

Po kilku minutach zrobiło się jej gorąco, nie mogła oddychać, musiała wychylić nos z kokonu. Poczwała miły powiew chłodnego powietrza na skórze, ale też natychmiast pojawiły się znowu komary.

Zapowiada się długa noc, pomyślała z rezygnacją i sięgnęła ponownie po repelent. Maleńka nie poruszała się, ale żółw potrafi przetrwać nawet wówczas, kiedy wydaje się, że nie ma już żadnych szans. Toy nasłuchiwała przez chwilę, czy usłyszy oddech. Nic.

Zaniepokojona wydostała się ze śpiwora i nie zważając na komary, podeszła do basenu, uniosła ręcznik. Żółwica leżała zupełnie nieruchomo.

- Jak tam, Maleńka? - zagadnęła, wysilając wzrok w mroku. Nachyliła się, dotknęła delikatnie powieki gada, szukając jakiegokolwiek reakcji.

Żółwica zamrugła i wypuściła powietrze przez nos. Toy też wypuściła powietrze z płuc.

- Wystraszyłaś mnie, moja panno - powiedziała i położyła dłoń na pancerzu żółwicy. Czowała silną więź z przyszłą matką, która musiała przebyć długą drogę, zmierzając do brzegów Isle of Palms.

- My, samotne mamy, musimy trzymać się razem - przemówiła do Maleńkiej i odruchowo poklepała ją po karapaksie.

Powróciło wspomnienie snu o żółwicy, która płynie do domu.

- Dotarłaś do domu - szepnęła. - Udało się. Pokonałaś wiele niebezpieczeństw. Ile lat spędziłaś w oceanie? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Więcej?

Nikt nie potrafił powiedzieć z całkowitą pewnością, jak długo żyją żółwie morskie, ale niektórzy twierdzili, że sto lat i dłużej.

- Nie martw się, Maleńka, jestem przy tobie.

Cara zamknęła książkę dla dzieci i spojrzała na Lovie. Jasne rzęsy ocieniały policzki. Mała oddychała równo. Spała spokojnie.

Cara pomagała ją wychowywać od dnia urodzenia. Toy lubiła powtarzać, że duch panny Lovie zamieszkał w sercu jej córeczki. Cara kpiła sobie z ckliwych sentymentów, w głębi duszy wierzyła jednak, że tak właśnie jest. Lovie momentami tak bardzo przypominała Oliwię... Jak ona kochała naturę, a żółwie szczególnie.

Cara odgarnęła jej włosy z czoła, wilgotne jeszcze po kąpieli. Matka często tak właśnie robiła. Łzy napłynęły jej do oczu na to wspomnienie.

- Myślisz o matce, prawda?

Odwróciła głowę. W drzwiach, oparty o framugę, stał Brett. Założył ręce na piersi i przyglądał się Carze z troską, z czułością. Miał dar dostrzegania ważnych szczegółów i pokłady czułości, był wspaniałym mężem.

Cara skinęła głową.

- Kiedy przychodzę tutaj, zawsze odczuwam mocno jej obecność.

- Nic dziwnego. Kochała ten dom.

- Ucieszyłby ją widok żółwia pod gankiem. - Cara zaśmiała się cicho. - Żółwie też kochała.

- Kochała przede wszystkim ciebie. Jesteś pewna, że nie chciałabyś zamieszkać tutaj? Zostawiła ci Primrose Cottage, może myślała, że się tu przeniesiesz? Ja chętnie się przeniosę, powiedz tylko słowo.

- Jeszcze nie teraz. Wspomnienia są ciągle zbyt świeże. Minęło pięć lat, a nadal boli. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Może to dlatego, że umarła wkrótce po tym, jak się pogodziłyśmy. Tak długo nie rozmawiałyśmy z sobą, a kiedy wreszcie udało się nam porozumieć, umarła. To nie w porządku.

- Umarła pogodzona z tobą. Miałyście coś, co omija mnóstwo ludzi.

- Wiem i dziękuję losowi - Cara poprawiła kołdrę Lovie - ale jest tyle rzeczy, których nie zdążyłam jej powiedzieć, tyle rzeczy, którymi chciałabym się z nią podzielić. Czuję się okradziona.

Cara wstała z łóżka i objęła się ramionami, rozejrzała po pokoju. Kiedyś to była jej sypialnia. Tutaj snuła dziewczynskie marzenia i przeżywała pierwsze zawody sercowe.

- Kiedy umarła, próbowałam spać w jej łóżku. W powietrzu unosił się zapach jej perfum, jak duch. Czułam go wszędzie: szafa, zasłony, wszystko pachniało gardenią. Wiem, że to głupie, ale zakładałam do snu jej szlafrok kąpielowy. Kiedy płakałam jak dziecko, mówiłam sobie, że mama trzyma mnie w ramionach. - Pociągnęła nosem. - Żałosne.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Cara oparła się o męża.

- Bo to strasznie głupie.

- Wcale nie.

Brett objął ją wpół. W jego ramionach czuła się bezpieczna. Zamknęła oczy. Ubranie Bretta pachniało morzem.

- Wolę spać w naszym własnym łóżku, w naszym domu, w twoich objęciach.

Brett nachylił się, przytulił policzek do jej policzka. Poczuła, że się uśmiecha.

- To mi się podoba.

- Poza tym - ciągnęła, prostując się - Toy dobrze się tutaj czuje, otoczona rzeczami, które należały do mamy.

- Kochała Olivię jak rodzoną matkę.

- Bo Olivia w pewnym sensie była dla niej matką, której Toy nigdy nie miała. Pamiętasz, jak strasznie płakała na pogrzebie? Rozpaczała bardziej ode mnie. Ludzie patrzyli na mnie trochę dziwnie.

- Ty nie płaczesz.

Cara zamyśliła się. Wszyscy uważali, że ona nie płacze. W końcu sama w to uwierzyła. Uzbroidła się w obojętność, która chroniła ją przed ojcem, przed jego wybuchami gniewu. A potem również w pracy, kiedy znalazła posadę w agencji reklamowej na dalekiej północy. Dopiero tutaj, na wyspie zbroja zaczęła jej ciążyć i przeszkadzać.

- Pomimo wszystko to jednak nierozsądne, że Toy nie chce się pozbyć niczego, co należało do mamy. Mieszka tutaj od pięciu lat, a wszystko jest dokładnie tak, jak było za życia Olivii. Nawet jedna książka nie zmieniła miejsca. Toy zrobiła z tego domu świątynię pamięci. - Cara zaśmiała się. - Byłoby to irytujące, ale ona jest w swoich odczuciach absolutnie szczerą.

- I niepewna siebie.
- Co masz na myśli? Radzi sobie świetnie.
- To prawda, ale dźwiga na barkach zbyt wielką

odpowiedzialność. Musi samotnie wychowywać Lovie. Nie ma męża, rodziny, nikogo, kto dawałby jej oparcie.

- Ma nas.

- Owszem, ma nas, ale podejrzewam, że pomimo wszystko czuje się samotna.

Cara wiedziała, co to znaczy żyć samotnie, nie mieć nikogo, kto zapewniałby poczucie bezpieczeństwa materialnego i emocjonalnego. Człowiek co prawda staje się bardziej samodzielny, zyskuje niezależność, ale są momenty, kiedy czuje się bardzo osamotniony. Szczególnie w nocy.

Rozejrzała się ponownie po swoim pokoju, pokoju Lovie. Reszta domu nie zmieniła się ani na jotę, ale tutaj Cara wymogła zmiany i pokój, który po jej wyjeździe stał się pokojem gościnnym, przeistoczył się w różową sypialnię dziecka, z syrenami na ścianach. Z dawnego urządzenia pozostało tylko żelazne łóżko, w którym sama niegdyś sypiała. Zawsze myślała, że w tym łóżku będzie spać kiedyś jej własna córeczka. Cara spojrzała na Lovie. W głębi serca wiedziała, że tak właśnie miało być, że ten pokój miał należeć do tej małej blondyneczki.

- Tak bardzo ją kocham, że czasami ogarnia mnie lęk. Nie chcę być dla niej jedną z wielu cioć. Kimś, kto przysyła prezenty na Gwiazdkę i na urodziny. Chcę, żeby traktowała mnie inaczej. Żeby

szukała u mnie rady, kiedy zakocha się po raz pierwszy w chłopaku, kiedy pojawi się pierwszy okres albo za dużo wypije na imprezie i trzeba będzie odwieźć ją do domu. Chcę być dla niej kimś ważnym, kto będzie pokazywał jej nowe horyzonty. Chcę być taką... najważniejszą ciotką, z którą fajnie jest pobyć i pogadać.

- Kochanie, na pewno będziesz taką ciotką.

Cara nachyliła się i pocałowała Lovie w czoło, wdychając delikatny zapach mydła.

Kiedy odsunęła się od łóżka, Brett powtórzył ten sam serdeczny gest. Opatulił jeszcze Lovie troskliwie kołdrą, położył na poduszce jej ulubionego żółwia przytulankę, a potem objął żonę i oboje wyszli z pokoju.

- Wiesz, Bóg daje dzieciom specjalny zapach, który je chroni - powiedział, zamykając drzwi. - Zapach tak słodki, że człowiek mięknie i jest gotów zrobić wszystko dla takiego szkraba.

- Lovie jest wyjątkowa.

- Nasze dziecko będzie wyjątkowe.

Cara oparła ciężko głowę na ramieniu męża. Od pięciu lat marzyli o dziecku...

- Brett, boję się mieć nadzieję.

- Tym razem się uda.

- Dwa razy się nie udało. Spójrzmy prawdzie w oczy, Matka Natura nie jest specjalnie przychylna dla kobiet po czterdziestce, które chcą mieć dzieci. Wydawało mi się... - westchnęła ciężko - że będę jedną z tych szczęśliwych. Ciągle mi się roi bajkowe zakończenie...

Do trzech razy sztuka. - Westchnęła ponownie i obróciła się w jego ramionach. - Poza tym nie stać nas na częste powtarzanie metody in vitro.

- Pozwól, że ja się tym będę martwił.

- Nie chodzi tylko o pieniądze. Nie wiem, jak zniosę kolejną nieudaną próbę. Lekarze mogą nas przekonywać, że embrion to jeszcze nie dziecko, ale ja za każdym razem czuję się tak, jakbym traciła kolejne maleństwo. - Cara oparła głowę na piersi Bretta. - To bardzo boli.

- Wiem - szepnął - ale pamiętaj, że przechodzimy przez to razem. Będzie dobrze. Będziemy mieli dziecko. Nie trać wiary.

- Nie tracę. Mam wiarę. W nas. I nadal umiem marzyć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Toy poczuła na powiekach pierwsze promienie słońca. Otworzyła powoli oczy, a potem raptownie uniosła głowę.

Pierwsza myśl: co z Maleńką?

Natychmiast otrząsnęła się z resztek snu. Czuwała przy żółwicy prawie do rana. Krótco przed świtem zmieniła ją Cara, padając na fotel z głośnym przekleństwem. W nocy Toy drzemała trochę, znowu śniło się jej, że jest wielką żółwica. Po przyjściu Cary powlokła się na górę, do swojej sypialni, zrzuciła ubranie, z rozkoszą zanurkowała w chłodną pościel i natychmiast zapadła w głęboki sen.

Mogłaby spać jeszcze wiele godzin, ale poczucie obowiązku wzięło górę. Przetarła powieki, wygramoliła się z łóżka i przeszła bosą do małej, wyłożonej białymi kafelkami łazienki, zmyć pod prysznicem resztki parnej nocy. Wyszła po kilku minutach goniona ciekawością, jak ma się żółwica. Ubrała się w swój służbowy strój - szorty khaki i szary T-shirt z napisem S.C. Aquarium i logo swojej firmy, upięła wysoko wilgotne jeszcze włosy, założyła tenisówki.

Przez okna w niewielkiej bawialni wpadało poranne światło, rozciągał się stąd zapierający dech w piersiach widok na wydmy, palmy i nieogarnioną przestrzeń migotliwego oceanu. W pokoju stała kanapa i dwa ogromne fotele obite materiałem w róże, ukochane kwiaty Olivii Rutledge. Między fotelami stała niska, okrągła otomana, na której Olivia lubiła siadywać. Ilekroć Toy spoglądała na mebel, widziała miss Lovie z podkulonymi pod siebie nogami i książką w

dłoni, popijając herbatę. Ściany z desek montowanych na wpust i pióro oraz sosnowe podłogi były typowe dla starszych domów na wyspie. Na ścianach wisiały nadmorskie pejzaże, dzieła miejscowych artystów: Venera, Pratt-Thomasa, Greene'a, Smitha i innych. Pokój był przytulny, wesoły, w niczym niepodobny do nędznych przyczep, w których Toy spędziła dzieciństwo.

Z wąskiego korytarza wypełnionego zdjęciami rodziny Rutledge'ów z ostatnich stu lat prowadziły drzwi do dwóch niewielkich sypialni. Toy weszła do tej, którą zajmowała córka, z widokiem na ocean, i obudziła małą. Lovie mruczała, obracała się plecami do matki, ale w końcu udało się wyciągnąć ją z łóżka i Toy mogła wyjść z domu.

Cara spała, pochrapując cicho, jedna noga zwisała z fotela... Toy uśmiechnęła się. Nigdy nie widziała wytwornej zwykle Cary Rutledge Beauchamps w takiej pozycji. Mimo wczesnej pory temperatura dawała się już we znaki, zapowiadał się kolejny upalny, duszny i wilgotny dzień. Toy przykucnęła przy basenie, pełna niepokoju, czy żółwica przetrwała noc. Ostrożnie uniosła wilgotny ręcznik.

Żółwica skierowała na nią spojrzenie.

- Przyszłam powiedzieć ci dzień dobry, Maleńka! Skłamałabym, gdybym ci wmawiała, że się nie martwiłam, ale ty jesteś twarda, jak ja.

Żółwica przyglądała się jej ze smutkiem w oczach, widać było, że jest w kiepskim stanie.

- Nie czujesz się zbyt dobrze, prawda? Nie martw się, zaraz zawieziemy cię do szpitala.

Toy usłyszała głośne ziewnięcie za plecami. Odwróciła się. Cara otworzyła oczy i drapała się zawzięcie po głowie, mierzwiąc jeszcze bardziej już okropnie potargane włosy.

- Czuję się tak, jakbym spała na torach kolejowych - oznajmiła zaspanym głosem.

- I tak mniej więcej wyglądasz. Weź prysznic, dobrze ci zrobi.

- Pysznic, masaż, kąpiel błotna. Powinnam zamknąć się na kilka dni w jakimś sanatorium albo spa. Jak się miewa Maleńka?

- Żyje, ale ledwie zipie. Kiedy już trafi do zbiornika, spróbujemy ją nakarmić.

- Pewnie tęskni za poranną kawą. - Cara podrapała miejsce po ukąszeniu komara. - Skoro mowa o kawie... Flo już się pojawiła?

- Jeszcze nie. Rusz się, śpiochu. Wstawaj, czeka nas ciężki dzień.

Po powrocie do domu zastała Lovie z powrotem w łóżku.

Ty też? - zawołała, łaskocąc córeczkę w brzuch i pięty, ale dopiero kiedy przypomniała małej o żółwicy, udało się wyciągnąć ją z pościeli. Lovie pisnęła z radości i ubrała się w mgnieniu oka, a Toy zabrała się za przygotowywanie śniadania. Wkładała właśnie chleb do tosterka, kiedy otworzyły się z impetem drzwi i do kuchni, niczym huragan, wtargnęła Flo.

- Dzień dobry ekipie ratowniczej!

- Myślałam, że nigdy już nie dotrzesz z tą obiecaną kawą - burknęła z wyrzutem Cara, stając w progu. Wilgotne włosy związała na karku. Pysznic rzeczywiście dobrze jej zrobił, bo patrzyła już na świat znacznie przytomniej.

- Ładna koszulka - stwierdziła Toy, widząc, że Cara pożyczyła sobie jej ciuch.

- Mogę chodzić we wczorajszych szortach, ale nie byłam w stanie założyć na grzbiet śmierdzącego żółwiem T-shirtu. Chyba się nie gniewasz?

- Czuj się jak u siebie w domu.

Cara stanęła przy stole i położyła dłoń na karku zajadając płatki Lovie.

- Mm... Podzielisz się ze mną?

Lovie zaśmiała się na propozycję ciotki, Toy tymczasem otworzyła szafkę, żeby wyjąć kubki. Przez lata Olivia Rutledge zgromadziła imponującą kolekcję porcelany i fajansów, ocalałych z dawno wytłuczonych kompletów. Toy każdego ranka wybierała inne naczynia, w zależności od nastroju, i była to jej ulubiona zabawa. Dzisiaj wybór padł na zieloną glinę porcelanową Wedgwooda.

Flo zabrała się za rozlewanie kawy, Cara wyjęła mleko z lodówki, ale żadna z przyjaciółek nie usiadła przy stole. Stały oparte o blat kuchenny, popijały kawę i omawiały plan dnia. Flo zgodziła się zostać z Lovie, Toy i Cara miały odwiedzić Maleńką do Akwarium. Rozmowa szybko zeszła na ulubiony temat, czyli żółwie gniazda lęgowe.

- Już koniec maja - powiedziała Flo, kręcąc smutno głową. -
Powinniśmy mieć na plaży przynajmniej jedno gniazdo.

Cara zafrasowała się.

- W zeszłym roku żadna nie przypląnęła. Myślałam, że pojawią się tej wiosny. Mam nadzieję, że jeszcze się pojawią, że już płyną do nas.

- Zeszłoroczne huragany musiały pokrzyżować im szyki.

- Maleńka przypląnęła - powiedziała Toy z optymizmem. -
Jeszcze wcześnie, lato dopiero się zaczyna. Musimy poczekać.

- Za gniazda lęgowe. - Flo podniosła kubek, jakby spełniała toast. - Może rzeczywiście płyną do nas i trzeba cierpliwie poczekać.

- Za szczęśliwy powrót żółwie. - Toy trąciła się kubkiem z Flo.

- Skoro mowa o szczęśliwych powrotach. - W oczach Cary zabłyśły radosne iskierki. - Mam dla was wiadomość. - Emmi sprzedała dom w Atlancie i wraca na wyspę, już na dobre. Dzień Pamięci będzie już obchodziła z nami.

- Bardzo dobrze, że wraca - stwierdziła Flo. - Tu jest jej miejsce. Zwykle pojawiała się niemal równocześnie z żółwicami. Kiedy widzę Emmi Peterson i znajduję pierwsze gniazdo lęgowe, wiem, że sezon naprawdę się zaczął.

Emmi, myślała Toy, popijając kawę. Wielka, ruda Emmi z promiennym uśmiechem. Emmaline Baker Peterson, jedna z pierwszych członkiń nieformalnej grupy Miłośniczek Żółwi, którą całe wieki temu założyła miss Lovie. Wolontariusze pojawiali się i

odchodzili, ale założycielki działały ofiarnie przez całe lata, spędzając długie godziny na plaży przy gniazdach.

- Strasznie mi jej brakowało, kiedy nie pojawiła się w zeszłym roku - powiedziała Toy. - Całe lato było dziwne. Żółtwicę nie przypląnęły, Emmi nie przyjechała... Jakby jedno zależało od drugiego.

- Miała trudny rok.

- Dostała już rozwód? - zapytała Flo. Cara skinęła głową.

- Tak, podpisała papiery. Kiedy z nią rozmawiałam, była dość przygnębiona. Mnie też to przybiło, szczerze mówiąc. Ciągle nie mogę uwierzyć, że rozstała się z Tomem. Byli idealnym małżeństwem, wzór do naśladowania. Kochali się w sobie od dziecka. Niech to, zakochałam się w Tomie dokładnie tego samego dnia co Emmi. Dlaczego taka miłość raptem się kończy? Im nie powinno przytrafić się nic podobnego...

- Tom ją zdradzał - stwierdziła Flo rzeczowym tonem, ignorując rozważania Cary. - A to zawsze oznacza koniec małżeństwa. Chętnie bym sobie z nim porozmawiała, tak że poszłoby mu w pięty. Nie tak go rodzice wychowali.

- Postaraj się być miła dla Emmi - poprosiła Cara. - Nie rób jej wykładów.

- Ja, wykłady? - obruszyła się Flo.

- Doskonale wiesz, o czym mówię. Spróbuj okazać nieco wyrozumiałości. Cokolwiek Tom wyczyniał, nie chciał rozwodu.

Chłopcy bardzo ciężko to przeżyli. Minie trochę czasu, zanim Emmi dojdzie do siebie.

- Tym bardziej powinna tu wrócić, być z nami - stwierdziła Flo.

- Potrzebuje teraz przyjaciół.

Toy wyprostowała się i odstawiła kubek.

- A nas teraz potrzebuje żółwica. Brett właśnie podjechał.

Ruszajcie się, trzeba zawieźć Maleńką do Akwarium.

The South Carolina Aquarium to kompleks budynków z kamienia, stali i szkła, zajmujący powierzchnię około 30 tysięcy metrów kwadratowych nad samym oceanem. Akwarium działa od 2000 roku, może się pochwalić dwoma tysiącami zwierząt morskich i stanowi dumę miasta Charleston.

Toy, wysiadając każdego ranka z samochodu na parkingu dla personelu, odczuwała miły dreszcz podniecenia. Nie mogła uwierzyć, że wchodzi do Akwarium i nie musi płacić za przywilej przekroczenia jego bram. Pierwszy dzień w pracy był jednym z najmielszych dni w jej życiu.

Zarządzała tak zwaną Niższą Galerią Oceaniczną, miała pod opieką ponad sto gatunków ryb i gadów, pilnowała pór karmienia, rozdelała zajęcia między wolontariuszy, dbała o ekspozycję, oprowadzała wycieczki szkolne, robiła mnóstwo innych rzeczy, w zależności od potrzeby. W Akwarium pracowało się zespołowo, toteż nigdy nie wiedziała, co ją czeka danego dnia.

Jak chociażby dzisiaj.

Spojrzała na skrzynię furgonetki Bretta. Maleńka leżała spokojnie, przykryta ręcznikami. Toy przygryzła wargę. Miała nadzieję, że ręczniki są nadal wilgotne. Siedząc obok Bretta, instruowała go, jak ma podjechać do rampy przeładunkowej na tyłach Akwarium. Przy bramie czekało już na nich dwóch wolontariuszy w szarych firmowych koszulkach.

- Cześć, Favel - zawołała, wyskakując za Carą z kabiny. - Świetnie, że jesteście. Ledwie udało się nam zapakować Maleńką na skrzynię furgonetki.

- Maleńka? - Favel miał śnieżnobiałe włosy i ogorzałą od słońca twarz. Do momentu przejścia na emeryturę pracował w Akwarium jako etatowy nurek, a teraz pomagał jako wolontariusz. Związany z firmą od samego początku, nie mógł się rozstać z ukochanym zajęciem. Irwin, drugi wolontariusz, młody chłopak, kończył dopiero studia, pisał właśnie pracę magisterską z biologii oceanicznej.

- Tak nazwałyśmy tę żółwicę. Spróbujcie ją podnieść, a zrozumiecie, skąd to imię. - Toy przedstawiła kolegom Carę i Bretta.

- Ethan krzywił się, że wciskasz mu żółwia - powiedział Favel cicho.

- Naprawdę? - Toy zrobiło się trochę nieswojo po usłyszeniu tej informacji.

- Wiesz, on ma obsesję na punkcie kontaminacji. Poza tym obraził się, że nikt nie zapytał go o zgodę - odparł Favel.

Toy z trudem przełknęła ślinę.

- Rozmawiałam z Jasonem, zgodził się.

- Wiem - przytaknął Favel. - Zabierzmy żółwicę do środka. -
Mężczyźni w trójkę przenieśli skrzynię z żółwicą z furgonetki na wózek. Toy ruszyła za nimi. Rzadko miała okazję korzystać z wejścia do Akwarium od strony rampy, skąd roztaczał się widok na port w Charlestonie. Słysząc tu było krzyki mew, syreny statków wycieczkowych, w powietrzu czuło się sól i charakterystyczny portowy zapach, nie do pomylenia z żadnym innym.

Weszli do podziemi głównego budynku: ogromne rury, tablice rozdzielcze, pompy, stalowe zawory, wszystko to tworzyło ukrytą przed oczami zwiedzających, a i większości personelu naziemnego, infrastrukturę Akwarium. Dotarli z wózkiem do dużej windy towarowej i wjechali na drugie piętro, gdzie na żółwicę miał czekać zbiornik. Toy nerwowo zaciskała dłonie, bojąc się reakcji Ethana. Miała nadzieję, że znajomi nie zauważają jej zdenerwowania. Wreszcie lśniące stalowe drzwi windy otworzyły się cicho, ukazując inny świat.

Wielki Zbiornik Oceaniczny, nazywany przez pracowników w skrócie Wuzetko, zajmował dwa poziomy budynku, mieścił tysiąc osiemset litrów sześciennych wody i był domem dla setek zwierząt i roślin. Publiczność miała złudzenie, że ogląda piaszczyste dno morskie, rafę, głębiny oceanu, ale personel, niejako od kulis, widział coś zupełnie innego. Tutaj, na górze, za czarnymi kotarami, oddzielającymi egzotyczny świat od codziennej praktyki, znajdowało się serce ekspozycji: pompy i filtry zapewniające zwierzętom warunki do życia.

Obok Wuzetka znajdowały się mniejsze zbiorniki, dla ryb poddanych kwarantannie, hospitalizowanych i dla tych w okresie godowym. Większość zwiedzających nie miała pojęcia, jakiej ogromnej pracy trzeba, by zapewnić funkcjonowanie Akwarium obrazującego życie w oceanie.

To było właśnie królestwo Ethana Legarda.

- Gdzie jest Ethan? - zapytała Toy, kiedy mężczyźni zdjęli skrzynię z wózka.

- Pewnie w zbiorniku, jak każdego ranka - powiedział Favel. - Nurkuje, żeby sprawdzić, jak mają się zwierzęta. Niepokoi go trochę nowy rekin, bestia lubi zapolować w nocy.

- A Jason?

- Nie widziałem go jeszcze dzisiaj.

Toy odwróciła się do przyjaciół, trochę zbity z tropu faktem, że nikt nie czeka na przyjęcie żółwicy.

- Zaraz wrócę, muszę się dowiedzieć, gdzie powinniśmy umieścić Maleńką.

Szła, podziwiając porządek panujący na zapleczu Wielkiego Zbiornika. Ethan był doprawdy perfekcjonistą i pracoholikiem.

Stała przy metalowej poręczy. Za każdym razem, kiedy spoglądała w krystalicznie czystą wodę głębokiego na trzysta metrów zbiornika, miała wrażenie, że styka się z czymś nierzeczywistym. Na platformie do nurkowania dostrzegła szczupłą sylwetkę Ethana. W czarnym, ociekającym wodą kombinezonie nachylał się nad martwym granikiem. Był tak zaabsorbowany, że

zawahała się, czy powinna mu przeszkadzać, ale żółwica czekała.

Zebrawszy odwagę, zawołała:

- Ethan!

Podniósł natychmiast głowę i obejrzał się. Woda strugami spływała mu na twarz z brązowych włosów. Podniósł dłoń i zamachał.

- Poczekaj moment - zawołał i zajął się tym, co pozostało z nieszczęsnej ryby po spotkaniu z rekinem.

Toy też pomachała, dając mu znak, że czeka, i odetchnęła z ulgą. Ethan Legard nie sprawiał wrażenia zagniewanego, że ktoś śmie umieszczać w jego królestwie chore zwierzę.

Prawie go nie znała. Należał do kierownictwa Akwarium, był jej przełożonym i chyba rzeczywiście miał w sobie coś władczego. Dla większości szarych pracowników Akwarium pozostawał zagadką. Nikt nic o nim nie wiedział poza tym, że urodził się w Charlestonie i pochodzi ze starej rybackiej rodziny. Miał opinię wybitnego biologa, a koledzy z zazdrością opowiadali sobie o jego egzotycznych wyprawach badawczych.

Po kilku minutach dołączył do ekipy zebranej przy żółwicy. Nie zdążył nawet zdjąć kombinezonu, przyglądził tylko mokre włosy, ale ciągle jeszcze miał krople wody na rzęsach.

- Ethanie, to Cara i Brett Beauchamps - Toy dokonała prezentacji. - Pomogli mi przywieźć żółwicę. Opiekują się żółwiami, które do nas przyplływają. Opowiadałam ci o nich, pamiętasz?

- Pamiętam, oczywiście. - Ethan wyciągnął dłoń. - Dziękuję wam wszystkim za wasze starania.

Otworzyły się drzwi windy i z kabiny wysiadł Jason z jowialnym uśmiechem na twarzy. Przywitał się z gośćmi i klepnął Ethana w plecy.

Jason, po trzydziestce, przystojny, wysoki, ciągle wolny, był, podobnie jak Ethan, obiektem babskich plotek pracownic Akwarium, ale w przeciwieństwie do Ethana odznaczał się bardziej otwartym, bezpośrednim sposobem bycia, chociaż zajmował wyższe od niego stanowisko. Obaj byli pasjonatami swojej pracy, przyjaźnili się, darzyli szacunkiem i odbywali wspólne wyprawy, z których przywozili nowe okazy dla Akwarium, dzięki czemu nazywano ich kowbojami oceanu.

- Co my tu mamy? - zagadnął Jason, podchodząc do skrzyni.

Ethan zdjął ręczniki i pokręcił głową.

- Marnie wygląda ta wasza mamuśka. Jason gwizdnął cicho.

- Rzeczywiście, jest w kiepskim stanie. - Nachylił się, by uważniej obejrzeć pacjentkę. - Strasznie wygłodzona i odwodniona. Ma zapadnięte oczy, pomarszczoną skórę. Nawet keratyna na karapaksie jest pomarszczona.

- Nie zauważyliśmy żadnych obrażeń, poza kilkoma małymi zadrapaniami - odezwała się Toy. - Znaleźliśmy ją dryfującą. Stan jej pancerza wskazuje, że długo musiała tak dryfować.

- Takie zółwie najtrudniej rehabilitować, bo nie wiadomo, co im dolega - powiedział Jason. - Woda w oceanach jest coraz bardziej zanieczyszczona i to odbija się na zwierzętach.

- Gdzie dokładnie ją znaleźliście? - zapytał Ethan.

- Na Isle of Palms. Dryfowała na przybrzeżnej fali. W pierwszej chwili myślałam, że nie żyje, podpłynęłam do niej i wtedy zobaczyłam, że się porusza. Wypchnęłam ją z przyjaciółką na brzeg.

- A więc ty jesteś ratowniczką. Toy pokręciła głową.

- W czwórkę przetransportowaliśmy ją z plaży do domu. Cara i Brett mi pomagali. Kiedy Jason powiedział, że mogę ją przywieźć, umieściliśmy ją w plastikowym basenie dla dzieci pod moim gankiem.

Obaj panowie parsknęli śmiechem, wyobraziwszy sobie ogromnego żółwia wciśniętego do ogrodowego basenu dla dzieci.

- Jestem zdziwiony, że przetrzymała noc - powiedział Jason - ale żółwie to niezwykle zwierzęta. Człowiek nie daje im już żadnych szans, a one jakimś cudem potrafią przeżyć. Tu mamy chyba do czynienia z klasycznym zespołem dryfu. - Potarł brodę, zastanawiając się, co dalej. - Trzeba ją wyjąć ze skrzyni, chłopcy, i ułożyć w miejscu, gdzie mógłbym ją dokładnie obejrzeć.

- My chyba już pójdziemy - wtrącił Brett, kładąc dłoń na ramieniu Cary. - Przed Dniem Pamięci mamy strasznie dużo pracy.

- Domyślam się. - Ethan wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Dziękuję, że ją przywieźliście.

- Zaopiekuj się naszą Maleńką. - Cara spojrzała na Toy.

- Nie martw się, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Kiedy Cara i Brett wsiedli do windy, Ethan wskazał stojący daleko pod ścianą zbiornik.

- Umieścimy ją tam, jak najdalej od zdrowych zwierząt.
Szczerze mówiąc, nie podoba mi się, że przyjmuję niezdiagnozowanego żółwia. Nie wiadomo, co jej jest, nie chcę ryzykować, czuję, że będziemy mieli z nią poważny problem. Choroby łatwo się przenoszą.

- Wiem - przytaknął Jason - ale nie dysponujemy w tej chwili żadnym innym miejscem, musi zostać u ciebie, Ethanie.

Ethan zatrzymał się.

- Jak długo?

- Nie wiem - powiedział Jason. - Zaczniemy rehabilitację tutaj, a potem zdecydujemy, czy zostanie tutaj czy ją przeniesiemy.

- Ty tu jesteś szefem.

Ethan ruszył znowu, prowadząc całą grupę do zbiornika znajdującego się w najdalszym kącie ogromnej przestrzeni otaczającej Wuzetko. Odgarnął mokre włosy z czoła.

- W porządku - powiedział z rezygnacją - ale najpierw trzeba ją starannie odkazić. Pełna aseptyka.

- Oczywiście - przytaknęła Toy. Czowała się odpowiedzialna, to ona przecież była sprawczynią zamieszania. - Zastosuję wszystkie konieczne procedury i będę bardzo uważać. Jeśli coś cię zaniepokoi, daj mi natychmiast znać.

- Możesz być tego pewna. - Słowa zabrzmiały surowo, ale nie było w nich złości ani tonu pogroźki.

Toy zawsze bała się trochę Ethana, szczególnie gdy w jego oczach pojawiał się charakterystyczny błysk, jak teraz, ale w pełni

rozumiała jego stanowisko. Wielki Zbiornik Oceaniczny był sercem Akwarium, najważniejszym miejscem całego kompleksu.

Żółwica została ułożona grzbietem do góry na zaimprovizowanym stole ze sklejki opartej na skrzyniach.

Jason przeprowadził pierwsze, wstępne badanie. Kiedy skończył, Toy i Ethan obrócili samicę z powrotem do normalnej pozycji.

- Popatrz na te migdałowe oczy - odezwał się Ethan, kiedy spojrzała smutnym wzrokiem na Jasona. - Jest wycieńczona, odwodniona i przerażona, a pomimo to piękna.

Toy zerknęła kątem oka na szefa, dostrzegła na jego twarzy lekki uśmiech zadowolenia. Pomyślała, że Maleńka jest najlepszym adwokatem w swojej własnej sprawie.

- Dajmy jej tymczasem sól fizjologiczną. Z resztą zaczekamy, dopóki nie zbada jej doktor Tom. Zaraz powinien tu być.

- Dobra, chłopaki - powiedział Ethan z rezygnacją. - Mamy nową pacjentkę. Umieścimy ją na razie w słodkiej wodzie. Nawodni się, zginie fauna, którą zebrała na pancerzu, i po kilku dniach ta ślicznotka będzie mogła wrócić do wody morskiej.

Cała czwórka - Ethan, Jason, Irvin i Favel - przeniosła Maleńką do zbiornika.

- Kto będzie się nią zajmował? - zapytał Ethan i podniósł dłonie, widząc spojrzenie Jasona. - Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem - zastrzegł się szybko. - Wiesz, ile jest roboty z początkiem lata. Nie dam rady...

- Ja mam za sobą staż w szpitalu dla żółwi Karen Beasley - powiedziała Toy, robiąc krok do przodu. Nie mogła uwierzyć, że znalazła w sobie dość odwagi, by prosić Jasona o przydzielenie jej opieki nad Maleńką, ale była pewna, że podoła. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktoś inny opiekował się żółwica. - Pracowałam pod bezpośrednim nadzorem Jean Beasley, uczyła mnie, jak obchodzić się z chorymi żółwiami. Należę do Miłośniczek Żółwi na naszej wyspie, od pięciu lat mam licencję wydaną przez wydział ochrony środowiska. Dam sobie radę. Przy waszej pomocy, oczywiście.

Jowialny uśmiech zniknął z twarzy Jasona, który zastanawiał się przez chwilę, czy może powierzyć młodej pracownicy odpowiedzialne zadanie, w końcu orzekł:

- Ty ją przywiozłaś, więc chyba rzeczywiście powinnaś dostać szansę i zająć się nią.

- Dziękuję. Nie zawiodę cię, Jasonie.

- Jestem pewien, że nie, ale proszę, żebyś we wszystkim, co dotyczy twojej żółwicy, kontaktowała się z Ethaneni. - Spojrzał na Ethana, który kręcił zamasyście głową. - Po prostu będziesz nadzorował. Postaraj się być miły. - Uśmiechnął się do Toy. - Moje drzwi zawsze są otwarte. - Zerknął na zegarek i ruszył do windy. - Zostawiam ją w dobrych rękach - zawołał jeszcze.

Ethan odwrócił się, spojrzał na Toy z miną, która nic jej nie mówiła.

- Założę jej kartę - powiedziała i odeszła, a właściwie odfrunęła, jakby u ramion wyrosły jej skrzydła.

Karta zdrowia Maleńkiej 24 maja

Przyjęto samicę żółwia morskiego. Znaleziona na plaży na Isle of Palms, dryfująca na fali przybojowej. Nie stwierdzono poważniejszych obrażeń zewnętrznych.

Pancerz pokryty pąklami, algami, pijawki na skórze. Samica zostanie umieszczona w zbiorniku ze słodką wodą, co zahamuje rozwój pasożytów. Oczekuje na badanie weterynaryjne. Rozmiary karapaksu: długość 101 centymetrów, szerokość 91 centymetrów, waga 120 kilogramów.

Stan: ogólne wycieńczenie.

Jest piękna. TS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Toy obudziła się o świcie, wzięła szybki prysznic, ubrała się i poszła obudzić Lovie.

Zatrzymała się w progu sypialni i przez chwilę przyglądała się buzi uśpionej córeczki. Śpiące dzieci wyglądają jak aniołki, pomyślała. Żal jej było budzić małą. Usiadła na łóżku, pocałowała ją i szepnęła:

- Pora wstawać, śpiochu. Lovie przetarła oczy i ziewnęła.
- Czas iść do przedszkola?
- Nie idziesz do przedszkola. Zaprowadzę cię do Flo, pooglądasz sobie kreskówki. Ja muszę jechać do Akwarium, nakarmić Maleńką.
- Dzisiaj sobota?
- Tak.
- Obiecałaś, że pójdziemy na plażę - naburmuszyła się Lovie.
- Wiem. Pójdziemy na plażę. Postaram się wrócić tak szybko, jak tylko będę mogła. Wstawaj już. - Poklepała córeczkę po pupie i przytuliła, kiedy mała wyciągnęła łapki.
- O co chodzi, skarbie?

Lovie wpatrywała się w matkę błękitnymi oczami, które zdawały się prosić: „Patrz na mnie”.

- Ja chcę być z tobą. Toy wstrzymała oddech.
- Wiem - przytaknęła. - Ja też chcę być z tobą. Kocham cię, wiesz przecież.

Lovie pokiwała głową i opuściła rękę. Toy pocałowała ją i powiedziała:

- Zobaczysz, jak szybko będę z powrotem. Wrócę, pójdziemy na plażę i zbudujemy zamek z piasku.

Flo, kochana, przyjęła Lovie z radością, mimo wczesnej pory. Otworzyła drzwi z pistoletem na wodę w dłoni i okrzykiem wojennym:

- Do ataku!

- Już się boję - zawołała Toy. Lovie rozpromieniła się na widok pistoletu i pobiegła do kranu w ogrodzie napełnić broń wodą. - Wrócę niedługo, pójdziemy od razu na plażę - zawołała jeszcze Toy.

- Napijesz się kawy? - zagadnęła Flo.

- Chętnie bym się napiła, ale dzięki, nie. Chcę jechać do Akwarium i jak najszybciej wrócić. Lovie nie może mi wybaczyć, że jadę do pracy w weekend. Marzy o zabawie na plaży.

- Przecież ja z nią mogę iść.

- Dziękuję bardzo za miłą propozycję, ale ja pójdę. Obiecałam Lovie, że zbudujemy zamek z piasku. Byłam tak bardzo zajęta Maleńką, że zaniedbałam moją własną maleńką.

- Nie wygląda na zaniedbane dziecko - pocieszyła przyjaciółkę Flo.

- Mam nadzieję, ale rzeczywiście ostatnio trochę brakuje mi czasu. Przy naszej żółwicy jest mnóstwo roboty.

- Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, o każdej porze dnia i nocy.

Flo taka właśnie była, uczynna i serdeczna.

- Wiem. Dzięki.

Flo zmrużyła oczy, otworzyła drzwi siatkowe i gestem zaprosiła Toy do środka.

- Wejdz na sekundę.

Toy weszła z ociąganiem i obie usiadły na wiklinowej ławeczce w holu.

- A teraz powiedz, co cię trapi - zażądała Flo stanowczym tonem.

- Nic.

- Akurat, przestań mydlić mi oczy. Widzę przecież, że coś cię gryzie.

Toy usłyszała radosny pisk Lovie, mała musiała uruchomić pistolet. Parsknęła śmiechem i lżej się jej zrobiło na sercu.

- Wyglądasz na zmartwioną - nie ustępowała Flo.

- Może, trochę.

- Nie chodzi chyba o Lovie? Nią nie powinnaś się martwić.

Dostaje od ciebie mnóstwo miłości, jest kochana jak chyba żadne dziecko.

- Ty i Cara bardzo mi pomagacie. Jesteście dla niej zastępczymi matkami.

- Powiedzmy, ulubionymi ciotkami. Powtarzam ci, o Lovie nie musisz się martwić. Jeśli nie chodzi o nią, to w czym problem?

- Właściwie to nie problem. Zajmuję się Maleńką.

- Wspaniale, tego przecież chciałaś.

- Tak - odparła Toy z wahaniem. - Sama to zaproponowałam i byłoby mi strasznie przykro, gdyby Jason się nie zgodził. - Podniosła dłonie w bezradnym geście. - Nie zastanowiłam się, a teraz widzę, jak wielu rzeczy nie wiem.

- Przecież to normalne, kochanie. Wszyscy mamy podobne odczucie, kiedy zaczynamy nowy projekt, nową pracę. Jak ci się wydaje, skąd wzięły się moje siwe włosy?

- Wspaniale. - Toy uśmiechnęła się markotnie. - W takim razie ja powinnam osiwieć przed trzydziestką. Będę bardzo atrakcyjnym materiałem na żonę.

Flo wzruszyła ramionami.

- Jakoś nigdy nie przejmowałam się tym, czy znajdę męża. Oczywiście chodziła mi taka myśl po głowie, kiedy byłam młodsza. Każda kobieta chyba myśli o małżeństwie. Wszyscy oczekują, że wyjdiesz za męża, będziesz miała dzieci. Moi rodzice ciągle suszyli mi głowę, jakby bycie singlem było czymś wstydlwym, ale ja się nie spieszyłam i nigdy nie uważałam, że jestem przez to gorsza, przeciwnie, kwitłam. - Flo odrzuciła głowę i zaśmiała się serdecznie.

- A potem nie miałam już ochoty wychodzić za męża. Przyzwyczaiałam się do samotności. Pracowałam, czułam się spełniona. Miałam przyjaciół, kobiety, mężczyzn, i dobre życie. Zaakceptowałam je w pełni. Nigdy nie myślałam o sobie jako o starej paninie.

Spojrzała na Toy rozświetlonymi oczami.

- Czy to nie straszne słowo, stara panna? Od razu widzisz zasuszoną, ponurą starą kobietę, której nikt nie chciał. - Wzdrygnęła się z niesmakiem. - Na mężczyzn mówi się po prostu kawaler, wolę to określenie, oznacza kogoś wolnego, zadowolonego, seksy. Kawalerowie mają swoje „kawalerskie skrzynie”. Wyobrażasz sobie „skrzynię starej panny”? Kobiety mają „skrzynie posażne” i nadzieję na wyjście za mąż. To konspiracja, nie każ mi rozwodzić się na ten temat. Nie - zakończyła - nigdy nie martwiłam się tym, że nie wyszłam za mąż.

- Ja tak. Ale przynajmniej mam pracę. Nigdy nie wyjdę za mąż. Nie chcę nawet o tym myśleć. Chyba jesteśmy w podobnej sytuacji. - Toy westchnęła na wspomnienie pracy i nachyliła się. Myślała o Flo, o jej decyzji przeżycia życia samotnie, o jej zadowoleniu, nawet dumie, że wybrała taką drogę. Jej zawsze się wydawało, że powinna być żoną i matką, że to najważniejsza rola, jaką kobieta ma do odegrania.

Jednak życie ułożyło się inaczej. Nie wyszła za mąż i nie wierzyła, że kiedykolwiek wyjdzie. Urodziła córeczkę, zdobyła zawód i praca była teraz najważniejsza, zapewniała jej środki do życia. Toy mogła polegać wyłącznie na sobie.

To ostatnie było przyczyną nieustannego lęku. Co się stanie, jeśli straci zajęcie albo zrobi jakiś fałszywy krok i wpadnie w kłopoty finansowe? Flo musiała wyczytać z jej twarzy tę niepewność, stąd jej pytania.

- Boję się, Flo - przyznała. - Kiedy doktor Tom badał Maleńką, używał terminów medycznych, których nie znam. Udawałam, że rozumiem, o czym mówi i zapisywałam wszystkie obco brzmiące słowa, żeby później je sprawdzić. Ciągle się boję, że w Akwarium w końcu się zorientują, jakim jestem nieukiem, który tylko udaje kompetentną osobę.

- Och, Toy... - Flo zaśmiała się cicho.

- Nie śmieję się, mówię poważnie. Ethan zna tę terminologię. Rozmawiał z doktorem Tomem tak swobodnie, jakby sam był lekarzem.

- To zrozumiałe. Ethan jest twoim szefem, ma większe doświadczenie.

- Nie pocieszaj mnie. Ja się opiekuję żółwicą i ja za nią odpowiadam, a o wszystko pytam Ethana, proszę, żeby zatwierdzał każdą moją decyzję. Cały czas się boję, że popełnię błąd. Przecież ode mnie zależy, czy żółwica przeżyje. - Toy nerwowo wykręcała dłonie.

- Przyjdzie w końcu moment, kiedy będę musiała polegać wyłącznie na sobie.

- I wyczujesz ten moment, kochanie. Ja byłam w identycznej sytuacji. Każdy z nas tak zaczyna, w każdym razie większość. Kiedy podjęłam pracę w opiece społecznej, musiałam rozmawiać z lekarzami, którzy zarzucali mnie fachowymi określeniami. Też się trzęsłam ze strachu, jak ty teraz, czułam się głupia, niekompetentna. I wiesz, co się stało?

Toy pokręciła głową. Słuchała Flo uważnie, chłonęła każde jej słowo.

- Uczyłam się, szybko zdobywałam wiedzę i uzupełniałam braki. Każdy zawód ma swój żargon, czasem łatwiejszy, czasem trudniejszy. Jesteś młoda, inteligentna, masz mnóstwo zapału. - Flo uśmiechnęła się ciepło.

- Dasz sobie radę.

Toy chwyciła się jej słów jak koła ratunkowego.

- Uczę się, kiedy mam tylko wolną chwilę, to prawda. Któregoś wieczora Lovie usnęła obok mnie na kanapie z książeczką pod pachą, nie doczekała się, biedna, bajki na dobranoc. Słodko wyglądała, ale ja czułam się winna - skończyła z westchnieniem.

- Poczucie winy to część macierzyństwa, moja droga - stwierdziła Flo autorytatywnie. - Dlaczego akurat ciebie miałyby ono ominąć?

Toy wpatrywała się w pomarszczoną, ogorzałą twarz Flo, w jej żywe, błękitne oczy. Po śmierci miss Lovie Flo przejęła rolę babki Toy i małej Lovie. Jej rady, chociaż czasami trudne do przełknięcia, zawsze płynęły prosto z serca.

- Na pewno nie masz ochoty na kawę? Może chociaż zjesz ciastko?

- Nie, dziękuję. - Toy podniosła się. - Naprawdę muszę już jechać. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Lżej mi teraz.

- Uciekaj w takim razie i nie martw się o swojego małego chuligana. Mam drugi pistolet i zaraz zaczniemy regularny pojedynek. Tak ją zajmę zabawą, że nie zauważy nawet twojej nieobecności.

Co za duet, pomyślała Toy z uśmiechem, idąc do samochodu. Nie przebierająca w słowach Flo i uparta Lovie były sobie warte.

Toy opuściła dach garbusa i teraz wiatr rozwiewał jej włosy. Był akurat przyływ, kiedy przejeżdżała przez most nad zalewem, bezchmurne, błękitne niebo odbijało się w gładkiej jak lustro wodzie Intracoastal Waterway. Zapowiadał się upalny dzień. Plaże zapełnią się ludźmi spragnionymi słońca i kąpieli, myślała. Brett, właściciel niewielkiego statku turystycznego, z pewnością zacierał ręce, licząc na ruch w interesie.

Spojrzała na zegarek; było wpół do ósmej, sobota przed Dniem Pamięci. Ruch na autostradzie niewielki, jechało się przyjemnie, szybko dotarła do Charlestonu. Jeśli się pospieszy, w porze lunchu powinna być z powrotem w domu. Dotrzyma obietnicy, zabierze Lovie na plażę i tym razem już na pewno zbudują wspólnymi siłami zamek z piasku.

Włączyła radio i wjechała na nowiutki most Ravenel. Lubiła muzykę country, piosenki opowiadające o nieodwzajemnionej miłości, o zawodach, niespełnionych marzeniach, barowych bójkach, o życiu i śmierci. Czasami, słuchając, wspominała Darryla i piosenki, które jej śpiewał zaraz po skomponowaniu. Rzadko o nim myślała, a jeśli już, to bez emocji, jak o kimś, kto umarł dawno temu albo kogo spotkała w innym życiu.

Przed nią przyszłość. Muszę iść do przodu, patrzeć przed siebie, powtarzała sobie z niewesołym uśmiechem. Tak rozmyślając, wjechała do Charlestonu. Z daleka widziała wieżę kościoła episkopalnego. Na East Bay Street, podobnie jak na drodze, panował niewielki ruch. Bez problemów dojechała do Akwarium i ustawiła samochód na pustym parkingu, gdzie wkrótce miało powstać nowe kondominium. Miasto zmieniało się w błyskawicznym tempie, szczególnie dzielnice w pobliżu oceanu.

Zanim weszła do klimatyzowanego wnętrza, służbowy T-shirt z logo Akwarium zdążył przylepić się do ciała. Toy skierowała się wprost do ogromnej kuchni.

Maleńka była co prawda wycieńczona, ale miała swoje kaprysy w kwestii jedzenia. Najbardziej z tego, co dotąd dostawała, zasmakowały jej kałamarnice. Toy zabrała się za porcjowanie mięsa, myśląc, że karmienie trzydziestokilkuletniej Maleńkiej jest równie trudnym zadaniem jak karmienie wybrednej pięciolatki. Posprzątała po sobie i ruszyła z gotowym śniadaniem do żółwicy.

- Jesteś! Świetnie.

- Ethan? - Szef czyścił zbiornik, w którym dotąd mieszkała żółwica.

- Co z Maleńką?

- Wszystko w porządku. Dostałem właśnie wiadomość, że ktoś znalazł kolejną żółwicę.

- Gdzie?

- W Cherry Point na Wadmalaw Island. Rybacy na nią natrafili, jest teraz na kutrze.

- Jak się dowiedziałeś?

- Zadzwonili do mnie.

- Zadzwonili do ciebie?

- Co cię tak dziwi? Znają mnie, wiedzą, że pracuję w Akwarium.

Nikt inny nie przyszedł im do głowy, więc zwrócili się do mnie. Co powiesz na kolejną żółwicę, szefowo?

- Chwileczkę, ty mnie pytasz, czy zgadzam się na przyjęcie następnej żółwicy? Przecież ty tutaj rządzisz i ty podejmujesz decyzje, to twój dział.

Ethan zaśmiał się pod nosem.

- Jason już się zgodził, a teraz ja pytam ciebie, czy zdecydujesz się wziąć pod opiekę żółwicę z Cherry Point. - Potarł brodę niby zafrasowany. – Najwyraźniej nie mam tu nic do gadania. Gdybym miał, to wiesz chyba, jak brzmiałaby moja odpowiedź.

Perspektywa przyjęcia drugiej żółwicy była ekscytująca, ale fakt, że Ethan i Jason pozostawili jej ostateczną decyzję, dodała Toy skrzydeł.

- Tak, jasne. Zaopiekuję się nią. Niech ją przywiozą.

- Sami jej nie przywiozą, niestety, a i ona też raczej nie przywędruje do nas o własnych siłach. Trzeba jechać po zwierzaka.

- Mówiłeś, że rybacy ją przywiozą, tak mi się wydawało.

- Mówiłem, że jest na kutrze. Przerwali specjalnie połów. Nie możemy żądać od nich zbyt wiele.

- Rozumiem. - Toy zastanawiała się przez chwilę nad planem działania. - Wyczyszczę zbiornik, nakarmię Maleńką i pojedę po tę drugą.

- Nakarm ją tylko, ja wyczyszczę zbiornik.

Entuzjazm Ethana był tak zaraźliwy, że Toy zapomniała o lękach, którymi dzieliła się niedawno z Flo. Uśmiechnięta pomaszrowała do Maleńkiej.

Cherry Point Seafood Company na Wadmalaw Island działała od lat trzydziestych ubiegłego wieku. Była to firma rodzinna, która zajmowała się połowem ryb i krewetek, ale też przewozem pasażerów między wyspami i Charlestonem. Wtedy, kilkadziesiąt lat wstecz, ludzie docierali do Charlestonu albo wodą, albo konno. Większość wybierała szybszą drogę morską zamiast uciążliwej podróży bryczką, wozem czy wierzchem. Drewniane baraki stojące nad brzegiem Bohicket Creek służyły rybakom jako pomieszczenia przeładunkowe. Tutaj też trzymali po sezonie swoje kutry i łodzie.

- Spokojnie tutaj dzisiaj - zauważył Ethan, wjeżdżając służbowym pikapem Akwarium na parking. Gdy wyłączył silnik, zachrząścił jeszcze żwir pod kołami i furgonetka znieruchomiała.

- Weekend - rzuciła Toy, wyglądając przez okno. - Większość ludzi odpoczywa. - Drewniane magazyny wyglądały jak zwykłe szopy. Wzdłuż jednej ściany ciągnęła się rampa przeładunkowa pełna sprzętu i zwojów lin. Tuż obok znajdowało się nabrzeże, do którego przybijały łodzie z połowem. Dojrzała krępego mężczyznę w dżinsach

i białych gumiakach, który nachylał się nad drewnianym polerem na kei.

- Zwykle roi się tutaj od rybaków. Wracają z morza, wyładowują krewetki, ważą, pakują do skrzyń...

- Niewielkie to nabrzeże, magazyny też nie robią imponującego wrażenia.

- To pozory. W sezonie, w dobry dzień przeładowuje się ryby i krewetki warte tysiące dolarów. Połów jedzie potem w samochodach-chłodniach do restauracji i na bazary w całym kraju. Dawniej podobnych firm było tutaj znacznie więcej, teraz została tylko ta jedna. Cóż, czasy się zmieniają.

Ethan, zamiast zwykłego służbowego stroju, miał na sobie tego dnia oliwkowe szorty, biały T-shirt, który zdążył już ubrudzić, i mocno znoszone buty. Przed wyjściem z domu najwyraźniej nie zdążył się ani uczesać, ani ogolić, bo miał na głowie malowniczą strzechę, a brodę ocieniał ciemny zarost. Jako potomek rybaków na nabrzeżu czuł się jak u siebie w domu.

- Nigdy dotąd nie rozmawiałam z żadnym rybakiem łowiącym krewetki. Powinnam czuć treść?

Ethan zrobił zdziwioną minę.

- Przecież to normalni ludzie.

- Słuchaj, Ethan, słyszałam różne historie. - Toy przewróciła oczami. - Podobno nie znoszą tych, którzy opiekują się żółwiami. Nazywają nas żółwimi niańkami albo żółwimi nazistami.

Ethanowi zadrgały usta, ale powściągnął uśmiech i wzruszył tylko ramionami.

- Wiem, że przez lata toczyły się prawdziwe wojny między rybakami i miłośnikami żółwi. Wolałabym po prostu wiedzieć, czy mi tu ktoś nie ukręci głowy.

- Istniało pewne... napięcie. Wściekali się, że obrońcy przyrody domagają się od nich zmiany sieci na takie, w które nie wpadałyby żółwie. Odpowiadali, że różni zieloni i fanatycy ochrony przyrody ich wykończą. Rzeczywiście, kiedyś był to... delikatny temat.

- Mówiąc ogólnie.

- Wiesz, wymiana sieci kosztuje.

- Nie chodziło o pieniądze.

- Chodziło o pieniądze, których ci rybacy nie mieli.

- Rozumiem. Co się zmieniło?

- Teraz każdy ma odpowiednie sieci i to działa. Skończyły się problemy. Najbardziej złościły ich zarzuty, że krzywdzą żółwie. Robiono z nich morderców, a oni po prostu wykonywali swoją pracę, zresztą bardzo ciężką. Próbowali zarobić na życie i zewsząd dostawali po głowie.

- Czemu tak się obruszyłeś? Ty też jesteś żółwią niańką, wiesz?

Ethan zaśmiał się.

- Jestem, ale rozumiem punkt widzenia tych ludzi. Toy ponownie spojrzała na baraki przeładunkowe i westchnęła.

- A więc mówisz, że nikt mi tu nie urwie głowy?

- Nie, będą zachwyceni.

- Zachwyceni?

Ethan nachylił się i otworzył drzwiczki od strony Toy.

- Jasne. Wielu z nich po kilka tygodni siedzi na łowiskach, a ty stanowisz trochę miłszy widok dla oka niż żółwica.

- Dziękuję ci bardzo.

Toy wysiadła i ruszyła za Ethanem do baraku. W wielkiej hali stały rdzewiejące, od dawna nie wykorzystywane maszyny, pod ścianami tu i ówdzie gumiaki, ale żadnych ludzi. Dopiero kiedy zbliżyli się do biura, poczuła zapach kawy i usłyszała szmer głosów, potem kobiecy śmiech.

Kiedy Ethan stanął na progu biura, siedzący tam dwaj mężczyźni o ogorzałych twarzach zamilkli. Jeden był wysoki i chudy, drugi - mały, korpulentny - opierał się o stół ze sklejki zasłany stosami papierów. Przy staroświeckim biurku z podnoszonym blatem siedziała kobieta w średnim wieku, o słodkiej twarzy, ubrana w niebieską suknię. Na widok Ethana cała trójka wręcz się rozpromieniła.

- Popatrzcie tylko! - zawołała kobieta. - Ty taki synu... konika morskiego! Gdzie się podziewałeś?

Musiała mieć około sześćdziesiątki, ale zerwała się z krzesła z energią trzydziestolatki i rzuciła się na Ethana, obściskując go energicznie.

- Wstyd, że się tak rzadko pojawiaasz. Gdybym czasami nie widziała cię w kościele, pomyślałabym, że znowu gdzieś podróżujesz.

- Jestem okropnie zajęty - powiedział, przyjmując połajankę z uśmiechem. - Obiecałem, że jutro będę na grillu, nie mógłbym sobie odmówić tej przyjemności.

- Twoja matka od tygodnia przygotowuje różne dobre rzeczy, więc postaraj się przyjechać.

Niższy z mężczyzn, okrągłutki, siwowłosy, brodaty, o zielonych oczach, podszedł żwawo do Ethana i poklepał go po plecach.

Wyższy, o mocno pomarszczonej, ogorzałej twarzy, wyprostował się powoli. Nie uśmiechnął się, ale widać było, że jest wzruszony. Wyciągnął na powitanie spracowaną dłoń.

- Witaj, Ethan.

Ethan też był wzruszony spotkaniem. Dopiero teraz Toy uderzyło ich wzajemne podobieństwo.

- Cześć, tato. - Ethan uściskał rękę ojca. Stali tak przez chwilę, po czym starszy pan uściskał serdecznie Ethana.

Wszyscy zaczęli mówić równocześnie, na stole pojawiła się świeża kawa. Toy stała nieśmiało w drzwiach i zerkała do wnętrza. Biuro było równie stare jak cały magazyn, ale ciepłe, przytulne. Na ścianach wyłożonych boazerią wisiały zdjęcia łodzi w czarnych ramkach, datujące się sprzed pięćdziesięciu lat i więcej. Toy starała się nie podsłuchiwać, ale z rozmowy szybko wywnioskowała, że mały grubasek to wuj Ethana, Will, a kobieta to ciotka Martha - właśnie zmywała mu głowę, że za rzadko pojawia się w kościele i od kilku tygodni nie gościł w domu rodzinnym.

Ojciec Ethana, Stuart, prawie się nie odzywał, w przeciwieństwie do swojej siostry i szwagra, ale widać było, jak bardzo cieszy go widok syna i jak bardzo jest z niego dumny. Toy patrzyła na nich, myśląc, że w rodzinie Legardów jabłko nie pada daleko od jabłoni.

Ethan, zawsze dość powściągliwy, sprawiał wrażenie odprężonego. Chyba jeszcze nigdy nie widziała go tak wyluzowanego. I jego wyraźnie cieszyło spotkanie z rodziną, bo śmiał się, żartował.

W końcu przedstawił Toy i wciągnął do pokoju. Została przywitana bardzo serdecznie, wymieniła uściski dłoni z całą trójką, udając, że nie zauważa znaczącego spojrzenia, które wuj Will posłał Ethanowi. Szybko spuściła głowę i upiła łyk potwornie słodkiej kawy. Wiadomo, w każdym towarzystwie musi znaleźć się jakiś swat.

W drzwiach pojawiła się głowa jakiegoś mężczyzny w czapce nasadzonej na przetłuszczzone włosy.

- Idziemy na „Pannę Peggy”! - pogonił zebranych. Stuart odstawił kubek.

- Do roboty.

Wszyscy wyszli pośpiesznie z biura. Toy szła z tyłu, ale Ethan przywołał ją gestem dłoni, żeby się pośpieszyła. Kiedy zrównała się z nim, nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Nie było tak źle, prawda? Nie ukręcili ci głowy, nawet nie sprawili manta.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że spotkam twoją rodzinę? - zaatakowała go.

- Popsułbym całą zabawę. A tak ja, który wywodzę się z rodziny poławiaczy krewetek, wysłuchałem tyrady z ust żółwiej nazistki.

Bomba.

- Odpłacę ci jeszcze pięknym za nadobne. Mogłaby przysiąc, że posłał jej zalotne spojrzenie, tyle tylko że Ethan nie należał do flirciarzy i takie zachowanie zupełnie do niego nie pasowało.

Przy nabrzeżu cumowały duże trawlerzy i skromne, małe łodzie. Toy odczytywała na głos ich nazwy: „Garson Elizabeth”, „Explorer”, „Tina Maria”, „Captain Andy”, „Miss Charlotte”, „Miss Georgia”...

- Większość kutrów nosi kobiece imiona, imiona matek, żon, sióstr, ukochanych - wyjaśniał Ethan. - To stara tradycja. Kobieta czuwa nad rybakim, który wypływa w morze, jej imię ma go chronić przed niebezpieczeństwami.

- Ty masz łódź?

- Małą motorówkę, którą pływam dla przyjemności.

- Nazwałeś ją jakoś?

Ethan zerknął na Toy z ukosa.

- Podróżniczka.

- Pasuje do ciebie.

Zatrzymali się przy „Pannie Peggy”, starym kutrze, z którego oblażyła farba, ale który ciągle miał w sobie ducha i nadal wypływał w morze. Teraz właśnie wracał i zgrabnie przybił do kei.

Z pokładu na nabrzeże zeskoczyło dwóch rybaków w dzinsach i białych gumiakach. Kolo sterówki stała siwa kobieta o pomarszczonej twarzy, z włosami zebranymi w kucyk. Pomachała dłonią i zawołała

coś z tak silnym akcentem, że Toy nie była w stanie jej zrozumieć. Jeden z mężczyzn chwycił cumę, a drugi, niższy, łysy, szeroki w ramionach, podszedł do Ethana i dał mu potężną sójkę w brzuch.

Kiedy Ethan zgiął się wpół, Toy wstrzymała oddech i dopiero po chwili zrozumiała, że jej szef zanosi się śmiechem. Panowie zwarli się i zaczęli okładać pięściami niczym bokserzy pod koniec dziewiątej rundy. Reszta towarzystwa przyglądała się ich wygłupom, chichocząc.

- Nie bierz na serio tych dwóch wariatów - uspokoił Toy Stuart. - Oni tak od dziecka.

Ethan poklepał przyjaciela po plecach i zawołał:

- Chodź, Toy, poznaj Dużego, największego bufona na świecie i najbardziej zawziętego kowboja oceanu. Też należy do rodziny. Chodziliśmy razem do szkoły, przynajmniej wtedy, kiedy Duży raczył się pojawiać na lekcjach. Duży, to moja koleżanka z Akwarium, Toy Sooner.

- Koleżanka, powiadasz? - Duży zsunął drogie okulary przeciwsłoneczne na czoło i zmierzył Toy uważnym spojrzeniem, od stóp do głów. Jego wzrok parzył jak błękitny płomień, i wyraźnie mówił, że Duży coś już kombinuje w swojej chytrej, łysej łepetynie. Zadowolony z wyników inspekcji ujął rękę Toy i ucisnął mocno.

- Co to za imię, Toy?

- A co to za imię, Duży? Ksywka? Duży uśmiechnął się szeroko do Ethana.

- Niezła jest.

Na nabrzeżu pojawiła się długonoga i długowłosa dziewczynka. Biegła od strony magazynów.

- Tato! - zawołała i rzuciła się na szyję Dużemu, który chwycił ją w ramiona.

Do towarzystwa dołączyła kobieta o ciemnych włosach i migdałowych oczach. Niosła na ręku rocznego najwyżej malucha o kruczoczarnych włosach, równie błyszczących, jak jej własne. Duży puścił córkę, spoważniał raptem, podszedł do żony i pocałował ją w policzek. Ich spojrzenia, pełne miłości i zrozumienia, spotkały się na moment. Było w tym spokojnym powitaniu chyba więcej uczucia niż w spontanicznych uściskach ojca i długonogiej pannicy.

Duży wziął synka od żony i przedstawił Toy swoją rodzinę tonem pełnym dumy:

- To moja żona Lao. Ta szalona osóbką to moja córka Lily, a ten tu obywatel, to mój syn Bill Junior. - Spojrzał znacząco na Ethana. - A ty co? Strzelasz ślepakami? Popatrz na mnie... Mam „Pannę Peggy”, piękną żonę i dwójkę najwspanialszych dzieciaków, jakie ziemia nosiła. Kiedy wreszcie pomyślisz o założeniu rodziny?

- Nie wiem, Duży. I tak nigdy ci nie dorównam, to pewne.

- Wiadoma rzecz, że nie dorównasz, nieważne, w którą stronę dupą się obrócisz.

- Bill... - Lao nie spodobało się słownictwo męża.

- Przepraszam.

- Masz tu firmę, wciąż na ciebie czeka - powiedziała Martha, zwracając się do Ethana.

Ten spojrział niepewnie na ojca, ale Stuart zachował kamienną twarz.

- Potrzebna nam pomoc - dodał wuj Will. - Duży za bardzo kocha morze, żeby siedzieć w biurze, a mój Bill przeniósł się do Atlanty i robi karierę w bankowości - ostatnie słowa wymówił z wyraźnym niesmakiem.

- Przynajmniej ty nie wybrałeś podobnej kariery.

- Ethan ma pod opieką ogromny zbiornik w Akwarium. Tysiąc osiemset litrów sześciennych wody - wtrąciła Toy, wpadając w ton rozmowy. - Największy w naszym kraju. Setki ryb. To nie byle jaka odpowiedzialność.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na nią w zdumieniu, jakby powiedziała piramidalną bzdurę. Tylko w oczach Ethana pojawił się ciepły uśmiech.

- Ty i ja - tu Duży położył dłoń na ramieniu Ethana - mamy morze we krwi. Wróciłeś, wiedziałem, że wrócisz, zatęsknisz za domem.

- Tatusiu, gdzie żółw? - zapytała Lily, zniecierpliwiona rozmową dorosłych.

Duży nachylił się do niej.

- To po to przybiegłaś? Żeby oglądać żółwia? A ja myślałem, że stęskniłaś się za ojcem.

- Muszę napisać o tym żółwiu do szkoły - oznajmiła, wpatrując się w ojca błagalnie.

Lao zaśmiała się lekko i dotknęła policzka męża.

- Przegrywasz zdecydowanie w konkurencji z żółwiem morskim.

Gdzie on jest?

Duży prychnął i skinął na córkę.

- Chodź, cukiereczku, zaraz go sobie obejrzymy, chociaż uprzedzam, że nie wygląda za dobrze - westchnął i zwrócił się do Toy:

- Im szybciej go zabierzecie, tym szybciej będziemy mogli wyładować ostatni połów.

- Tak jest, kapitanie. - Toy weszła po trapie na pokład kutra, zdumiona, że znajduje się tak wysoko w stosunku do nabrzeża. „Panna Peggy” była dużą łodzią, a na pokładzie leżały liny, łańcuchy, kable i oczywiście sieci zwisające z takielunku.

Przy sieciach stał chudy mężczyzna, którego zauważyła już wcześniej i wygarniał drobne ryby oraz kraby - przypadkową premię do połowu.

Odwrócił głowę, gdy go mijala, i zapytał poważnym tonem:

- Pani po żółwia?

- Owszem - odparła, wskazując na Ethana. - Oboje, prawdę mówiąc.

- To chodźcie, zabierzecie ją sobie. Kiepsko wygląda, ale żyje.

- Gdzie ona jest?

Mężczyzna wskazał dłonią w kierunku rafy.

- A tam. - Duży poszedł pierwszy i uniósł ciężki brezent, pod którym leżała nieruchomo młoda żółwica.

Toy wstrzymała oddech, widząc duże pęknięcie na pancerzu. Odłożyła szybko plecak i przyklęknęła przy zwierzęciu. Żółwica żyła

i to była dobra wiadomość, ale niestety pęknięcie na pięknej, brązowej skorupie wyglądało paskudnie.

- To chyba od śruby jakiejś łodzi - dodał Ethan.

- Niedobrze - powiedziała Toy bezbarwnym głosem, potem zmierzyła zwierzę, zapisała wymiary i jeszcze chwilę nachylała się nad żółwica.

- To nie śruba. - Spojrzała na Dużego. - Co się stało?

Duży zerknął niepewnie na córkę.

- Ciągnęliśmy dużymi sieciami, jak zawsze, no i żółwica wypadła.

- Upuściliście ją? - zapytała Toy zaszokowana.

- Nie, wypadła z sieci - powtórzył. - Pechowy wypadek.

- Ty byś nigdy nie skrzywdził żółwia morskiego, prawda, tatusiu?

Duży zrobił się czerwony i przestąpił z nogi na nogę.

- Nie, nie skrzywdziłbym, wiesz przecież. Tylko ludzie nie wierzą, że my też mamy serce i sumienie - tu spojrzał z wyrzutem na Toy, która poczuła się nieswojo.

- Toy nic takiego nie powiedziała - wziął o obronę koleżankę Ethan.

Duży pokręcił głową.

- Wszystkie sieci mamy specjalnie zabezpieczone, a jednak ta biedaczka się zaplątała, no tak wyszło... Nie mógłbym po prostu wrzucić jej z powrotem do morza. Chociaż inni może by tak zrobili. Przywiozłem ją, zadzwoniłem do Ethana - bronił się.

Ethan klepnął go w plecy.

- Przywiozłeś i zadzwoniłeś - przytaknął. - Należą ci się moje podziękowania. Słusznie postąpiłeś i doceniamy to. Prawda, Toy?

- Absolutnie - zapewniła z mocą, chcąc się jakoś zrehabilitować w oczach Ethana za wcześniejszą niezręczność. - Dziękujemy ci, Duży. Ta żółwica zawdzięcza ci życie. Ilekroć spotkasz chorego żółwia, natychmiast przyjedziemy go zabrać i podziękujemy za twoje starania.

Duży, już udobruchany, poprawił sobie syna na rękę i spojrzał na Lily.

- Zrób zdjęcia do swojego szkolnego projektu, bo Toy i Ethan muszą zabrać żółwicę. Szkoda dnia, ja też mam swoją robotę do zrobienia.

Zniesienie rannej żółwicy z kutra i umieszczenie jej w furgonetce nie było łatwym zadaniem. Toy przy każdym ruchu lękała się, że stan pękniętego pancerza może się pogorszyć. Cała rodzina dwoiła się i troiła, żeby jakoś pomóc. Zanim się pożegnali, Duży obiecał Toy, że zabierze ją kiedyś w rejs na „Pannie Peggy”, a Lily się rozpromieniła, kiedy usłyszała, że żółwica będzie się nazywała Cherry, od Cherry Point.

W drodze powrotnej Ethan był zamyślony, a Toy zastanawiała się, jak bardzo dzisiejszy Ethan, ciepły i rodzinny, różnił się od samotnika, którego dotąd w nim widziała. W Akwarium wydawał się jej tajemniczy niczym potężny trzymetrowy rekin, z którym pływał codziennie w zbiorniku.

Popatrywała na niego z ukosa, rada dowiedzieć się o nim czegoś więcej, zanim znowu zamknie się w sobie.

- Masz bardzo miłą rodzinę.

Pokiwał głową, nie odrywając spojrzenia od szosy.

- To porządni ludzie.

- Rozumiem, że rzadko bywasz w domu.

- Dla mamy zawsze jest za rzadko.

- Wyjechałeś, a jednak należysz do tego miejsca.

- Tak, całym sobą. Tam się urodziłem i wychowałem. W naszej okolicy pełno jest Legardów, cała Johns Island to Legardowie, prawdę mówiąc.

- To musi być miłe należeć do takiego klanu.

- Bywa miłe.

- Blisko się trzymacie?

Ethan rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Chyba tak można powiedzieć. Mamy swoje wady, jak w każdej rodzinie, ale siedzimy w tych stronach od przed wojny. Wszyscy mieszkają w pobliżu Charlestonu i Rockville.

- Z wyjątkiem Billa, który uciekł do Atlanty - dodała Toy tym samym zdegustowanym tonem, który słyszała u wuja Willa, kiedy wspominał o bankowej karierze krewniaka.

Ethan roześmiał się.

- Biedny wuj Will jest jeszcze gorszy niż moja mama. Nie znosi, jak ktoś z nas wyjeżdża, uważa, że rodzina się rozsypuje, traci grunt pod nogami. Jest twardy pod tym względem.

- To ładne, co opowiadasz. Takie wzruszające. Ethan ponownie się roześmiał, tym razem głośno, serdecznie.

- Szkoda, że Will nie słyszy, jak to nazwałaś. Hm, wzruszające...

- Brzmi lepiej niż „rozczulające”.

- Moja rodzina była tobą rozczulona, jeśli tak można to określić, szczególnie Duży.

- Duży ma charakter.

W oczach Ethana pojawiły się na te słowa ciepłe iskierki.

- Tak, to prawda. Jest jedyny w swoim rodzaju. Lepiej z nim nie zadzierać, ale ma złote serce. Gdyby zaszła taka potrzeba, oddałby ci ostatnią koszulę. Kilka razy uratował mi tyłek, kiedy byłem w opresji. Takich ludzi już nie ma, to wymierający gatunek.

- Chciałeś kiedyś łowić tak jak on? Albo prowadzić waszą rodzinną firmę?

Ethan mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

- Nie - odparł po dłuższej chwili. - Nigdy nie chciałem, ale lubię od czasu do czasu wypłynąć w rejs, pomóc na kutrze. Z „Panną Peggy” łączą się najlepsze moje wspomnienia, ale to trudne życie, ciężka, męcząca praca od świtu do zmroku, w morzu i po powrocie na ląd.

Pokiwał głową.

- Często latem pomagałem, na pokładzie i na nabrzeżu.

Widziałem, jak tyrają. Nie, to nie dla mnie. Nigdy się nie widziałem w takiej roli. Kiedy byłem dzieckiem, siedziałem z nosem w książkach, za co dostawałem bury. Czytałem o egzotycznych, odległych

miejscach: „Wyspa Skarbów”, „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi”. Jeśli już wyobrażałem sobie, że jestem kapitanem, to raczej kimś w rodzaju Nemo. Krew mi krążyła żywiej w żyłach na myśl, że wejdę na pokład i pożegluję gdzieś w nieznane, będę poznawał świat, nie myśląc o powrocie. Studia skończyłem w Wood Hole w Maine. Pięknie tam, ale za zimno dla chłopaka wychowanego na Południu. Potem zaczęły się podróże. Prowadziłem badania na Karaibach, na Fidzi, na rafach przy brzegach Australii, w Indonezji, w końcu wylądowałem w Kostaryce. Tam spędziłem sześć lat, najdłuższy okres przeżyty w jednym miejscu.

- Słyszałam, że odkryłeś nawet jakiś gatunek bezkręgowców, które mieszkają na dnie?

Ethan skinął głową.

- Ale najbardziej jestem dumny ze swoich międzynarodowych akcji na rzecz rekinów.

- Akwarium nie mogło znaleźć lepszego szefa i opiekuna Wielkiego Zbiornika.

- Nigdy nie wiesz, jak i kiedy wykorzystasz zdobytą wiedzę i doświadczenie. Kiedy uganiałem się za kłusownikami polującymi na rekiny, nie powstało mi w głowie, że kiedyś będę się opiekował tymi rybami w Akwarium. Zabawne, jakie życie przynosi nam niespodzianki.

- Ojciec nie nalegał, żebyś przejął rodzinną firmę?

- Nalegał, jasne, to zrozumiałe, ale czułem, że bardziej mnie interesuje studiowanie żywych ryb niż ich dostarczanie na stół.

Między nami mówiąc, to on mnie inspirował do badań, on uczył mnie rozróżniać ryby, opowiadał o ich habitatach i zwyczajach, wymieniał nazwy. Nigdy nie pozwalał zostawiać w sieci młodych ryb, powtarzał, że jesteśmy tylko pokornymi stróżami ziemi i morza. Kiedy zdecydowałem się studiować biologię morską, część rodziny unosiła brwi, ale on nigdy nie skrytykował mojego wyboru. Zawsze zachęcał, żebym sam szukał własnej ścieżki. - Ethan parsknął śmiechem. - Chociaż nigdy nie rozumiał, dlaczego ktoś chce opuścić takie piękne miejsce jak Cherry Point. A ja bałem się, że utknę tu do końca życia.

- Jednak wyjechałeś.

- Aha.

- A teraz wracasz.

- Tak jak mówi Duży, pływ prędzej czy później przynosi nas znowu do domu.

- Jak żółwie, które też zawsze wracają do domu. Ethan pokiwał głową i spojrzał na Toy.

- Jak żółwie. A teraz twoja kolej. Skąd pochodzisz?

Toy wzruszyła obojętnie ramionami, ale w środku aż się skuliła. Na Południu pytanie skąd pochodzisz, oznacza, że człowiek pyta o historię rodziny, chce znać twoją genealogię siedem pokoleń wstecz i wiedzieć, do którego Kościoła należysz. Toy nie miała rodziny, którą mogłaby się pochlubić. Ojciec odszedł w dal, zanim się urodziła. Miała dwóch przyrodnych braci, drani i naciągaczy, którzy odebrali jej nawet to niewiele, co posiadała, po czym i oni zniknęli. Jeden wylądował wkrótce w więzieniu.

Rodzice nie byli lepsi. Matka i ojczym wymówili jej mieszkanie, kiedy skończyła siedemnaście lat i zaszła w ciążę. Od tamtej chwili już ich nie widziała. Żadnych więzów rodzinnych, jakimi mógł się poszczycić Ethan.

- Też kiedyś chciałam podróżować po świecie, tak jak ty- powiedziała, kierując rozmowę na inne tory. Ale znałam tylko Holly Hill, gdzie się urodziłam. Kiedy miałam iść do szkoły średniej, rodzice przenieśli się do Charlestonu. Życie szybko się komplikowało. Teraz mam córkę, pracę... A jeśli chodzi o podróże, śni mi się bardzo często żółwica przemierzająca ocean, wracająca do domu.

- Czym zajmuje się twoja rodzina? Też są rybakami? Powiedz. Toy prychnęła i pokręciła głową.

- Nie.

- A twój mąż? Co robi?

Na moment zaparło jej dech w piersiach.

- Nie ma żadnego męża - wyrzuciła z siebie.

- Wydawało mi się... Wiem, że masz córeczkę - powiedział, tłumacząc się. Zapadła krępująca cisza.

Toy bała się, że Ethan będzie ją pytał, czy się rozwiodła, czy może jest wdową. Czekwała sztywna, spięta. Nie chciała opowiadać o Darrylu i swoim samotnym macierzyństwie.

- Skąd twoje zainteresowanie żółwiami? Podziękowała mu w duchu, że zmienił temat.

- Zaczęło się od miss Lovie, matki Cary. Opiekowałam się nią, kiedy była chora. Mieszkała w dużym domu w Charlestonie, ale lubiła

swój domek plażowy i tam się przeniosła w czasie choroby. Myślę, że chciała tam umrzeć. Potrzebowała towarzystwa i opieki, więc przyjąłem tę pracę. Naprawdę nazywała się Olivia Rutledge, ale wszyscy na wyspie nazywali ją miss Lovie. To ona pierwsza zajęła się żółwiami. Najwspanialsza osoba pod słońcem. - Toy spojrzała na swoje dłonie. - Zaznałam od niej bardzo wiele dobrego.

- Zatem mała Lovie nosi imię po niej? Toy pojaśniała.

- Tak, dostała imię po Olivii, a matka mojej sąsiadki Florence, Miranda, nazwała ją małą Lovie. Właśnie tak często ją nazywam - Little Lovie. Odziedziczyła imię po wspaniałej kobiecie, ale myślę, że będzie go godna.

Ethan uśmiechnął się.

- Jeśli jest podobna choć trochę do swojej matki...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzień był wyjątkowo piękny, tak jak się zapowiadało od rana.

Kiedy dowieźli Cherry do Akwarium, Toy pożegnała się pośpiesznie z Ethanem, zostawiła pracę za sobą i pojechała do domu budować zamki z piasku na zalanej słońcem plaży, pod bezchmurnym niebem, nad błękitnym oceanem. Dzień Pamięci to jeden z najbardziej ożywionych dni lata. Na moło i w okolicznych restauracjach tłupy, mnóstwo plażowiczów na kolorowych ręcznikach, pod parasolami, dzieci pluskające się w wodzie zostawionej przez przybój, dumni dziadkowie obserwujący ich zabawy. Ci, którzy puszczała latawce, wznoszące się w niebo niczym różnobarwne ptaki, wybierali miejsca koło Breach Inlet, gdzie był lepszy wiatr.

Zbudowały wspaniałą zamek. Toy nie popędzała córki, pozwoliła jej najpierw zdecydować o wielkości i kształcie budowli. Lovie miała ogromną wyobraźnię.

Powstały fosy długie jak Lovie wysoka i wielkie narożne wieże zdobione muszelkami. Był most zwodzony na fosie i mniejsze wieżyczki wyrastające z zamkowych murów.

Kiedy skończyły, skórę na dłoniach miały rozmiękłą od rzeźbienia w mokrym piasku, plecy spalone na czerwono, a słońce na zachodnim krańcu nieba chyliło się ku zachodowi. Plaża zdążyła opustoszeć, ludzie wracali do domów na świąteczne barbecue w ogródkach i po głośnym dniu na brzegu oceanu zapanował spokój. Jakiś pies biegł wzdłuż linii wody, ktoś wyszedł na przedwieczorny

spacer plażą. Zamek był gotowy i Lovie pobiegła umyć zapiaszczone dłonie w oceanie. Zbliżał się przyływ i woda nabrała srebrzyście metalicznej barwy kontrastującej z ostatnim błękitem na niebie. Toy siedziała obok zamku i obserwowała córkę. Ostrożnie włożyła stopę do wody, a potem weszła po kostki w falę przyboju. Na jasnych włosach rozblyskały jeszcze ostatnie refleksy światła kończącego się dnia. Kiedy się nachyliła, żeby opłukać dłonie, wyglądało to tak, jakby słońce zalało złotem jej plecy.

Toy patrzyła i cała tęsknota za podróżami, o których opowiadał jej Ethan, zniknęła jak piana morską na mokrym piasku. Jej własna podróż przez życie przyniosła ją dzisiaj na ten brzeg. Ten moment chciałaby zatrzymać na zawsze.

Z drugiej strony wyspy mały statek wycieczkowy wypływał w rejs turystyczny o zachodzie słońca. Cara stała na nabrzeżu i patrzyła, jak Brett wyprowadza ich niewielką jednostkę w morze, wsłuchana w szum oceanu i odgłos silnika. Zaczęła zbierać opłatę za bilety. Mieli tego wieczoru komplet pasażerów w różnym wieku, spragnionych romantycznych widoków i martwiących się, czy aby nie za wcześnie wypłynęli i czy ich nie ominie oczekiwany spektakl. Zapewniła, że słońce zajdzie z pewnością, jak każdego dnia, i że mają tak wyliczony czas, by zobaczyć najpiękniejsze widoki. Potem oparła się o drewniany reling i znowu spojrzała na męża stojącego za sterem. Statek nabrał szybkości, przy burtach pojawiał się biały grzebień fał, w powietrzu czuło się słoną mgiełkę wody. Wiatr owiewał głowę Bretta, targając kosmyki jasnych włosów, które wymknęły się spod

czapeczki baseballowej, a rozpięta koszula założona na T-shirt powiewała jak flaga na wietrze.

Czując wzrok Cary, odwrócił się, pomachał jej i uśmiechnął się nieznacznie. Była w tym geście, w tym uśmiechu miłość, znak, że myśli już o powrocie do domu po zakończeniu wycieczki. Do niej.

Odmachała mu na znak, że i ona myśli o tym samym, po czym Brett odwrócił głowę i utkwiał wzrok w oceanie przed sobą. Opuściła powoli dłoń. Jeszcze chwila, a zniknął z pola widzenia. Już za nim tęskniła, bo życie bez Bretta wydawało jej się strasznie puste.

Byli małżeństwem od pięciu lat. Czasami miała wrażenie, że minęło zaledwie pięć dni, a czasami, że pięć dziesięcioleci. Przez te pięć lat przebyli drogę od naiwnej, pełnej wybuchów namiętności do miłości wspartej na oddaniu, zrozumieniu oraz akceptacji najgorszych wad i największych zalet partnera.

Połączył ich burzliwy romans. Ludzie często mówili o nich, że są jak połówka jabłka i... pomarańczy, porównywali do Scarlett i Retta, tak byli od siebie różni. On kochała życie w mieście, tempo pracy, do jakiego przywykła w agencji reklamowej, adrenalinę i dreszcz emocji przy załatwianiu kontraktów. Brett był chłopakiem z małego miasteczka, kochał słone rozlewiska, wijące się strumienie, dziewiczą przyrodę. Spokojny, rzadko się unosił, ale też był bardzo uparty. Kiedy już coś postanowił, żadna siła nie mogła go odwieść od decyzji. Całkowite przeciwieństwo żywej jak rtęć Cary.

Mogło się zdawać, że wyszła za Bretta niejako wbrew sobie, ale od początku wiedziała, że to jest właśnie ten. Brett Beauchamps był

jedynym, który wszczynał z nią spory, który nieustannie ją zaskakiwał, rzucał jej wyzwania, ale przede wszystkim - kochał ją. A miłość Carze nigdy nie przychodziła łatwo.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż nabrzeża. Nie przypuszczała, że jej życie tak właśnie się ułoży. Kiedy była młoda, marzyła, żeby uciec na zawsze z Południa, od tutejszych oczekiwań wobec kobiety i powszechnego konserwatyzmu. Na Południu wyznawano zasadę, że rola kobiety poza domem jest jasno określona i bardzo ograniczona, a ona chciała te ograniczenia przekraczać. To, czego pragnęła, znajdowało się daleko od Charlestonu, w miastach, gdzie żyje się szybko, gdzie się nie mówi z miękkim południowym zaśpiewem i gdzie samotna kobieta jest akceptowana jako ktoś zupełnie normalny, a nie osoba budząca litość i godna współczucia. Czasy się zmieniły, ale kiedy była długonogą, ciemnooką nastolatką, wszystkie drogi wiodły wyłącznie na Północ.

Cara zamknęła drewnianą budkę, w której mieściła się ich firmowa kasa i ruszyła nabrzeżem, mijając po drodze drogie, lśniące łodzie, a potem przez żwirowany parking doszła do swojego samochodu. Wieczór był taki cichy, że słyszała chrzęst żwiru pod stopami, głuche stukanie burt łodzi o nabrzeże, krzyk mewy śmieszki.

Też się zaśmiała. Jak bardzo zmieniło się jej życie. Zostawiła swoją pracę na kierowniczym stanowisku w Chicago, dom z widokiem na jezioro Michigan, wytworne wełniane kostiumy, drogie buty ze skóry i została żoną kapitana łodzi wycieczkowej na Isle of

Palms, który z trudem wiązał koniec z końcem. Matka byłaby zachwycona takim obrotem spraw.

Zaśmiała się ponownie, a potem westchnęła. Strasznie jej brakowało matki. Chciałaby jej pokazać, jak bardzo jest wreszcie szczęśliwa. Teraz Lovie czekałaby na nią z herbatą w domku plażowym. Mogłyby porozmawiać, a Cara powiedziałaby jej, że jedyne, czego brakuje jej do szczęścia, to dziecko. Wiedziała, jak bardzo Brett pragnie dziecka, i miała wyrzuty sumienia, że go zawiodła.

- Boże, spraw, żebyśmy wreszcie mieli dziecko.

Rozpalone siedzenie małego sedana parzyło w uda. Powietrze było wilgotne, gęste, trudno było oddychać. Zapaliła silnik i opuściła szybę, wpuszczając do środka wieczorną bryzę od oceanu. Nie włączyła klimatyzacji, za długo by trwało, zanim w kabinie zapanowałby chłód. Dzień był ciężki i marzyła, żeby znaleźć się wreszcie pod prysznicem i poczuć na plecach strugi chłodnej wody. Wyjechała z parkingu na Waterway Boulevard i skierowała się do domu.

Wkrótce znalazła się przed niewielkim różowym domkiem przy Hamilton Creek. Jej dom. Eleganckie niebieskie bmw blokowało wjazd do garażu. Wyłączyła silnik, spojrzała na tablicę rejestracyjną. Wóz z Georgii.

Mógł należeć tylko do jednej osoby. Wydostała się z samochodu i ruszyła krętą ścieżką, szukając kluczy od domu, ale zanim włożyła je do zamka, drzwi się szeroko otworzyły. Na progu stała jej

najserdeczniejsza przyjaciółka, Emmi Baker Petersom, z ramionami gotowymi do uścisku, szerokim uśmiechem na twarzy i burzą płomiennie rudych włosów wokół głowy.

- Niespodzianka!

- Emmi - krzyknęła, wpadając w ramiona przyjaciółki.

Cieszyły się obie ze spotkania jak nastolatki. Cara zamknęła oczy. Znów miała trzynaście lat, zaczynało się lato i właśnie obie rodziny przyjechały na Isle of Palms, żeby tu spędzić wspaniałe, długie wakacje. Wakacyjny domek rodziców Emmi znajdował się niedaleko domku Oliwii. Przez pozostałą część roku obie rodziny mieszkały w mieście.

Poznały się pewnego poranka, kiedy obie zbierały muszle w pobliżu Breach Inlet. Mogły mieć wtedy po siedem, osiem lat. Emmi szukała muszelki zwanej skrzydła anioła, a Cara miała taką w swoim wiaderku, więc oddała ją Emmi. Tamtego dnia wymieniły muszelki, potem zaczęły wymieniać sekrety.

Cara odchyliła się, ale nie wypuszczała przyjaciółki z objęć.

- Emmi, nic z ciebie nie zostało. - Zmierzyła wzrokiem przyjaciółkę ubraną w sprane dzinsy i obcisłą różową bluzkę. - Wyglądasz tak szczupło. Niesamowicie. Seksownie. Ile schudłaś?

Emmi pokręciła głową z łobuzerskim uśmiechem i położyła palec na ustach.

- Trzydzieści jeden kilogramów - oznajmiła, po czym uśmiechnęła się. - Dasz wiarę?

Cara otworzyła usta, zdumiona.

- Aż tyle? Nieprawdopodobne.

- A jednak. - Emmi zaśmiała się, bardzo zadowolona z siebie. - Rozwód okazał się najlepszą dietą odchudzającą. Kto by przypuszczał? Co za ulga.

Cara pokręciła głową.

- Nie mogę ochłonąć z podziwu. Strasznie ci zazdroszczę. Przystaję się z tobą przyjaźnić i zaczynam cię nienawidzić. Nie masz litości. Przy tobie wyglądamy, ja wyglądam, jak stare, grube pudło. - Zmrużyła oczy. - Odmłodniałaś o dziesięć lat.

W uśmiechu Emmi pojawiło się coś twardego.

- Ja bym powiedziała, że straciłam dwadzieścia pięć lat - rozpogodziła się szybko. - Ale zamierzam to sobie odbić. - Mrugnęła i strzeliła palcami. - Żaden mężczyzna na Południu nie będzie bezpieczny.

Gest był pełen swady, zadziorny i chociaż Emmi uśmiechała się szeroko, w jej oczach nie było wesołości.

- Zanim zaczniesz szaleć, marzę o zimnym prysznicu i kieliszku schłodzonego białego wina. Ty nalej, a ja się szybko wykapię. A potem wszystko mi opowiesz.

Cara weszła wreszcie do wyłożonego kaflami holu swojego niewielkiego domku i położyła torebkę na stoliku, a klucze umieściła w plecionym koszyczku.

Przez lata małżeństwa stopniowo pozbyła się ze starego domu Bretta mocno wysłużonych sprzętów, niepotrzebnych bibelotów i urządziła wnętrza w swoich ulubionych chłodnych, jasnych błękitach.

Każdy mebel dobierała z namysłem i teraz dom prezentował się wspaniale.

Dojrzała szklany wazon z bukietem białych róż.

- Dziękuję, kochanie. Są śliczne.

- Drobiazg.

Emmi uniosła niemal pusty kieliszek.

- Obsłużyłam się sama. Nie gniewasz się? Mam za sobą długą drogę z Atlanty, a samochód wypakowany po brzegi. Zabrałam wszystko, co lubię. Nie wyłączając złotej rybki - zaśmiała się i rozkaszała, zakrztusiwszy winem.

- Już w porządku.- Machnęła, żeby Cara jej nie ratowała. - Wino utkwiło mi w przelyku na wspomnienie tej podróży. Ale na szczęście przeżyłam. Na autostradzie było nieźle, jednak za każdym razem kiedy się zatrzymywałam, woda wychlapywała się z akwarium. Dziw, że rybka dojechała żywa. - Wskazała na spore akwarium stojące teraz na blacie kuchennym.

- Poznaj Nemo.

Rybka niestety unosiła się powoli na powierzchni wody.

- O Jezu, Emmi, ta rybka chyba jednak nie przeżyła - zawołała Cara.

Emmi podeszła do akwarium, dotknęła rybki i Nemo zaczął zataczać szalone kręgi w wodzie.

- Nieładnie straszyć gości, Nemo - skarciła żartownisia, po czym zwróciła się do Cary: - Mógłby tu zostać kilka dni? Naprawdę padnie, jak go znowu zapakuję do samochodu.

- Jasne, dlaczego nie? A mówiąc o samochodach, masz śliczne bmw. Wypasiona bryczka.

- Podoba ci się?

- A komu by się nie podobała?

- No właśnie. - Zamieniłam swojego starego SUV-a na ten kabriolecik. Mam już dość terenówek. W ogóle wszelkich dużych samochodów. To nowa ja. - Odrzuciła włosy, gestem, którego Cara nigdy jeszcze u niej nie widziała.

- Naprawdę? - Cara zmrużyła oczy. Emmi była szczupła, seksowna, ale w jej agresywnej atrakcyjności było coś niepokojącego, czego Cara nie potrafiła nazwać.

- Dziwnie mi się przyglądasz, Caro. Jak wtedy, kiedy zrobiłam sobie nową fryzurę na szkolny bal. Pamiętasz?

Cara wybuchnęła śmiechem. Tylko Emmi potrafiła przywoływać dawno odłożone do sztabucha wspomnienia sprzed lat.

- Jasne. Jak mogłabym zapomnieć? Kopiec okropnie wysoko upiętych miedzianych loków przebitych setką ozdobnych spinek i usztywnionych dwoma pojemnikami lakieru.

Emmi odrzuciła głowę i też wybuchnęła śmiechem.

- Ta konstrukcja tyle ważyła, że z trudem zachowywałam równowagę. O mało się nie przewróciłam. Na szpilkach; z tymi włosami, przy moim metrze siedemdziesiąt trzy byłam wyższa od Toma.

- Mój Boże, o czym my wtedy myślałyśmy?

- Ja o tym, że wyglądam pięknie. Tomowi się podobałam, w każdym razie tak twierdził. - Posmutniała, ale uśmiech szybko wrócił. Wzruszyła ramionami. - Kłamał, jestem pewna. Jak zwykle.

Cara wyczuła znowu niebezpieczną zmianę nastroju.

- Nie kłamał - zapewniła ją pospiesznie. - Wyglądałaś naprawdę pięknie. Teraz też wyglądasz rewelacyjnie.

Emmi wyprostowała się, wysunęła brodę, ale wino zaczynało już uderzać jej do głowy.

- Pewnie. Wyglądam wspaniale. Tom był idiotą, że pozwolił mi odejść.

- Dupek pierwszej klasy.

- Kłamca, zdrajca, dupek.

Za dużo wina, za mało jedzenia. Cara podeszła do lodówki, wyjęła ser, postawiła na stole krakersy.

- Zjedz coś, kotku, a ja skoczę wziąć prysznic i zaraz wracam.

Pod prysznicem odchyliła głowę i pozwoliła, by chłodna woda zmyła z niej udrękę całego dnia: sprzedaż biletów, odpowiadanie na telefony, do tego jeszcze ratowanie turystów, których motorówki osiadły na mieliźnie. Była wykończona, trochę przypalona słońcem, chciało się jej pić. Cieszyła ją perspektywa długiej rozmowy z najlepszą przyjaciółką przy kieliszku wina. Po chwili wychodziła już z łazienki w białym szlafroku kąpielowym i białym ręczniku na głowie.

Emmi zwinęła się na kanapie niczym kotka. Miała podejrzenie czerwone oczy, jakby płakała. Na stoliku stała nowa, odkorkowana butelka wina i dwa kieliszki.

Na widok Cary Emmi przywołała uśmiech na twarz i podała przyjaciółce kieliszek.

- O której właściwie przyjechałaś, Emmi?

- Jakąś godzinę temu. Może dwie.

Cara usiadła na kanapie obok Emmi, podwinęła nogi. Jej przyjaciółka była na najlepszej drodze, żeby się solidnie wstawić, a nigdy dotąd nie przepadała za alkoholem. To też było coś nowego. Tom żartował sobie kiedyś, że randki z nią wypadają niezwykle tanio.

- Zjadłaś coś? Emmi pokręciła głową.

- Nie jestem głodna. Dzięki.

- Ja umieram z głodu. Jeśli pozwolisz... - Ukroiła kawałek brie, nałożyła na krakersa i pochłonęła łąpczywie.

- Powiedz mi, co u ciebie? - zagadnęła Emmi. - Jak wasza ekoturystyka na łonie dzikiej natury? Czy robiłaś kolejne testy na bezpłodność?

- Żadnych zmian - odparła Cara wymijająco.

- To znaczy? - naciskała Emmi.

- To znaczy, że na razie nic się nie dzieje. Czekamy, aż lekarze powiedzą nam, co dalej.

- Nie czekajcie zbyt długo. Zegar biologiczny tyka.

- Tyka? Mój zegar biologiczny w ogóle nie chodzi. Dziecko teraz to byłby prawdziwy cud.

- Współczesna nauka czyni cuda. Wiele kobiet rodzi dzieci w zaawansowanym wieku.

Cara westchnęła i pomodliła się w duchu, by to, co powiedziała Emmi, było prawdą. Sięgnęła po kolejnego krakersa i obłożyła go brie.

- Jak ci z tym? Nadał chcesz mieć dziecko, prawda? - zapytała Emmi cicho.

- Bardziej niż kiedykolwiek. Chodzi tylko o to, że...

- Że co?

Cara nie mogła dłużej udawać przed przyjaciółką. Odsunęła ser, walcząc ze łzami.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jakie to będzie dla mnie trudne.

Te emocje...

- Caro...

- Cholerne uczucia. Żebym nie wiem co robiła, jak sobie nie tłumaczyła i zmuszała się do zdroworozsądkowego podejścia, za każdym razem kiedy przechodzę kolejną, terapię hormonalną, budzi się nadzieja. Oczywiście, hormony wywołują huśtawkę emocjonalną, ale to coś więcej. Zachodzę w ciążę, jestem w niebie. Spełnia się marzenie. A potem przychodzi poronienie. - Wypuściła powietrze, chcąc powstrzymać drżenie warg. Czowała się zmęczona, słaba. Nie chciała się teraz zupełnie rozsypać. Powiedziała po chwili ze zwykłą swadą: - Jestem realistką, zawsze byłam. Próbuję oceniać sytuację spokojnie. Jeśli weźmiesz pod uwagę mój wiek, koszt zapłodnienia in vitro, zalecenia lekarzy... - Wzruszyła ramionami wiele mówiącym gestem.

- Jakie masz szanse?

- Znikome. Kiedy zaczęłam próbować w wieku czterdziestu lat, lekarze dawali mi piętnaście, dwadzieścia procent. Teraz, po pięciu latach, to jest pięć, dziesięć procent.

- Ryzyko też się zwiększa?

- Nie sądzę, ale przy kuracji hormonalnej tyjesz, męczą cię wymioty, ciągle sikasz, czujesz się rozdęta.

- To się nazywa ciąża.

Cara roześmiała się. Emmi miała dość swoich problemów. Nie należy jej obciążać jeszcze opowiadaniem o sobie, o kolejnej kuracji hormonalnej, którą Cara miała niedługo zacząć i kolejnym zapłodnieniu in vitro. Przynajmniej dopóki nie będzie pewna efektów. Nie chciała mówić nikomu i po raz kolejny wysłuchiwać wyrazów współczucia. Woląла przeżywać własne rozczarowanie w samotności.

- Kto wie - odparła dziarsko, sięgając po następnego krakersa. - Robię to dla Bretta. A jak twój dom? - zapytała, szukając nowego tematu. - Zglądałam tam tak często, jak mogłam podczas twojej nieobecności.

- Nie wiem, nie byłam tam jeszcze.

- Nie byłeś jeszcze w domu? Dlaczego?

- Przyjechałam prosto tutaj.

- I czekałaś na mnie. Dlaczego nie pojechałaś najpierw się rozpakować?

Emmi wzruszyła ramionami i upiła solidny łyk wina.

- Teraz twoja kolej. Mów, o co chodzi.

Emmi wstała i wyciągnęła z lodówki tackę z lodem.

- Po prostu nie mogłam.

- Dlaczego? Przecież kochasz ten dom.

- Właśnie w tym rzecz, że go kocham. - Wrzuciła do swojego kieliszka dwie kostki kodu. - Kochałam - poprawiła się, nie podnosząc wzroku. Zmarszczyła brwi, nagle opuściła ją zwykła swada.

Zawsze kochała letni dom rodziców. Tu spędzała wszystkie wakacje jako dziecko i tu zaczęła przywozić swoje dzieci, kiedy wyszła za mąż. Rodzice zostawili go jej, kiedy poszli na emeryturę i przenieśli się na Florydę.

Ten mały biały dom z blaszanym dachem zawsze był dla niej ostoją i azylem. Cara nie mogła sobie wyobrazić, że Emmi nie pojechała tam od razu, szczególnie teraz, kiedy musiała dojść do siebie i odzyskać spokój. Poklepała miejsce na kanapie.

- Siadaj i opowiedz mi wszystko.

Emmi opadła na poduszki, oparła o nie głowę i zaczęła się zwierzać:

- Byłam tam. Zatrzymałam się na podjeździe, wyłączyłam silnik i nie mogłam wysiąść z samochodu. Patrzyłam i... napłynęły miliony wspomnień. Tak wiele wspomnień, Caro. Każdy drobiazg tam, każda rzecz przypomina mi Toma. Nasz pierwszy pocałunek na ganku. Z okna kuchennego obserwowałam, jak wbiega po stopniach z przylizanymi włosami i kwiatem dla mnie w dłoni, żeby mnie zabrać na randkę. Tu był nasz pierwszy raz. Kochaliśmy się w moim pokoju, na moim podwójnym łóżku. - Emmi połykała łzy. - Tu każdego lata przywoziliśmy nasze dzieci, piekliśmy w ogródku indyka na Święto

Dziękczynienia, wieszaliśmy lampki na palmach w każde Boże Narodzenie. Wszystkie moje szczęśliwe wspomnienia łączą się z Tomem...

- Emmi...

- Nie mogę tam wrócić, to dla mnie zbyt trudne. Nawet to mi zabrał. - W jej głosie zabrzmiała gorycz. - Teraz nienawidzę mojego domu na plaży.

Cara westchnęła ciężko. Zapowiadała się bardzo długa noc.

- Zostań tutaj.

- Może na dzień, dwa, dopóki nie oswoję się z sytuacją.

Mary Alice Monroe 99

- Tak długo, jak zechcesz i będziesz potrzebowała.

- Dam sobie radę - zapewniła Emmi. - Naprawdę.

- Oczywiście, że dasz sobie radę.

Cara wstała, zaniósła kieliszki do zlewu i zaczęła szukać w lodówce czegoś, z czego mogłaby przygotować kolację. Na szczęście Brett kupił na targu świeże krewetki. Wyjęła je, postawiła na blacie, sięgnęła po specjalny nóż i zaczęła usuwać pancerzyki. Po chwili dołączyła do niej Emmi.

Pracowały w przyjacielskim milczeniu. Cara nie wiedziała, co ma poradzić Emmi, co jej powiedzieć, a i Emmi nie spodziewała się zapewne żadnych rad. Czasami po prostu najlepiej jest udzielić bezpiecznego schronienia.

Karta zdrowia Maleńkiej

28. maja

Żółwica jest jak boja. Ma dużą pływalność i wielkie problemy z nurkowaniem po jedzeniu. Czekamy na endoskopię, mamy już termin. Cały czas skrobiemy i czyścimy pancerz. Po kilku dniach w słodkowodnej kąpieli pąkle zeszły, ale zostały po nich jaśniejsze plamy i Maleńka wygląda, jakby paradowała w sweterku robionym na szydelku. Nadal jest wycieńczona, wychudzona i odwodniona, ale jest na pewno największym żółwiem, jakiego rehabilitowałam. Nie martw się, Maleńka, blizny z pancerza znikną. TS

Scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Telefon zadzwonił o brzasku, kiedy w pokoju było jeszcze szaro. Toy mruknęła, przewróciła się na brzuch i nakryła głowę poduszką. Kto może dzwonić o tak nieludzkiej godzinie? Czy ta osoba bez wychowania, kimkolwiek jest, nie wie, że dzisiaj niedziela, dzień święty?

Zaspana zastanawiała się, kto to może być. Favel obiecał, że pojedzie rano do Akwarium i zajmie się Maleńką. Irvin miał dyżur popołudniowy. Ziewnęła rozdzierająco. A miała taką ochotę pospać sobie dłużej.

Kiedy uruchomiła się automatyczna sekretarka, Toy zdjęła poduszkę z głowy i nastawiła uszu. Usłyszała płynący z głośnika głos Flo.

- Hej. Mamy gniazdo. Tuż przy naszych domach. Jesteś tam, Toy? Odbierz, odbierz.

Toy odrzuciła poduszkę i chwyciła słuchawkę.

- Halo? Flo?

Ale Flo zdążyła już się rozłączyć, zapewne po to, żeby zadzwonić do Cary. Toy przetarła zaspane oczy, usiadła w pościeli i podrapała się po głowie, usiłując oprzytomnieć. Gniazdo... Przed domem...

Są już! Uśmiechnęła się. Przebiegła przez hol, podciągając spodnie od piżamy.

- Obudź się, śpiochu.

- Zostaw mnie - jęknęła Lovie i schowała się pod kołdrą. Kotka Kiwi śpiąca obok małej podniosła głowę i spojrzała na Toy z jawną pogardą i równie jawną naganą.

Toy nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy gniazdo, ale chciała, żeby córka uczestniczyła w tym ważnym dla niej wydarzeniu.

- Lovie, mamy żółwie gniazdo, tuż przed naszym domem. Potrząsnęła ciałkiem ukrytym pod kołdrą. - Wstawaj, dziecko!

Lovie naciągnęła z powrotem kołdrę, zrzucając przy okazji Kiwi z łóżka.

- Gniazdo?

Toy przytaknęła i mała wyskoczyła z pościeli tak szybko, jak mały krab z piasku. Toy podeszła do szuflady i wyjęła z niej szorty.

- Sama się ubiorę! - zachnęła się dziewczynka.

Mała Lovie dostawała szału, kiedy matka przygotowywała dla niej ubrania, więc Toy wołała zostawić ją w spokoju.

- Pospiesz się - zawołała i wyszła. Była taka podekscytowana, że krew pulsowała jej szybciej w żyłach. Włożyła szorty do biegania, chwyciła zielony T-shirt Turtle Team, czyli grupy wolontariuszy zajmujących się żółwiami, wciągnęła pospiesznie, rozczesała włosy, spięła w koński ogon i nacisnęła na głowę czapkę Turtle Team. Spotkały się przy drzwiach siatkowych, gdzie obydwie wzięły zapiaszczone sandały. Lovie włożyła różowy T-shirt przodem do tyłu, fala złotych włosów spływała jej na plecy. Toy powściągnęła uśmiech i nic nie powiedziała. Miss Lovie lubiła powtarzać: „Wybieraj starannie bitwy, które chcesz stoczyć”.

Pchnęła z całych sił drzwi siatkowe i pomyślała, że w końcu trzeba je będzie naprawić. Podeszła do wiklinowego kosza, wyjęła z niego długi żółty pręcik do sondowania i mały plecak. Tydzień wcześniej w oczekiwaniu sezonu oczyściły z Lovie zielony plecaczek z zeszłorocznego piasku i wymieniły baterie w latarce.

Toy siedziała przy kuchennym stole i obserwowała, jak Lovie wkłada z powrotem do plecaka potrzebny sprzęt: czerwoną latarkę, taśmę do mierzenia śladów i pomarańczową taśmę, patyczki do liczenia jajek, broszury dla turystów, marker i śliczną połówkę skorupki, która kiedyś należała do Olivii Rutledge, a teraz stała się skarbem Toy. Czerwone wiadro panny Lovie dostała Cara, ale Toy kupiła sobie własne. W wiadrze były kije do ogradzania i jaskrawo pomarańczowe chorągiewki federalne do oznakowania terenu, na którym znajdowało się gniazdo.

- Możemy chyba iść - stwierdziła Toy i coś jej przyszło do głowy. - Zaczekaj jeszcze chwilę. - Pobiegnęła do kuchni, wyciągnęła z szuflady tani aparat fotograficzny, wrzuciła go do plecaka, plecak zarzuciła na ramię, wzięła córkę za rękę i ruszyły szukać gniazda.

Szły wąską ścieżką przy plaży niczym psy myśliwskie za tropem, wdychając rześkie, przesycone zapachem soli poranne powietrze. Potem obok wydm, które w czasie zimowych sztormów przesunęły się i urosły. Teraz rosły na nich stokrotki i trawy, wśród których miały swoje dołki małe kraby piaskowe. Toy obejrzała się na ślady, które obie zostawiały: jedne duże, drugie maleńkie, obok siebie, razem. Kiedy stanęły na szczycie wydmy, Toy zaparło dech w

piersiach. Plaża płonęła różowym, żółtym i pomarańczowym światłem pierwszego brzasku, ocean połyskiwał w blasku wschodzącego słońca. Spojrzała na córeczkę. Lovie stała bez ruchu, zapatrzona w spektakl poranka.

- Cieszę się, że mnie zabrałaś - powiedziała cicho.

Toy ścisnęła jej rączkę. Tych kilka słów było znakiem, że młoda dusza właśnie w pełni się rozbudziła na widok wschodzącego słońca.

Chwilę wodziła wzrokiem po plaży i serce jej zabiło szybciej, kiedy wreszcie dostrzegła wyraźne ślady znaczące gładki piasek od linii wody do wydmy.

- Mamo, zobacz - zawołała Lovie. - Żółwica obeszła nasz zamek. Jaka miła! - Mała klasnęła w dłonie.

Toy zaśmiała się. Dziecięcy zachwyty Lovie od razu jej się udzielił.

- Dobra, stara żółwica - mruknęła.

Ślady rzeczywiście prowadziły prosto do zamku, a później wokół niego, jakby zwierzę nie chciało go zniszczyć. Po chwili Cara dostrzegła gniazdo, niewielką górkę piasku na wydmie. Wokół zebrała się już spora grupka ludzi. Rozpoznała gęstą siwą czuprynę Flo, brązowe, lśniące włosy Cary, złocisty hełm Glenna, krótkie, kręcone, czarne włosy Grace... a kim jest ten wysoki szczupły rudzielec? Zawołała i ruszyła w ich stronę.

- Żółwie przypląnęły - krzyknęła Flo na powitanie i uniosła triumfalnie ramiona.

Zaraźliwa radość udzieliła się wszystkim. Pierwsze gniazdo oznaczało początek lata żółwiarzy i wszyscy wierzyli, że to będzie udany sezon.

Cara zamachała do Toy. Stała trochę dalej i właśnie mierzyła ślady koło zamku. Lovie rzuciła się do niej biegiem i przytuliła do jej nóg. Grace i Glenn z kolei uściskali Toy, a ona pogratulowała im, że znaleźli pierwsze gniazdo tego lata.

Wolontariusze zajmujący się żółwiami to ludzie oddani sprawie, zgrani i lojalni. Toy znała całą osiemdziesiątkę, która dyżurowała wczesnymi rankami na plażach w poszukiwaniu śladów żółwi, ale Grace i Glenn byli wyjątkowi. Oboje dobiegali dziewięć-dziesiątki, ale zawstydzali najmłodszych. Wstawali wcześniej od innych dyżurujących, odbywali dalsze trasy i codziennie pojawiali się na plaży. Boska sprawiedliwość, że to oni właśnie znaleźli pierwsze gniazdo.

Zbliżył się do niej rudzielec.

- A mnie nie pocałujesz?

Toy przyglądała się przez chwilę wysokiej, szczupłej kobiecie i nagle coś jej zaświtało.

- Emmi, to ty?

- We własnej osobie.

- Wyglądasz... -Zabrakło jej słów, a powiedzieć „o wiele lepiej” nie bardzo wypadało.

- Daj sobie spokój, Toy - zlitowała się Flo. - Przez cały ranek ją komplementujemy, w końcu uderzy jej do głowy.

- Ty i pierwsze gniazdo w jednym dniu? - powiedziała Toy.

- Widać świat jest dobrze pomyślany.

Toy uściskała ją, przyznając w duchu, że chętnie podpisałaby się pod tymi słowami.

- Jeśli skończyliście się już witać, może byśmy zaczęli? - niecierpliwiła się Flo. Spieszno jej było znaleźć jajka. Przyłożyła dłonie do ust i zawołała:

- Caretta!

- Idę - odkrzyknęła Cara, chowając notes do plecaka. Potem wzięła Lovie za rękę i przyszły razem na wydmy. - Ślady sześćdziesiąt osiem i pół centymetra - doniosła. - Ogromna. Umieściła gniazdo bardzo wysoko. Ładne miejsce wybrała.

- Tak, to prawda - przytaknęła Flo z zadowoleniem.

- Bezpieczne. A teraz poszukajmy jajek.

Jak na rozkaz wszystkie cztery kobiety zaprezentowały żółte pręciki do sondowania, niczym miecze, i skupiły się wokół gniazda. Łowy się zaczęły.

Toy uważała, że odnalezienie jajek jest kwestią przypadku, ale z latami nabierała doświadczenia i zaczynała rozpoznawać znaki wskazujące, gdzie szukać. Żółwicę bardzo starannie kamuflowały gniazda, zasypując je piaskiem, ale idąc po śladach, można było określić, w którą stronę była zwrócona samica podczas składania jaj. Teraz też przez chwilę cała grupa studiowała ślady, po czym Flo nachyliła się, zakreśliła niewielki krąg na piasku, a potem dała Toy szansę, by ta wykonała pierwszą próbę. Toy wybrała miejsce i

zagłębiła ostrożnie, z lękiem pręcił w piasku. Ugięła kolana, stanęła pewniej, wzięła głęboki oddech... Spokojnie teraz, powiedziała sobie, kiedy pręt zagłębiał się w miękkim piasku. Pierwsza sonda sezonu była zawsze dla niej takim samym przeżyciem jak jej pierwsza sonda w życiu. Wciąż pamiętała doskonale wszystkie nauki miss Lovie.

- Nie denerwuj się, dziecko - powtarzała. - Jajka nigdzie sobie nie pójda. Pozwól, żeby sonda zagłębiała się w piasku zgrabnie i powoli. Ugnij kolana. Jeśli czujesz, że piasek zaczyna usuwać ci się spod nóg, przerwij, nie możesz przecież wlecieć do gniazda.

Największą obawą każdego żółwiarza napędza to, że przebijie jajo, ale to zdarzało się rzadko. Toy przez pięć lat nie zdarzyło się nigdy, a znalazła tysiące jaj. Jednak przebicie jaja jest paskudnym doświadczeniem i człowiek ma już potem zepsuty cały sezon, w dodatku jest narażony na złośliwe uwagi ze strony reszty zespołu.

Toy poczuła, że sonda dotarła do twardszej warstwy piasku - znak, że w tym miejscu nie ma jaj. Spróbowała o kilka centymetrów dalej. I znowu dalej. I jeszcze jedna bezowocna próba. Potem przyszła kolej na Emmi. Po niej Cara. Dziesięć minut później cały wzgórek usiany był drobnymi otworami. Słońce już wstało i na plaży pojawili się pierwsi spacerowicze. Podchodzili z zaciekawieniem i przyglądali się z zachwytem sprawnej akcji. Toy już była gotowa uznać, że to jedno z tych gniazd, przy których pracuje się godzinami, i wtedy właśnie pręt Cary wszedł bez najmniejszego oporu w piasek.

Wszyscy na moment wstrzymali oddech, a Cara na czworakach zaczęła rozkopywać miękkie miejsce, robiąc coraz głębszy otwór.

Lovie, przytulona do kolan Toy, obserwowała jej pracę zafascynowana. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy jaja. Czasami okazywało się, że się pomylili i trzeba było zaczynać sondowanie od początku, ale teraz czuli charakterystyczny zapach i mieli nadzieję, że jednak dobrze trafili.

Cara zagłębiła rękę w otworze, szukając, a jej brązowe oczy błyszczały w oczekiwaniu znaleziska.

Toy zazdrościła trochę Carze jej naturalnej elegancji, nawet w mało eleganckiej pozycji. Miss Lovie zawsze powtarzała, że Cara podobna jest do ojca - wysokiego bruneta o regularnych rysach. Jednak Toy uważała, że z wiekiem staje się coraz podobniejsza do matki, chociaż Olivia była drobną, śliczną blondynką. Podobieństwo polegało raczej na pewnej łagodności w sposobie bycia, sposobie unoszenia podbródka, spokojnej pewności siebie i gracji, cechach, które dziedziczy się razem z dobrym urodzeniem.

Toy westchnęła. Przypomniały się jej słowa własnej matki. Robiły kiedyś zakupy na King Street i matka zobaczyła na ulicy bardzo elegancko ubraną, wytworną kobietę.

- Tego nie nauczysz się w żadnej szkole. Przyjrzyj się jej. Ma klasę we krwi - mówiła matka z podziwem.

- Jest jak klacz pełnej krwi, a ty jak dobry koń roboczy

- dodała jeszcze.

Toy zapamiętała te słowa, opinia matki bolała ją do tej pory. Potrząsnęła głową, jakby chciała uwolnić się od przykrych

wspomnień. Dlaczego matka zawsze musiała być taka podia? Za to miss Lovie zawsze ją wspierała.

- Mamy jaja - zawołała Cara, wyjmując idealnie okrągłe, białe jajko z gniazda. Lovie była niepokieszona, gdy Cara ostrożnie odłożyła jajo z powrotem i zaczęła zasypywać gniazdo. Toy zawsze wprawiał w zdumienie ten idealnie okrągły kształt. Grace i Glenn uroczyście objęli gniazdo w posiadanie, należało je jeszcze tylko odpowiednio oznakować, co uczyniła Flo, i łowy były skończone.

Toy wyjęła swój aparat fotograficzny. Najpierw zrobiła zdjęcie śladów żółwicy okrążających zamek Lovie, potem sfotografowała grupę zebraną wokół gniazda - trójkę dorosłych i jedno dziecko, stojących obok siebie i śmiejących się wesoło.

Część druga

Wstrzymaj oddech! Mocno pracuj nogami, nie zapominaj o energicznych wyrzutach ramion.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia w Akwarium pojawił się trzeci chory żółw. Przywieźli go ludzie z Wydziału Zasobów Naturalnych na Kiawah Island. Lokalna stacja telewizyjna pokazała krótki reportaż o ratowaniu młodej żółwicy w wysokiej fali przybojowej. Toy śmiała się, oglądając materiał, bo mężczyźni stojący na brzegu wyraźnie bali się zamoczyć nogi, pozostawiając akcję kobietom. DuBose i Charlotte, obydwie z Wydziału, zmagając się z falami, wyciągnęły żółwicę na brzeg. Miała trzy wyraźne rozcięcia na pancerzu pozostawione przez śrubę jakiejś motorówki. Toy nazwała tę trzecią pacjentkę Kiawah.

Trzy dni później młodzi ludzie, którzy wypłynęli w morze, by połowić dla przyjemności, znaleźli czwartego żółwia uwiecznionego w specjalnej konstrukcji z drutu służącej do odłowu krabów. Uznali, że nie mogą go tak zostawić. Zaplątany w liny, ilekroć podnosił łeb, żeby zaczerpnąć powietrza, zaczynał się dusić. Nie byli w stanie go uwolnić, więc odcięli cały kosz i przywieźli do portu. Najbardziej martwiło ich to, że trafią do aresztu za kradzież kosza.

Toy pojechała do portu, gdzie trzech bohaterowie czekali już na nabrzeżu. Był to najsmutniejszy przypadek, z jakim zetknęła się w swojej pracy z żółwiami. Jedna z lin omal nie odcięła żółwiowi płetwy. Sądząc po stanie wycieńczenia i liczbie pąkli, biedak musiał tkwić w pułapce kilka tygodni. Tego żółwia nazwała Hamlin.

Pojawienie się nowego pacjenta w Akwarium oznaczało, że trzeba podjąć szybko jakieś decyzje, bo Ethan nie był w stanie przyjąć ani jednego żółwia więcej.

- Zupełnie jak u św. Łukasza: „nie było dla nich miejsca w gospodzie” - powiedział Favel, gdy zastanawiali się nad jakimś rozwiązaniem.

- Trzeba zatem poszukać stajenki - stwierdził Ethan. Stajenką okazało się pomieszczenie w przyziemiu

Akwarium, używane jako podręczny magazyn. Ekipa Ethana uprzątnęła swój sprzęt do nurkowania, zwalniając w ten sposób część przestrzeni, gdzie ustawiono niewielkie zbiorniki na pierwsze kąpiele w słodkiej wodzie. Było to rozwiązanie tymczasowe. Po tygodniu nieustannego kursowania między piętrem Ethana a przyziemem i dbania o cztery żółwie Toy padała z nóg. W dodatku ciągle jej czegoś brakowało - a to jedzenia, a to najpotrzebniejszych rzeczy. Nie wiedziała, jak przetrwa następny tydzień.

Jej modlitwy zostały wysłuchane i z pomocą przyszli obcy ludzie.

W parę dni po nadaniu przez telewizję krótkiego reportażu, Akwarium zalała lawina wsparcia od osób, które oglądały program i chciały pomóc biednym chorym żółwiom. Sumy zwykle były niewielkie, dziesięć, dwadzieścia dolarów, ale każdy grosz przyjmowano z wdzięcznością. Znalazł się jeden czek na sto i jeden na pięćset od jakiegoś dobrego samarytanina, powitany przez zespół okrzykami radości. Dzieci organizowały zbiórki w szkołach, słały

listy i opróżniały swoje skarbonki. Toy nie mogła uwierzyć, że zupełnie obcy ludzie tak przejęli się losem żółwi, by słać pieniądze, szczególnie dzieci. Na myśl o tej hojności i trosce łzy napływały jej do oczu.

Lokalna gazeta opublikowała list Jasona, w którym dyrektor dziękował mieszkańcom Charlestonu za pomoc i wsparcie. Łatwo się domyślić, że sprowokował kolejną falę datków.

I tak, niemal z dnia na dzień, Toy musiała zaakceptować fakt, że jej skromne wysiłki znalazły się w centrum zainteresowania całego Akwarium, ale w świetle reflektorów stanęła, dopiero gdy wezwał ją do siebie prezes rady nadzorczej Akwarium. Po raz pierwszy znalazła się w eleganckim gabinecie Kevina. Przejęta przyczesła szybko włosy i zmieniła T-shirt.

Biura zlokalizowane na najwyższym piętrze były po oczach luksusowym wystrojem, były lśniące i wytworne. Weszła do narożnego gabinetu prezesa - prezesi zawsze mają narożne gabinety - i jej wzrok odruchowo powędrował ku wielkiemu oknu panoramicznemu, za którym rozciągał się przepięny widok na port. W pokoju byli już Ethan i Jason, a na kanapie siedziały Kim i Kate, w ciemnych kostiumach, tak lubianych przez poważne urzędniczki, obie z działu rozwoju.

- Wchodź, wchodź - przywitał ją ciepło Kevin. Był młody, inteligentny i posiadał nieskazitelne maniery dżentelmena, bardzo cenione na Południu.

Ethan podniósł się z fotela, robiąc Toy miejsce, a sam stanął za nią, opierając się o ścianę. Wszyscy byli w doskonałych humorach. Publiczne wsparcie dla żółwi morskich wyraźnie poprawiło atmosferę.

- Mam wspaniałą wiadomość - powiedział Kevin, otwierając zebranie. - Rada nadzorcza zdecydowała na ostatnim posiedzeniu, że będziemy budować przy Akwarium szpital dla żółwi. Kim, możesz nam powiedzieć, na co nas stać i jakimi zasobami dysponujemy?

Kim przedstawiła krótki raport, a potem zaczęła się dyskusja, co zrobić z żółwiami, które z pewnością się pojawią w ciągu lata.

- Przede wszystkim potrzebne są nam zbiorniki - powiedziała Toy. - Ethan pozwolił nam umieścić Maleńką w jednym z jego większych zbiorników, dzięki czemu zyskaliśmy miejsce dla Cherry. Dwa nowe żółwie mieszkają w magazynku w przyziemiu. Naprawdę nie wiem, co zrobimy, jeśli pojawi się choćby jeden nowy żółw.

Jason się nachylił.

- Przyziemia Akwarium są przestronne, ale kiepsko wykorzystywane. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wybudować tam szpitalika, trzeba tylko trochę inaczej zagospodarować przestrzeń.

- Ilu żółwi możemy się jeszcze spodziewać, jak sądzisz? - chciał wiedzieć Kevin.

Jason spojrział na Toy.

Toy milczała przez moment, zastanawiała się.

- Trudno przewidzieć - powiedziała w końcu. - Jest sezon składania jaj. Już mamy osiem gniazd na Isle of Palms, a w Botany Bay jest ich oczywiście znacznie więcej. Dziewczyny płyną do

naszych brzegów. To zależy, czy ludzie wypatrzą chorego żółwia albo podniosą te poranione przez łodzie. Jednak czasami też znajdujemy na plaży martwe zwierzęta albo takie, którym nie można już pomóc.

- Mamy doniesienia o tak zwanym syndromie osłabienia, na który cierpi coraz więcej żółwi. Nie wiemy, co powoduje to schorzenie, ale chore zwierzęta nie mają siły płynąć do brzegu i dryfują bezwładnie na falach

- powiedział Jason. - Powinniśmy się przygotować i jak najszybciej podjąć jakieś działania.

- Szpital dla żółwi w Topsail Beach przyjmuje w każdym sezonie około tuzina pacjentek - dodał Ethan.

- My też chyba powinniśmy zaplanować taką liczbę miejsc.

- Dwanaście żółwi? - Toy popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Ja nie mogę znaleźć zbiornika nawet dla jednego.

- Wydeła policzki. Już teraz z trudem sobie radziła. - Nie chcę się skarżyć, ale w tej chwili biegam między zbiornikami na drugim piętrze, moją galerią na pierwszym i żółwiami w przyziemiu.

Praktycznie cały dzień nie robię nic innego, tylko przemierzam kilometry schodów. Moi wolontariusze to ludzie pożyczeni z innego działu. Stół do badań to deska pilśniowa oparta na pudłach

kartonowych. - Zamilkła na moment, a potem spojrzała na Kevina. -

Nie wiem, co zrobić, proszę pana, jeśli skończą się wszystkie środki.

Nie jesteśmy po prostu gotowi na taką liczbę zwierząt.

- A co jest potrzebne, żebyśmy byli?

Jason odchylił się w fotelu i złożył dłonie na brzuchu.

Najwyraźniej zobaczył światełko w tunelu.

- Jeśli da się wykorzystać przestrzeń przyziemia, będzie nam potrzebnych sześć, osiem zbiorników z filtrami, waga wodoodporna i przyzwoity stół do badania.

- Zadowolony mrugnął do Toy.

- Marzenia - zakpiła z niego Kate, kręcąc głową.

- Mamy ciągle bardzo ograniczone fundusze. Nie sfinansujemy całego szpitala.

- Padło pytanie, więc odpowiedziałem. - Jason wzruszył ramionami. - Jeśli znajdziemy kilku dodatkowych wolontariuszy, jeśli uda się nam pożyczyć gdzieś zbiorniki, jeśli dostaniemy darmowy sprzęt i wyposażenie, może się udać.

- Musimy spróbować - powiedział Ethan. - Żółwie tu płyną, powinniśmy być przygotowani.

- Właśnie w tym celu się dzisiaj spotkaliśmy. Żeby omówić stan naszych przygotowań. - Kevin spojrzał na Kate.

- Jasne - zaczęła skwapliwie. - Mam informacje o grantach, o który moglibyśmy wystąpić. - Wyjęła papiery z teczki i wręczyła każdemu kopię. - To duże pieniądze, dałoby się za nie sfinansować szpital. Według mnie miałybyś duże szanse - podała Toy plik papierów. - Musiałabyś tylko wystąpić o nie bardzo szybko, to jedyny problem.

Dłoń Toy zawisła w powietrzu, w oczach pojawiło się przerażenie.

- Ja? Ależ ja nigdy nie występowałam o grant.

- Ja występowałam - odezwał się Ethan. - Pomogę ci, Toy.

Zdążymy na czas.

Toy spojrzała na Ethana, trochę zaskoczona jego uczynnością. Posłała mu nieznaczny uśmiech oznaczający podziękowanie.

- Wspaniale. Ja też chętnie pomogę. - Kate podała w końcu papiery Toy. - Teraz wszystko zależy od was dwojga.

- Wygląda na to, że mamy już wstępny plan - podsumował Kevin. - Jason, błagaj, pożyczaj, kradnij zbiorniki, sprzęt oraz wszelkie potrzebne materiały, a potem otwieraj prowizoryczny szpital w przyziemiach. Kim, ty porozmawiasz z Shirley na temat wolontariuszy, a ty, Kate, szukaj dodatkowych funduszy. Ethan pomoże Toy napisać aplikację.

Zwrócił się do Toy:

- Toy, szpital to twoje dziecko. Powodzenia.

Taras drugiego piętra Akwarium z widokiem na port był miejscem, gdzie można było usiąść na chwilę, odpocząć i poplotkować, zjeść lunch albo pogapić się na jachty, liniowce, łodzie motorowe wpływające i wypływające z portu.

Toy przychodziła tu często zjeść lunch albo pomyśleć. Po zebraniu też tu przyszła, żeby odzyskać równowagę. Po niebie sunęły wielkie chmury. Silny wiatr rozwiewał jej włosy.

- Pozwolisz, że się przyłączę?

Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła stojącego w drzwiach Ethana.

- Proszę - powiedziała, poprawiając włosy. - Miło mi będzie w towarzystwie.

Zamknął drzwi i podszedł do niej z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- Nie usiądziesz?

- Usiądę.

Siedzieli na drewnianej ławce, Toy z kolanami podciągniętymi pod brodę, Ethan z wysuniętymi przed siebie nogami. Otworzył chipsy i podsunął jej torebkę. Wzięła jednego. Przez długą chwilę żadne się nie odzywało. Chrupali chipsy i przyglądali się statkom w porcie.

- Będziemy mieli prawdziwy szpital dla żółwi - powiedziała niedowierzającym tonem.

- Trochę przytłoczona?

- Tak - przyznała. - Szczęśliwa, podniecona... ale też przytłoczona. Słyszałeś, co powiedział Kevin. Szpital to moje dziecko. Czy to znaczy, że ja go będę prowadzić? Tak jak prowadzi się własny projekt?

- Tak, będziesz głównymmacherem, wielkim bossem, który, dodajmy, całą winę musi brać na siebie, jeśli coś pójdzie nie tak.

- O Jezu. - Toy ukryła twarz w dłoniach, a potem wzięła kilka głębokich oddechów. - Miałam często taki koszmar, śniło mi się, że zdaję egzamin, do którego w ogóle się nie uczyłam.

- Znam ten sen.

- Teraz właśnie tak się czuję. Kiedy Kevin powiedział, że szpital to moje dziecko, poczułam się zaszczycona, dopiero potem dotarło do mnie, że cała odpowiedzialność spada na moje barki. - Pokręciła głową. - A co z moją galerią ryb? Nadal muszę się nią zajmować. Pomocy! Nie wiem, może jednak nie nadaję się do tego zadania.

- Nie zaproponowałby ci prowadzenia szpitala, gdyby uważał, że to cię przerasta. Moje zdanie niewiele się tu liczy, ale uważam, że dasz sobie radę. Jason też w ciebie wierzy.

Spojrzała na Ethana niepewna, czy sobie z niej nie kpi, ale dojrzała w jego oczach taką pewność i przekonanie, że zaparło jej na moment dech w piersiach.

- Będę ci cały czas pomagał, podobnie jak Jason i doktor Tom. Każdy będzie miał udział w tym zadaniu. Jesteśmy drużyną.

- Drużyną, powiadasz? - Sięgnęła po kolejnego chipsa, westchnęła ciężko i włożyła go do ust. - W porządku.

- A jeśli chodzi o ten grant...

- Przepraszam, że cię w to wrobiłam. .

- Zapominasz, że sam zaofiarowałem pomoc.

- Wiem i dziękuję. Naprawdę. Nigdy pewnie nie przypuszczałeś, że jeden chory żółw wywoła taką lawinę zdarzeń. Teraz ma tu powstać prawdziwy szpital...

- To prawda, ale z drugiej strony to chyba naturalna kolej rzeczy. Szpital jest potrzebny. Jeśli zaś chodzi o grant...

- Wycofujesz się?

- Toy, daj mi dokończyć.

- Przepraszam. Mów.

- W czasie dnia nie możemy pisać aplikacji, oboje jesteśmy zbyt zajęci. Trudno, pozostaje czas po pracy. Wygląda na to, że przez kilka najbliższych tygodni będziemy musieli spotykać się prawie codziennie, jeśli mamy zdążyć na czas.

Toy znowu westchnęła.

- Ethan, ja muszę zajmować się córką. I tak już zbyt rzadko ją widuję. Nie pozbawię jej teraz naszych wspólnych wieczorów.

Ethan w zamyśleniu podrapał się w kark.

- Może w takim razie przyjeżdżałbym do was? W ten sposób miałabyś ją cały czas przy sobie.

- Mógłbyś przyjeżdżać? Co wieczór?

- Żaden problem.

Toy przyglądała mu się, ważąc decyzję. Czasami onieśmiał ją swoim trochę tajemniczym stylem bycia i wyczuwalnym dystansem, kiedy indziej, jak w tej chwili, stawał się delikatny, serdeczny i bezpośredni, a w ciemnych, mądrych oczach dostrzegała samą szczerłość. Nie był człowiekiem, który złożyłby podobną propozycję bez odpowiedniego zastanowienia. Zresztą było to jedyne realne rozwiązanie.

- Tak zrobimy - zgodziła się z ociąganiem. - Przy okazji zawsze zjesz u mnie kolację.

Nie bierz na siebie jeszcze tego kłopotu. Będę przywoził coś na wynos.

- Żaden kłopot, chyba że nie zasmakuje ci moja kuchnia. Na przykład makaron z serem.

Ethan skrzywił się.

- Wolę coś na wynos. Zdzielila go za to w ramię.

- Naprawdę nieźle gotuję. Przyjeżdżaj na kolację. I tak muszę gotować. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla ciebie za to, że codziennie będziesz musiał być na wyspie.

- Przypomnij mi, na której.

- Isle of Palms.

- Słusznie. W domku plażowym. Miłe miejsce do mieszkania.

- Cudowne. A ty gdzie mieszkasz?

- Na John's Island. A gdzieżby indziej?- odpowiedział wesoło.

Toy parsknęła śmiechem i pomyślała o wielkim klanie rodzinnym, z którego wywodził się Ethan.

- Nie wierzę ci. Mieszkasz w Akwarium i rozkładasz sobie na noc łóżko polowe, w jakiejś szafce trzymasz zmianę ubrania, myjesz się i golisz w łazienkach dla personelu. Tylko w ten sposób jesteś w stanie zrobić wszystko, czym się zajmujesz.

- Nie zgadłaś. - Zmiał pustą torebkę. - A więc jesteśmy umówieni.

- Na to wygląda, ale daj mi jeden dzień. Muszę ogarnąć trochę dom przed twoim przyjazdem.

- Nie przysparzaj sobie zajęć, już jesteś wystarczająco zajęta. Poza tym ja nie zauważę, czy jest bałagan, czy jest posprzątane.

- Faceci zawsze tak mówią, ale doskonale dostrzegają, czy dom jest czysty, czy zaniedbany. Wracając do grantu, teraz, kiedy mamy więcej turystów, to raczej ty będziesz zajęty od rana do wieczora w Akwariium. Jak znajdziesz czas na jeszcze jedno zajęcie?

- Krok po kroku. Spokojnie. Uśmiechnęła się ujęta taką filozofią. Ethan spojrział na zegarek.

- Muszę już iść, zaraz zaczyna się pokaz. Mam nowego nurka w dużym zbiorniku i chcę zobaczyć, jak sobie radzi.

- Ze wstydem przyznaję, że nigdy nie widziałam całego pokazu.

- To chodź ze mną, jeśli masz teraz czas. Spodoba ci się, na pewno.

Ciemnoszare ściany i taka sama wykładzina na widowni wokół podstawy Wielkiego Zbiornika dawały wrażenie podmorskich głębi z powieści Julesa Verne'a. Usiedli na drewnianej ławce, podobnej do tych, jakie instaluje się na stadionach, za grupą dzieciaków w wieku szkolnym, małżeństwem z dwójką małych dzieci i jakimiś starszymi ludźmi. Wszystkie oczy utkwione były w wysokim na dwie kondygnacje zbiorniku i krążących w nim stworzeniach. Ale był tu też żółw, pojawił się właśnie, z gracją machając płetwami. Kilkoro dzieci z piskiem zachwytu zerwało się ze swoich miejsc. Toy zaśmiała się, pewna, że gwiazda widowiska doskonale zdaje sobie sprawę, jakie wywołuje poruszenie, ilekroć pod pływa do szklanej ściany zbiornika.

Kiedy pojawił się kolejny bohater spektaklu, ucichły nawet szepty. Trzymetrowy rekin tygrysi o czarnych, niezgłębionych oczach,

które widzą wszystko. W zbiorniku były i inne rekiny, ale ten przyciągał największą uwagę.

Ethan przestał robić notatki i przyglądał się żarłaczowi, a Toy dostrzegła w jego oczach fascynację i respekt.

- Pracowałeś z rekinami w Kostaryce, prawda? - zapytała.

- Przez sześć lat, z Randallem Arauzem. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto wie o rekinach tyle co on. Miałem szczęście, że był moim mentorem. - Wskazał na dzieciaki wyciągające głowy, by lepiej dojrzeć wielkiego drapieżnika. - Widzisz, jak ich to wszystkich podnieca? Rekin jest groźny, straszny, jak baśniowy zły stwór czający się w mroku. Na ogół ludzie wiedzą o rekinach tyle, ile zobaczyli w „Szczękach”. Próbuję to zmienić, przekazywać prawdę. Większość ataków rekinów to wynik pomyłki. Ryba poluje na rybę, a natrafia na człowieka. - Przerwał i przyglądał się przez moment, jak żarłacz zakreśla wielkie kręgi.

- Nie podobają mi się faceci, którzy zabierają turystów na morze i spuszczaają ich w stalowych klatkach do wody, a potem wabią rekiny krwią i mięsem, żeby turysta przeżył dreszczyk bliskiego spotkania. To sprzeczne z prawami natury, tak samo jak karmienie niedźwiedzi w parku Yosemite. Niedźwiedzie się nauczyły, że nie muszą polować, podchodzą do turystów i żebrzą o jedzenie. Rekiny są sprytne, przebiegłe, bystre. Kiedy je karmimy, uderzamy trzy razy w ścianę zbiornika i one podpływają. Podobnie jak niedźwiedzie, szybko uznają, że ludzie je zawsze nakarmią, dlatego będą przyływać. To paskudny i niebezpieczny rytuał.

- Będą na nas polować?

- Może nie tyle polować, co... popełniać pomyłki. To raczej my polujemy na rekiny. Niemal całkowicie wyginęły. Urządzaliśmy z Randallem kontrole na łodziach, w zasadzie bezprawne, bo nie mieliśmy żadnej władzy, i znajdowaliśmy w ich ładowniach setki płetw rekina, nawet rekina białego, który jest pod całkowitą ochroną.

- Dlaczego akurat płetwy?

- Bo na czarnym rynku płacą za nie najwięcej i chociaż to nielegalne, rybacy odcinają płetwy, a resztę wrzucają z powrotem do morza, nie opłaca im się zapelniać cennego miejsca w ładowni. Każda płetwa to kolejny zabity rekin. Tysiące rocznie. Staraliśmy się wpłynąć na zmianę przepisów, ale pieniądź ma większą siłę perswazji, jak świat światem.

W zbiorniku pojawiło się dwóch nurków i natychmiast otoczyło ich mnóstwo ryb, niektóre natrętnie trącały ich pyskami. Rekiny natomiast zachowywały się z całkowitą obojętnością, jakby nie zauważały ludzkiej obecności.

- Czyżby nie były groźne? - zapytała się Toy. - Ja bałabym się zejść do zbiornika z rekinami.

- One akurat są naszym najmniejszym zmartwieniem. To złote rybki w porównaniu z niektórymi innymi. Rekiny są przewidywalne. Mają określone zwyczaje, łatwo ustalić wzór zachowania. Codziennie schodzę do zbiornika, ale mam ekipę osiemdziesięciu pięciu nurków i polegam na ich obserwacjach. Jeśli tylko któryś z nich zauważy coś niepokojącego w zachowaniu rekina, natychmiast mnie o tym

informuje. Jeśli rekin atakuje wiadro z jedzeniem, usuwam go ze zbiornika.

- Odpowiadasz zatem za życie swoich nurków.

- I za życie ryb. W zeszłym miesiącu straciłem dwadzieścia ryb przez tego wielkiego drapieżnika - wskazał na żarłacza tygrysy. - Polują w nocy, więc każdego ranka zaraz po przyjsciu liczę wszystkie ryby. Dla niego to naturalne, ale dla mnie wielki problem.

Nurek wyrzucał karmę z dużego plastikowego wiadra, jednocześnie tłumacząc przez mikrofon, co robi.

Opisywał publiczności kolejne podpływające do niego ryby. Większe przepychały się agresywnie do wiadra.

- Ten nurek - ciągnął Ethan - bardziej niż rekina boi się ataku którejś z drapieżnych ryb, ale w zbiorniku zawsze jest drugi nurek, który go ubezpiecza.

- Skąd wzięło się twoje zainteresowanie rekinami?

- Zawsze mnie fascynowały. To wielcy myśliwi. Doskonałe maszyny do pochłaniania pożywienia. Mamy rekiny również przy brzegach Karoliny Południowej. Zdziwiłabyś się, jak wiele. Rybacy bardzo często znajdują je w swoich sieciach. - Uśmiechnął się. - Trzeba bardzo ostrożnie je uwalniać, jeśli nie chce się stracić ręki.

- Co robiłeś w Kostaryce?

- Prowadziłem badania nad roślinami. Zaangażowałem się w ochronę rekinów i uczyłem turystów nurkowania, żeby sobie trochę dorobić. Miłe życie.

- Dlaczego wyjechałeś?

- Zadajesz mnóstwo pytań.

- Próbuję dowiedzieć się, kim jesteś. W końcu będziemy razem pracować.

- I czego się dowiedziałaś? - Twarz Ethana była poważna, ale w oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Nie potrafię jeszcze powiedzieć. Trudno cię jednoznacznie określić.

- I o to mi właśnie chodzi. - Ethan schował długopis do kieszeni i wstał. - Pokaz skończony. Muszę porozmawiać z moimi nurkami.

- Dzięki za zaproszenie. Świetny pokaz, bardzo mi się podobał. - Toy również się podniosła. - I dziękuję, że chcesz mi pomóc napisać aplikację. Jestem jak ten nurek, który co prawda znalazł się wśród rekinów, ale kolega go ubezpiecza.

Przechylił lekko głowę rozbawiony i podniósł dłoń na pożegnanie.

- Do zobaczenia jutro.

Ethan pojawił się punktualnie o siódmej. Odmówił zjedzenia kolacji, ale przyjął deser. Toy odniosła wrażenie, że chce pozostać na stopie zawodowej i że wspólne kolacje, nawet w towarzystwie pięcioletniej przyzwoitki, mogłyby oznaczać przekroczenie jakiejś granicy.

Usiedli przy kuchennym stole, z kubkami kawy i czekoladowo-orzechowymi ciastkami, które Toy upiekła specjalnie dla niego. Lovie była wyraźnie zafascynowana tym wysokim, ciemnokim panem, który pojawił się w ich domu. Usiadła przy stole razem z dorosłymi,

zaopatrzona w jedną ze swoich ulubionych książeczek, papier oraz ołówek i udawała, że też pracuje. Od czasu do czasu odkładała ołówek, podpierала brodę na piąstkach i przyglądała się Ethanowi tak uważnie, aż w pewnym momencie przerwał pracę, zaplótł dłonie i zapytał z poważnym wyrazem twarzy:

- Ubrudziłem sobie nos długopisem? A może mam koguta na głowie?

Mała Lovie przyjęła żart z absolutną powagą.

- Nie - odparła, kręcąc głową - tylko nas nie odwiedzają tacy duzi panowie. Nie jestem przyzwyczajona.

Toy westchnęła i oparła głowę na dłoni. Ethan próbował powstrzymać się od śmiechu.

- Nie?

- Lovie... - ostrzegła małą Toy.

- Tylko raz przyszedł pan od lodówki. Mama była zła, bo musiała mu strasznie dużo zapłacić.

- Rozumiem - przytaknął Ethan z absolutną powagą na twarzy.

- I jeszcze Brett. Ethan uniósł brwi.

- Brett?

- On ciągle przychodzi. Czasami my jedziemy do jego domu.

Bardzo go kochamy - oznajmiła panna.

- Lovie - powtórzyła Toy surowym głosem, ale na twarzy miała rozbawiony uśmiech.

- Przecież go kochamy!

Po tym oświadczeniu zapadła brzemienna cisza. Ethan skinął głową, wziął do ręki długopis i nachylił się nad stołem.

- Wracajmy do pracy.

Z powodów, których nie potrafiła nazwać, Toy poczuła, że winna jest Ethanowi wyjaśnienie.

- Brett to mąż Cary. Jest jak ojciec dla mojej Lovie, a dla mnie jak starszy brat. Lovie go uwielbia, obie go uwielbiamy.

- A tak - powiedział Ethan, kiwając długopisem wetkniętym między palce. - Teraz sobie przypominam. Poznałem ich tego dnia, kiedy przywiozłaś Maleńką do Akwarium.

- Zgadza się. Opowiadałam ci o matce Cary, miss Lovie. Zmarła pięć lat temu. Pracowałam u niej, byłam jej dziewczyną do towarzystwa i pomocnicą. Wtedy właśnie zamieszkałam w tym domku.

- I w ten sposób poznałem już całą historię.

- Ponieważ i tak oderwaliśmy się od pracy, to zróbmy krótką przerwę, bo muszę położyć Lovie spać.

- Oczywiście, idź. Ja tymczasem zajmę się ciastkami.

- Częstuj się. Jeśli coś zostanie, ja też chętnie się posilę.

Kiedy Lovie była już umyta i w piżamie, Toy zapakowała ją do łóżka, opatulila kołdrą i przygasiła światła w pokoju.

- Lubię go - oznajmiła Lovie niespodziewanie. - Jest fajny.

- Tak uważasz?

- Uhm. I on cię lubi.

Toy nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Skąd wiesz?
- Patrzy ciągle na ciebie. Toy uśmiechnęła się.
- Pobierzecie się?
- Nie bądź głuptasem. Po prostu mamy pewną pracę do

wykonania.

Lovie przez chwilę zastanawiała się intensywnie.

- Ale moglibyście się pobrać?
- Dobranoc, skarbie.
- A gdybyście się pobrali, to on byłby moim tatą? Toy odgarnęła

Lovie włosy z czoła.

- Śpij już. Dobranoc. - Zgasiła światło i cicho zamknęła drzwi.

Nie zastała Ethana w kuchni, zobaczyła go na kuchennym ganku. Oparty o poręcz wpatrywał się w ocean. Zatrzymała się. Widok mężczyzny na jej ganku wydawał się taki niezwykły... Miłe, zaskakujące i nieoczekiwane uczucie. Odgarnęła włosy do tyłu i pchnęła siatkowe drzwi. Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie. Ethan odwrócił głowę.

- Lubię odgłos fali przybojowej - powiedział i Toy pomyślała, że jego głos ma w sobie coś z melodii oceanu.

- Ja też go lubię - powiedziała, wchodząc na ganek i stając obok Ethana. Może było tego wieczoru spokojne, zaledwie lekka fala, ledwie widoczna w mroku.

- Zostawiam okno w sypialni otwarte na noc i szum oceanu kołysze mnie do snu.

- Mieszkacie tutaj same?

- Tak, tylko my dwie.

- A ojciec Lovie? Jest jeszcze gdzieś na horyzoncie?

- zapytał Ethan ostrożnie.

- Nie. Właściwie nigdy nie był. Darryl, bo tak ma na imię, jest muzykiem. Gra country rocka. Gitarzysta. Jest w tym naprawdę dobry. Swego czasu występował w klubach, ale zawsze marzył o dużej karierze.

Toy przymknęła oczy i wciągała w płuca parne, przesycone zapachem jaśminu powietrze. Przez chwilę mocowała się ze wspomnieniami, w końcu emocje się wyciszyły, jak cichną w jakimś momencie nocne świerszcze. Otworzyła oczy i spojrzała w ciemność.

- Ja byłam bardzo młoda, a on miał swoje marzenia. Odszedł zaraz po urodzeniu się Lovie. Nie widziałam go już od tamtego czasu.

Ethan kiwnął głową najwyraźniej zadowolony z usłyszonej odpowiedzi. Nie zadawał więcej pytań.

- Powinniśmy wracać do pracy - powiedział z ociąganiem.

- Tak, zdecydowanie - zgodziła się Toy, ale żadne z nich się nie ruszyło. Stali tak obok siebie, oparci o poręcz ganku i słuchali szumu oceanu, oddychając tym samym rytmem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cara zaparkowała przy domku Flo. Była spóźniona. Flo urządziła tego wieczoru prośzoną kolację, tylko dla dziewczyn, którą planowała od dobrych paru tygodni, a Carę zatrzymał lekarz. Zaczynała właśnie kolejną kurację hormonalną, która miała pobudzić jajniki do pracy i przygotować organizm na ciążę. Kiedy wysiadała z samochodu, poczuła się zbyt stara i zbyt zmęczona, by powtarzać wszystko od początku. Nie wiedziała, czy ćmiący ból był spowodowany lękiem czy lekami.

Kuracja była długa i uciążliwa. Najpierw badania krwi, potem USG jajników, żeby lekarze mogli określić najlepszy czas pobrania jajeczek. Potem Brett będzie musiał dostarczyć spermę. Dwa razy już przechodzili przez te skomplikowane procedury i za każdym razem Brett kręcił głową, mrużąc pod nosem:

- I gdzie się podziało dobre stare bzykanko?

Rzeczywiście, gdzie się podziało? Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio kochali się dla czystej przyjemności, bez mierzenia temperatury, brania leków, sprawdzania wykresów. Ostatnio każdy aspekt jej życia był rządzony ścisłym grafikiem.

Dopiero teraz zorientowała się, że ma zaciśnięte dłonie. Była ostatnio tak spięta, jakby jej ciało znalazło się w wielkim imadle. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała migrenę, w każdym razie na pewno nie po powrocie na Isle of Palms. Co mówiła jej matka, kiedy

nadchodził ból głowy? „Musisz żyć czasem wyspy, dziecko. Musisz robić wdechy i wydechy w rytmie pływów”.

Cara zamknęła oczy i wciągnęła świeże powietrze do płuc. Jej ciało i umysł po chwili zaczęły reagować tak, jak reaguje sucha gąbka na wodę. Zrobiła głęboki wydech, taki naprawdę porządny, rozprostowała dłonie. Tępy ból w czaszce ustąpił.

Kiedy otworzyła oczy, była już zdecydowana. Jeśli raz jeszcze ma przeżywać całą tę karuzelę starania się o dziecko, powinna myśleć pozytywnie. Żadnych więcej złych nastrojów, poirytowania, fochów, napadów złości. Ma czterdzieści pięć lat, ale dobrze się odżywia i jest w doskonałej kondycji. Wyprostowała się i szepnęła:

- Będę miała to dziecko.

Za jej samochodem zatrzymało się niebieskie bmw. Burza ogniście rudych włosów za przednią szybą mogła należeć tylko do jednej osoby.

Emmi zgasła silnik i pomachała jej na powitanie.

- Cześć.

Z nisko zawieszzonego zgrabnego sportowego kabrioletu wyskoczyły długie nogi, niby w jakiejś nowoczesnej wersji kankana. Emmi wysiadła i Cara powitała ją szerokim uśmiechem.

- Jak możesz nadal chodzić prosto, nieustannie wsiadając i wysiadając z tego niziołka? Ja bym chyba nie zdołała rozprostować nóg.

Emmi chwyciła leżącą na siedzeniu pasażera złotą torebkę i przewiesiła ją przez ramię. Przejście kilkunastu kroków po żwirowym

podjeździe w bardzo wysokich szpilkach nie było wcale rzeczą łatwą. Miała na sobie obcisłe jasnozielone spodnie i oszłamiający top z jedwabiu w tym samym kolorze. Cara zawsze świetnie się ubierała, ale dzisiaj w zwykłych czarnych spodniach i prostej białej bluzce poczuła się jak gąsienica przy motylu.

- Wyglądasz wspaniale. Co tak się wystroiłaś?

- Jest piątkowy wieczór — odpowiedziała Emmi takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. Cara nie bardzo zrozumiała, więc Emmi dodała:

- Mam randkę po kolacji. Facet jak marzenie. Poznałam go w pubie „Gastro” w zeszłą sobotę. I ma tylko trzydzieści pięć lat - dodała, jakby powierzała przyjaciółce największy sekret.

Cara uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. To był już trzeci facet, z którym Emmi spotykała się w ostatnich tygodniach i wszyscy byli od niej młodszy.

- Jesteś płomienną Matą Hari, a ja używam takich słów jak „wystroić się”. Co się dzieje? To zawsze ja nosiłam dobre ciuchy i wyglądałam szalowo.

- Kochanie, teraz jesteś starą mężatką - poinformowała ją Emmi i w jej oczach zabłyśły wesołe iskierki. - A ja wyszłam na łów. Poza tym to wszystko... - wskazała na siebie - to tylko kilkaset dolarów wydanych w butik.

- Dziękuję. Od razu czuję się lepiej - odpowiedziała Cara śmiertelnie poważnym tonem.

- Przynajmniej nie ja jedna spóźniłam się na kolację.

- Emmi ujęła Carę pod ramię. - Co oznacza, że nie ja jedna dostanę burę od Flo.

- Ty zawsze się spóźniasz, Flo to specjalnie nie zdziwi, a mnie się na pewno dostanie.

- Masz rację. Mój Boże.

- Co cię zatrzymało dzisiaj?

- Nie wiem. Nic szczególnego. Przygotowywanie się do wyjścia zawsze trwa dłużej, niż zakładam. Tom dostawał szału, ilekroć musiał na mnie czekać. - Emmi zaśmiała się.

- A pamiętasz, jak siostrzyczki stawiały ci minusy za spóźnianie się na msze? Mama często robiła ci z tego powodu awantury.

Emmi zaniósł się śmiechem.

- Byłam królową minusów. Mogłabym stworzyć z nich piękną kolekcję... Ty z kolei byłaś ulubienicą siostrzyczek. Zawsze punktualna, zawsze pierwsza. Niestety nie katoliczka.

Cara z przyjemnością słuchała własnego śmiechu po takim męczącym dniu. Właśnie za to najbardziej kochała Emmi. Przyjaciółka zawsze potrafiła doprowadzić ją do śmiechu.

Otworzyła metalową furtkę prowadzącą do frontowego ogrodu Florence. Dom Prescottów, kiedyś najładniejszy na wyspie, odsunięty od ulicy, z pięknym ogrodem od frontu i wozownią, był też największą rezydencją Isle of Palms. Dzisiaj przyćmiły go nowe pałace przy Ocean Boulevard, dwa razy większe i o wiele wystawniejsze - oznaka wzrastającej zamożności wyspiarzy. Dom Prescottów miał jednak swoją klasę, na którą składały się dobra

architektura i wyczucie smaku poprzednich pokoleń mieszkańców Isle of Palms.

W głębi ogrodu stała wozownia, niegdyś królestwo matki Flo, Mirandy. Choć żadna z nich nie wymieniła jej imienia, Cara wiedziała, że obydwie pomyślały o ekscentrycznej starszej pani, którą były oczarowane jako dziewczynki. Pod ramię szły ogrodową ścieżką do drzwi frontowych i obie wracały myślami do tamtych dni, kiedy Miranda zapraszała je do swojej pracowni i pozwalała im malować. Ubrana w długie, powłóczyste spódnice, strojna w szale, Miranda malowała pejzaże w tak jaskrawych kolorach, że niemal przerażających. Niestety nie cieszyły się uznaniem zbyt wielu osób poza samą Mirandą. Mimo to Miranda nieustannie malowała, uprawiała ogród i żyła z pasją, którą zarażała innych. Pozostawiła po swoim odejściu wielką pustkę w życiu Florence, której widowym świadectwem był pozbawiony życia ogród.

Florence Prescott była najlepszą przyjaciółką matki Cary i przybraną ciotką dorastającej Cary. Jej ojciec rzadko przyjeżdżał do domku plażowego. Między rodzicami istniało ciche porozumienie, że ten czas spędzają oddzielnie, dlatego też wakacje na plaży były zdominowane przez kobiety i... żółwice.

Tyle cudownych letnich miesięcy spędzonych na Isle of Palms! Cara spędzała niemal tyle samo czasu w domu Prescottów, co we własnym. U Flo i Mirandy zawsze spotykało się ciekawych ludzi, zawsze było mnóstwo słodyczy i zapas coli w lodówce. I zawsze

można było bezpiecznie zwierzyć się ze swoich największych sekretów.

Cara ze smutkiem stwierdzała, że stary dom nie jest już tak doskonale utrzymany jak kiedyś, kiedy Flo była młodsza i poświęcała mu każdą wolną chwilę. W niektórych miejscach pojawiła się pleśń, pajęczyny, a drewniana skrzynka na kwiaty przy drzwiach wyglądała wręcz żałośnie, wypełniona do połowy potłuczonymi muszelkami, martwymi insektami i oczywiście piaskiem.

Emmi wysunęła rękę spod ramienia Cary i rozejrzała się z troską.

- Kiepsko to wygląda.

- To samo pomyślałam.

- Flo dobrze się czuje? Nic jej nie dolega?

- Po prostu się starzeje. Zawsze pełna życia, trudno ją sobie wyobrazić inną, ale wyraźnie traci energię, a utrzymanie takiego domu wymaga sporo siły, szczególnie w tym klimacie. Wystarczy odpuścić przez jeden sezon i znowu pojawia się rdza, pleśń, chwasty w ogrodzie. To bezustanna walka. Nie wspomnę już, co się dzieje, kiedy przychodzą ulewy.

Emmi pokręciła głową na widok niewielkiego kwadratu gruntu ogrodzonego białym płotkiem pokrytym brązowymi plamami.

- Spójrz na róże Mirandy. Ledwie żyją, tyle tam chwastów.

Duma i radość Mirandy. Kochała kwiaty, szczególnie róże. Pamiętasz jej przyjęcia w ogrodzie? Zbierałyśmy się wszystkie przy herbacie i sandwiczach.

- Pamiętasz, jak Miranda oznajmiła, że każda ma wystąpić we wspaniałym kapeluszu na głowie?

Emmi zaśmiała się.

- Zapomniałam zupełnie o tych kapeluszach. Jak mogłam? Całe dnie, gdzie tam, całe tygodnie dekorowałyśmy te kapelusze kwiatami i wstążkami. Ktoś zrobił zdjęcia?

- Chyba nie.

- Zatem wspomnienia pozostały tylko tu - Emmi puknęła palcem w czoło.

- I tu - dodała Cara, kładąc dłoń na sercu. Emmi smutno pokiwała głową.

- To były cudowne dni. Dlaczego Flo pozwala, żeby ogród jej matki dziczał?

- Chyba nie lubi zajmować się ogrodem. Jej oczkiem w głowie był dom. To przede wszystkim Miranda kochała ogrodnictwo.

- Starość, brak pieniędzy czy brak zainteresowania są przyczyną tych wszystkich zaniedbań?

- To zależy. W przypadku mojej matki to była choroba i brak pieniędzy, w moim przypadku brak czasu. - Cara spojrzała w kierunku swojego własnego domku. Chociaż był w lepszym stanie niż dom Flo, fasada wymagała odmalowania, a kraty przy ścianach odchyłały się pod ciężarem nieprzyciętych winorośli. Kiedy ona znajdzie czas, żeby się tym zająć?

- Skoro mowa o czasie, najwyższa pora stanąć przed obliczem Flo. - Emmi ujęła kołatkę na drzwiach, oczywiście w kształcie żółwia morskiego.

Zapukała trzy razy. Flo otworzyła, wycierając dłonie w ścierkę. Nie wyglądała wcale na zapomnianą przez gości gospodynię. Jeden policzek miała przypudrowany mąką.

- Wreszcie!

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedziała Cara.

- Nie przepraszajcie. Świetnie się bawimy - poinformowała ją Flo tonem, który nie dopuszczał żadnych przeprosin. Odsunęła się i machnęła niecierpliwie ręką, żeby wchodziły. - Szybko, żeby nie nawlatywało różnych insektów.

Już w holu Cara poczuła zapach świeżo pieczonych ciastek i natychmiast zrobiła się piekielnie głodna.

- Nie mów mi tylko, że spóźniłyśmy się na kolację i już jesteście przy deserze.

- Nie, skądże.

Przeszły przez pokój frontowy wypełniony antykami, które od pokoleń były w rodzinie Flo. Szal Mirandy, w turecki wzór, z frędzlami, przyozdabiał kanapę, maskując wytarte obicie, a na półkach i stoliczkach stały gęsto fotografie i rozmaite figurki. Dopóki Miranda żyła, Flo ciągle narzekała, że za dużo tych bibelotów, ale po śmierci matki nie miała serca usunąć ani jednej rzeczy.

Na zewnątrz twarda i szorstka, Florence Prescott była też osobą sentymentalną i dlatego Cara stała się jej tak bliska. A Carze, kiedy

weszła za Flo do kuchni, zakręciło się w nosie od pyłu mącznego unoszącego się w powietrzu.

Flo spieszo było do kuchni, gdzie przy stole na drewnianym taborecie stała mała kucharka i zagniała kolejną porcję ciasta. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się szeroko szczerbatym uśmiechem.

- Cześć, ciociu Caro. Chcesz ciastko? Są naprawdę dobre. - Buzia Lovie była umorusana mąką, mąka była na bluzeczce oraz w promieniu metra wokół niej.

Cara odwzajemniła uśmiech.

- Pachną bosko. - Zaburczało jej w brzuchu i dopiero teraz uświadomiła sobie, że tego dnia nie jadła lunchu. - Umieram z głodu.

- To jedz. - Flo odsunęła krzesło. - Siadaj. Ty też, Emmie. Czekamy jeszcze na Toy, więc nie jesteście tak strasznie spóźnione. Można powiedzieć, że przyjechałyście nawet trochę za wcześnie. Napijcie się wina czy raczej zimnego mleka, tak jak ja i Lovie?

- Ja poproszę wino - powiedziała Emmi.

- A ja z rozkoszą napiję się kawy - dodała Cara. - Z odrobiną mleka.

Z cichym westchnieniem opadła na krzesło obok Lovie. Od lekarza wyszła strasznie spięta i dopiero teraz poczuła się trochę swobodniej. Lovie z zapalem oblizywała umazane mąką palce.

- To jest najprzyjemniejsze - powiedziała do niej Cara.

Lovie wyciągnęła łapkę.

- Wolę ciastko, dziękuję.

Flo otwierała szafki i wyjmowała naczynia.

- Wszystko jest dzisiaj spóźnione, ale kto patrzyłby na zegar?

Emmi spojrzała na Care, na zegarek, wzruszyła ramionami, po czym wyjęła z torebki telefon komórkowy i wyszła do holu. Wróciła po chwili.

- Odwołałam randkę. Flo osłupiała.

- Umówiłaś się na randkę, dzisiaj?

- Na drinka po kolacji, ale skoro mamy spóźnienie, to nie chcę stąd wybiegać jak do pożaru. Złamałam mu serce, jestem pewna.

Flo nie mogła tego najwyraźniej ogarnąć swoim umysłem.

- Ale przecież umówiłaś się z nami na kolację. Jest już po szóstej. Kiedy chciałaś się spotkać z tym dżentelmenem? O ósmej? Dziewiątej?

Emmi wyciągnęła rękę po talerze, które trzymała Flo.

- Kto wie? Może o dziesiątej. Noc się dopiero zaczyna. Poza tym bardziej mnie interesuje to, co po drinku.

Flo zaniemówiła. Oddała jej talerze i spojrzała na Lovie.

Cara powściągnęła uśmiech i pogratulowała Emmi w duchu, że potrafiła uciszyć Flo, ale sama z niepokojem obserwowała, jak jej przyjaciółka zalicza kolejnych adoratorów. Nie była pruderyjna, ale też nie poznawała swojej dawnej Emmi.

Emmi pochwyciła jej wzrok.

- A ty co tak siedzisz jak królowa Saby? Nie masz zamiaru pomóc?

- Powinam - Cara odchyliła się na krześle - ale nie mam siły.

- Ja mam jej dość za nas dwie, siedź sobie. - Emmi westchnęła, przestała nakrywać do stołu i potoczyła wzrokiem po kuchni Flo.

Reszta domu mogła być urządzona wedle gustów Mirandy, ale kuchnia należała do Flo. Flo lubiła gotować i całkowicie przerobiła swoje królestwo, oczywiście wedle własnych upodobań. Ogromne okno, świetliki w suficie, ściany wyłożone białymi panelami, sosnowe szafki, blaty z białego marmuru udekorowanego w tej chwili dwoma tuzinami ciasteczek czekoladowych. Kilka z nich Flo ułożyła właśnie na talerzyku.

- Lubię tę kuchnię. Zawsze lubiłam - rozrzewniła się Emmi.

- Dziękuję, kochanie. Możesz ją sobie wziąć.

- Może wezmę - odpowiedziała Emmi nie do końca żartem. -
Chcę sprzedać swój domek plażowy.

Flo i Cara zaniemówiły.

- Co jesteście takie wystraszone?

- Emmi - zaczęła Flo karcącym tonem - twoi rodzice mieszkali na wyspie prawie tak długo jak moi. Nie możesz tak po prostu sprzedać tego domu.

- Mogę.

- Dlaczego chcesz się go pozbyć? - zapytała Cara łagodnie.

- Po pierwsze, tylko to rozważam. Jednak chyba nie mogłabym tu mieszkać. To zawsze była chatka na wakacje, a nie normalny dom.

- Mogłabyś-coś zmienić, przebudować - podsunęła Cara.

- Mogłabym. Mogłabym też sprzedać go i zamieszkać gdzie indziej. Posłuchajcie, ja się tylko na razie zastanawiam.

- To pozastanawiaj się jeszcze trochę - rzuciła Flo i odwróciła się plecami do Emmi, zamykając temat. Emmi podniosła ręce w geście rezygnacji i wróciła do nakrywania.

Flo postawiła przed Carą ciastka i parującą kawę.

- Wyglądasz okropnie. Bez urazy.

- Bez urazy. Wszystko w porządku, tylko jestem wykończona, miałam ciężki dzień.

Flo założyła rękawice kuchenne, wyjęła z piekarnika garnek i postawiła na stole. Kiedy uniosła pokrywę, Cara zobaczyła bulgocącą jeszcze potrawę i poczuła zapach czosnku, wina i wielu aromatycznych przypraw. Znowu zaburczało jej w brzuchu.

- O Jezu - jęknęła. - Pachnie cudownie. Co to takiego?

- Boeuf Bourguignon. Mam nadzieję, że jesteście głodne, bo wystarczy dla całej wsi. Mamy do tego świeżo upieczoną bagietkę i sałatkę. - Opuściła pokrywę i zamknęła piekarnik. - Oby nie wystygło, zanim pojawi się Toy.

- A kiedy ma przyjść?

- Niedługo. Coś ją zatrzymało w pracy. Znowu. Dlatego mam dzisiaj małą pomocnicę.

I dlatego kolacja jest spóźniona, pomyślała Cara. Flo i Cara wypracowały sobie system opieki nad Lovie, który dla małej oznaczał bezpieczeństwo i miłość, a dla Toy był ogromnym wsparciem. Dzięki temu mogła skończyć studia i podjąć pracę. Flo zajmowała się Lovie rano, Cara po południu. Przez pięć lat system działał doskonale, ale kiedy ostatnio Toy zaczęła wracać późno z pracy, a Cara miała coraz

więcej zajęć w Eco-Tours, to głównie Flo zajmowała się Lovie.
Należało coś z tym zrobić.

Ale nie dzisiaj wieczorem, pomyślała zmęczona. Sięgnęła po ciastko, ugryzła i poczuła błogą rozkosz.

- Nie zjem ani jednego - oświadczyła Emmi, nachylając nos nad stojącym na blacie kuchennym talerzem i wachając z lubością.

- Jedz - zachęciła ją Flo i spojrzała na Emmi z dezaprobatą. - Mizernie ostatnio wyglądasz.

- Mizernie? Naprawdę? - zapytała Emmi, najwyraźniej spodobało się jej rzadko już używane określenie. - Wiesz, jak to się mówi. Najlepiej smakują znikające kilogramy. - Oderwała się od ciasteczek i usiadła przy stole. - Jakież ostatnie plotki?

- Ja nie mam nic - powiedziała Cara, unikając jej wzroku. Korciło ją strasznie, żeby opowiedzieć dziewczynom o wizycie u lekarza, ale ustalili z Brettem, że na razie nikomu nie będą nic mówić.

- Ja mam coś - oznajmiła podekscytowana Flo, podchodząc do stołu. - Zgadnijcie, kogo każdego wieczoru w ostatnim tygodniu odwiedzał pewien dżentelmen?

- Kogo? - Emmi czekała w napięciu.

Flo zerknęła przez ramię na Lovie, ale mała była bez reszty pochłonięta zagniataniem ciasta. Flo nachyliła się i szepnęła:

- Moją sąsiadkę.

- Naprawdę? Nie powiedziała ani słowa - zdziwiła się Cara, zniżając głos. Przysunęła się bliżej. - Jesteś pewna, że to nie był jakiś elektryk czy hydraulik?

- Skarbie, nie widziałam jeszcze takiego hydraulika. Wysoki, ciemnowłosey, przystojny, elegancki.

- Cholera - mruknęła Emmi.

Na ustach Cary pojawił się domyślny uśmiezek.

- Muszę was rozczarować, ale ten opis podejrzenie pasuje do faceta, z którym Toy pracuje. Toy mówiła mi, że Akwarium występuje o grant, a oni piszą razem aplikację. Jestem pewna, że to właśnie on. Na twarzy Flo odmalowało się rozczarowanie.

- Och.

- Poznałam go, kiedy zawieźliśmy Maleńką do Akwarium - ciągnęła Cara. - To szef Wielkiego Zbiornika Oceanicznego. Edward, Ethan, Natan... jakoś tak. Powinnyście widzieć go w czarnym stroju nurka... z tymi ciemnymi oczami.

- W stroju nurka? - zapytała Emmi.

- Tak, ociekającego wodą. Same muskuły. Emmi wyraźnie się ożywiła.

- Mają podobno świetne pokazy z nurkami. Może powinnam się wybrać?

Cara parsknęła śmiechem i włożyła kawałek ciastka do ust.

- Przystojny facet.

Flo nachyliła się nad stołem.

- Ile ma lat?

- Trzydzieści, może trochę więcej.

- Żonaty?

- Już swatasz?

- Tylko pytałam.

- Wiem, o co pytałaś. Szkoda twojej śliny. Toy nie jest zainteresowana.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ Toy nigdy nie była nikim zainteresowana. Od pięciu lat nie umówiła się z nikim na randkę.

Flo lekko się naburmuszyła.

- Nie, żebym nie próbowała.

- Czy ja - dodała Cara ze współczującą miną.

- Owszem, mężczyźni się nią interesują, ale nasza Toy jest mniszką. Złożyła śluby czystości.

- Może nie śluby czystości, ale przyrzekła twojej matce, że nigdy się nie ugnie - oznajmiła Flo.

- Chcesz powiedzieć: da sobie radę w życiu. Flo spojrzała znacząco na Lovie.

- Może powinniśmy pomówić o tym kiedy indziej. Małe dzbanuszki mają dobre uszka.

- Rozmawiacie o Ethanie? - zapytało dziecko niewinnie.

Cara zrobiła wielkie oczy i wepchnęła do ust resztkę ciastka.

- Kto to jest Ethan? - zainteresowała się Flo.

- Znajomy mamusi. Często przychodzi.

- Miły? - zaatakowała teraz Emmi.

- Mhm - odpowiedziała Lovie, oblizując palce.

- Czyta mi książeczki. Lubię go.

Cara nachyliła się do ucha Emmie.

- Nieładnie jest wyciągać informacje z dziecka. Emmi za całą odpowiedź uśmiechnęła się słodko do dziecka.

- Mamusia go lubi? Cara trąciła ją łokciem.

- Najlepsze ciastka, jakie kiedykolwiek jadłam

- oznajmiła, przerywając przesłuchanie. Lovie rozpromieniła się na ten komplement.

Miała sięgnąć już po następne, gdy zadzwonił dzwonek, a po chwili z holu doszedł głos Toy.

- Gdzie jesteście?

- Idź za nosem - zawołała Flo.

- Mama - wykrzyknęła równocześnie Lovie.

Toy weszła do kuchni. Wyglądała na równie zmęczoną jak Cara. Szara skóra, zgaszone oczy, włosy w nieładzie, szara koszulka Akwarium i spodnie khaki poplamione nie wiadomo czym. Jednak w chwili gdy spojrzała na córeczkę, oczy nabrały blasku, a twarz dosłownie ożyła.

- Kogo ja widzę! - zawołała, otwierając ramiona. Ucałowała Lovie, nie bacząc na mąkę i ciasto, którymi mała była przyozdobiona.

- Pomagałaś Flo?

- To ja zrobiłam wszystkie te ciastka - zawołała Lovie z dumą. - Chcesz jedno?

- Za chwileczkę. - Odwróciła głowę do Flo. - Dziękuję bardzo. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna.

- Daj spokój, to naprawdę drobiazg - prychnęła Flo. - Zjadła chyba więcej ciasta niż wykorzystała na ciasteczka.

- Najwięcej zostało na buzi i rękach - zauważyła Toy, chwyciła córkę i podeszła z nią do zlewu tak wielkiego, że można by w nim wykąpać dziecko.

Cara patrzyła zafascynowana, jak Toy jedną ręką przytrzymuje małą, a drugą odkręca kran, a potem myje z wprawą buzię i rączki Lovie. Lovie poddawała się tym zabiegom z absolutnym spokojem, zamknawszy przezornie usta i oczy. Po chwili była już czysta.

Cara oparła brodę na dłoni. Zastanawiała się, gdzie i kiedy Toy przyswoiła sobie te wszystkie macierzyńskie techniki. Pochodziła ze straszego domu, jej matka była niewiele lepsza od ulicznej prostytutki, a jednak dobrze wiedziała, czym jest macierzyńska miłość. Być może z tym trzeba się urodzić, zastanawiała się Cara. Coś w chromosomie X. Jeśli tak, to może i ona jest wyposażona w ten macierzyński gen.

- Mamusiu, duża wskazówka i mała wskazówka są na szóstce. - Lovie wskazała na zegar kuchenny. - Mogę obejrzeć kreskówki?

- To już wpół do siódmej? Może najpierw powinnaś zjeść kolację.

- Jestem najedzona.

- Objadła się ciastem - powiedziała Flo - a wcześniej zjadła sandwicza z masłem orzechowym. Pozwól jej obejrzeć kreskówki, oprzyj nogi na krześle, ja naleję ci kieliszek wina, a ty nam opowiesz, jak miewa się Maleńka.

- Zgoda, pooglądaj kreskówki - powiedziała Toy do córki. - Wiesz, jak włączyć telewizor?

- Tak, mamusiu!

- Flo, kochana, sama sobie naleję wina, ale jeśli pozwolisz, najpierw ablucje. - Obmyła pod kranem twarz, wytarła ręcznikiem papierowym i oparła się o blat kuchenny, nagle bardzo skruszona.

- Przepraszam, że się spóźniłam - zwróciła się do Flo. -

Uratowałeś mi życie, że zgodziłaś się zająć Lovie. W ostatniej chwili przed końcem pracy musieliśmy przyjąć kolejną żółwicę, dacie wiarę?

- To już piąta.

Każde napomknięcie o żółwiach przyciągało natychmiast uwagę Flo.

- Kto ją przywiózł?

- Charlotte Hope z Wydziału Zasobów Naturalnych przywiozła ją ostatniej nocy do gabinetu doktora Toma z Fripp Island. Żółwica spędziła tam noc i dzisiaj rano doktor Tom przywiózł ją do Akwarium. Biedny zwierzak... Straciła jedną trzecią przedniej płetwy, ma poranioną skorupę. Wygląda na to, że zaatakował ją rekin. Nie chcę psuć wam humoru, ale mogę pokazać zdjęcie, które zrobiłam.

- Oczywiście, pokaż - zgodziła się skwapliwie Flo.

- Uh, może jednak po obiedzie - powiedziała Emmi, a Cara ją poparła.

- Dobrze, po obiedzie - zgodziła się Toy i ciągnęła:

- Trzeba było usunąć płetwę. Pierwszy raz dawałam żółwiowi pełną narkozę. Nie jesteś w stanie powiedzieć, czy zwierzę żyje, bo nie ma jak zbadać pulsu, posłuchać bicia serca. Oddychałam za nią,

kiedy doktor Tom przeprowadzał operację. Jest świetnym nauczycielem.

- Na twarzy Toy pojawił się szeroki uśmiech. -I świetnym chirurgiem.

- Tyle się uczysz, Toy - powiedziała Cara z prawdziwym uznaniem. - Zaczynała widzieć Toy w zupełnie nowym świetle. Miała wrażenie, że jej przyjaciółka z szybkością światła przenosi się w nową galaktykę.

- Skoro mowa o nauce, pisanie aplikacji idzie nam całkiem dobrze. Ethan wiele razy ubiegał się o granty, wie, jak to trzeba robić. Jeśli dostaniemy te pieniądze...

- Skrzyżowała palce i westchnęła na myśl, co będzie mogła z nimi zrobić. - Módlcie się, żebyśmy dostali.

Flo zmrużyła oczy i przypuściła atak:

- Czy Ethan to ten młody człowiek, który odwiedza cię prawie co wieczór?

- Będziemy pracować jeszcze kilka tygodni, niemal do dnia zamknięcia listy zgłoszeń.

- Praca, praca, a przyjemność...? - zamruczała pod nosem Emmie.

Toy pokręciła tylko głową. Z sąsiedniego pokoju dochodziła muzyka towarzysząca kreskówce.

- Pięć złotych - powtórzyła Flo i usiadła przy stole, z lampką wina w dłoni. - Będziesz bardzo zajęta, to pewne. Jeśli chcesz, żebym częściej zajmowała się tym małym łobuziakiem, powiedz słowo.

Toy obracała kieliszek, intensywnie nad czymś rozmyślając.

- Dzięki, Flo. Dopóki nie będę miała dodatkowych wolontariuszy, będę musiała tkwić w Akwarium od rana do nocy. Nie wiem, jak długo potrwa, zanim powstanie zgrany zespół. Do tego czasu... - ponownie pokręciła głową. - Nie wiem. Ale nie chcę wykorzystywać twojego dobrego serca. I Cary - zwróciła się do przyjaciółki. - Zdaję sobie sprawę, że macie teraz bardzo dużo pracy. Wynajmę opiekunkę.

Flo zrobiła obrażoną minę.

- Co takiego? Posłuchaj, kotku, bardzo chętnie będę odbierać małą z przedszkola czy ze świetlicy... skądkolwiek, kiedykolwiek. Mam mnóstwo wolnego czasu. Nie ufasz mi? Nie sprawdziłam się w roli opiekunki?

Toy siedziała sztywno wyprostowana.

- Oczywiście, że ci ufam. Myślałam tylko... Nie chciałam cię prosić, bo wydajesz się zawsze taka zajęta. Masz przecież własne życie.

- Zajęta? - zdumiała się Flo. - Skarbie, ja jestem na emeryturze.

- Ale ciągle coś robisz, gdzieś biegniesz, tyloma sprawami się zajmujesz.

- Staram się wypełniać jakoś czas - odparła Flo krótko. - To jest coś innego. - Zmarszczyła brwi i spojrzała na swoje dłonie. Silne, opalone, z krótko przyciętymi paznokciami. Dłonie nawykłe do pracy.

- W moim wieku miło jest być jeszcze komuś potrzebną. Mam przynajmniej jakiś cel. Po odejściu Mirandy ty, Cara, Emmi i kochana

Lovie jesteście moją jedyną rodziną. - Podniosła wzrok. Jej błękitne oczy jaśniały w opalonej twarzy niczym szafiry. - Chyba o tym dobrze wiesz.

Cara wstrzymała oddech zdumiona tą manifestacją uczuć ze strony powściągliwej zawsze Flo. Toy powstrzymywała łzy wzruszenia, nawet Emmi zamilkła.

Flo miarowymi ruchami zgarniała okruchy ze stołu, jakby chciała zmieść razem z nimi trudne wyznanie.

- Ten dom jest taki pusty, taki cichy. Słyszę każdy swój krok. Odbija się echem jak w jakimś cholernym grobowcu. Zabawne, kiedy jeszcze żyła Miranda i przez cały dzień oglądała te swoje seriale w telewizji, miałam wrażenie, że dłużej nie wytrzymam, ciągły hałas w końcu doprowadzi mnie do szału. Teraz włączam wieczorem telewizor tylko po to, żeby słyszeć ludzkie głosy. Czy to nie głupie? Prawdę mówiąc, czuję się tu bardzo samotna.

Westchnęła i omiotła spojrzeniem kuchnię.

- Kocham ten dom, ale coraz mi trudniej.

Emmi posłała Carze spojrzenie z gatunku: a nie mówiłam.

- Nie zdawałam sobie sprawy. - Cara położyła dłoń na dłoni Flo.
- Nie, nie zauważyłam - poprawiła się.

- Pochłaniały mnie moje własne sprawy. Powinnam była zrozumieć, jak bardzo brakuje ci matki i że potrzebujesz pomocy. Musisz jednak przyznać, że świetnie robisz dobrą minę do złej gry.

- Tak - przytaknęła Toy, mocno poruszona. - A co z tymi wszystkimi zaprzyjaźnionymi panami?

Flo prychnęła.

- Jakimi znowu panami? Emmi przechyliła lekko głowę.

- Ciągłe mówisz, że jesteś z kimś umówiona. Flo uśmiechnęła się krzywo.

- Ach... o to chodzi. Mam kilku znajomych, z którymi grywam w karty. Spotykamy się raz w tygodniu, we wtorki w klubie. W czwartki w kościele jest bingo. W piątki spotkania klubu filmowego. Muszę was rozczarować, ale spotykam się i z mężczyznami, i z kobietami. Trzymamy się razem. To nie są randki.

Cara czuła, jak narasta w niej śmiech.

- Ty stara oszustko!

- Tak nas nabierać - przyłączyła się Emmi. Toy zmrużyła oczy i powiedziała tonem nagany:

- Zawsze czułam się przez ciebie jak ostatnia ofiara losu, że siedzę w weekendy w domu, kiedy ty rand-kujesz.

- Bo powinnaś wychodzić, bywać między ludźmi - odparowała Flo. - Jesteś ładna, młoda. Nie wolno chować się pod kocem.

- Nie zmieniaj tematu - wtrąciła Cara. - Po co to całe udawanie? Dlaczego nie powiedziałaś nam po prostu, że czujesz się samotna?

- Niełatwo powiedzieć coś takiego. Cześć, co słyhać? Czuję się okropnie samotna, dziękuję. A co u ciebie? - Wzruszyła jednym ramieniem. - Poza wszystkim nie chciałam, żebyście się nade mną użalały. I teraz też nie chcę.

- Nie użalamy się - oznajmiła Cara z powagą. - Żadnego użalania się.

- Po śmierci Mirandy troszczyłyście się o mnie, jakbym i ja miała zaraz odejść. Dziewczynki, w tej starej szkapie jest jeszcze mnóstwo pary. Nigdzie się na razie nie wybieram.

- Po prostu martwiłyśmy się o ciebie.

- No to się nie martwcie.

- Strasznie zaniedbałaś ogród, cały zarósł chwastami - powiedziała Emmi wprost.

Flo lekko się zaczerwieniła i spuściła wzrok.

- Pomożemy ci.

- Mogę kogoś wynająć.

- Ej, poczekaj - zaprotestowała Cara. - Przed chwilą powiedziałaś Toy, że nie powinna nikogo wynajmować, bo ty chcesz pomóc. My też chcemy pomóc.

- Przez wiele lat to ty nam ciągle pomagałaś - odezwała się Emmi. - Teraz nasza kolej.

- Jeśli się nie zgodzisz, to ja nie przyjmę twojej pomocy - oznajmiła Toy.

- Jesteście okropne, dziewczynki.

Cara spojrzała na Emmi i Toy. W jednej chwili zawarły cichy pakt i postanowiły troskliwiej opiekować się Flo.

- Nie jesteś sama - powiedziała Cara.

- Wiem, kochanie - odpowiedziała Flo, wyraźnie zakłopotana sytuacją.

- Nie jesteś sama - powtórzyła Cara.

- Wiem, skarbie. - Flo cofnęła dłoń, ale Cara ujęła ją ponownie i spojrzała Flo w oczy. Dojrzała w nich, po raz pierwszy, starość i bezbronność.

- Nie jesteś sama.

Flo otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale zamknęła je ponownie. Zwiesiła ramiona. Toy położyła dłoń na dłoniach przyjaciółek, to samo zrobiła Emmi.

- Moje dziewczynki - szepnęła Flo zdławionym głosem.

Cara cofnęła dłoń, pozostałe uczyniły to samo. Flo czułaby się koszmarnie, gdyby ktoś zobaczył łzy w jej oczach.

- Może jednak coś zjemy? - zapytała Flo z fałszywym ożywieniem i podniosła się z krzesła.

- Może napijemy się jeszcze wina? - dodała Emmi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak co roku pierwszego dnia lata dzieci w całym kraju kończyły szkołę. Pakowano walizki, wsiadano do samochodów i całą rodziną wyjeżdżano nad morze. Na Isle of Palms pojawiały się samochody z Karoliny Południowej i Północnej, Ohio, New Jersey, Illinois i innych stanów.

Cara nie znosiła jazdy przez Palm Boulevard między czwartą a piątą po południu, szczególnie w weekendy. Samochody stały w korkach, przesuając się w żółtym tempie w stronę promu łączącego wyspę z lądem. Spojrzała w lusterko wsteczne. Na tylnym siedzeniu jej bratanica Linnea pokazywała coś Lovie w kolorowym piśmie dla nastolatek. Zabrała dziewczynki na zakupy do Town Center. Kupiły sobie kostiumy kąpielowe, klapki, kapelusze plażowe i różne ozdóbki do włosów, jakieś śmieszne klipsy. Miała mnóstwo uciechy, obserwując, jak dokonują wyborów. Linnea, jak przystało na nastolatkę, była ekspertką od najnowszych trendów w modzie. Małej Lovie podobało się wszystko, co błyszczący.

Cara z trudem powściągała uśmiech, słuchając, jak Lovie ze wszystkich sił próbuje pokazać Linnei, jaka jest już dorosła. Pokazywała jej fioletowy lakier do paznokci, taki błyszczący, z brokatem, który właśnie wybrała. Linnea nigdy nie przewracała oczami i nie robiła min, kiedy Lovie powiedziała coś niemądrego. Wspaniałe dziewczynki, pomyślała Cara i podjęła szybką decyzję.

Skreśliła z Palm Boulevard na parking „Acme Cantina”, swojej ulubionej restauracji.

- Idziemy coś zjeść, ciociu? - zapytała Linnea, podnosząc wzrok znad czasopisma.

- A dlaczego by nie? Nie mam ochoty gotować, poza tym zasłużyliśmy na coś specjalnego.

- Ale tata nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy. On nie lubi czekać.

- Niech trochę sobie poczeka. Dobrze mu to zrobi. Cara wyłączyła silnik i obejrzała się do tyłu. Buzia

Linnei spochmurniała, mała była wyraźnie zmartwiona. Już nie taka mała, pomyślała Cara. Linnea miała trzynaście lat i z pulchnej dziewczynki przeobrażała się w patykowatą nastolatkę. Smukła szyja, wysoko osadzone kości policzkowe i świetliste błękitne oczy, wszystko to zapowiadało, że kiedyś będzie piękną. Miała nos matki, ale poza tym wdała się w swoją babkę Olivie Rutledge.

Tak bardzo przypominała jej matkę. Kiedy Olivia się martwiła, robiła taką samą minę jak teraz Linnea. Cara poczuła, że musi koniecznie rozproszyć wzrastający niepokój bratanicy.

- Nie martw się, kochanie. Nie zrobię nic, co mogłoby wpędzić cię w kłopoty.

- Tata będzie okropnie zły, jak nie przyjedziemy na czas.

- Naprawdę? - zapytała z przekąsem.

Jej brat, Palmer, bywał kochany, ale potrafił zachować się jak ostatni dupek. Od kiedy wróciła na Isle of Palms, ścierali się przy

różnych okazjach. Braciszek nie znosił, kiedy wygłaszała własne opinie, co nie przeszkadzało mu wypowiadać swoich - głośno i aż nazbyt często. Kiedy mieszkała w Chicago, nie miała okazji do zbyt częstych kontaktów z nim, jego żoną Julią i dwójką ich dzieci. Nie poznałaby bratanicy i bratanka, gdyby spotkała ich na ulicy. Żaden powód do dumy. Przez ostatnich pięć lat nadrabiała stracony czas. Zapraszała dzieci na weekendy do siebie, psuła je prezentami i zabierała całą rodzinę na biwaki na Capers Island, dokąd płynęli stateczkiem wycieczkowym Bretta. Cara i Julia utrzymywały poprawne stosunki, natomiast Brett i Palmer zapałali do siebie nieoczekiwaną przyjaźnią. Kiedy byli razem, zachowywali się jak dwa rozbuchane wyrostki, szczególnie na wodzie. Cara obserwowała ich zawsze z rozbawieniem.

Jednej rzeczy nie tolerowała w swoim bracie - jego skłonności do rządzenia w domu twardą ręką. Ofiarami . tej jego skłonności padały przede wszystkim żona i córka, wobec syna był bardziej pobłażliwy. Pan i i władca. Przejął tę cechę po ich ojcu.

- O której tata ma po ciebie przyjechać? Linnea spojrzała na swój wielki zegarek. I

- Za godzinę. j

Cara wyciągnęła komórkę.

- Zadzwoń i powiem mu, gdzie jesteśmy. Może odebrać cię równie dobrze stąd jak z domu. Dobrze?

Linnea rozpogodziła się.

- Dobrze.

Odłożyła swoje pismo i odpięła pas.

Tuż przed zachodem słońca to najlepsza pora, żeby usiąść gdzieś na powietrzu i zjeść coś dobrego. Na tarasie restauracji pełno było gości, ale w środku prawie pusto. Od razu dostały stolik. Cara chciała porozmawiać z Linneą o planach wakacyjnych. Czerwiec się kończył, lipiec bratanica spędzała zwykle z nią i Brettem w ich domu na Hamlin Creek. Linnea uwielbiała chodzić rano na plażę z żółtwarzami, popołudniami surfowała i spędzała czas z przyjaciółkami, a Cara chętnie przyjmowała dzieciaki u siebie.

„Acme Cantina” słynęła z kuchni teksasko-meksykańskiej. Cara zamówiła swoją ulubioną sałatkę fajta z kurczakiem, Linnea wybrała burrito serowe, Lovie, oczywiście, wzięła to, co Linnea.

- Za udane lato. - Cara uniosła szklanekę z wodą mineralną.

- Fajnie, że zaprosiłaś nas na jedzenie - powiedziała Linnea. -

Mama i tata wychodzą dzisiaj wieczorem, co znaczy, że znowu będziemy musieli z Cooperem zamówić sobie pizzę. - Zmarszczyła nos. - Nie mogę tego jeść. Za dużo kalorii.

Cara posłała szczupłej trzynastolatce surowe spojrzenie.

- Ty mówisz o kaloriach? Kochanie, nawet o nich nie wspominaj. Jesteś taka młodziutka. Możesz jeść wszystko, na co masz ochotę, i tak to spalisz. Pamiętam te dawne dobre dni. Poczekaj, kiedy będziesz w moim wieku...

- Masz świetną figurę, ciociu. Jesteś wysoka, szczupła, a ja jestem niska.

- Linneo... - Dlaczego młodzi nigdy nie potrafią cieszyć się tym, co mają, tylko zazdroszczą innym, uważając, że tamci są lepsi albo szczęśliwsi. - Kiedy byłam w twoim wieku, cierpiałam męki, bo miałam długie nogi, duże stopy i niesforne włosy, ciemne na dodatek, co już było szczytem nieszczęścia. Chciałam wyglądać jak moja matka. Jak ty teraz - dodała melancholijnie. - Twoja babka była piękną. Taka prawdziwa belle z Południa - drobna, jasnowłosa, pełna gracji. Ja wzięłam wszystko po Rutledge'ach, czyli cechy wspaniałe dla chłopaka. Wysoka, ciemnowłosa, przemądrzała - na Południu była to dla dziewczyny dyskwalifikacja, przynajmniej w czasach, kiedy dorastałam. Takie brzydkie kaczątko.

- Ale wyrosłaś na łabędzia.

- Mówiłam ci już dzisiaj, że cię kocham? Powiedz mi jeszcze coś miłego - dodała ze śmiechem.

- Mnie też kochasz? - Lovie zaniepokoiła się, że została pominięta. Klęczała na kanapce przy stoliku, żeby wygodniej sięgać po szklankę z wodą. Mała też zapowiadała się na prawdziwą piękność.

- Z całego serca.

Cara położyła dłoń na środku stolika.

- Dobrze, zawrzyjmy pierwszy pakt tego lata. Przyrzeknijmy sobie, że zawsze będziemy się kochać, zawsze, cokolwiek się stanie.

Uwielbiały na początku każdego lata zawierać sekretne pakt. Serce wezbrało jej czułością, kiedy dwie małe dłonie spoczęły na jej dłoni.

- Na zawsze - powiedziały chórem.

Na stoliku pojawiły się zamówione dania. Po pierwszym kęsie Cara podjęła temat:

- Zastanawiam się nad planami na lato. Jesteś już poważną staruszką, Linneo. Co byś powiedziała na pracę? Brett chętnie wzięłby cię na swój statek. Nie musiałabyś robić nic wielkiego. Wyciągałabyś zastawki na kraby, pokazywała turystom muszelki. Takie proste zajęcia.

- Przez całe lato? - zaniepokoiła się Linnea.

- Może nie przez całe. - Kiedy panna nie zareagowała, Cara dodała. - Powiedzmy przez miesiąc.

Linnea zamieszała wodę słomką.

- Nie wiem, ciociu. Brzmi wspaniale, ale... - Podniosła wzrok. - Jest jedna rzecz. Wyjeżdżam na lato. Na obóz. Wszystko już załatwione. W jedno takie fajne miejsce w Karolinie Północnej. Wszystkie dziewczyny jadą.

Cara nigdy nie miała przyjaciółek w szkole, ale nawet ona wiedziała, że „jeśli wszystkie dziewczyny jadą”, to błędą przy tym wszelkie inne plany wakacyjne. Ale lato z dala od plaży? Nie była w stanie sobie tego wyobrazić.

Linnea wdała się w długi, nieskładny opis obozu w górach, opowiadała o koleżankach, o tym, co będą robić, i że po drugiej stronie jeziora będzie obóz chłopaków. Cara słuchała, zmagając się z rozczarowaniem. Miała tyle do przekazania tej młodej dziewczynie, doświadczenia tylu lat. Widziała siebie nie tylko w roli ciotki, ale też mentorki Linnei.

Przyglądała się buzi Linnei, słuchała i zaczynała rozumieć, że jej bratanica tego lata po raz pierwszy posmakuje niezależności.

- Brzmi fantastycznie - skłamała, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. - Chyba cię rozumiem. Nie wiem tylko, jak mam to powiedzieć wujkowi Brettowi. Liczył na to, że spędzisz z nami lipiec.

Lovie była załamana.

- Nie będziesz do nas przychodziła tego lata?

- Będę, jak wrócę z obozu. Nie mogę przecież spędzić całego lata bez żółwi.

- Wygląda na to, że zostajemy same, dzieciaku - zwróciła się Cara do Lovie.

- Ciociu, jak Linnea wyjeżdża, to ja chcę chodzić z żółwiarzami, mogę?

Cara spojrzała w błękitne oczy szkraba i uświadomiła sobie, że Lovie też dorasta. Miała prawie sześć lat i przestała być już małym głuptaskiem. Może była to kwestia kuracji hormonalnej, może perspektywa im-plantowania jajeczka, ale nagle wezbrały w niej emocje. Toy, Linnea, teraz mała Lovie. Wszystkie moje dzieci dorastają, pomyślała i na jej ustach pojawił się słod-ko-gorzki uśmiech.

- Myślę, że będziemy mieli jedno wolne miejsce. Co ty na to?

Lovie pokiwała z entuzjazmem głową. Cara spojrzała na Linneę, która uśmiechała się z aprobatą. Ponownie zwróciła spojrzenie na Lovie.

- Będziesz musiała przejść podstawowe szkolenie, ma się rozumieć. Wczesne wstawanie bez marudzenia i wieczory z komarami. Jesteś przygotowana?

- Tak - odparła Lovie takim tonem, jakby składała ślubowanie.
- Będziesz pilnowała, żeby inne dzieci nie dotykały żółwików.
- Poradzę sobie.

Cara udała, że mierzy Lovie surowym spojrzeniem, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Zatem w porządku, należysz do żółwiarzy. Lovie nie posiadała się z radości.

Linnea uściskała ją serdecznie, a Cara pomyślała o wszystkich dzieciakach, które jej matka uczyła zajmować się żółwiami morskimi. I znowu wezbrały w niej emocje podobne do tych, jakie towarzyszą przekazywaniu pochodni.

Cara miała już zacząć opowiadać o letnich planach Miłośniczek Żółwi, kiedy kątem oka dostrzegła w drzwiach restauracji Palmera. Najwyraźniej pytał kelnerkę, gdzie siedzą szukane przez niego damy. Przerwała swoje wywody.

- Twój tata przyjechał.

Linnea połknęła ostatni kęs burrito i pobiegła przywitać się z ojcem.

- Spokojnie, skarbie - powiedział Palmer, ściskając córkę. - Nie pali się. Pozwól mi przywitać się z własną siostrą. - Nachylił się i pocałował Carę w nadstawiony policzek. - Co u ciebie słychać, siostrzyczko?

- Dziękuję, wszystko w porządku. A u ciebie?

- Nie narzekam. - Wyjął z kieszeni dwie

dwudziestopięciocentówki, jedną dał Linnei, drugą Lovie. - Przy drzwiach jest maszyna z kulkami, idźcie i zobaczcie, co wam wyrzuci.

Dziewczynki odeszły, a Palmer usiadł na obitej skórą ławeczce. Miał już brzusek, ale wcisnął się jakoś. Rumiana twarz świadczyła o częstym przebywaniu na słońcu i słabości do bourbona.

- Widzę, że znowu opiekujesz się jej dzieciakiem. Palmer zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby wyprowadzić ją z równowagi.

- Jej dzieciakiem? - powtórzyła lodowatym tonem.

- Taa, dzieciakiem Toy. Mała Lovie, zgadza się? - zapytał, przeciągając imię przez zęby. - Nie rozumiem, jak mogła dać jej imię po naszej matce. Trochę to bezczelne, nie uważasz?

- To oznaka szacunku. I miłości. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć?

Palmer wzruszył ramionami.

- Dla mnie to dziwne. Jakby spodziewała się czegoś w zamian.

- Jezu drogi... - Cara odsunęła gwałtownie talerz. W tej samej chwili pojawiła się kelnerka.

- Podać coś, sir?

- Colę proszę.

- Dla mnie już nic, dziękuję - powiedziała Cara i zwróciła się do Palmera: - Podobno jesteście z kimś umówieni wieczorem?

- Później. Jeśli masz chwilę, chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

- Strzelaj.

- Chodzi o tę Toy Sooner. Właściwie nie o nią, tylko o domek plażowy.

Cara zjeżyła się. Domek zawsze stanowił temat zapalny w ich rozmowach. Palmer nigdy nie pogodził się z tym, że ich matka zostawiła domek Carze. Sam odziedziczył dom rodzinny przy Tradd Street w Charlestonie i wszystkie antyki tam zgromadzone, domek wakacyjny nad jeziorem Lure oraz rodzinną firmę armatorską. Ale jak mówiła ich matka, Palmer zawsze wiedział, gdzie stoją konfitury. Cara przekonywała się teraz na własne oczy, że Olivia miała rację.

- Co z domkiem plażowym? - zapytała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

- Zdajesz sobie sprawę, ile jest dzisiaj wart.

- Znowu.

- Wysłuchaj mnie. Twoje podatki podskoczyły. - Rozłożył szeroko dłonie. - O ile? O pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent?

- O czterdzieści. Tak samo ubezpieczenie. To wiadomo. O co ci chodzi?

Palmer gwizdnął cicho.

- Sporo. Chyba nie zdradzę tajemnicy, kiedy ci powiem, że Brett ze mną rozmawiał.

Cara otworzyła szeroko oczy. Tego akurat nie potrafiła zrozumieć.

- O czym?

- Spotykamy się czasami, jak to facet z facetem i rozmawiamy o finansach.

- Braciszku drogi, ja prowadzę finanse w naszej rodzinie.

Palmer zaśmiał się niskim, gardłowym śmiechem. Ten śmiech zawsze rozładowywał napięcie między nimi.

- Skarbie, jestem po twojej stronie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że twój mąż martwi się, jak będziecie sobie radzić ze wszystkimi płatnościami. Wprost tego nie powiedział, jest wobec ciebie zbyt lojalny, ale otworzyłaś dwie nowe filie firmy. To spore obciążenie.

Cara poczuła ucisk w piersi i wyjrzała przez okno. Wszystko, co mówił, było prawdą. Zauważyła wielką reklamę agencji nieruchomości z East Island, zachęcającą do zakupu mieszkań w kondominium: trzy sypialnie i tylko niecały milion, prawdziwa okazja. Rzeczywiście była to okazja, bo ceny szły nieprzypadkowo w górę. Brett niepokoił się o pieniądze, pomyślała trochę mgliście.

Kelnerka przyniosła colę i Palmer upił potężny łyk. Kiedy skończył, zapytał:

- Ile od niej bierzesz za mieszkanie?

Cara westchnęła. Liczyła Toy możliwie najniższy czynsz, tak żeby sama nie traciła i żeby Toy była w stanie podolać opłatom.

- Płaci tyle, ile może - odparła wymijająco. - Kończyła college, wychowywała małą. Pracowała nocami, żeby zarobić na życie. A teraz ma nie tylko pracę, ale stanowisko. Zarabia niewiele, ale otwierają się przed nią perspektywy. Odmieniła całkowicie swoje

życie, jestem z niej bardzo dumna. Wiesz, że to była ostatnia wola naszej matki, żebym jej pomogła.

- I pomogłaś. Nikt nie powie, że nie, ale to trwa już pięć lat, Cara. Pięć lat. Myślę o tobie, nie o niej. Od turystów mogłabyś wziąć cztery, pięć razy tyle, co od tej dziewczyny.

- Być może...

Palmer nachylił się do niej.

- Jak długo zamierzasz ją hołubić?

- Nie wiem - powiedziała, czując się coraz bardziej nieswojo. - Nie ustalałyśmy tego. - Brett poruszył ten sam temat, kiedy ostatnio musieli płacić za kosztowną kurację Cary.

- Powiedzmy to wprost, ona jest dla ciebie obciążeniem finansowym. Pomyśl o tym. Tyle tylko chciałem ci powiedzieć.

Cara zacisnęła usta.

- Myślałam. Wiem, że moglibyśmy brać wyższy czynsz, znacznie wyższy. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że te pieniądze nie są nam potrzebne, ale ani Brett, ani ja nie potrafilibyśmy powiedzieć Toy, żeby poszukała sobie innego mieszkania. Ta dziewczyna dopiero staje na nogi. To rodzina.

- Rodzina. - Palmer uniósł głos. - Nie czuję z nią żadnego pokrewieństwa.

- Ja tak. W sercu jest dla mnie rodziną.

- Twoja rodzina to Linnea i Cooper. Kochają cię i potrzebują.

- Ja ich też potrzebuję, ale oni mają także ciebie i Julię. Linnea na naszych oczach staje się młodą kobietą. Toy nie ma nikogo. A mała

Lovie... - Cara zamilkła, wzruszenie odebrało jej głos. Jak ma wytłumaczyć bratu, co czuje do tego dziecka?

- Myślisz, że to dobrze tak się angażować w wychowanie dziecka innej kobiety?

- Być może nigdy nie będę miała własnego. Palmer westchnął.

- Wiem, Przepraszam,

- W porządku - odparła, chociaż nic nie było w porządku.

- Nie myślałaś nigdy o adopcji? Mnóstwo ludzi tak robi.

- Oczywiście, że myślałam, ale cały czas walczę o to, żeby mieć własne.

- Nie robisz się coraz młodsza.

- Dziękuję ci bardzo. Postaram się o tym pamiętać, a ty pamiętaj, że jesteś starszy ode mnie.

Na twarzy Palmera pojawił się szeroki uśmiech.

- A ty z kolei pamiętaj, siostrzyczko droga, że z wiekiem przychodzi mądrość.

Kilka dni później, kiedy Toy wysiadła z windy na drugim piętrze Akwarium, usłyszała głośny plusk wody i stłumione przekleństwo.

- Ethan? - zawołała i przyspieszyła kroku. Nie widziała go nigdzie. Kolejny chlupot. Zatrzymała się zdumiona. Ethan, zanurzony w zbiorniku Maleńkiej, najwyraźniej uganiał się za żółwicą. Wystawił głowę na widok Toy.

- Dzięki Bogu, że jesteś. Łap wiadro. Czyste. I dawaj je tu szybko.

Toy ogarnęła panika, odstawiła wiadro z jedzeniem Maleńkiej i pobiegła po inne.

- Co się dzieje? - zawołała przez ramię, płucząc wiadro pod zlewem. Tak się spieszyła, że cała opryskała się wodą. - Z Maleńką wszystko w porządku?

Ethan uniósł ręce. W złożonych dłoniach trzymał trzy idealnie okrągłe żółwie jaja. Uśmiechnął się uśmiechem dumnego ojca.

- Żartujesz. Maleńka złożyła jaja?

- Chyba że to piłeczki pingpongowe.

Maleńka zaczęła pływać powoli w swoim zbiorniku z pleksi, a Ethan za nią, z wyciągniętymi przed siebie dłońmi. Toy parsknęła śmiechem.

- Wyglądasz jak łapacz na boisku baseballowym, czekający na następne podanie - powiedziała.

- Chodź tu i spróbuj je łapać.

- Nie, nie pozbawię cię tego honoru. Widzę, jaka to dla ciebie frajda. Poza tym akt pełen szlachetności. - Masz. - Podniosła wiadro do brzegu zbiornika. - Włóż je tutaj.

Ethan zbliżył się i ostrożnie umieścił jaja w białym wiaderku.

- Oho! Uważaj! Przygotuj się. Zaraz będziesz miał następne.

Rzucił się z powrotem ku żółwicy, która właśnie wyprodukowała jedno, a zaraz potem dwa następne jaja, które spływały powoli w nadstawione dłonie Ethana. Te też trafiły do wiaderka.

- Plaża to nic w porównaniu z tym, co dzieje się tutaj.

Kolejne jajo i nadstawione dłonie Ethana. Umieścił jajo w wiaderku.

- Czteryście osiemdziesiąt pięć i rozgrywamy dalej. -

Najwyraźniej spodobała mu się metafora baseballowa.

- To takie smutne, że tkwi zamknięta tutaj i nie może złożyć jaj w gnieździe na plaży. Nie wiem, co z nimi zrobić.

- Żółwie to twoja działka, nie moja.

Ostrożnie uniosła wiadro i przyjrzała się jajom.

Ethan miał rację, co nie zmieniało faktu, że czuła się kompletnie zbita z tropu.

Obserwowali Maleńką jeszcze długą chwilę, wreszcie Ethan wzruszył ramionami i zbliżył się do brzegu zbiornika.

- Ja mam dość. Maleńka chyba też. Przynajmniej chwilowo. Jeśli nie, ty wskakujesz do zbiornika.

- Tak będzie uczciwie. - Ostrożnie postawiła wiaderko na podłodze.

Ethan chwycił się brzegu zbiornika i zręcznie wyskoczył na zewnątrz. Z ubrania, które teraz przylegało do ciała niczym druga skóra, obficie spływała woda.

Do tej pory był dla niej kimś, z kim pracowała i kogo poważała, jak poważa się swojego nauczyciela. Ale teraz dostrzegła, że ma smukłe, muskularne ciało. Kiedy zdjął ociekający wodą T-shirt, poczuła, że policzki jej płoną. Odwróciła się błyskawicznie, ale zdążyła jeszcze dojrzeć owłosioną, dobrze umięśnioną pierś.

- Nie chcę tego oglądać - mruknęła pod nosem i poszła szybko do pomieszczenia gospodarczego. Wróciła z dwoma ręcznikami w ręku.

- Wytrzymaj się - rzuciła niemal opryskliwie i podała ręcznik, nie patrząc na Ethana.

- Gdybym miał dolara za każdy skok do zbiornika, byłbym bardzo bogatym człowiekiem.

Toy podeszła do wiaderka i drugim ręcznikiem przykryła jaja, odwracając się do Ethana plecami.

- Zaledwie kilka jaj... - mruknęła. - Chciałabym jak najszybciej pojechać na plażę i zakopać je w piasku.

- Obawiam się, że to czysto życzeniowe myślenie.

- Ethan nachylił się, żeby wytrzeć nogi. - Nie wiemy nawet, czy te jaja są zapłodnione. - Wyprostował się i utkwiał w niej spojrzenie. - Prawdopodobnie nie są.

- Prawdopodobnie są. Inaczej nie zwapniłyby się.

- Ona bardzo długo dryfowała. Na twoim miejscu nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei.

- Tak czy inaczej najlepsze, co mogę zrobić, to zakopać te jaja.

- Masz rację - przytaknął ku zaskoczeniu Toy i rzucił mokry ręcznik na podłogę. - Nie zaszkodzi spróbować. Siedem jaj. To będzie rekordowo mały lęg.

Pokiwała głową, czekając, kiedy Ethan w końcu włoży koszulę.

- Ciekawa jestem, czy nastąpi ciąg dalszy.

- Nie byłbym wcale zdziwiony.

- Mogłabym przywieźć karton piasku i zrobilibyśmy gniazdo tutaj.

- I zamienili się w patrol lęgowy? Ruszajmy się. Czas ucieka. - Woda z szortów kapiała na cementową podłogę. - Spróbuj nakarmić maleńką, a ja zmienię jej wodę. Jeśli oboje weźmiemy się do roboty, uwiniemy się raz-dwa. Potem pojedziemy na plażę i zagrzebiemy jaja.

- Pojedziesz ze mną?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wyglądał teraz jak chłopiec.

- Zrobię kilka zdjęć. Taka dokumentacja. Jeśli Maleńka ma więcej jaj, a przy moim szczęściu z pewnością okaże się, że tak, będzie to pierwsza z wielu moich wędrówek.

Toy przyklepała piasek, a potem położyła dłoń w tym miejscu. Tu, na głębokości pół metra, może trochę więcej, spoczywały jaja, jak w inkubatorze. Wydma miss Lovie. Tutaj je przywiozła. Niech duch Lovie nad nimi czuwa. Piasek był rozgrzany, słońce prażyło niemiłosiernie. Ethan zrobił całą serię zdjęć i wciąż jeszcze fotografował. Krążył po wydmie, a Toy słyszała tylko ciche, szybkie klik, klik, klik, klik, jakby ktoś pisał na maszynie. Pojawili się turyści, a jakże, przejęci, że mogą zobaczyć żółwie jaja. Pochodzili z różnych stron kraju i zadawali miliony pytań, a Flo odpowiadała na wszystkie z największą radością, bo była prawdziwą znawczynią i miłośniczką żółwi.

Toy miała tylko jedno pytanie, do Ethana:

- Dlaczego robisz aż tyle zdjęć?

Ethan przykleknął na jedno kolano, wycelował obiektyw w grupkę turystów otaczającą Flo, kliknął i podszedł do Toy.

- Nie wiem, czego szukam - powiedział i podniósł aparat, zamierzając zrobić zbliżenie twarzy Toy. - Ale kiedy to znajdę, nie mam już wątpliwości. - Ponownie nacisnął spust migawki.

Toy cofnęła się.

- Potrzebne ci będzie tylko jedno, może dwa ujęcia. Ethan opuścił aparat. Nie był to zwykły kompakt,

jakim przeważnie posługiwali się turyści, którzy fotografowali teraz Flo ogradzającą gniazdo palikami i pomarańczową taśmą. Ethan miał profesjonalnego, cyfrowego Nikona z silnym transfokatorem optycznym i szerokokątnym obiektywem.

Przez moment milczał i Toy nie była pewna, czy go nie obraziła, a potem wyjaśnił:

- Zacząłem fotografować, kiedy jechałem gdzieś bez celu i nie miałem nic lepszego do roboty niż robić zdjęcia. Nic specjalnego, zdjęcia z podróży, jakie robi większość turystów, żeby upamiętnić wycieczkę i móc kiedyś, po latach, sięgnąć po nie, powspominać. Sprawa okazała się jednak bardziej skomplikowana. - Ethan patrzył Toy w oczy i mówił głosem nabrzmiałym od emocji: - Im więcej fotografowałem, tym bardziej sobie uświadamiałem, jak mogę dotrzeć do sedna sprawy, jak najlepiej utrwalić przemijający moment. Przyglądałem się własnym zdjęciom z tym samym zachwytem, z jakim patrzyłem na gwiazdy, na ocean, na rybę srebrzącą się na końcu

mojej wędki, kiedy jeszcze wędkowałem. Lubię ten pełen zdumienia zachwyty.

- I zacząłeś go szukać.

- Tak - odparł, szczęśliwy, że Toy go zrozumiała. - Zdarza się, że kiedy patrzę na wyświetlacz mojej cyfrówki, czuję silniejszy kontakt ze światem, niż kiedy oglądam rzeczywistość gołym okiem.

Zamilkł i pokręcił głową. Musiał czuć się trochę nieswojo po takim wyznaniu.

- Nigdy tak o tym nie myślałem. - Zakrył obiektyw. Toy niemal słyszała wewnętrzny dialog, jaki prowadził sam ze sobą. - Do dokumentacji rzeczywiście potrzebne mi będzie jedno, może dwa zdjęcia, ale zrobiłem znacznie więcej, bo chcę się przekonać, co jeszcze mogę odkryć. Czasami widzę na zdjęciach coś, czego w ogóle nie dostrzegłem w czasie ich robienia.

- Na przykład?

- Weźmy choćby zdjęcia, które robię w Akwarium. Żółw otwiera pysk, żeby chwycić żarcie... Może mój aparat uchwyci pierwsze oznaki infekcji gardła? Albo zmianę chorobową na łusce ryby, którą przeoczyłem. To zdjęcia, które robię w pracy i z myślą o pracy. Popatrz - podszedł bliżej i podsunął Toy wyświetlacz swojego aparatu.

Z takim samym jak on entuzjazmem oglądała zdjęcia Maleńkiej wyciągającej wychudzoną szyję i pożerającej ośmiornicę, pływającej z uniesionym zadem, bo Maleńka miała kłopoty z zanurzaniem się. Na innym leżała na plecach, poddając się badaniu. Potem były zdjęcia jaj

w wiaderku, Toy na czworakach, wykopująca dół w piasku połówką skorupy. Szczególnie piękne wydało się jej zbliżenie własnej, zapiaszczonej dłoni, z palcami zamkniętymi wokół skorupki. A potem Lovie z dłońmi opartymi na kolanach nachyliła się nad dołkiem, a na jej buzi maluje się zachwyt; jakiś jasnowłosy chłopiec wychylił się ponad jej ramieniem, żeby dojrzeć jaja, dwoje dzieci złączonych miłością do żółwi. Flo z rozświetlonymi podnieceniem oczami, podnosi ręce i z ożywieniem opowiada ciekawym turystom o żółwiach morskich. I w końcu zbliżenie jej własnej twarzy, kosmyki jasnych włosów na zaróżowionych policzkach, a w jasnoniebieskich oczach ta podatność na zranienie, z której aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę.

- Są piękne. Mógłbyś być zawodowym fotografem.

- Nie - zaśmiał się Ethan. - Nie jestem aż tak dobry technicznie.

Ten aparat daje duże możliwości, łatwo nim robić zdjęcia.

- Dla ciebie. Ja biorę do ręki aparat i jedno, co potrafię, to nacisnąć spust migawki.

- Większość produkowanych obecnie aparatów w zasadzie robi zdjęcie za ciebie. Kiedy fotografuję coś w Akwarium, kiedy robię sobie bieżącą dokumentację potrzebną do pracy, podnoszę po prostu aparat i klikam.

- A inne zdjęcia? - drażniła Toy. - Są pełne ekspresji. Jak się tego nauczyłeś?

Ethan zmrużył oczy i spojrzał na ocean. Toy miała wrażenie, że jest teraz bardzo daleko, gdzieś na widnokręgu.

- To chyba kwestia widzenia.

- Kwestia widzenia? Co przez to rozumiesz? Uśmiechnął się, trochę zażenowany.

- Trzeba umieć spojrzeć na świat innymi oczami. Dla mnie ważne są szczegóły, to one tworzą opowieść. Całościowy obraz, tak zwane wielkie narracje, to wszystko przestaje się liczyć. Nie zawsze wiem, na co patrzę. Kiedy indziej wystarczy jedno spojrzenie i już wszystko jasne. - Przerwał. - Czy to, co mówię, ma sens?

„Wystarczy jedno spojrzenie i już wszystko jasne”. Miss Lovie często to powtarzała, tylko że ona mówiła o życiu, nie o fotografowaniu, ale sens jej słów i słów Ethana był mniej więcej taki sam. „Wystarczy jedno spojrzenie i już wszystko jasne”. Toy doświadczyła tego wiele razy. Kiedy patrzyła na słońce wschodzące nad oceanem, kiedy przyglądała się śpiącej córeczce. To samo czuła, oglądając zdjęcia Ethana.

- Ma, owszem - powiedziała. - Mógłbyś... To znaczy, myślisz, że i ja mogłabym się nauczyć fotografować?

- Ale nie na tym aparacie - powiedział Ethan, wskazując na jej polaroida.

Toy zaczerwieniła się i schowała aparat za plecy.

- Och, dotąd mi wystarczał. - Nie mogła się przyznać, że nie stać jej na nic lepszego.

- Musisz mieć porządny aparat, to nie znaczy, że drogi. W każdym razie niekoniecznie od razu. Jeśli złapiesz bakcyła, nie

uwolnisz się już do końca życia. Wszystko zależy od tego, jak dużo zdjęć chcesz robić, co chcesz fotografować.

- Na pewno chciałabym fotografować żółwie. Nie mogę ciągle cię prosić, żebyś to robił dla mnie.

Odwróciła się i spojrzała na córeczkę. Lovie klęczała na piasku i przytrzymała drewniany palik, a Flo kończyła otaczać gniazdo pomarańczową taśmą. Jasnowłosy chłopiec przytrzymał inny palik. Oboje, i Lovie, i chłopiec, mieli bardzo skupione, poważne miny.

- Ale to nie wszystko. - Toy z uśmiechem wskazała na dzieci. Ethan odwrócił głowę, on też się uśmiechnął i natychmiast uniósł aparat.

- Chciałabym nauczyć się... Jak to określiłeś? Chwytać moment.

Karta zdrowia Maleńkiej

23. czerwca

Żółwica złożyła siedem jaj. Jaja zostały zawieszona na Isle of Palms i zagrzebane na głębokości sześćdziesięciu centymetrów. Nadal trwa obserwacja żółwicy. Je dużo i chętnie (dobrze). Nadal ma kłopoty z zanurzaniem się (źle). Z Clemson wróciły wyniki badań na obecność kultur bakterii na pancerzu - negatywne.

Maleńka to jedna wielka niespodzianka! TS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cara siedziała w szatni Kliniki Leczenia Bezpłodności w Charlestonie i zapinała bluzkę. Przerwała w połowie, dotknęła brzucha i zamknęła oczy.

Gdzieś głęboko pod dłonią, w jej macicy znajdowało się już zapłodnione jajeczko. Jej dziecko. Jej i Brettta...

Embrion, poprawiła się, wracając do rzeczywistości. Jeszcze nie dziecko. Otworzyła oczy i skończyła zapinać bluzkę. To dopiero pierwszy dzień, za wcześnie, żeby się angażować. Powinna zachować dystans.

Embrion będzie rósł, stanie się płodem. Implantacja przebiegła bezboleśnie, inaczej niż za pierwszym i drugim razem. Może to dobry znak?

Wyszła do poczekalni i uśmiechnęła się niepewnie do Brettta. Na jej widok poderwał się z krzesła, podszedł do niej, sadząc wielkie kroki, i ujął pod ramię.

- Pomogę ci. - Błady z przejęcia wbijał w żonę badawczy wzrok.
- Nic mi nie jest - uspokoiła go. - Wszystko poszło gładko.

Znacznie lepiej niż poprzednio. Teraz pozostaje tylko czekać na pierwsze objawy ciąży. Przechodziliśmy już przez to dwa razy, nie muszę ci mówić.

- Nudności, obrzmiałe piersi. Znam już to wszystko na pamięć.

Uśmiechnęła się znowu. Była wdzięczna Brettowi, że zachowuje poczucie humoru, kiedy ją dopada nieznośny sentymentalizm.

Pocałował ją w czoło.

- Jedźmy do domu, mamusiu.

Emmi miała wrażenie, że otacza ją zewsząd mur. Popołudnie było chmurne, mroczne. Od strony lądu ku Isle of Palms sunęły czarne chmury, niebo za Infracostal Waterway przecinały pierwsze błyskawice.

Stała na środku tonącego w półmroku pokoju i drżała. Nie było jej zimno, nie. To wspomnienia przyprawiały Emmaline Baker Peterson o dreszcze.

Zaraz po wojnie dziadkowie kupili domek plażowy na Isle of Palms, który potem przekazali jej rodzicom, a rodzice przekazali go jej. Tutaj spędzała wakacje w dzieciństwie, a kiedy wyszła za mąż, zaczęła tu przywozić swoje dzieci. Była przywiązana do tego starego domu: białej emaliowanej kuchenki, sosnowych podłóg, głębokich kanap, zdjęć rodzinnych.

Jej wielki, bijący w oczy przepychem dom w Atlancie urządzali dekoratorzy wnętrz, bo miał świadczyć o statusie Toma, który urządził w nim przyjęcia dla swoich partnerów biznesowych. W domku plażowym nic się nie zmieniało, tutaj czuła się u siebie, mogła się zrelaksować.

Kiedyś. Te czasy minęły. Teraz nie znajdowała tu spokoju. Domek przestał być jej miejscem na ziemi. Gdziekolwiek by nie spojrzała, wracały wspomnienia szczęśliwszych czasów.

Na tej błękitnej sofie w kwiatowy wzór kochała się z Tomem przy dźwiękach przyciszonego telewizora. W kuchni wisiał fartuch w

biało-czarną kratkę, tak stary jak sam dom. Ilekroć go zakładała, Tom podchodził, obejmował ją od tyłu i całował w kark. Pod frontowym oknem stał wielki, mocno zniszczony stół, przy którym siadywała jako dziecko. Miała wrażenie, że widzi, jak dwaj jej synowie, James i John, przy tym samym stole pochłaniają porcje płatków śniadaniowych. Są opaleni na brąz, długie nogi zawinęli o nogi swoich krzesel, a na ich włosach igra słońce. Na stoliku koło kanapy stoi czarny telefon, który milczy. Synowie nie odezwali się ani razu od chwili jej przyjazdu na wyspę.

Odwróciła się, przenosząc spojrzenie z przedmiotu na przedmiot. Zaczęła wirować na środku pokoju, poczuła oszołomienie, łzy napływały do oczu, serce biło szybciej. Zatrzymała się, ale miała wrażenie, że żołądek nadal wiruje. Zamknęła oczy, zatkała uszy dłońmi, żeby nie słyszeć wracających echem głosów swojej rodziny rozbrzmiewających w ciszy domu. Krew odpłynęła jej z twarzy, z piersi, z nóg i spłynęła na podłogę. Pod Emmi ugięły się kolana, osunęła się bezwładnie na podłogę.

Nie miała pojęcia, jak długo tak leżała, wyjął niczym samotny wilk. Kiedy skończyła, bolało ją gardło, zachrypła, ale głosy rozlegające się w jej głowie umilkły. Usiadła z wysiłkiem. Była osłabiona i roztrzęsiona, ale o dziwo czuła się lepiej, tak jakby żalodne zawrodozenie oczyściło jej ciało z wszelkiego bólu, który nosiła w sobie zbyt długo. Wstała i zaczerpnęła kilka długich, głębokich oddechów. Panika minęła, serce znów biło normalnie. Pozostało tylko uczucie lodowatego chłodu.

Rozejrzała się ponownie po pokoju. Tak drogie jej kiedyś przedmioty wydawały się teraz dziwnie obojętne. Złociste deski podłogi, zniszczona kanapa, zdjęcia rodzinne...

Wiedziała, co powinna zrobić. Podeszła do telefonu i wykręciła numer starej przyjaciółki, jednej z niewielu, która nie należała do znajomych Toma. Nie rozmawiała z Cindy od kilku lat, ale w przypadku starych przyjaciółek nie ma to znaczenia. Po kilku dzwonekach usłyszała w słuchawce głos z silnym południowym akcentem.

- Cześć, Cindy, tu Emmi.

- Emmi, witaj! Kiedy wróciłaś?

- Jakiś czas temu. Wybacz, że dzwonię dopiero teraz. Miałam sporo spraw do przemyślenia. Wiesz, jak to jest.

- Wiem. Cieszę się, że cię słyszę. Myślałam o tobie niedawno. Przejeżdżałam koło twojego domu i zauważyłam śliczny samochodek na podjeździe. Pytałam Chipa, czy cię przypadkiem nie widział, a potem zaczęłam się zastanawiać, czy może jednak nie wynajęłaś domku jakimś turystom.

Emmi poczuła ucisk w gardle. - Nie, nie wynajęłam. Chcę go sprzedać.

Ethan zdążył się już zdomowić u Toy. Zrezygnował z dań na wynos i przyjeżdżał wcześniej, na kolację. Mała Lovie znudziła się i przestała towarzyszyć matce i gościowi podczas pracy, wołała bawić się swoimi zabawkami albo czytać we własnym pokoju. Praca nad grantem posuwała się całkiem dobrze, mogli w zasadzie już kończyć,

ale Toy odnosiła wrażenie, że Ethanowi się nie spieszy. Robił długie przerwy, desery po kolacji jedli na ganku, prowadzili długie rozmowy. Nie o grancie i nie o Akwarium, ale o sprawach osobistych, nie związanych z pracą.

Toy dowiedziała się, że Ethan kocha rekiny, lubi żeglować i surfować, w ogóle wszystko, co ma jakikolwiek związek z oceanem. Ze zdziwieniem też odkryła, że każdego wieczoru wyczekuje niecierpliwie jego przyjścia i że stał się dla niej kimś więcej niż cenionym kolegą. Ethan z kolei dowiedział się, że Toy uwielbia poezję, lubi oglądać stare filmy, szkicować w swoim dzienniku i robić zdjęcia.

Nie miała pojęcia, jak Ethan ustalił, kiedy są jej urodziny. Nigdy nie zdradziła tej daty nikomu w Akwarium. Pojawił się w domku plażowym punktualnie o siódmej, z trochę głupawą miną i przewiązanym różową wstążką pudełkiem w dłoni. Pudełko położył na podłodze w holu i zaczął wyjmować z plecaka papiery dotyczące grantu, nad którymi pracowali.

Toy udawała, że nie zauważa tajemniczego pudełka, ale miała nadzieję, że Ethan dostrzeże bukiet świeżych kwiatów na stole i blacie kuchennym. Specjalnie z okazji urodzin upiekła tort marchewkowy. Założyła świeżą białą bluzkę, czyste szorty khaki, spryskała się nawet drogą wodą toaletową, którą dostała w prezencie od Cary i trzymała na specjalne okazje.

Skończyli już pracę nad grantem i tego wieczoru mieli tylko przejrzyć efekty pracy ostatnich trzech tygodni. Usiedli naprzeciwko

siebie przy stole i sprawdzali aplikację strona po stronie, upewniając się, czy postawili kropkę nad każdym „i”. Mała Lovie kręciła się koło nich, wyczuwając szóstym zmysłem, że ten wieczór różni się od innych.

Ethan i Toy nie zwracali uwagi na jej głośne westchnienia i pracowali wytrwale, dopóki nie doszli do ostatniej strony. Kiedy ją odłożyli, szelest papieru zabrzmiał im w uszach niczym uroczysty gong. Obydwoje odchyliłi się w krzesłach. Praca skończona. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

W tej właśnie chwili Toy poczuła silną więź z Emanem. Wiedziała już, że przekroczyli jakąś niewidzialną granicę.

Zapadła niezręczna cisza, pojawiło się nieobecne dotąd napięcie. Ethan musiał czuć się równie niezręcznie jak Toy, bo podniósł się i zaczął pospiesznie pakować papiery. Kiedy Toy usłyszała odgłos zasuwanego zamka błyskawicznego, zdała sobie ostatecznie sprawę, że skończyli pracę nad grantem.

Ethan nie miał już powodów, by przyjeżdżać do domku plażowego. Toy opuściło całe podniecenie, poczuła się pusta w środku.

Lovie stanęła obok jej krzesła.

- Możemy zjeść trochę ciasta? - zapytała błagalnym tonem. -

Proszę, mamusiu.

- Wygląda bardzo smacznie - powiedział Ethan.

- To tort marchewkowy. Upiekłam go, żeby uczcić zakończenie pracy nad grantem. - Tak naprawdę upiekła go, bo Ethan zdradził kiedyś, że to jego ulubione ciasto.

- To twój tort urodzinowy - sprostowała Lovie i wyjaśniła Ethanowi: - Te kwiaty w wazonach też są urodzinowe. Mama specjalnie je kupiła.

- Bardzo ładne.

Toy przeszła do kuchni i wyjęła z szafki trzy talerzyki do ciasta.

- Nie zwracaj uwagi na to, że to moje urodziny - powiedziała, podchodząc do stołu. - Dzień jak co dzień, tyle że upiekłam ciasto.

- Za późno. - Ethan podniósł z podłogi tajemnicze pudełko i podał Toy.

Toy postawiła tort na stole i spojrzała na Ethana. Dostrzegła w jego zazwyczaj nieodgadnionym wzroku coś, czego nigdy wcześniej nie widziała: jakąś kruchość i bezbronność.

- Co to takiego?

- Przyniosłem ci coś dla uczczenia urodzin.

- Prezent? Prezenty są zabronione.

- Nie myśl o tym jako o prezencie. To coś, co będzie ci potrzebne do pracy. - Postawił pudełko na stole i przesunął je lekko w stronę Toy. - Otwórz, sama się przekonasz.

Toy oblizwała palce z kremu, wzięła pudełko i potrząsnęła nim przy uchu.

- Gdybyś mogła widzieć swoją twarz. Wyglądasz w tej chwili zupełnie jak twoja córka.

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam jak pięciolatka?

- Otwórz, mamusiu!

- Dobrze, dobrze.

Rozwinęła papier, ale taśmy oklejającej pudełko nie była już w stanie zerwać, musiała przeciąć ją nożem.

W środku znalazła aparat fotograficzny. Dłonie jej drżały, kiedy wyjmowała kolejne pudełko, tym razem firmowe, zawierające cudowny sprzęt: zgrabną, srebrną cyfrówkę, nie większą niż talia kart. Aparacik leżał idealnie w dłoni, a ważył tyle co nic.

- Ma, oczywiście, transfokator optyczny i cyfrowy, jak każdy tego typu aparat. - Ethan wskazał właściwy przycisk.

Toy kiwnęła tylko głową, nie mogła dobyć głosu z krtani.

- Jest leciutki, możesz nosić go w kieszeni, kiedy będziesz szła na plażę, by fotografować żółwie. Pomyślałem, że ci się spodoba.

Toy ponownie kiwnęła głową.

- Na wyświetlaczu możesz dokładnie obejrzeć każde zdjęcie.

Aparat miał mnóstwo funkcji i skomplikowane menu, w którym na razie nie była w stanie się rozeznać, ale nie mogła się już doczekać, kiedy usiadzie spokojnie i zacznie rozgryzać tajemnice nowiutkiej cyfrówki. Od razu ją polubiła.

Wypuściła powietrze z płuc i powiedziała wbrew sobie:

- Dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć.

Na twarzy Ethana odmalował się straszny zawód.

- Oczywiście, że możesz.

W uszach dźwięczały jej słowa matki: „Porządna dziewczyna nie przyjmuje drogich prezentów od mężczyzn. Drogie prezenty zobowiązują. Za takie prezenty dziewczyna musi się potem odwdzięczyć”.

Pokręciła głową.

- Nie, to zbyt piękny prezent. Najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek dostałam. Doceniam intencję, ale nie mogę tego przyjąć. - Z ociąganiem włożyła aparat do pudełka.

- Toy... - Ethan chciał coś powiedzieć, widać było, że powściąga słowa, które miał na końcu języka, w końcu stwierdził po prostu: - Potraktuj to jako dar dla twojego szpitala.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Aparat będzie ci naprawdę potrzebny, a ja nie zawsze będę mógł zejść do przyziemia, żeby zrobić zdjęcie. Mam dość zajęć u siebie na drugim piętrze. Polaroidem niewiele zdołaasz.

- Próbujesz być miły.

- Nie. Po prostu jestem pragmatykiem. Im więcej będziesz miała u siebie żółwi, tym więcej zdjęć będziesz musiała robić, żeby monitorować stan twoich pacjentów. Jeśli dostaniesz ten grant, a na pewno dostaniesz, aparat będzie ci niezbędny. Przyjmij go, Toy, proszę.

Delikatnie przesunęła palcem po srebrnym metalu. Naprawdę zdążyła już polubić to małe cacko.

- Zrób to dla żółwi.

Usta jej zadrgały w powstrzymany uśmiechu.

- Skoro tak to ujmujesz...

W przeciwieństwie do niej Ethan nie próbował powściągać uśmiechu.

- Zrób mi zdjęcie, mamusiu!

Toy uniosła aparat i spojrzała na wyświetlacz. Skierowała obiektyw na córkę. Mała zrobiła teatralną pozę, a potem wystawiła język. Teraz Toy, ciągle z uniesionym aparatem, odwróciła się do Ethana. Stał bez ruchu, z opuszczonymi rękoma. Znowu poczuła silną więź z tym niezwykłym mężczyzną. Nacisnęła przycisk transfokatora i na wyświetlaczu pojawiła się twarz Ethana, blisko, bardzo blisko, o centymetry od jej własnej twarzy. Widziała wieczorny zarost na jego policzkach, gęste rzęsy ocieniające ciemnobrązowe jak czekolada oczy. Zabrakło jej tchu. Oto wyświetlacz objawił oczywistą prawdę.
„Wystarczy raz spojrzeć, żeby wiedzieć”.

Powoli opuściła aparat i opuściła też wzrok, pewna, że Ethan zaraz wyczyta w jej oczach wszystko, co dzieje się w jej duszy, w jej sercu.

- Nie potrafię jeszcze posługiwać się nim - powiedziała.

- Nauczę cię.

- Tak? - Odważyła się podnieść wzrok.

Ethan skinął głową i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Skończyliśmy z grantem, co oznacza, że mam wolne wieczory.

Toy zaśmiała się głośno. Był to radosny, szczęśliwy śmiech, jakby cała pustka, którą czuła jeszcze kwadrans wcześniej, wypełniła się raptownie wielkim uniesieniem.

Kiedy Ethan pożegnał się i odjechał, Toy poszła z Lovie na wydnię miss Lovie. W dzień swoich urodzin chciała pobyć przez chwilę z przyjaciółką.

Noc była ciemna, fale wysokie i ciemnogrnatowe, niemal czarne. Na oceanie wzbierał sztorm, wiał wiatr, fale rozbijały się o brzeg, podpełzając niebezpiecznie blisko do gniazda Maleńkiej. Toy przygarnęła córkę do siebie i siedziały tak, otulone pledem, zapatrzona w morze, w spektakl rozgrywający się przed ich oczami. Czytała gdzieś, że osiemdziesiąt procent ludzkiego organizmu to słona woda, istotnie, czuła ją w żyłach.

Mała Lovie z zachwytem obserwowała grę żywiołów. Tak jak jej matka kochała morze we wszystkich jego postaciach: spokojne, wzburzone, rozszalałe, groźne, to znowu łagodne, ale zawsze kipiące życiem. Potężna fala podeszła niebezpiecznie blisko i Toy mocno przytuliła córkę, wsłuchując się w jej gardłowy, radosny śmiech.

Och, miss Lovie, przemawiała Toy do ducha swojej mentorki, to najlepsze urodziny, jakie kiedykolwiek miałam. Już się nie boję. Jestem szczęśliwa i pełna nadziei.

Dwie Lovie. Obie dawały jej siłę. Jedna była jej przeszłością, druga przyszłością, ale tu, na świętej wydnie przeszłość i przyszłość splatały się z sobą, tworząc doskonałą terażniejszość.

Następnego wieczoru Ethan pojawił się w domku plażowym, jak obiecał. Kiedy Toy otworzyła drzwi, natychmiast poczuła, że coś się między nimi zmieniło. Nie można już było udawać, że przyjeżdża na

Isle of Palms jako jej kolega. Wszelkie pretensje zbladły, jak blednie światło dnia o zmierzchu, weszli w strefę zmysłowego półmroku.

Lovie podbiegła do Ethana, ledwie przekroczył próg i obłapiła go za nogi.

- Ethan! Znalazłyśmy dzisiaj gniazdo - oznajmiła, wykręcając szyję, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Ile to będzie w sumie?

Lovie i Toy zaczęły wspólnie liczyć.

- Dwanaście?

- Tak, dwanaście, a to jeszcze nie koniec - powiedziała Toy, dumna, że jej córka tak się zaangażowała w akcję ratowania żółwi.

- To gniazdo jest blisko - ciągnęła Lovie. - Chcesz je zobaczyć? Mogę ci pokazać? Proszę... Pomagałam postawić znak i mocować chorągiewki. To moje zadanie. Chodź, Ethan. - Ciągnęła go za rękaw w stronę kuchennego ganku.

Ethan spojrzał pytająco na Toy. Kiedy skinęła z uśmiechem głową, odpowiedział:

- Jasne, szkrabie, idziemy. Toy, weź aparat. Zaczniemy nasze lekcje na plaży.

Wiał lekki wietrzyk, trwał odpływ. Morze cofnęło się tak bardzo, że można było niemal przejść suchą stopą na Sullivan Island. Kilka mało rozważnych osób rzeczywiście zamierzało to zrobić, ignorując znaki ostrzegawcze. Toy nie ważyłaby się na taki spacer, zbyt dobrze znała morze i jego kaprysy, gwałtownie zmieniające się pływy, zdradliwe prądy.

Większość ptaków poszła już spać, tylko kilka biegusów uwijało się jeszcze, drobiąc szybciotko na swoich śmiesznych nóżkach tuż nad wodą. Gdzieś w oddali szybował rybołów szukający kolacji, którą mógłby zanieść do gniazda, gdzie czekała jego partnerka z dwoma zgłodniałymi pisklakami.

Od czasu do czasu w pobliżu przebiegł krab piaskowy z oczkami jak koraliki. On też szukał czegoś do jedzenia, tyle że skromniejszego, bo kraby piaskowe żywią się pchłami, też zresztą piaskowymi. Lovie uwielbiała obserwować te małe, zabawne stworki, ale tego wieczoru zajęła się muszelkami i sama skakała po plaży niczym wszędobylski krab. Od czasu do czasu podnosiła jakąś muszelkę i biegła pokazać ją Ethanowi jak najcenniejszą zdobycz. Ethan za każdym razem nachylał się, oglądał uważnie muszelkę i oddawał ją Lovie.

- To jest harpa - wyjaśniał. - To porcelanka, a to szponiatka.

Lovie powtarzała nazwy z nabożnym skupieniem, starając się zachować je w pamięci.

Toy obserwowała go i zastanawiała się, czy Ethan zdaje sobie sprawę, ile jego obecność znaczy dla Lovie.

W pewnym momencie Lovie pisnęła zachwycona:

- Ethan, popatrz, pieniążkowiec! - Podała pieniążkowca Ethanowi, jakby to była złota moneta.

- Piękny. Biegnij na brzeg i włóż go ostrożnie do wody.

Lovie spochmurniała i pokręciła głową.

- Zostawię go sobie.

Toy podeszła bliżej i przysłuchiwała się uważnie wymianie zdań.

Ethan nachylił się do Lovie, tak żeby mogła dobrze przyjrzeć się stworzonku, które leżało na jego dłoni.

- Jakiego koloru jest ten pieniążkowiec, Lovie?

- Zielony.

- Zgadza się. - Odwrócił pieniążkowca na plecy. - Widzisz, jak porusza tymi maleńkimi nóżkami? On żyje. Używa tych maleńkich odnóży do grzebania w piasku, pomaga sobie nimi przy jedzeniu. Jeśli zostawimy go w wodzie, następny pływ zabierze go z powrotem do domu.

- Ale ja chcę go mieć, Ethan. Lubię pieniążkowce.

- Nie chcesz chyba go zabić, prawda?

Lovie pokręciła głową, ale bez przekonania. Ethan poklepał ją po plecach i pozwolił, żeby się do niego przytuliła.

- Masz mnóstwo szczęścia, Lovie. Mieszkasz nad samym oceanem i możesz oglądać pieniążkowce na plaży, która jest ich domem. Kieszenie masz pełne muszelek, zabierzesz wszystkie swoje dzisiejsze znaleziska do domu. Założę się, że już masz całkiem dużą kolekcję. - Kiedy Lovie pokiwała głową, zaśmiał się cicho. - Tak właśnie myślałem. Wybierz sobie dwie, trzy najładniejsze, a resztę zostaw, niech ktoś inny je sobie weźmie. Niech każdy zabierze tylko po kilka, tak żeby starczyło dla wszystkich.

Lovie zastanawiała się przez chwilę, po czym wyjęła muszelki i zaczęła je oglądać. Po długim namyśle zostawiła sobie tylko jedną.

- Ta jest dla ciebie - oznajmiła, wręczając Ethanowi muszlę księżycową. - Powiedziałeś, że nazywa się ją okiem rekina. Ty lubisz rekiny.

Resztę muszelek zostawiła na piasku.

- To będzie dla mnie bardzo cenna muszla - powiedział Ethan. - Ile razy na nią spojrzę, będę pamiętał, jaki jestem z ciebie dumny.

Toy została z tyłu. Była głęboko poruszona tym, co działo się między Lovie i Ethanem. Jej córce musiało bardzo brakować ojca. Podniosła aparat i zaczęła pstrykać, jedno zdjęcie po drugim, całą serię, nie wiedząc do końca, czego szuka, co próbuje uchwycić.

Słońce schowało się za horyzontem, niebo pociemniało. Toy opuściła aparat i zawołała do dwójki wędrowców, że pora wracać do domu.

- Zostawiłam pieniążkowca w piasku, mamó - oznajmiła Lovie, kiedy podeszła z Ethanem do Toy.

- To dobrze. Opowiemy o tym przyjaciołom - odpowiedziała Toy.

Lovie pobiegła do domu, nie czekając na dorosłych.

- Wspaniałe dziecko - skomentował Ethan.

- Wiem. Dziękuję.

Odgarnął delikatnie kosmyk włosów z twarzy Toy.

- Podobna do swojej matki.

Toy serce zabiło szybciej, zwilżyła spierzchnięte wargi. Wzrok Ethana powędrował do jej ust. Była pewna, że ją pocałuje.

Nie pocałował. Zdumiało ją własne uczucie rozczarowania.

Włożył dłonie do kieszeni i ruszyli powoli w stronę wydm.

- Toy... - zaczął z wahaniem. - Nie miałabyś ochoty na kolację?

- Jasne. Zaraz coś przygotuję. Ethan parsknął śmiechem.

- Nie, nie chodzi o dzisiejszy wieczór. Chciałem cię zaprosić na kolację. Tylko my, we dwoje, bez Lovie.

- To ma być randka?

- Taka jest koncepcja. Ty włożysz elegancką suknię, ja czystą koszulę. Przyjadę po ciebie i zjemy dobrą kolację w dobrej restauracji.

- Kiedy?

Ethan zatrzymał się i spojrzał jej w twarz.

- W piątek wieczorem? Toy zmrużyła oczy.

- Dobrze.

Ethan uśmiechnął się zadowolony.

- Przyjadę po ciebie o szóstej.

Karta zdrowia Maleńkiej

30. czerwca

Żółwica ma się coraz lepiej. Przenosimy ją do większego zbiornika. Będzie miała większą swobodę ruchów, zobaczymy, czy potrafi się zanurzać, czy też nadal ma z tym kłopoty.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Piątek włókł się wolniej niż żółw. Dzisiaj Ethan zabierał ją na randkę. Toy liczyła minuty w pracy, liczyła minuty, wracając do domu i klnąc każde czerwone światło na Coleman Boulevard, liczyła minuty, myjąc włosy i mydląc ciało pod prysznicem, a potem wkładając suknię, którą kupiła specjalnie na tę okazję. Liczyła minuty, układając włosy, robiąc makijaż, spryskując się perfumami i odwożąc Lovie do Cary.

O szóstej była gotowa. Chodziła nerwowo po holu, od czasu do czasu zerkając w lustro. Widziała w nim całkiem atrakcyjną dwudziestokilkuletnią kobietę o długich jasnych włosach, w eleganckiej, zielonej sukni. Dotknęła pereł, które pożyczyła od Cary i które pięknie wyglądały na opalonej skórze. Zawsze uważała, że pojedynczy sznur pereł znamionuje wyrafinowanie. Wytworne dziewczęta zakładają perły na rozdanie świadectw ukończenia szkoły średniej i na tradycyjny bal odbywający się z tej samej okazji. Ona nie była na swoim balu, nie była też na rozdaniu świadectw. Po raz pierwszy w życiu miała na szyi perły.

Opuściła dłoń. W szaroniebieskich oczach znowu zobaczyła niepewność, naiwność. W szkole średniej próbowała zatuszować to silnym makijażem i bezczelnym spojrzeniem. Z czasem zrezygnowała z jednego i drugiego, ale poczucie niepewności pozostało.

To tylko zdenerwowanie, mówiła sobie. Od lat nie była na prawdziwej randce, choć nie brakowało jej propozycji. Dość sobie

narobiła w życiu kłopotów przez mężczyznę i teraz chciała być pewna swoich uczuć, zanim pozwoli komuś zbliżyć się do siebie. Obiecała miss Lovie tuż przed jej śmiercią, że zmieni swoje życie na lepsze. Dzisiejsze wyjście z Ethanem było, w pewnym sensie, potwierdzeniem odniesionego sukcesu. Chyba się udało.

Odwróciła się od lustra. Ethan był zupełnie inny niż mężczyźni, których dotąd знаła. Silny, ale delikatny, pewien swoich racji, ale otwarty na argumenty. Dobry dla Lovie. To bardzo ważne. Uśmiechnęła się, pewna, że miss Lovie też zaakceptowałaby Ethana. Cara go zaakceptowała. Nie powiedziała tego wprost, ale wystarczyło jej spojrzenie, jej uśmiech, kiedy zakładała Toy perły na szyję i powiedziała po prostu:

- Baw się dobrze.

Jest niemądra, że tak się denerwuje. Przecież widuje Ethana codziennie w Akwarium. A jednak to wspólne wyjście zmieniało relacje między nimi. Nie byli już kolegami z pracy. Oto mężczyzna zaprasza kobietę na kolację, żeby lepiej ją poznać, cieszyć się jej towarzystwem. Adorować ją.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach i Toy na ten dźwięk serce zabiło gwałtownie. Położyła dłoń na brzuchu, odczekała, aż uspokoi się oddech i już w miarę opanowana podeszła do drzwi. Przywołała uśmiech na twarz, po czym otworzyła.

W progu stał Ethan z bukietem kwiatów w dłoni.

Kwiaty. Sztuczny uśmiech przeszedł w najprawdziwszy, płynący z zachwytu nad wspaniałymi różowymi tulipanami i białymi, pachnącymi frezjami.

- Naprawdę nie musiałeś.

- Ale chciałem.

Uniosła wzrok i z zadowoleniem odnotowała, że Ethan też się wystroił na wieczorne wyjście. Nie założył co prawda garnituru, ale miał na sobie ładną koszulkę polo w koralowym kolorze i nowiutkie spodnie khaki. Wydawał się lekko stremowany, podobnie jak Toy.

- Włożę je do wody. Wchodź, proszę. - Kiedy szła do kuchni, czuła na sobie jego wzrok. Wspięła się na palce, żeby zdjąć wazon z górnej półki, ale zanim zdążyła po niego sięgnąć, Ethan ją wyręczył.

- Dziękuję - powiedziała sztywno i zajęła się kwiatami. Czuła się dziwnie nieswojo w nowej, eleganckiej sukni, z perłami Cary na szyi.

- Ślicznie wyglądasz.

Jej dłonie znieruchomiały na moment.

- Naprawdę?

- Zawsze powinnaś nosić perły, pasują do ciebie. Wiesz, na Dalekim Wschodzie ludzie wierzą, że perły przejmują duszę osoby, która je nosi.

- Nigdy o tym nie słyszałam. - Uśmiechnęła się na myśl, że dzisiaj wieczorem będzie jej towarzyszyć dusza Cary. Może udzieli się jej coś z pewności siebie i elegancji przyjaciółki.

- Jak cicho w domu bez małej. Gdzie ten szkrab?

- Odwiozłam ją do Cary. Dawno u niej nie była, strasznie była przejęta, że jedzie do swojej ukochanej ciotki. Skakała koło mnie, poganiała, żebym się spieszyła, a potem warowała przy drzwiach niczym psiak, który od tygodnia nie był na spacerze. Brett ma ją zabrać na ryby.

- Ja też mógłbym ją zabrać na ryby - powiedział Ethan z lekką urazą, jakby był zazdrosny.

- Kiedy zechcesz. Będzie zachwycona.

- W takim razie w przyszłym tygodniu. Szukam kilku okazów do Akwarium, ale nie będziemy wypływać daleko w morze. Chodźmy już. - Ethan spojrział na zegarek. - Przygotowałem kilka niespodzianek.

- Lubię niespodzianki. - Toy wzięła torebkę i lekki letni blezer. - Uchyliś rąbka tajemnicy?

- Powiem tylko, że najpierw pojedziemy do Akwarium.

- Jedziemy do pracy? - W głosie Toy zabrzmiało nieukrywane rozczarowanie.

- Nie. Tam się przesiądziemy.

Godzinę później mknęli przez port zgrabną motorówką Akwarium. Bielutki „Skaut” miał osiem i pół metra długości i dwa potężne silniki yamaha. Toy była zachwycona. Śmiała się głośno, wystawiając twarz do wiatru, a Ethan patrzył na nią i uśmiechał się od ucha do ucha. Jest stworzony do życia na wodzie, pomyślała w pewnym momencie, odwzajemniając jego radosne spojrzenie. Zostawili po lewej Ravenel Bridge i przemknęli koło ogromnego

lotniskowca stojącego przy Patriot's Point. „Yorktown” cumował tutaj na stałe, stanowił atrakcję turystyczną i Toy widziała go setki razy z mostu, ale dopiero teraz, z bliska, miała okazję przekonać się, jaki jest ogromny. „Skaut” wydawał się przy nim łupiną orzecha.

W porcie panował spory ruch, ludzie wypływali na przedwieczorne przejażdżki, korzystając z pięknej pogody. Rozbawione nastolatki, robiące mnóstwo hałasu, całe rodziny w kapokach i pary, takie jak oni... Część motorówek zmierzała ku Patriot's Point, gdzie co piątek odbywały się popularne zabawy na świeżym powietrzu, zwane „Parties at the Point”. Toy myślała, że Ethan tam ją właśnie wiezie, ale on wykonał zwrot na wysokości Mt Pleasant i zawrócił do portu.

Była bardzo ciekawa, co przygotował, ale skoro powiedział, że to niespodzianka, nie pytała, żeby nie popsuć im obojgu przyjemności. Tuż za Ethanem stała spora chłodziarka, obok torba z grubym pledem. Toy chciała już zapytać, co jest w chłodziarce, kiedy motorówka zatańczyła gwałtownie na fali wywołanej przez duży statek wycieczkowy. Toy straciła równowagę i omal się nie przewróciła, ale Ethan zdążył chwycić ją w pól.

- Byłbym cię stracił - powiedział i spojrzał jej w oczy. - Nie chciałbym tego.

Toy odgarnęła rozwiane wiatrem włosy z twarzy. Ethan nadal obejmował ją ramieniem. Przytuliła się do niego. Czowała się odprężona, miała wrażenie, że tu, przy nim, jest jej miejsce. Przy burcie „Skauta” pojawiły się dwa delfiny i towarzyszyły łódce przez jakiś czas,

popisując się swoimi akrobacjami. Toy obserwowała je i śmiała się głośno, jakby dosiadała lśniącego, srebrzystego grzbietu jednego z towarzyskich wesołków. Wiatr rozwiewał jej włosy, drobniutkie krople wody przyskały na twarz. Ethan uśmiechał się szeroko, cieszył się jej reakcjami. Skierował motorówkę ku spłachetkowi lądu w samym środku portu, gdzie można było zobaczyć pozostałości fortu z czasów wojny secesyjnej. Czytała oczywiście o Castle Pinckney w swoich podręcznikach do historii, ale nigdy tu nie była, fort był niedostępny dla publiczności.

Ethan puścił ją, podprowadził motorówkę do brzegu i wyłączył silniki. Świat nagle wypełniła cudowna cisza, słychać było tylko plusk wody uderzającej lekko o burty „Skauta”, trzeszczenie cumy i krzyki ptaków.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Ethan, mocując wprawnie cumę na wystającym z wody paliku.

- Schodzimy na brzeg?

- Taki jest plan. - Ethan sięgnął po chłodziarkę i torbę z pledem.

- Myślałam, że wstęp na wyspę jest zabroniony. Nie będziemy mieli kłopotów?

- Ktoś inny mógłby mieć kłopoty. - Ethan uśmiechnął się zawadiacko. - Ale nie ja. Mnie wolno tu przebywać.

Oczywiście. Jak mogła wątpić. Spojrzała na swoją elegancką suknię i równie eleganckie sandaalki, dotknęła pereł Cary.

- Nie miałam pojęcia, że jedziemy na wyspę. Nie jestem odpowiednio ubrana.

- Jesteś bardzo dobrze ubrana.
- Ale ta suknia, te sandały...
- Sandały rzeczywiście mogą stanowić pewien problem. -

Nachylił się i po chwili poszukiwań wydobył z torby jadownicie różowe plastikowe sandały za kilka centów. - Mam nadzieję, że to twój rozmiar.

Toy parsknęła śmiechem.

- Piękny kolor. Będą pasować do tej zielonej sukni. Chyba że pomyślałeś także o jakiejś koszulce i szortach. Albo o kostiumie kąpielowym.

- Nie, ale pomyślałem o kocu, żebyś nie zniszczyła sukni.

- Muszę jakoś zejść na brzeg.

- To też żaden problem. Przeniosę cię. Przeniesie ją?

Przypomniała sobie opowieści Cary o jej pierwszej randce z Brettem. Zabrał ją do szałas na bagnach i dźwigał ją z łodzi do tegoż szałas na plecach, niczym juczny muł, brnąc do tego w błocie. Historia tyleż romantyczna co nieprawdopodobna. Cara uwielbiała ją opowiadać i za każdym razem okraszała nowymi detalami, czyniąc z roku na rok coraz zabawniejszą. Toy słuchała i nieodmiennie wpadała w rozmarzenie, a tu proszę, Ethan proponuje, że przeniesie ją na brzeg. Zaśmiała się pod nosem i ponownie dotknęła pereł. Może rzeczywiście w tym dalekowschodnim wierzeniu tkwi źdźbło prawdy?

- Co cię tak śmieszy? - zapytał Ethan z urazą w głosie. - Myślisz, że nie dam rady?

- Nie - zapewniła pospiesznie. - To znaczy, tak. Myślę, że dasz radę. Tylko to takie... nieoczekiwane.

Ethan natychmiast się rozchmurzył.

- Na tym właśnie polegał cały pomysł - oznajmił chełpliwie.

Toy założyła plastikowe sandały, Ethan podwinął spodnie i wszedł do wody. Toy podała mu chłodziarkę i torbę.

- Teraz kolej na ciebie - powiedział, kiedy wrócił.

- Weźmiesz mnie na barana? - zapytała, mając cały czas w pamięci opowieść Cary.

- Nie, wezmę cię na ręce. To tylko kilka kroków. Przełóż nogi przez burzę, złapię cię.

- A jak nie złapiesz i wpadnę do wody?

- To łatwe, jak łapanie dziecka.

- Będę największym dzieckiem, jakie nosiłeś na rękach.

Ethan spojrzał na Toy i zachichotał.

- Dam sobie radę. Nosilem już większe kobiety na rękach. Z taką drobiną jak ty nie będę miał żadnych problemów. No dalej, Toy. Okaż trochę więcej zaufania.

„Okaż trochę więcej zaufania”. Gdyby wiedział, jakie to było dla niej trudne zaufać mężczyźnie. Przez całe życie mężczyźni przysparzali jej wyłącznie rozczarowań. Znała takich, którzy cofnęliby się w ostatniej chwili, pozwalając jej wpaść do wody, przekonani, że to doskonały żart.

Przygryzła wargę, jeszcze się wahała. Ma puścić się burty i wpaść mu w ręce? Ilekroć czegoś się bała, miss Lovie pytała: „Jaki

może być najgorszy scenariusz? Co złego może się zdarzyć?".

Pomyślała o nowej sukni, która pochłonęła wszystkie jej oszczędności, o perłach Cary. Ethan stał po kolana w wodzie i czekał. Wysoki, o muskularnych ramionach. Widziała, jak podnosił stukilogramową żółwicę, a ona ważyła zaledwie pięćdziesiąt siedem kilogramów. Powinien sobie poradzić.

To nie jakiś tam facet, tłumaczyła sobie, to Ethan. Co złego może się stać? Najwyżej się zamoczy.

- Raz, dwa, trzy - ponaglił ją.

- Dobrze. - Chwyciła się burty i niepewnie przełożyła jedną nogę. - Nie zaglądamy mi pod sukienkę.

- Słowo skauta.

Oparta brzuchem o burtę przełożyła drugą nogę i zawisała nad wodą. W sekundę później poczuła, jak Ethan chwyta ją w pól.

- Puść się już, Toy.

Zamknęła oczy, pisnęła i przestała wczepiać kurczowo palce w burtę motorówki. Ethan trzymał ją w ramionach. Zaśmiała się z ulgą i objęła go za szyję.

- Udało się! Zrobiłam to!

- Prawdę mówiąc, to mnie się udało - sprostował Ethan. - To nie było wcale takie trudne, prawda?

Gdyby wiedział... Nic nie powiedziała, pokręciła tylko głową.

Ethan niósł ją bez najmniejszego wysiłku, jakby ważyła tyle, co torba stojąca już na piasku. Żałowała, że to tak blisko. Postawił ją na brzegu i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Puść mnie już.

Cofnął dłonie i odsunął się o krok.

- Podoba ci się tutaj?

Toy rozejrzała się po wysepce. Właściwie nie była to wyspa, raczej łacha. Mnóstwo kamieni, błotnisty grunt, praktycznie żadnej plaży, tysiące muszli, ptasie odchody. Nic specjalnego.

- Bardzo lubię to miejsce. Kompletnie dzikie, jednocześnie przesycone historią. Jest tu rezerwat ptaków, można zobaczyć pelikany, mają tu swoje gniazda. Musimy zachowywać się spokojnie, żeby ich nie spłoszyć. Pelikany i mewy zrzucają na brzeg ostrygi. Siła uderzenia sprawia, że muszla się otwiera, i posiłek gotowy. Sprytny sposób. Stąd tyle tutaj muszli.

- Dokąd ona prowadzi? - Toy wskazała ścieżkę niknącą wśród zarośli.

- Do Pinckney Castle oczywiście. Tak naprawdę to żaden zamek, tylko dziewiętnastowieczny fort. Weź mnie za rękę i patrz pod nogi.

Wkrótce stanęli pod sypiącym się murem historycznej budowli. Natura, obracając powoli fort w ruinę, dokonała tego, czego nie mogły dokonać armaty. Zmierzch i lekki wiatr od oceanu niosły trochę chłodu, ale powietrze ciągle było rozgrzane po upalnym dniu i Toy czuła, jak wilgoć pokrywa całe jej ciało.

Kiedy chodzili po zniszczonym forcie, miała wrażenie, że są dwójką dzieci, które bawią się w wojnę.

- Gdy Karolina Południowa odłączyła się od Unii, załoga Castle Pinckney musiała skapitulować. To był pierwszy fort Unii, który

poddał się Konfederacji. Mówi się, że bez jednego wystrzału. Zresztą fort służył przede wszystkim jako więzienie.

- Musiało być tu strasznie.

- W dawnych więzieniach zazwyczaj było strasznie. Ale za to jakie stąd mieli widoki. Chodź tutaj, Toy, i popatrz. - Ethan ustawił Toy w miejscu, skąd rozciągał się spektakularny widok na port i ocean. - Stojąc tutaj, można zrozumieć jak ważną rolę odgrywał Charleston w czasie wojny secesyjnej i jak ważna musiała być obrona portu. - Ethan wskazał na północ. - Na lewo masz Sullivan Island z fortem Moultrie. A w samym porcie fort Sumer, chyba najzacieklej ostrzeliwane umocnienie w całym kraju. Patrząc na południe, zobaczysz fort Waggoner na Morris Island, gdzie stoczono jedną z ważniejszych bitew wojny secesyjnej.

- Nie wiedziałam, że interesujesz się historią.

- Niespecjalnie, ale jeśli ktoś urodził się w Charlestonie, po prostu wie pewne rzeczy. Historia otacza nas ze wszystkich stron, nie sposób się od niej uwolnić. To ona nas kształtuje, sprawia, że jesteśmy, kim jesteśmy. Kiedy mieszkasz w Charlestonie, żyjesz równocześnie w przeszłości i w teraźniejszości, ja w każdym razie tak to czuję. Popatrz tylko na te rozpadające się mury. To dwieście lat historii. Najpierw do końca zniszczą go rośliny, sztormy i deszcze, w końcu wyspę pochłonie morze i po forcie nie zostanie żaden ślad.

- To smutne.

- Nie. To daje nam inną perspektywę. Historia jest nam tak droga, przywiązujemy tak wiele wagi do polityki, ale w obliczu czasu

ani historia, ani polityka nie mają żadnego znaczenia. Historia przemija. Rzym, Inkowie, Majowie... Koło czasu obraca się cały czas, zmiany są częścią natury. Problemy pojawiają się wówczas, gdy próbujemy ingerować w naturalne procesy, wierząc, że wiemy więcej, że jesteśmy mądrzejsi. Klęski uczą nas pokory. Im jestem starszy, im więcej się uczę, tym mocniej jestem przekonany, że ostatecznie natura zawsze zwycięża.

Toy patrzyła na zrujnowany fort i rozważała słowa

Ethana. „Zmiany są częścią natury”. Czy ona też się zmieniała? Dawne lęki, dawna niepewność rozsypywały się jak mury Pinckney Castle. Spojrzała na widnokrąg. Słońce już się chowało, zmieniał się nastrój. Ethan stanął za nią i otoczył ją ramionami. Toy westchnęła i oparła głowę na jego piersi. Takie to było proste, łatwe... Razem oglądali zachód słońca barwiący niebo ognistym szkarłatem.

Cara siedziała na pomoście nad Hamlin Creek. Odbicie kwitnących na różowo drzew nadawało lustrzanej powierzchni wody lawendowy odcień. Ten widok zawsze sprawiał, że zaczynała oddawać się wspomnieniom. Zagłębiła się w fotelu i wyciągnęła przed siebie nogi. Brett siedział nieco dalej, wprost na deskach pomostu. Machał nogami nad wodą i uczył Lovie wędkować. Cierpliwie tłumaczył, jak trzymać wędkę, by nie drgała, i jak zarzucać linę, by przywabić ryby.

Cara zgodziła się zająć Lovie tego wieczoru. Uśmiechnęła się. Toy ma randkę... wreszcie! Czuła się jak dumna matka, której piskle wylatuje z gniazda. Aprobowała Ethana Legarda, lubiła go nawet. I

wcale nie dlatego, że był przystojny. Nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do wyglądu. Znała wielu przystojnych mężczyzn, którzy przy bliższym poznaniu okazali się pustymi głupcami. Ethan natomiast miał tę rzadką cechę zwaną charakterem. Dostrzegła to od razu, przy pierwszym spotkaniu, tak samo jak od pierwszego spotkania dojrzała tę samą cechę u Brett. Ethan był w dodatku człowiekiem rozumny. Przy kimś takim Toy rozkwitnie. Matka Cary powtarzała zawsze, że Cara powinna wyjść za kogoś, kto ciągle podnosi poprzeczkę.

Tak, to dobrze, że Toy zdecydowała się na randkę z Ethanem. I dobrze mieć małą Lovie w domu. Stęskniła się już za nią i za jej niekończącymi się pytaniami na każdy temat.

Czerwiec przeminął. Lipiec będzie cichym miesiącem nadziei i modlitw o zachowanie nowego życia, które nosiła w łonie. Westchnęła i spojrzała na pogrążającą się w mroku wodę. Ostatni promień słońca zniknął za widnokretem. Cara zaplotła dłonie na brzuchu i wypowiedziała po cichu życzenie.

- Wracamy do domu, robi się ciemno - powiedział Brett do Lovie i jak na zawołanie pojawiły się pierwsze komary.

- Ale ja nie złowiłam żadnej ryby - poskarżyła się Lovie.

- Taki już los wszystkich wędkarzy - poinformował ją Brett. -

Nigdy nie wiadomo, czy coś się złapie. Może lepiej nam się poszczęściło z krabami, zaraz sprawdzimy.

- Mam ci pomóc? - Cara chciała wstać z fotela.

- Ty się nie ruszaj - powiedział Brett, celując w nią palcem.

Cara z westchnieniem opadła z powrotem na fotel. Od momentu zabiegu Brett oszalał na jej punkcie, kazał jej ciągle odpoczywać, nie chciał nawet, żeby wzięła udział w barbecue z okazji Dnia Niepodległości. Początkowo strasznie ją denerwowała ta przesadna troska, ale w końcu zrozumiała, że przemawia przez niego desperackie pragnienie zostania ojcem. Minę miał stanowczą, ale w jego oczach widziała czułość. Usłuchała go. Została na swoim miejscu, oparła nogi na pudełku z przynętą.

- Zadowolony?

Brett uśmiechnął się szeroko, kiwnął głową i zwrócił się do Lovie:

- Teraz cofnij się od krawędzi. Będę wyciągał kosz na kraby.

- Chodź tutaj, kochanie - zawołała Cara, dając jednocześnie znak dłonią, by Lovie przyszła do niej.

- Ja chcę popatrzeć.

- Popatrzysz, tylko pozwól Brettowi wciągnąć kosz na pomost.

Nie chcesz chyba, żeby wpadł na ciebie i zepchnął cię niechcący do wody?

Lovie z ciężkim westchnieniem oparła się o fotel. Cara objęła drobne ciało o kosteczkach jak u czapli stojącej na mokradłach. Lovie pachniała sprayem przeciwko komarom i szamponem. Cara przymknęła oczy i wdychała zmieszane zapachy. Brett tymczasem, mocując się z liną, wyciągał z wody metalową pułapkę. Na jej dnie kręciło się kilka krabów.

- Złapały się - zawołała Lovie, wyrwała się z objęć Cary i pobięła do Bretta.

- Nie podchodź!

Mała zatrzymała się, a kiedy Brett w końcu postawił pułapkę na pomoście, podeszła trochę bliżej, zafascynowana widokiem skorupiaków.

- Przynieś mi linijkę - polecił.

Lovie pobięła do Cary, która wyjmowała już z pudełka z przynętą starą drewnianą linijkę, po czym, z linijką w dłoni, wróciła w te pędy do Bretta.

- Świetnie. Teraz możesz podejść - przywołał ją. - Oto co masz robić. Zbliżysz linijkę tak bardzo, jak się da i zmierzysz każdego kraba. Taki krab musi mieć więcej niż trzynaście centymetrów długości, żebyśmy mogli go zatrzymać. Stąd dotąd - wskazał na linijce. - Każdego mniejszego trzeba wrzucić z powrotem do wody. Gotowa?

- Tak.

Cara uśmiechnęła się, bawiła ją pełna namaszczenia powaga Lovie. Brett był urodzonym nauczycielem. Kochał przyrodę i nienawidził siedzieć za biurkiem. Przy każdej nadarzającej się okazji pryskał z biura, jak dzieciak, który ucieka ze szkoły, żeby wypłynąć łodzią w morze. Wierzył głęboko, że ucząc dzieci szanować naturę, przyczynia się do ochrony środowiska, pomaga je zachować dla następnego pokolenia.

Podwinął rękaw i włożył rękę do kosza. Kraby rozbiegły się na boki, jak najdalej od dłoni, groźnie wystawiając kleszcze. Brett chwycił pierwszego i wyjął z pułapki.

- Czy jest wystarczająco duży? - zapytał, podsuwając skorupiaka Lovie.

Cofnęła się przestraszona.

- Nie musisz ich mierzyć, jeśli nie chcesz.

- Nie muszę, ale mogę - odpowiedziała twardo i pokonując strach, wyciągnęła linijkę w stronę groźnego stwora.

- No dalej, guzdrało, bo mnie ten jegomość uszczypnie. Do roboty.

- Już, już. - Zbliżyła linijkę do kraba i bardzo długo się w nią wpatrywała. - Piętnaście - oznajmiła wreszcie z ulgą.

- Tego zatrzymujemy. - Brett włożył skazańca do wiadra. - Jestem z ciebie dumny. A teraz wielki Jimmy.

- Brett wyjął dużego kraba błękitnego z pięknie ubarwionymi na niebiesko końcami kleszczy. - Na oko widać, że to legalna zdobycz. - Ten krab również powędrował do wiadra. Brett wyjął kolejnego i podsunął Lovie.

- Trzynaście - zameldowała.

- Hm... Jesteś pewna? Zmierz jeszcze raz. Lovie posłusznie przyłożyła linijkę.

- Chyba nie ma jednak trzynastu centymetrów. Co z nią zrobimy?

- Wrzucimy z powrotem do wody?

- Tak jest. Musi jeszcze podrosnąć, tak jak ty.

- Skąd wiesz, wujku, że to dziewczynka? Brett odwrócił kraba na plecy.

- Dziewczynki mają taki fartuszek, widzisz? Na dorosłe samice mówi się Sook, ale ta jest jeszcze młoda i wróci do wody. Uciekaj, mała Sookie. - Wrzucił delikatnie kraba do wody. - Wyjął z kosza dużego kraba i odwrócił go, żeby wyjaśnić Lovie do końca różnicę między samcem i samicą.

- Chłopcy mają końce kleszczy zabarwione na niebiesko i z tyłu odwłoku takie coś, co wygląda jak, uh... ołówek. - Podniósł wzrok i wymienili z Carą rozbawione spojrzenia. - Chłopców nazywamy Jimmy. Do wiadra, Jimmy.

Kiedy wyjął następnego, Lovie nachyliła się nad nim przejęta.

- Wujku, co to? Większy krab trzyma mniejszego. Brett kiwnął głową i ostrożnie postawił kraba na

deskach pomostu. Krab nie ruszał się, przytrzymał pod sobą kleszczami mniejszego kraba.

- Takie kraby nazywamy podwójnymi. Podejdź bliżej, skarbie. Ten Jimmy to tata krab. Kiedy mama krabowa nosi zapłodnione jajeczka, tata przez trzy dni trzyma ją pod sobą, osłania ją, chroni i pilnuje, żeby nie stało się jej nic złego, aż znowu będzie dość silna, żeby sama mogła się bronić.

Cara słuchała chciwie. Nie знаła tego zwyczaju krabów błękitnych.

Brett tłumaczył dalej:

- Kiedy jajeczka urosną, wyglądają, jakby pani krabowa miała na brzuchu pomarańczową gąbkę. Potem jajeczka zmieniają kolor i robią się czarne, co oznacza, że już dojrzały. Wówczas samica uwalnia się od nich i jajeczka wędrują prosto do wody. Jak myślisz, ile ich może mieć?

- Sto?

- Nie. Około dwóch milionów. Wyobrażasz sobie takie mnóstwo jajeczek?

Lovie pokręciła głową.

- Ja też nie potrafię. To ogromna liczba. - Podniósł delikatnie parę krabów. Samiec mocno trzymał samicę, przygarniając ją do siebie. - Tylko jedno jajeczko na milion ma szansę na rozwój, dlatego każda złapana mama wędruje z powrotem do morza, żeby mogła spokojnie sprowadzić na świat małe kraby. - Bardzo ostrożnie włożył dwa kraby do wody, po czym zamoczył ścierkę w wodzie i przykrył nią kraby w wiadrze. - To wszystko, co udało nam się dzisiaj schwycić. Zaniesiemy je teraz do domu i zrobimy sobie ucztę.

- Nie, wujku, ja nie będę jadła krabów. To moi przyjaciele - oznajmiła Lovie ze łzami w oczach, po czym zabrała swoją wędkę i uciekła.

Brett rozumiał doskonale jej reakcję i nie próbował zatrzymać rozzalonego szkraba. Podszedł do Cary, stanął za nią i objął mocno.

- Wiesz, co robię? - zapytał cicho.

- Nie.

- Osłaniam cię.

Cara zamknęła oczy. Czowała się w objęciach Bretta bezpieczna. Odchyliła się, odwróciła głowę i potarła policzkiem o jego policzek.

- Mój Jimmy dobrze wie, jak należy przemawiać do swojej Sookie.

- Tak jest. To moje zadanie, chronić cię i bronić.

- Przez trzy dni. Brett zaśmiał się.

- Może nawet przez cały tydzień. - Delikatnie przesunął palcem po brzuchu Cary, a jej tak ścisnęło się gardło, że przez chwilę nie mogła oddychać.

- Pomóż starej Sookie wstać, Jimmy, i wracajmy do domu, zanim potną nas komary.

Ciemna bryła Akwarium rysowała się na tle wieczornego nieba, kiedy Ethan dobijał do nabrzeża. Toy mogłaby przysiąc, że rogal księżycyca uśmiechał się do niej niczym kot z Cheshire. Cudowny, magiczny wieczór. Ethan urządził fantastyczny piknik na plaży. Pili schłodzone białe wino i jedli truskawki, podziwiając ognisty zachód słońca chowającego się w oceanie. Nigdy nie podejrzewała, że Ethan jest romantykiem. Kiedy zapadł mrok, Ethan zaniósł ją z powrotem na motorówkę i popłynęli do baru „U Reda” nad Shem

Creek, gdzie gadali do późna, siedząc w ogródku pod rozgwieżdżonym niebem.

Wrócili do Akwarium dobrze po północy. Poza strażnikami w budynku nie było nikogo.

- Tak tu tajemniczo w nocy - powiedziała Toy.

- Bywasz tu przecież wieczorami na przyjęciach.

- Tak, ale wtedy jest mnóstwo ludzi. Nigdy nie byłam w tak kompletnie opustoszałym Akwarium. To zupełnie inny świat.

- Lubię tu przychodzić w nocy, przyglądać się rybom, które dopiero wtedy ożywają. Poczekaj tutaj. Zostawię klucze i zaraz wracam. Chcę ci coś pokazać.

Poświata księżycyca srebrzyła wielki hol wejściowy, każdy krok Toy niósł się głośnym echem. Czekając na Ethana, pchnęła drzwi do działu Lasów Górskich i wyszła na mroczne patio. Poczowała lekki powiew ciepłego wiatru na policzkach. Powietrze było wilgotne, jeszcze rozgrzane, przesycone zapachem roślin. Promienie księżycyca sączyły się przez listowie, tworząc na krętej ścieżce świetlisty wzór. Gdzieś pohukiwała sowa, świerszcze wygrywały nocny koncert, rozgadały się żaby.

Podeszła do oczka wodnego. Jej pojawienie się wyraźnie zaniepokoiło wydry. Dwie mieszkanki działu stały słupka i wypatrywały czujnie czarnymi ślepkami, co się dzieje, jakby nie mogły pojąć, co istota ludzka robi w ich królestwie o tej porze.

Odważniej szła podeszła bliżej i przycisnęła nos do szyby. Toy nachyliła się i wydra natychmiast czmychnęła do wody, druga poszła w jej ślady. Toy zaśmiała się głośno z dwóch małych tchórzy.

- Toy? - z holu doszedł głos Ethana.

- Idę. Tam jest cudownie. Czułam się, jakbym naprawdę chodziła nocą po tajemniczym lesie.

- Chodź ze mną, pokażę ci coś jeszcze cudowniejszego.

Ethan wziął ją za rękę i poprowadził do Wielkiego Zbiornika Oceanicznego.

- Och, Ethan - wyrwało się jej, kiedy weszli do tonącego w półmroku wnętrza.

Las nocą wydawał się egzotyczny, ale Wielki Zbiornik Oceaniczny był jak z innego świata. Od góry oświetlało go piętnaście lamp jarzeniowych, nadając wodzie nieziemski blask. Refleksy idące ze zbiornika rysowały na ścianach miękkie, falujące cienie. Toy miała wrażenie, że sama nurkuje w nocnym oceanie. Ethan objął ją wpół i stali tak przez chwilę w milczeniu, zdjęci nabożnym zachwytem.

Toy poczuła się nieswojo. Zbyt dużo zdarzyło się tego wieczoru. Otworzyła się przed Ethanem, opowiadała mu o swojej trudnej przeszłości, o tym, jak odeszła z domu, jak jeszcze w szkole zamieszkała z ojcem Lovie i jak Darryl ją zostawił, kiedy urodziła dziecko.

Ethan też opowiadał o sobie. Zjeździł cały świat, ale miała wrażenie, że tutaj, w Charlestonie, w Akwarium, gdzie ma swoje ryby i swoje ukochane rekiny, czuje się naprawdę u siebie, i że osiągnął punkt kulminacyjny swojej kariery. Ten tajemniczy, egzotyczny, przesycony erotyzmem świat był też jego światem.

Toy to rozumiała. Nie potrzebowała więcej słów, nie chciała już rozmawiać, ale nie wiedziała, jak wejść we wspólną przestrzeń, o której oboje, taką miała nadzieję, myśleli. Czy ma pozostawić zrobienie pierwszego kroku Ethanowi? Czy to on powinien podjąć decyzję?

Ale Ethan stal bez ruchu i obejmował ją sztywno ramieniem.

Podjęła decyzję i przytuliła się do niego. Prosty, zwykły zdawałoby się gest, a przecież pełen znaczenia. Poczula się znowu jak kobieta, prawdziwa kobieta z krwi i kości, po tylu latach osamotnienia. Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

Jego oczy mówiły, że jej pragnie, że się waha, że rozumie. Nie chciał działać pochopnie ani tym bardziej, ponaglać Toy.

Uniosła powoli dłoń i przeczesała mu palcami włosy. Ethan uśmiechnął się lekko i odwzajemnił gest, powtarzając go dokładnie. A potem ujął ją pod brodę.

Tak, mówiła bezgłośnie. Tak...

Jakby ją słyszał, nachylił głowę. Poczula jego wargi na szyi, potem na uchu... na drugim uchu. Zanim pocałował ją w usta, usłyszała wypowiedziane szeptem swoje imię.

Zamknęła oczy i zaczęła się zapadać w nową, nieznaną przestrzeń, coraz głębiej i głębiej...

Karta zdrowia Maleńkiej

3. lipca

Żółwica spokojnie spała na dnie zbiornika, całkowicie zanurzona.

Wreszcie, Maleńka! TS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cara i Brett jechali do domku plażowego przez udekorowany flagami Palm Boulevard. Udekorowane były nawet wózki golfowe strojne w biało-niebiesko-czerwone rozetki. Nawet psy świętowały, paradując w psich T-shirtach w barwach narodowych. Jakaś śliczna dziewczyna nalepiła sobie na ramieniu tatuaż-kalkomanię z flagą. Cała wyspa celebrowała ukochane święto Amerykanów.

Pierwsze przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości w Rutledge House urządziła jeszcze Olivia, na kilka miesięcy przed swoją śmiercią. Powiedziała wtedy Carze, że chce świętować fakt, że wciąż żyje, chce się spotkać z ludźmi, których kocha i ceni.

- Jeśli to nie jest wystarczający powód do pokazu ogni sztucznych, to nie wiem, co mogłoby nim być - dodała wtedy na zakończenie rozmowy.

To prawda, pomyślała Cara, kiedy Brett podjechał pod Primrose Cottage, jak Olivia nazywała swój domek.

To na jej cześć urządzano tutaj co roku w Dzień Niepodległości barbecue, na którym zbierali się przyjaciele. Na podjeździe stał już niebieski kabriolet Emmi, volvo Palmera oraz, oczywiście, złoty garbus Toy. Brett obszedł samochód i pomógł wysiąść Carze.

- Nie sądzisz, że przesadzasz z tym osłanianiem? - zapytała, podając mu dłoń.

- Powiedziałem ci, że tak będzie przez cały tydzień - zażartował.

- Aż tydzień? Szczęściara ze mnie.

- Masz siedzieć w fotelu i nie ruszać się. Nie chcę, żebyś w tym roku przygotowywała jedzenie czy roznosiła talerze. Już zbyt długo stałaś, robiąc sałatki i piekąc ciasto.

- Brett, ja lubię gotować. Planowaliśmy to barbecue od kilku tygodni. Powinnam funkcjonować normalnie, nie traktuj mnie jak obłożnie chorej.

- Niepotrzebnie tyle nagotowałaś. Wszyscy zawsze przywożą mnóstwo jedzenia, można by nakarmić cały pułk wojska.

- Na tym polega frajda tych rodzinnych spotkań, że zawsze jest mnóstwo jedzenia.

- Możesz jeść, ile chcesz, ale nie ruszaj się, proszę. Zrób to dla mnie.

Brett był tak strasznie przejęty i zatroskany, że w końcu skapitulowała.

- Dobrze, ale jesteśmy już spóźnieni. A jeśli nie pomogę sprzątać po przyjęciu, wszyscy pomyślą, że się obijam.

- Powiesz, że bolą cię plecy.

- Myślisz, że ktoś w to uwierzy? Flo zaraz postawi swoje antenki i wyciągnie ze mnie prawdę, zobaczysz.

- Sam zajmę się Flo. Jak zacznę z nią rozmawiać o żółwiach, zapomni o tobie.

Cara zaśmiała się. Brett miał rację, taka właśnie była Flo. Tego wieczoru szykował się pierwszy lęg i Flo umierała z niepokoju, że maluchy wystraszą się ogni sztucznych albo zostaną rozdeptane w ciemnościach przez tłumy świętujące na plaży.

Brett wyjął z bagażnika ugotowane na parze kraby, a Cara z plackiem jagodowym ruszyła do drzwi frontowych. Czekając, aż Toy otworzy, rozglądała się po niewielkiej posesji, którą zostawiła jej matka. W minionych tygodniach Brett dokonał w domku koniecznych napraw, przy okazji zajął się też domkiem Flo i oba teraz aż lśniły, świeżo odmalowane. Cara, Emmi i Toy urządziły sobie „święto chwastów”. Przez cały weekend pielili w pocie czoła zapuszczony ogród Flo, nawoziły ziemię i sadziły kwiaty. Emmi sarkała, że połamała sobie paznokcie, ale Flo miała łzy radości w oczach. Chociaż twierdziła, że ogród niewiele ją obchodzi, teraz chętnie w nim przebywała. Tu wyrwała odrastający chwast, tam obcięła zwiędły kwiat albo po prostu siadała na ganku i rozkoszowała się widokiem zaprowadzonego ładu.

Cara westchnęła, wspominając, jak jej matka kochała dzikie kwiaty, które rosły na wydmie należącej do posesji. Teraz feeria kolorów zbladła pod piekącym letnim słońcem, za to róże Mirandy odżyły i pyszniły się na tle zielonych traw wydmy Olivii. I Olivia, i Miranda dawno odeszły, pomyślała Cara i ogarnął ją smutek. Tak chętnie podzieliłaby się z nimi swoim sekretem.

Brett stanął obok żony z parującym garnkiem, w którym znajdowały się kraby.

- Otwierać! - huknął. - Idzie gorące jedzenie. Kiedy weszli do domu, przywitały ich radosne okrzyki. Każdy chciał się przywitać z nimi pierwszy, a potem całe towarzystwo zaczęło cmokać z zachwytem nad krabami.

- Postaw je tutaj - Palmer wskazał stół na ganku, już uginający się pod jedzeniem.

- Zaczekaj - zawołała Toy i zaczęła przesuwać półmiski, żeby zrobić miejsce na garnek, a Lovie informowała wszystkich, że pomagała wujkowi Brettowi łapać kraby.

- Zmieści się jeszcze jedno ciasto? - zapytała Cara. Na stole stały już placek wiśniowy Emmi i tort bananowy Flo.

- Bardzo dobrze - ucieszyła się Toy. - Jest czerwone ciasto, białe, teraz będzie niebieskie, do kompletu. Możemy zaczynać nasze barbecue.

Cara rozejrzała się. Domek lśnił i błyszczał, świątecznie udekorowany narodowymi barwami i chorągiewkami. Słońce stało jeszcze wysoko, ale Toy zapaliła już lampiony na ganku.

- Wszystko ślicznie wygląda. Mama byłaby z ciebie dumna. - Cara wiedziała, że dla Toy to najpiękniejszy komplement.

- Mamy chyba wszystkie ulubione dania rodzinne. Wszystkie z wyjątkiem czarnej fasolki ciotki Rebeki. Nikt jej nie chciał przygotować w tym roku.

- Kochanie, nic zmieściłabyś już nic więcej na tym stole. Masz tutaj chyba z pięć kilogramów sałatki ziemniaczanej. - Na widok sałatek, świeżutkiego chleba kukurydzianego, upieczonych na złoto kurczaków, wieprzowiny w sosie dziadka Claytona, wszelkich pikli, jakie tylko zna Południe, i ulubionych ciasteczek czekoladowych Coopera, żołądek Cary zaczął domagać się stanowczo jedzenia.

- Choćbyśmy tu siedzieli cały miesiąc, na pewno nie zdołamy wszystkiego zjeść - stwierdziła i rozejrzała się. - Kogo tu mamy?

- Tych samych delikwentów, co zawsze - odpowiedziała Toy. - Flo zaprosiła kilkoro swoich znajomych. Ethan pojawi się trochę później, pojechał na party do swojej rodziny. Palmer w tym roku zrezygnował z przyjęć biznesowych i spędził cały dzień z Cooperem na plaży.

- Naprawdę? - Cara poczuła, że jest ogromnie dumna z brata. Od lat mu powtarzała, że powinien więcej czasu poświęcać dzieciom. - To świetnie. Być może fakt, że Linnea wyjechała na obóz, ma tu jakieś znaczenie. Jest wobec niej surowy, ale ją faworyzuje, tymczasem Cooperowi też potrzebny jest bliski kontakt z ojcem. Gdzie podziewa się Emmi?

- Zaszyła się pewnie gdzieś w kącie i cierpi. - Toy nachyliła się konfidencjonalnie do Cary. - Facet, z którym była umówiona, odwołał randkę.

- Fatalnie.

- Nie wiem. Jeśli to ten sam, z którym ostatnio ją widziałam, to nie ma czego żałować. Byliśmy z Ethanem w barze „U Reda” i tam ich spotkałam. Gość zrobił na mnie wrażenie gładkiego do obrzydliwości komiwojażera. Nie wiem, gdzie ona takich znajduje.

Cara westchnęła. Miała mocne podejrzenie, że na dnie butelki.

- Była pijana?

Toy zawahała się, po czym skinęła głową.

- Zabalsamowana. Martwię się o nią. Nigdy jej takiej nie widziałam. Wszystko z nią w porządku?

- Przeżywa trudny czas - odpowiedziała Cara krótko, bo lojalność nie pozwalała jej wchodzić w szczegóły, ale i ona martwiła się o Emmi. - Poszukam jej i przywitam się.

- Namów ją, żeby coś zjadła. Wypiła już dwa dziny z tonikiem.

- Rany boskie - westchnęła Cara, po czym zajrzała do salonu, przywitała się z Flo i dwoma jej przyjaciółkami. Wyszła na ganek od frontu, gdzie Cooper i Lovie grali w karty, a Brett i Palmer oparci o balustradę prowadzili ożywioną rozmowę. W kuchni Toy napełniała wiaderko lodem.

- Nie wiesz, gdzie znajdę Emmi?

- Sprawdź w sypialni.

W sypialni Lovie nie było nikogo, ale drzwi od pokoju gościnnego były lekko uchylone. Emmi siedziała na brzegu łóżka z drinkiem w dłoni i przeglądała jakieś czasopismo dla kobiet.

- Tu jesteś. - Cara otworzyła szerzej drzwi i weszła do pokoju. - Wszędzie cię szukam.

- Schowałam się - oznajmiła Emmi. Miała na sobie białe szorty i T-shirt z makami, które wyglądały tak, jakby kwitły na jej piersiach. - Siadaj.

Cara przysiadła na łóżku, w którym niegdyś sypiał Palmer, kiedy byli jeszcze dziećmi. Jeśli nie liczyć laptopa na staroświeckim biurku, mały, wyłożony boazerią pokój właściwie się nie zmienił: te same

zasłony co przed laty, na ścianach te same obrazy o tematyce marynistycznej.

- Dlaczego przyjechałaś tak późno? - zapytała Emmi.

Na szczęście język jeszcze się jej nie plątał.

- Praca. W wakacje zawsze mamy mnóstwo roboty. Emmi kiwnęła głową.

- A ty, dlaczego się chowasz? Emmi wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Drażni mnie ten świąteczny nastrój. Carę zirytowała odpowiedź przyjaciółki.

- Bo jakiś typek odwołał randkę? Emmi poderwała głowę.

- Już słyszałaś. Plotki szybko się rozchodzą.

- Nie, to nie...

- Daruj sobie, niewiele mnie to obchodzi. Nie, nie dlatego się chowam, że jakiś typek odwołał randkę.

- Emmi westchnęła, zamknęła pismo i odłożyła na bok.

- Chodzi o dwóch innych typków, moich synów, Jamesa i Johna.

Mieli przyjechać na weekend, ale oczywiście nie przyjechali. Jak zwykle.

- Widocznie są zajęci. Wiesz, jak to jest w tym wieku. Hormony buzują. Pewnie umówili się ze swoimi dziewczynami na świąteczne przyjęcia.

- Wiem wszystko, ale oni nawet nie zadzwonili, że nie przyjeżdżają. W ogóle do mnie nie dzwonią. Od momentu kiedy tu przyjechałam, nie miałam od nich ani jednego telefonu.

- Żartujesz?

- Widocznie są zajęci - Emmi powtórzyła skwapliwie słowa Cary.

Cara była oburzona. Jak można nie odezwać się przez kilka tygodni do własnej matki? Emmi zawsze bardzo się troszczyła o chłopców i oto jak jej odpłacają. Traktują ją okropnie. Zawsze wydawali się Carze egoistyczni, rozpuszczeni, teraz jej wrażenia w pełni się potwierdzały. Po rozwodzie Emmi potrzebowała ich wsparcia bardziej niż kiedykolwiek, tymczasem próbowała jeszcze ich usprawiedliwiać. Cara nie mogła tego słuchać, ale uznała, że lepiej nie dzielić się swoimi opiniami z Emmi.

- Za niepodległość. - Emmi podniosła szklanę, ale zrobiła to tak gwałtownie, że kostki lodu zadźwięczały głośno i alkohol chlapnął na T-shirt.

- Cholera - zaklęła. - Teraz będę śmierdziała jak gorzelnia. Muszę przynieść sobie następnego drinka. - Podniosła się trochę chwiejnie.

Cara zacisnęła usta, powstrzymując się od powiedzenia tego, co chciała powiedzieć. Wiedziała, że kiedy Emmi jest w takim nastroju, żadne argumenty do niej nie przemówią. Nigdy nie stawaj między mężczyzną i jego drinkiem, zwykł mawiać jej ojciec. Najwyraźniej ta prawda życiowa odnosiła się również do kobiet. Patrzyła bezradnie, jak jej przyjaciółka wychodzi z pokoju, żeby zaopatrzyć się w następnego drinka.

Palmer był pierwszy do krabów. Cara podeszła do niego i uściskała go.

- Cześć, braciszku. Słyszałam, że spędziłeś cały dzień na plaży. Do twarzy ci z opalenizną.

- Znasz mnie. Godzina na słońcu i jestem brązowy. Cooper ma moje geny. Spójrz na niego. - Wskazał z dumą na swojego dziesięcioletniego syna, który pochłaniał właśnie ogromny sandwich z wieprzowiną z grilla. - Julia nie nadaża kupować mu ubrań, chłopak tak szybko rośnie. Jeszcze trochę, a będzie wyższy ode mnie. - Tu zerknął na siostrę. - Kto wie, może nawet kiedyś będzie taki wysoki jak ty.

- Bardzo śmieszne. Tak sobie myślę... Jeśli nadal będzie pochłaniał takie ilości jedzenia, zrobi się taki gruby jak ty.

Palmer zaniósł się serdecznym śmiechem. Miał zaraźliwy śmiech i te wybuchy wesołości zawsze rozśmieszały Carę.

- Gdzie się podziewałaś cały dzień? Myślałem, że przyjdiesz na plażę. Taka wspaniała pogoda.

- Wakacje to dla nas najbardziej pracowity okres - odpowiedziała.

- Brett mówił, że masz kłopoty z kręgosłupem.

- Chyba trochę się przeforsowałam. Nic poważnego, ale Brett kazał mi odpoczywać.

- Chodź, moja biedna inwalidko - Palmer pociągnął siostrę do zacisznego kąta. - Siadaj sobie, przyniosę ci drinka. Chciałem z tobą porozmawiać. Czym się będziesz truła? Wino? Piwo? Dżin z tonikiem? Polecam to ostatnie. Jednego drinka już wypilem.

- Przynieś mi trochę wody.

- Już się robi.

Cara zagłębiła się w wielkim fotelu w salonie i oparła nogi na otomanie. Brett, który obserwował ją z daleka, kiwnął głową z aprobatą. Pokiwała mu ręką, chichocząc. W sekundę później wrócił Palmer ze szklanką lodowatej wody i drinkiem dla siebie.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Palmer usiadł naprzeciwko siostry, wychylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach.

- Po pierwsze, po jakiego ciągle jeździsz na skuterze wodnym? Jesteś na to za stara. Sama widzisz, jak to się kończy. Teraz boli cię kręgosłup. Brett powinien wynająć kogoś, kto by odwaliał tę robotę.

- Jestem wzruszona, że tak się o mnie troszczysz, ale od dawna nie siadam na skuter. Poza tym Brett zatrudnił studenta, który pomaga gapowatym turystom, uwijając się na skuterze. Jest też panna, która przyjmuje rezerwacje na wycieczki. On jest bardzo miły, a ona śliczna. Interesy idą doskonale.

- Wcale się nie dziwię - powiedział Palmer ze śmiechem.

- A ja uwielbiam jeździć na skuterze wodnym. To wszystko, co mi chciałeś powiedzieć?

- Nie wszystko. - Palmer upił łyk dzinu i przysunął się do Cary, zakreślił kilka razy szklanką. - Pamiętasz naszą rozmowę na temat wynajęcia domku plażowego?

- Tak - przytaknęła Cara ostrożnie. - Pamiętam też, co ci odpowiedziałam. Nie jestem zainteresowana wynajmowaniem domku, dopóki Toy i Lovie będą chciały czy też musiały tu mieszkać.

- Wiem, wiem, ale sytuacja trochę się zmieniła. Zupełnym przypadkiem usłyszałem o kimś, kto chciałby wynająć domek plażowy. To artystka. Marzy, by zamieszkać przy plaży, żeby móc malować pejzaże morskie.

Cara mocno wątpiła w „zupełny przypadek”.

- Palmer, nie interesuje mnie wynajmowanie domku, a już na pewno nie na krótki czas. Ten dom jest mi zbyt drogi. Drżałabym cały czas, że lokatorzy coś zniszczą, stłuką, że dzieci narobią szkód.

- Jednak ta pani jest godna zaufania. To spokojna, samotna osoba. Ma pięćdziesiąt kilka lat i szuka czegoś na dłużej.

- Orientujesz się, jaki czynsz mogłabym jej zaproponować?

- Skarbie, ten domek to jest dokładnie to, czego ona szuka. Ma forsę jak lodu i zapłaci ci każdą cenę, nie tak jak Toy.

- Palmer...

- To naprawdę idealna okazja. Oboje wiemy, jak trudno jest wynająć letni dom na dłuższy okres. Wiem, że u was krucho z kasą i pieniądze bardzo się wam przydadzą.

- Brett nie powinien był ci mówić o naszych kłopotach finansowych.

- Ej, jestem twoim bratem, nie wyniósł tajemnic rodzinnych poza dom.

- Pomimo wszystko.

- Jeśli nie chcesz wynająć, trudno, uważam jednak, że powinnaś porozmawiać z Toy i powiedzieć jej, żeby zaczęła szukać sobie innego mieszkania.

- Zobaczymy.

Toy stała na progu kuchni z maselniczką w dłoni. Nie chciała podsłuchiwać, ale usłyszała swoje imię, a potem całą argumentację Palmera namawiającego siostrę do wynajęcia domku za wyższą sumę.

Poczuła mrowienie na całym ciele i nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nie miała pojęcia o kłopotach finansowych Cary i Brett. Nigdy nie wspomnieli ani słowem, że chcieliby podnieść jej czynsz.

Odwróciła się powoli i wróciła do kuchni. Postawiła masło na blacie i zapatrzyła się w ocean. Była oszołomiona. Wiedziała, że pewnego dnia będzie musiała wynieść się z Primrose Cottage, ale ten moment wydawał się jej zawsze odległy. Miał nastąpić kiedyś w przyszłości, kiedy już ułoży sobie życie, ustabilizuje się. Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie, że miałyby wyprowadzić się z domku i zamieszkać gdzie indziej. Tutaj czuła się bezpieczna, kochana.

Przypomniała sobie, co powiedział Ethan, poprzedniego wieczoru: „Zmiany są częścią natury”. Wczoraj te słowa ją zachwyciły, dzisiaj zachwiały jej światem.

Flo przyniosła Carze talerz z jedzeniem i usiadła w fotelu obok niej. Chwyciła bułkę z soczystą wieprzowiną z grilla, ugryzła kęs i przymknęła oczy z rozkoszy.

- W tym roku wieprzowina udała się jak jeszcze nigdy - stwierdziła.

- Mówisz to samo co roku.

- Bo co roku jest doskonała, ale tym razem sos ma wyjątkowy smak.

- Ja osobiście wolę kurczaka. Świetnie ci wyszedł, Flo, jest leciutki i chrupiący.

- Dziękuję - powiedziała Flo takim tonem, jakby usłyszała rzecz oczywistą. - Zrobiłam trochę inną panierkę. Miranda nigdy nie pozwalała nic zmieniać w przepisie, ale tym razem... Nieważne. Widzę, że naprawdę ci smakuje.

- Nigdy nie lubiłam gotować, ale jestem dumna z mojego placka.

Flo otarła sos z brody serwetką z nadrukowaną na niej flagą.

- Powiem ci, że czekam, kiedy wreszcie skończy się to świętowanie.

- Naprawdę? Źle się bawisz?

- Skądże, bawię się doskonale, ale niepokoję się, czy żółwiki wyklują się w tym zamęcie. To przecież dzisiaj, a na plaży tłumy ludzi.

Cara przypomniała sobie, co powiedział Brett, i powściągnęła uśmiech.

Flo spojrzała na nią, próbując ocenić siły przyjaciółki.

Westchnęła.

- Rozumiem, że nie mam co na ciebie liczyć.

- Obawiam się, że nie.

- Kręgosłup, co?

- Uhm. - Cara zajęła się kurczakiem.

- Żadnych nudności? Obrzmienia piersi? Nic z tych rzeczy?

Cara podniosła oczy do nieba.

- Tylko kręgosłup.

Flo poprawiła się w fotelu i ugryzła kolejny kęs sandwicza.

- Mam nadzieję, że jednak nie wyklują się dzisiaj, bo jeśli tak, wszyscy będziemy musieli ich pilnować.

- Nie sądzę, żeby chciały wychodzić na świat w takim zgiełku.

- Z żółwiami nigdy nic nie wiadomo. To szelmy. Pamiętasz tę szaloną żółwicę, która na Front Beach weszła któregoś czwartego lipca prosto w rozbawiony tłum turystów? Niesamowite.

- Tak, pamiętam. Kiedy to było? Dwa lata temu? Trzy?

- Cztery - odparła Flo autorytatywnym tonem osoby wszystkowiedzącej. - Nie mogła sobie wybrać gorszego miejsca, a jednak wyszła na ląd. Jadłam akurat kolację, kiedy zadzwoniła policja, żebym zaraz przyjeżdżała. Rzuciłam wszystko i pojechałam. Kiedy pojawiłam się na plaży, żółwicę otaczał wianuszek turystów. Robili zdjęcia, każdy chciał dotknąć pancerza. Nie wiedzieli, jak się zachować, głupcy.

- Pamiętam. Na szczęście Brett był na miejscu. Musiał uspokoić kilku pijaczków, którzy koniecznie chcieli zepchnąć żółwicę z powrotem do morza, przekonani, że tak właśnie należy postąpić. Omal nie pobił się z jednym z nich.

- Policja interweniowała. Wyjaśnili chłopcom kilka faktów. - Flo pokręciła głową, wprawiając w ruch długie, wiszące kolczyki. - Biedna żółwica była ciężko przerażona. Nigdy nie widziałam, żeby żółw syczał. I mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę.

- Amen.

- No i mam też nadzieję, że dzisiaj wieczorem nie wydarzy się nic złego. Jeśli się wydarzy, będziesz nam potrzebna.

- Nie mogę, Flo. Poproszę Bretta, żeby mnie zastąpił.

- Nie, nie zwracaj mu głowy. Ma dzisiaj wolny wieczór, niech odpoczywa. - Flo podniosła się gwałtownie. - Idę po następną porcję, zanim Cooper wszystko pochłonie. Ten chłopak sterczy od początku przyjęcia przy wieprzowinie. I rośnie w oczach.

Kiedy niebo pociemniało, jedzenie zostało uprzątnięte ze stołów. Brett poszedł do kuchni zmywać naczynia, zaskarbiając sobie sympatię pań i narażając się na kpiny Palmera. Wszyscy jednak o nim zapomnieli, gdy pojawił się Ethan. Flo i Emmi opadły go niczym dwa zgłodniałe komary bagienne czyhające w parną noc na jakąś ofiarę. Ubrany był tak, jak często ubierają się wyspiarze: szorty khaki, koszula wyrzucona na wierzch, sandały. Długie, zaczesane gładko do tyłu włosy kładły się na kołnierzyku. Miał wyraziste rysy, był dumny, ale nie zarozumiały. Głęboko osadzone oczy spoglądały rozmówcy prosto w twarz. A na pytania Flo i Emmi odpowiadał grzecznie, acz wymijająco, co bardzo spodobało się Carze.

Siedziała w swoim fotelu niczym królowa pszczół i obserwowała towarzystwo z boku. Tego wieczoru odkryła, że miło jest być niewidzialną. Ludzie przechodzili obok niej, nawiązywali rozmowy między sobą, a ona się przyglądała i słuchała.

Brett obserwował uważnie amanta Toy, zachowywał dystans, natomiast Palmer zbratał się z nim natychmiast. Najwyraźniej liczył,

że Ethan ożeni się z Toy i zabierze ją z domku. Toy przywitała przyjaciela z pewną kokieterią, delikatnie, lecz stanowczo odsunęła uwieszoną u jego boku Emmi i sama zajęła jej miejsce, ujmując Ethana pod ramię. Kiedy go przedstawiała, Cara zobaczyła w jej oczach blask, którego nigdy wcześniej nie widziała. Ten sam blask dostrzegła w oczach Ethana, ilekroć spoglądał na Toy.

Interesujące, pomyślała, podnosząc się z fotela. Najwyższy czas poznać tego człowieka bliżej. Zrobiła krok i w tym samym momencie na niebie rozbłysły pierwsze fajerwerki. Głośny wystrzał wystraszył wszystkich. Cooper z wielkim krzykiem rzucił się do drzwi kuchennych, żeby podziwiać kolejne barwne pióropusze, Lovie pognąła za nim. Reszta chwyciła drinki, swetry i całe towarzystwo wyległo na ganek kuchenny, skąd mogli widzieć plażę i ocean. Zaczynał się wielki pokaz. Na prawo, na Sullivan Island właśnie się kończył, a tutaj, na plaży Isle of Palms z głośnym wizgiem rozbłysła już druga feeria barw, zaraz potem następna i następna. Brett stanął obok Cary, objął ją ramieniem i oboje zapatrzyli się w niebo.

Wieczór był wprost idealny na pokazy ogni sztucznych, ani zbyt duszny, ani wilgotny, od oceanu wiała lekka bryza. Całe towarzystwo przeniosło się na plażę, rozsiadło na ręcznikach i kocach. Zachwyтом nie było końca, a każda kolejna raka, biała, niebieska, czerwona witana była głośnymi oklaskami. Kiedy wprost nad ich głowami rozkwitła złota chryzantema, rozszczękał się pies sąsiadów. Cooper włożył palce do ust i gwizdnął przeciągle, narażając się rodzicom, którzy natychmiast go uciszyli.

Cara kątem oka dostrzegła, że Ethan nachyla się do Toy i całuje ją w usta. Uśmiechnęła się, oparła o męża i ponownie zwróciła wzrok ku rozświetlanemu fajerwerkami niebu.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Maleńka miała nadal problemy z zanurzaniem się. Toy, Ethan i Jason stali przy jej zbiorniku, zastanawiając się, jak pomóc żółwicy.

- Będziemy musieli przenieść ją do mniejszego zbiornika - zdecydował Ethan.

- Nie, ona lubi ten duży, dobrze się w nim czuje - sprzeciwiła się Toy. - Coraz lepiej pływa. Nie chcę jej przenosić.

- Ciągłe wracamy do tej kwestii. Kręcimy się w kółko, bez żadnych rezultatów - mówił Jason. - Twierdzisz, że pływa coraz lepiej, ja tego nie widzę, powiedziałbym, że pływa z ogromnym wysiłkiem. Ile jaj znaleźliście?

- W sumie piętnaście. Ma już całkowicie oczyszczony pancerz, je chętnie, chwytając żarcie pod wodą. I przybiera na wadze. To dobre oznaki.

- Coś jednak jest nie tak, skoro nie daje rady się zanurzyć.

Stali przez chwilę w milczeniu i obserwowali żółwicę.

Większość czasu spędzała w pokracznej pozycji, z łbem zanurzonym w wodzie i uniesionym zadem. Trzeba było coś postanowić, ale przenoszenie Maleńkiej do małego zbiornika nie było dobrym rozwiązaniem.

- Zanim ją stąd zabierzemy, chciałabym wypróbować pewien pomysł. - Toy spojrzała na Ethana. Zdążyła już przedyskutować z nim swoją propozycję i teraz kiwnął głową, by mówiła dalej.

- Tylko się nie śmieję. Pomyślałam, że moglibyśmy założyć jej pas obciążeniowy dla nurków. Utrzymałby ją pod wodą.

- Pas obciążeniowy? - powtórzył Jason z niedowierzaniem. - Żółwiowi?

- Czemu nie? Musiałaby pozostawać w zanurzeniu.

- Spróbuj myśleć niekonwencjonalnie - odezwał się Ethan.

Jason był wyraźnie ubawiony propozycją.

- Moglibyśmy spróbować - przekonywała Toy. - Miała endoskopię, dostawała leki, stan znacznie się poprawił, ale nie może zanurzyć zadu. Przy jej wadze musielibyśmy założyć dwa pasy. Spróbujmy. Nie mamy nic do stracenia.

Jason spojrział na żółwicę zataczającą kręgi z uniesionym zadem. Wzruszył ramionami.

- Dobrze, spróbujmy. Nie wiem, jak się jej spodoba ten nowy trend w modzie, ale jeśli ma jej to pomóc...

- Będziemy ją uważnie obserwować i dobierzemy odpowiednie obciążenie. Jeśli to nie pomoże, zrobimy drugą endoskopię - ciągnęła Toy. - Jeśli ograniczymy zabiegi obciążania do piętnastu minut, nie powinno jej to przeszkadzać, tak czytałam.

Jason słuchał teraz uważnie, z respektem. Kiedy zaczęła prowadzić szpitalik, zasypywała Ethana i Jasona pytaniami, szukała u nich potwierdzenia każdej swojej decyzji, ale w środku lata, kiedy przez Akwarium przewijały się tłumy turystów, wszyscy byli tak zapracowani, że Toy w końcu musiała zdać się na własne siły.

Przestała biegać z każdym problemem do Jasona i Ethana. Jason nie mógł tego nie zauważyć.

- Zróbmy tak, jak proponujesz - powiedział w końcu, już całkowicie przekonany.

Ethan natychmiast poszedł po pasy. Sam był bardzo ciekaw, jak się sprawdzi pomysł Toy. Wrócił po chwili w stroju nurka, w towarzystwie Favela i jakiejś obcej pani, ubranej w T-shirt wolontariuszki Akwarium. Wnosząc z siwych włosów, Toy oceniała, że obca pani musi mieć około siedemdziesiątki.

- Zobaczcie, kogo spotkałem po drodze - powiedział Ethan.

Kobieta podeszła do Toy i Jasona. Miała piękne niebieskie, uśmiechnięte oczy.

- Jestem Elizabeth - oznajmiła z prostotą i wyciągnęła dłoń. - Elizabeth Scrimgeur. Mam pomagać w szpitalu dla żółwi.

Toy omal nie rozdziawiła szeroko ust. Chwyciła dłoń Elizabeth i potrząsnęła nią kilka razy, jakby się bała, że jej pierwsza wolontariuszka z prawdziwego zdarzenia rozplynie się w powietrzu.

- Na pewno została pani skierowana do szpitalika?

Nigdzie indziej? - zapytała, niedowierzając jeszcze swojemu szczęściu.

- Na pewno do szpitalika - przytaknęła Elizabeth. - Należę do zespołu żółwiarzy na Folly Beach i jestem fanatyczną miłośniczką tych stworzeń. Proszę mówić mi, co mam robić, a ja wykonam każde polecenie.

- Podoba mi się taka postawa - stwierdził Jason i przedstawił się Elizabeth. - Wszyscy tu pomagamy, kiedy zajdzie potrzeba, ale program szybko się rozrasta. Witamy na pokładzie.

- W samą porę - odezwał się Ethan. - Będzie pani miała okazję poznać naszą pierwszą i największą pacjentkę. Z bliska i osobiście. Oto Maleńka.

Kiedy przechodzili obok zbiorników, Toy pokrótce referowała historię każdego żółwia: Cherry, Hamlina, Kiawah i Sharkbite. Żółwie podpływały do szkła i odprowadzały Toy uważnym spojrzeniem migdałowych oczu.

- One panią poznają - zauważyła Elizabeth.

- Są po prostu głodne, cwaniaki - zbyła jej uwagę Toy, ale w jej głosie zabrzmiała nuta czułości. - Każde z nich ma swoją osobowość. Najpierw zajmiemy się Maleńką, a potem pokażę pani, jak je karmić. One rzeczywiście mnie poznają, wobec obcych są nieufne, ale szybko się do pani przyzwyczajają. Będzie się pani musiała wiele nauczyć, ale nie musimy się spieszyć. Krok po kroku, powoli.

- Chcę się uczyć - powiedziała Elizabeth, nie odrywając oczu od żółwi.

Toy uśmiechnęła się, doskonale rozumiała fascynację swojej nowej wolontariuszki. Kiedy człowiek raz zetknie się z żółwiami morskimi, nie może ich nie pokochać i jest to miłość na całe życie. Kiedy Toy i Elizabeth stanęły przed zbiornikiem Maleńkiej, Ethan był już w środku. Maleńka mieszkała w tym zbiorniku od kilku tygodni. Poruszała się w nim swobodnie i teraz zwiewała przed Ethanem,

wiosłując zawzięcie płetwami. Toy wspięła się na platformę zbiornika, a Ethan próbował zagonić Maleńką w jej pobliże. Jason, Favel i Elizabeth czekali w pogotowiu na szansę schwytania żółwicy i wyciągnięcia jej ze zbiornika.

- Ethan, ruszaj się - zawołała Toy, nachylając się nad zbiornikiem. - Ona cię kołuje.

- Goń ją sama. Przekonasz się, czy to takie proste - odkrzyknął Ethan.

- Może ja pomogę? - odezwała się Elizabeth. - Nie boję się zamoczyć.

Toy spojrzała na starszą panią. Sprawiała wrażenie osoby sprawnej, w doskonałej kondycji, jakby nie miała siedemdziesięciu lat.

- Przepraszam, nie zapamiętałam imienia.

- Elizabeth.

- Maleńka ma potężne szczęki, Elizabeth. Nie chciałabym, żebyś pierwszego dnia została ugryziona. Będiesz miała jeszcze mnóstwo okazji, żeby się zamoczyć. Dzisiejszy dzień potraktujemy ulgowo. Lepiej, żebyś pomogła nam wyciągać ją ze zbiornika, zamiast wchodzić do wody. Maleńka to naprawdę ogromna i bardzo ciężka żółwica.

- Musisz uważać - włączył się Jason. - Maleńka doskonale wie, co się święci i ochlapuje nas wodą za karę, że usiłujemy ją złapać. Kiedy spojrzy ci w oczy, kryj się.

Ethan zagonił w końcu Maleńką w pobliże czekających na nią oprawców. Żółwica wychyliła łeb z wody, głośno zaczerpnęła powietrza i spojrzała bystrym okiem na Elizabeth, jakby rozważała, co dalej.

- Kryj się! - zawołał Jason.

Maleńka machnęła potężną płetwą i kaskada wody oblała Elizabeth od stóp do głów.

Przemoczona do suchej nitki, zaszokowana starsza pani krztusiła się i pluła, a Toy zanosila modlitwę do nieba, żeby Maleńka nie zniechęciła jej pierwszej wolontariuszki. Ale Elizabeth, kiedy wreszcie zaczerpnęła powietrza, odchyliła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać serdecznym, zaraźliwym śmiechem. Pozostali odetchnęli z ulgą i po chwili wszyscy zanosili się śmiechem.

- Witaj w zespole - zawołał Ethan. - Maleńka właśnie cię ochrzciła.

- Wszystkim nam się już dostało od Maleńkiej. Gdyby żółwie potrafiły się uśmiechać, ta mała szczyrzyłaby się teraz od ucha do ucha.

- Do roboty, Ethan - pogonił kolegę Jason. - Pluskasz się jak panienka. Bądźże kowbojem oceanu i zagoń do nas żółwicę.

- Hej ho -zawołał Ethan, usiłując wmanewrować studwudziestokilogramowego gada w pozycję bez wyjścia. Kiedy Maleńka przepływała koło Toy, tą, zdeterminowana, wychyliła się mocno i chwyciła za karapaks.

- Mam ją!

Jason i Ethan przyłączyli się i wspólnymi siłami wyciągnęli wymachującą płetwami Maleńką ze zbiornika. Najpierw ją zważyli, a potem przenieśli na stalowy stół i założyli pas z obciążeniem.

Jason i Ethan wpadli w wesołkowaty nastrój, przerzucali się głupimi żartami na temat żółwiej mody, pasów obciążeniowych, wymyślali nieprawdopodobne scenariusze. Pomimo wszystko uwinęli się błyskawicznie ze swoim zadaniem i żółwica po kilku minutach wróciła do wody.

Ciężko obrażona popłynęła na drugi koniec zbiornika, wywijając wściekle płetwami. Zrobiła kilka okrążeń, wreszcie się uspokoiła. Toy stała przy szybie, obserwowała ją, wstrzymując oddech i czekała.

Bez większych trudności Maleńka zeszła na dno.

- Zdziałało! - zawołała Toy, zaciskając dłoń na ramieniu Ethana. - Popatrzcie, jest na dnie.

- Kto by pomyślał. - W głosie Jasona zabrzmiała aprobata i zaskoczenie. Chyba do ostatniej chwili nie był całkowicie przekonany, że pas spełni zadanie. - Dobra robota.

Ethan objął Toy, a ona uśmiechnęła się do niego, po czym spojrzała na Elizabeth. Starsza pani stała z boku z dziwną miną.

- Maleńka nie mogła się zanurzać - pospieszyła z wyjaśnieniem.
- Rwaliśmy sobie włosy z głowy, jak jej pomóc. Próbowaliśmy wszystkiego. A teraz, popatrz tylko. Odpoczywa sobie na dnie. Zaczynasz w dobry dzień. Żeby to uczcić, przyniosę ci suchy T-shirt.

- Świetnie, dziękuję. - Na twarzy Elizabeth odmalowała się ulga.
- Zanim się rozejdziecie, chciałam zapytać, kto jest tu szefem. Do kogo mam się zgłaszać?

Wszyscy odruchowo spojrzeli na Jasona, ale Jason utkwiał spojrzenie w Toy. To był decydujący moment. W Toy powoli rodziła się pewność, że zasłużyła sobie na tę pozycję. Ciężko na nią pracowała. Stworzyli szpital wspólnym wysiłkiem, ale kiedy spojrzała na siebie oczami osoby z zewnątrz, zobaczyła siebie jako dyrektorkę. I była dyrektorką.

- Ja jestem szefową szpitala i ze wszystkim zgłaszasz się do mnie - powiedziała spokojnym, pewnym głosem.

Z Emmi działo się coś złego. Cara ledwie ją poznawała. Dawniej skupiona wyłącznie na rodzinie, od chwili powrotu na wyspę rzucała się na mężczyzn jak wygłodniały drapieżnik, inaczej nie sposób było nazwać jej niezliczonych randek. Tak jakby za wszelką cenę usiłowała odzyskać młodość. Uwidoczniło się to i w sposobie ubierania, i w zachowaniu. Żal było na nią patrzeć.

Do tego dochodził alkohol. Z pozoru mogło się wydawać, że to nic groźnego, ale Cara знаła Emmi od dziecka. Jej przyjaciółka nigdy nie piła, a teraz coraz częściej zaglądała do kieliszka. Cara z jednej strony nie chciała za bardzo ingerować, z drugiej nie mogła pozwolić, żeby Emmi się upijała. Postanowiła porozmawiać z nią poważnie.

Wsiadła na rower, z Seventh Avenue skręciła na Ocean Boulevard. Jechała przez dzielnicę zabudowaną domkami plażowymi takimi jak jej własny czy ten Emmi, wśród których pojawiała się

coraz więcej dużych rezydencji. Zawsze ją denerwowało, kiedy deweloperzy mówili o domkach plażowych, że są do wyburzenia, jakby tylko czekali, kiedy w kolejny z nich uderzy ciężka metalowa kula, rozbijając konstrukcję. Minęła narożny, otynkowany na różowo domek, który stał tu, od kiedy sięgała pamięcią. W miarę jak domki plażowe ustępowały miejsca okazałym willom, wyspa traciła swój dawny urok.

Cara mieszkała zaledwie kilka przecznic od Emmi, zbyt blisko, by mieć usprawiedliwienie, że ostatnio tak rzadko tu zaglądała. Zahamowała na podjeździe, zardzewiały rower zatrzymał się przed skromnym domkiem plażowym. Zsiadła i oparła go o kratę ogrodową. Dom Emmi prawie się nie zmienił od czasów, gdy były dziećmi. Wtedy codziennie wsiadała na rower i jechała do domku Bakerów. Spędzały tam razem czas, a kiedy się znudziły albo zgłodniały, pedałowały zgodnie do Rutledge'ów.

Dla Cary parterowy biały domek na zawsze miał już pozostać domkiem Bakerów. Nawet kiedy Emmi wyszła za Toma, nikt nie mówił o domku inaczej. Z przyjemnością odnotowała, że domek został odmalowany, a na ganku stał duży gazon z geranium. Emmi nie zareagowała na pukanie, więc Cara otworzyła drzwi i zajrzała do holu, jak robiła to zawsze, od momentu kiedy się poznały.

- Emmi? Kryj się, przyjaciółko! Wchodzę.

W holu omal nie przewróciła się o stertę książek. Odzyskała równowagę, rozejrzała się po pokoju od frontu i zdębiała.

W pierwszej chwili pomyślała, że przez domek Emmi przeszedł huragan. Podłoga zastawiona była kartonowymi pudłami, częściowo już wypełnionymi zawartością szuflad i półek. Kuchnia prezentowała się nie lepiej, na stole leżała taśma i papier pakunkowy, na blatach stały naczynia gotowe do zapakowania.

Pojawiła się Emmi z naręczem koców, blada ze zmęczenia, nieuczesana, w żółtym fartuszk, pomarańczowym topie i brązowych szortach. Zatrzymała się gwałtownie na widok Cary.

- Cześć - zawołała zaskoczona i uśmiechnęła się szeroko. - Jaka miła niespodzianka. Co cię sprowadza?

- Dawno się nie odzywałaś, to pomyślałam, że zajrzę. Co się tutaj dzieje?

- Pakuję się. Nie przypuszczałam, że to będzie taka straszna robota spakować bambetle zbierane przez trzy pokolenia. Nie wiem, co z tym robić.

- Może powinnaś zadzwonić do jakiejś organizacji charytatywnej? - poradziła Cara z kpiną w głosie. Od lat namawiała Emmi, żeby pozbyła się starych gratów i urządziła domek na nowo.

- Bardzo chętnie tak właśnie bym zrobiła, ale z każdą rzeczą łączą się jakieś wspomnienia. Nie jestem w stanie niczego się pozbyć.

- Jesteś taka sama jak Flo, obie obrastacie przedmiotami. - Rozejrzała się. Pudeł był taki zapas, że ona na miejscu Emmi uwinęłaby się z pakowaniem w ciągu jednego dnia. Potem tylko załadować wszystko na ciężarówkę i gotowe. - Wygląda na to, że

przydałaby ci się pomoc. Dlaczego nie zadzwoniłaś? I skąd ten pośpiech?

Pytanie zdawało się całkiem niewinne, ale z jakichś powodów wyprowadziło Emmi z równowagi. Cisnęła plecy do pudła, wsparła się pod boki i utkwiała spojrzenie w oknie, próbując odzyskać spokój.

- Znalazłam kupca na dom. Tego Cara się nie spodziewała.

- Tak szybko? To wspaniale. - Teraz dostrzegła, że Emmi drżą wargi, więc powtórzyła: - To wspaniale, naprawdę. Dlaczego ryczysz? Przecież chciałaś sprzedać domek.

- Ale nie tak. - Emmi ukryła twarz w dłoniach.

Cara podeszła i położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. Na stole obok styropianowego kubka z petami stało pudełko chusteczek jednorazowych. Wyciągnęła jedną i podsunęła Emmi. Emmi wydmuchała głośno nos, po czym wyrzuciła chusteczkę do kartonu ze śmieciami.

- Żałujesz teraz swojej decyzji? Nie dziwiłabym się wcale. Kochałaś ten domek. Nie musisz go sprzedawać, jeśli się rozmyśliłaś. Chcesz go zatrzymać?

Emmi pokręciła głową.

- Nie. Nic nie rozumiesz, Caro. To Tom chce go kupić.

Cara otworzyła szeroko usta.

- Twój Tom? Rzeczywiście nic nie rozumiem.

- Dla mnie to też był szok. Zadzwonił do mnie kilka dni temu. James i John byli u niego, jakżeby inaczej. Powiedziałam chłopcom, że wystawiam dom na sprzedaż, a oni natychmiast powtórzyli to ojcu.

Tom był wściekły. Najpierw napadł na mnie, że chcę sprzedać dom bez porozumienia z nim. Możesz sobie wyobrazić podobną bezczelność? Miałam się z nim porozumiewać... Jesteśmy rozwiedzeni! Powiedziałam mu, że nie zamierzam konsultować z nim swoich decyzji, to moje życie i mój dom. Niech się ode mnie odzepi. To mój dom - powtórzyła z mocą. - Rodzice podarowali go mnie, nie jemu. Tak jakby przewidzieli, że coś takiego może się zdarzyć.

- Nie mogli niczego przewidzieć. Byliście kochającą się parą.

Emmi zamilkła, jakby zastanowiły ją słowa przyjaciółki. Cara czekała niecierpliwie, chciała usłyszeć całą historię, zanim Emmi rozklei się zupełnie. Podała jej następną chusteczkę.

- Tusz ci się rozmazał, wyglądasz jak szop pracz. Emmi pociągnęła nosem, przesunęła niedbale chusteczką pod oczami.

- I co dalej? - Cara zdjęła z krzesła jakieś pudło i usiadła.

- Dalej była awantura. Znowu. Tom wyciągnął stary argument, że dał mi dom w Atlancie, żeby chłopcy czuli się u siebie, a ja go sprzedałam. Postąpiłam karygodnie. Utrudniłam dzieciom życie. Powiedziałam mu, że musiałam sprzedać dom, bo nie byłam w stanie go utrzymać za nędzne grosze, które mi wypłaca po dwudziestu pięciu latach małżeństwa. On na to, że powinnam nauczyć się oszczędzać. Co za tupet. Nie dostałam alimentów na chłopców. Wierz mi, że bym była nie wiem jak oszczędna, nie utrzymałabym tego hangaru.

- Wiem - przytaknęła Cara. Wszystko się w niej gotowało. Nie mogła uwierzyć, że Tom potrafił zachować się tak bezdusznie po tylu latach małżeństwa z Emmi.

- Miał czelność powiedzieć mi, że nie uwzględnił domku plażowego przy podziale majątku, bo wie, ile on znaczy dla chłopców, i nie życzy sobie, żebym go sprzedawała. Uważa, że go oszukałam. Widać chytrze zaplanowałam sobie wszystko wcześniej, skoro teraz, po rozwodzie chcę się pozbyć domku. To raczej on sobie wszystko zaplanował i teraz będzie się żenił z tą swoją panną.

Najgorsze jest to, że chłopcy myślą tak samo. Wyrywali ojcu słuchawkę i błagali, żebym nie sprzedawała domku. Podobno go uwielbiają i chcą tu przyjeżdżać z przyjaciółmi. Coś takiego! Zapomnieli, że gdybym go zatrzymała, nie byłby to już domek na wakacje i weekendowe wypady. Ja też muszę gdzieś mieszkać. - Emmi darła chusteczkę na strzępy. - Ale widocznie dla nich to nie ma żadnego znaczenia.

- Są strasznymi egoistami. Rozpuściłaś ich, Emmi. Emmi zalała się łzami i tym razem Cara pozwoliła jej się wypłakać. Rozwód to paskudna rzecz, myślała. Była świadkiem pierwszych miłosnych uniesień Emmi i Toma, była druhną na ich ślubie, matką chrzestną ich synów. Budowali swoje życie z nadzieją na przyszłość, a teraz wszystko legło w gruzach, zostały tylko urazy i żale.

- Tom stwierdził, że skoro sprzedawałam już dom rodzinny w Atlancie, nie wolno mi się pozbywać rodzinnego domu na wyspie - ciągnęła Emmi, sięgając po następną chusteczkę. - Zbyt wiele znaczy

dla rodziny. I powinniśmy go zatrzymać dla rodziny. Cały czas używał słowa „rodzina”. Wściekłam się i wykrzyczałam mu: Jaka rodzina? Nie ma żadnej rodziny. Zapomniał już, że sam rozbił tę rodzinę?

- Chce zrzucić całą winę na ciebie - powiedziała Cara. - To wyjątkowo podłe, nawet jak na niego. Gdyby trzymał swój rodzinny interes w spodniach, nie doszłoby do rozwodu i nadal bylibyście razem.

- Oświadczył mi wyniośle, w obecności chłopców, że kupi domek plażowy. Nie dla siebie, nie. Kupi go dla chłopców i na ich nazwiska. Zapłaci żadaną sumę. Nie będzie się targował z megierą. Mam mu przesłać umowę kurierem. Podpisze papiery i chce o wszystkim zapomnieć raz na zawsze. - Emmi westchnęła i powtórzyła drżącym głosem: - Raz na zawsze.

Wzruszyła ramionami i zaśmiała się, a potem ciągnęła już bez gniewu, raczej z bólem:

- I tak oto Tom kupuje domek. - Spojrzała na Carę.

- Od dziecka się w nim kochałam. Wiesz przecież. Byłaś świadkiem moich pierwszych westchnień. Przez trzydzieści dwa lata Tom był związany z tym domem. I teraz okazuje się, co było mu naprawdę drogie. Nie ja, tylko ten dom. Ja go nie obchodziłam.

- Emmi, to nieprawda. Tak jak powiedziałaś, byłam świadkiem. Tom cię kochał. Jest idiotą, że odszedł od ciebie. Serce mi się kroi, kiedy słucham, jak cię teraz traktuje. Kiedyś jednak cię kochał. A domku wcale nie musisz mu sprzedawać.

- Wiem. Wiem przecież - zawołała Emmi na cały głos, dając upust swojej frustracji, i zacisnęła usta.

- Siedziałam tu sama i zastanawiałam się całymi godzinami, co robić. - Pokręciła głową zrezygnowana.

- To logiczne rozwiązanie. Ja chcę sprzedać domek, James i John kochają go, a Tom jest gotów kupić. Byłabym idiotką, gdybym odmówiła.

- W ten sposób dom zostanie w rodzinie - powiedziała Cara, przyjmując rolę adwokata diabła.

Emmi kiwnęła głową, przyglądając się strzepom chusteczki.

- Tylko że to nie ja przekażę go chłopcom.

- Podniosła wzrok. Czuła się przegrana, pokonana.

- Cała zasługa spłynie na Toma. Uratował domek, nie dopuścił, żeby poszedł w obce ręce. Bohater od błyskawicznego wystawiania czeków.

Cara wstała i podeszła do okna. Pamiętała, jak siadywały na ganku, kiedy były jeszcze dziećmi, huśtały się na ogrodowej ławeczce i zwierzały nawzajem ze swoich marzeń. Cara zamierzała zostać baletnicą, a Emmi biologiem morskim. Poznała Toma Petersona i marzenia odmieniły się radykalnie, chciała już tylko być żoną i matką.

Cara odwróciła się, założyła ręce na piersi i powtórzyła:

- Nie musisz sprzedawać mu domu, Emmi. Możesz go zatrzymać, mieszkać tutaj. Chłopcy będą mogli cię odwiedzać, niekoniecznie z całymi skrzynkami piwa i bandą znajomych, ale...

- Też o tym myślałam - odparła Emmi trochę bardziej trzeźwo. Rzeczowe podejście Cary przyniosło efekty. - Ale to nie dla mnie. Mieszkałam tutaj przez ostatnie tygodnie i cały czas nawiedzały mnie wspomnienia rodzinne. Gdzie nie spojrzalam, nasze zdjęcia, pamiątki. Nigdy nie pogodziłabym się z rozwodem, gdybym tu została. Już i tak jest mi wystarczająco trudno bez tych wszystkich świadków przeszłości, a tutaj czułam się jak w mauzoleum. Nie, to nie dla mnie

- powtórzyła, kręcąc głową. - Muszę zacząć nowe życie. Bez Toma. Tutaj bym nie potrafiła.

Cara przysiadła na poręczy fotela.

- Skoro nie możesz tu mieszkać i nie stać cię na to, żeby przekazać domek chłopcom, to propozycja Toma jest najlepszym rozwiązaniem, jakie mogło się pojawić. A pieniądze, które dostaniesz, potraktuj jako należne z tytułu rozwodu. Niezbadane są drogi Pana.

- Och, Caro. - Emmi była zupełnie rozbita, przegrana, przykro było na nią patrzeć. - Z domem w Atlancie nic mnie nie wiązało, ale dlaczego tego domu, rodzinnego domu, nie mogę dać w prezencie dzieciom? Po tylu latach nagle jestem nikim. Nic nie mam. Zazdroszczę Tomowi, że może kupić chłopcom, co tylko zechcą. A co ja mogę im dać?

Cara usiadła na kanapie obok Emmi i przygarnęła ją do siebie.

- Mówiłam ci kiedykolwiek, co powiedziała moja matka na krótko przed śmiercią, kiedy siedziałyśmy zamknięte w Primrose Cottage podczas huraganu?

Emmi pokiwała głową.

- Powiedziała, że zostawia ci swój domek plażowy. Byłaś bardzo przejęta, bo myślałaś, że to Palmer go dostanie.

- Tak. Tego wieczoru powiedziała, że domek chce przekazać mnie. Nie ze względu na wartość materialną, ale dlatego, że go kocham. Jej słowa miały dla mnie ogromne znaczenie. Nie płakałabym, gdyby huragan zmiotł tej nocy domek z powierzchni ziemi. To, co dostałam wtedy od matki, to było poczucie własnej wartości. Byłam na tyle ważna, by brać mnie pod uwagę.

- I z tego powodu mam się nagle poczuć lepiej? Że w oczach swojej matki byłaś warta jej domku? Wspaniale, ale...

- Daj mi dokończyć. Nie chodziło wcale o domek, nie rozumiesz tego? Matka powiedziała mi tamtego wieczoru, że domek to bardziej stan ducha niż miejsce, rodzaj azylu, sanktuarium. Plaża, ocean, odosobnienie pozwalają nam odnaleźć wewnętrzny spokój, który nosimy w sobie. Powiedziała jeszcze, że mogę go sprzedać, jeśli będę musiała. I być może pewnego dnia rzeczywiście go sprzedam, ale nigdy go nie stracę, bo jego magia nie tkwi w czterech ścianach. Primrose Cottage jest symbolem miłości mojej matki do mnie. Cara ujęła dłoń Emmi.

- Jesteś matką Jamesa i Johna i tego nic nie zmieni. Byłaś opoką swojej rodziny. To ty kreowałaś szczęśliwe wspomnienia związane z tym domem. Czuwałaś przy chłopcach nocami, kiedy byli chorzy, chodziłaś na ich popisy skrzypcowe, na mecze, słuchałaś ich opowieści i opatrywałaś podrapane kolana. To tobie pierwszej przedstawią swoje przyszłe żony, będą do ciebie przyjeżdżać ze

swoimi dziećmi. Gdziekolwiek zamieszkasz, tam będzie ich dom rodzinny. Musisz odnaleźć spokój wewnętrzny, żebyś mogła przyjąć ich z radością, pogodzona ze światem. - Zamilkła na moment, a potem zapytała. - Kochanie, powiedz mi, co znaczą te twoje nowe stroje i całe to gadanie o szalonym seksie? Zachowujesz się tak, jakbyś znowu chciała mieć osiemnaście lat. Tworzysz pozory, żyjesz na zewnątrz, a powinnaś odnaleźć Emmi w sobie, głęboko we własnym wnętrzu. Przywołać tę wspaniałą dziewczynę, z którą dorastałam, która niczego się nie bała i wierzyła, że może być, kim tylko zechce. Tamta Emmi ukryła się. Dokop się do niej, odnajdź ją. Brakuje mi jej.

Z gardła Emmi dobył się ni to szloch, ni to śmiech.

- Mnie też jej brakuje.

Emmi odsunęła się i spojrzała na przyjaciółkę. W jej szmaragdowych oczach zabłysła nadzieja, że to, co powiedziała Cara, może być prawdą. Wzięła głęboki oddech, otrząsnęła się i usiadła prosto, a potem przesunęła dłonią po twarzy.

- Muszę wziąć prysznic. I zjeść coś. Umieram z głodu - powiedziała.

- Brett obiecał przywieźć małże. Mam w domu świeżutką bagietkę i doskonałą oliwę z zielonych oliwek. Urządzimy sobie ucztę.

- A potem skończę pakować i posprzątam.

- Pomogę ci.

Emmi odwróciła głowę.

- Zdajesz sobie sprawę, że jestem bezdomna. Muszę poszukać jakiegoś mieszkania.

- Znajdziesz na pewno, nie martw się. W tym też ci pomogę.

- Zgoda. - Uderzyła dłońmi w kolana i podniosła się z kanapy.

Przezesłała palcami gęste, ogniście rude włosy, jęcząc głośno, jakby ocknęła się ze złego snu, a potem zerknęła na Carę i w zielonych oczach zabłyśły chytre iskierki.

- Niech Tom kupuje domek. Specjalnie dla niego podniosę cenę.

Cara zaśmiała się i klasnęła w dłonie.

- Emmi wróciła!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lipiec był najbardziej pracowitym miesiącem dla żółwiarzy. Rano zabezpieczali gniazda założone w nocy, wieczorami pilnowali tych, w których spodziewali się wylęgu. Potem obserwowali w świetle księżyca, jak żółwiki zmykają do oceanu, by skryć się w wysokiej wodzie przyływu przed czyhającymi na nie ptakami. Tam zresztą też nie były do końca bezpieczne, łatwo mogły paść ofiarą ryb, ale zwykle trzymały się dużych grup, co zwiększało szansę, że część z nich ujdzie cało, gdy napastnik zaspokoi już głód.

W takie noce Cara wracała do domu zmęczona, ale spełniona.

Kiedy indziej księżyc niknął za ciężkimi chmurami, a komarów było więcej niż gwiazd na niebie. Cara spryskiwała się płynem odstraszającym i kulila się koło gniazda w bluzce z długimi rękawami i spodniach. W takie noce poświęcenie żółwiarzy poddawane było ciężkiej próbie.

Właśnie w jedną z takich nocy Toy, Cara i Lovie siedziały na diunie, czekając na wylęg. Lovie okazała się zapaloną małą żółwiarką, jak nazywał ją Brett. Podarował jej T-shirt, na którym widniał dumny nadruk „Little Turtle Lady”.

Cara i Toy siedziały na składanych plażowych krzeselkach z nogami wyciągniętymi przed siebie i obserwowały spacerującą po plaży Lovie.

Toy od Dnia Niepodległości czekała na okazję spotkania się z Carą sam na sam. Ciągle brzmiały jej w uszach kierowane do siostry

radę Palmera i ciągle na nowo budziły jej gniew. Dlaczego Palmer wtrąca się w nie swoje sprawy? Wszyscy byli zadowoleni z istniejącego układu, wszystko dobrze się układało, dlaczego on postanowił to zniszczyć?

Nie mogła wyrzucić z myśli jego słów. Próbowwała zapomnieć o afrontie i spojrzeć na sprawę obiektywnie, uczciwie. Chciała czuć się obrażona, ale prawdą było, że Cara mogłaby dostać znacznie więcej pieniędzy, wynajmując domek komu innemu. Pozostawało pytanie, jak długo będzie w stanie pomagać Toy i Lovie.

Ostatnio Cara i Brett inwestowali w rozwój firmy, wydawali duże pieniądze na kuracje hormonalne Cary i kilkukrotne zapłodnienia in vitro. Mieszkali skromnie, prowadzili spokojny tryb życia. Toy myślała zawsze o Carze jako o osobie zamożnej, która nie musi martwić się o pieniądze. Tymczasem Cara nie musiała być wcale zamożna. Może po prostu wygodnie było tak ją widzieć? Może wszystkie posiadane zasoby ulokowała w firmie? I teraz liczy każdy grosz, martwiąc się, czy wystarczy na opłacenie rachunków?

Toy nie miała już wątpliwości, że tak właśnie jest. Cara nie była jej matką, jej ciotką ani siostrą. Cara Rutledge Beauchamps była przyjaciółką.

A przyjaciół nie wolno wykorzystywać.

Toy przysunęła bliżej swoje krzeselko i Cara nachyliła się do niej.

- Chcesz spray przeciwko komarom?

- Nie, dzięki.

- Wody?

- Chętnie. Wypiłam już swoją.

Cara wyciągnęła z płóciennej torby butelkę i podała Toy. Toy odkręciła zakrętkę i zwilżyła językiem wargi, przygotowując się do trudnej rozmowy.

- Gorąca noc - powiedziała Cara. Toy kiwnęła głową i zaplotła dłonie.

- Gdzie Ethan? Nie widziałam go od kilku dni. Przyzwyczaiałam się już do jego obecności w Primrose Cottage.

- Przemawia dzisiaj na wieczorze dobroczynnym.

- Musi być dobrym mówcą. Jest błyskotliwy, ma dobry głos.

Jeśli kobiet nie interesuje to, co mówi, mogą po prostu na niego patrzeć choćby i przez godzinę. Ktoś taki nie może nie zjednać sobie słuchaczek.

- Bardzo śmieszne. Ethan dużo wie i warto go słuchać. - Toy stanęła w jego obronie.

- Wierzę - przytaknęła Cara z kamienną twarzą. - Z pewnością zbierze mnóstwo pieniędzy. Kto by mu odmówił? - Zerknęła z ukosa na Toy. - Ty nie, to jasne.

- Cara...

- Przepraszam, kochanie. Głupie żarty. Wiesz, jaki mamy stosunek do Ethana. Brett i ja bardzo go lubimy. Flo go uwielbia. Nie każdy poświęciłby całą sobotę, żeby razem z Brettem naprawiać płot Flo. Toy uśmiechnęła się.

- On jest wyjątkowy. - Była bardzo dumna z Ethana, kiedy zadeklarował swoją pomoc przy naprawach w domu Florence.

- Płot wygląda teraz wspaniale. Myślisz, że Ethan mógłby pomóc Brettowi postawić płot wokół naszego domku?

Przypomniałam sobie, Flo urządza w piątek barbecue i zaprasza nas wszystkich, a już szczególnie liczy na Ethana.

- Powiedz tylko „barbecue”, a Ethan niezawodnie się pojawi.

Zaśmiały się głośno. Obie teraz miały mężczyzn z zapadłej prowincji i wiedziały, co dla nich znaczy barbecue.

- Caro. - Toy przysunęła się jeszcze bliżej. - Skoro już mówimy o domach, chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

Cara odstawiła butelkę z wodą.

- Mianowicie?

- Usłyszałam przypadkiem, co Palmer mówił na przyjęciu. Żebyś wynajęła domek - Toy wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- O nie. - Cara oparła łokcie na kolanach i pokręciła głową. - Niech diabli wezmą Palmera.

- Jest dobrym bratem, troszczy się o ciebie. Ma rację. Od kogoś innego mogłabyś zażądać znacznie wyższego czynszu.

- Toy, to nie ma żadnego znaczenia. Przerabialiśmy już ten temat. Jest dobrze, tak jak jest. Ja w każdym razie jestem zadowolona.

- Ale ja nie jestem zadowolona. - Cara osłupiała, więc Toy dodała pospiesznie: - Oczywiście jestem ci bardzo wdzięczna, ale za bardzo was kocham, żeby wykorzystywać twoją i Brettę dobroć.

Pomagacie mi od pięciu lat, od momentu śmierci Lovie. Nigdy nie

skończyłabym studiów, gdyby nie ty. Jesteś drugą matką dla małej Lovie.

- Chcę, żeby tak właśnie było, zawsze chciałam.

- Wiem, ale stanęłam już na nogi. Udało się, dzięki tobie, Brettowi i Flo. Przeszłam długą drogę. - Toy zaśmiała się. - Teraz mogę wreszcie zadbać sama o siebie, nie polegać już tak bardzo na was. Poszukam sobie jakiegoś mieszkania.

- Nie podoba mi się to. Chcę cię mieć blisko. Chcę, żeby Lovie była blisko. Dokąd się wyniesiesz?

- Nie wiem jeszcze. Chciałabym znaleźć coś niedaleko. Może w Mt. Pleasant? Mała Lovie nie wybaczyłaby mi, że nie może chodzić na plażę z żółwiarzami. Jesteście jej życiem. I moim.

- Masz jakieś oszczędności? To pierwsza rzecz. Będziesz musiała wpłacić kaucję i czynsz z góry. A czynsze w Mt. Pleasant są wysokie. Znam chyba kogoś...

- Caro, posłuchaj samej siebie. Znowu chcesz mi pomagać, jak zawsze. - Toy czuła niezwykle spokoj. - Poradzę sobie.

Cara w pierwszej chwili nic nie powiedziała, przyglądała się tylko Toy z zagadkową miną. Oto na jej oczach w dziewczynie dokonywała się przemiana. Wreszcie odchyliła się w krześle.

- Nie podejmujemy dzisiaj żadnej decyzji. Powiedzmy sobie tylko, że się zastanowimy i wrócimy do tego tematu jesienią. Co ty na to?

- Zgoda. Będę miała czas, żeby odłożyć trochę pieniędzy i rozejrzeć się.

- Za bardzo się nie rozglądaj, bo mi uciekniesz, zanim zdążę przemyśleć sprawę. Mój braciszek lubi ustawiać wszystkich wokół i uważa, że mogę dostać więcej pieniędzy, ale mnie to nie interesuje. Nie zależy mi na pieniądzach, cieszę się, że mieszkasz w domu mamy. Tak powinno być. Jej się to na pewno podoba. Chciała, żebyś tu mieszkała.

- Jezu - jęknęła Toy. - Musiałaś koniecznie wspomnieć swoją mamę? Wszystko było w porządku, a teraz zaczniemy płakać i już nigdy nie wyprowadzę się z jej domku.

- Ja nigdy nie płaczę - oznajmiła Cara ze śmiechem.

- Tylko czasami oczy mi się pocą.

- Jedno pytanie - powiedziała Toy, ocierając łzy.

- Nie chcę być wścibska, ale jak stoicie finansowo? Potrzebne są wam te pieniądze, które moglibyście dostać za wynajem domku?

Cara skrzywiła usta. Zawsze tak robiła, kiedy zmagiała się z tym, co miała do powiedzenia. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie, bezradność, smutek, wreszcie szczerłość. Kiwnęła nieznacznie głową. Drobnym ruchem, który Toy ledwie dostrzegła.

- Dziękuję - powiedziała Toy zdławionym głosem.

- Dziękuję za wszystko, co zrobiliście dla mnie i dla małej Lovie.

Odezwał się telefon Cary i Toy odetchnęła z ulgą, szczęśliwa, że rozmowa zakończyła się w miłej atmosferze. Dzwoniła Flo, która czuwała przy gnieździe po drugiej stronie wyspy. Była okropnie

rozgorączkowana. Cara włączyła głośniczek, żeby Toy mogła ją słyszeć.

- Przyjeżdżajcie natychmiast. Jest lęg, ale mamy prawdziwą katastrofę - krzyczała Flo. - Żółwiki ruszyły z gniazda w stronę oceanu. Kiedy wyszły z cienia wydmy, światła miasta tak je ogłupiły, że zrobiły w tył zwrot i poszły prosto na ulicę. Są ze mną Mary, Barb i Tee. Zadzwońłam po Bev, Nancy i Kathey. Potrzebuję tutaj wszystkich. Jak najszybciej.

- Zaraz będziemy. - Cara rozłączyła się.

- Musimy jechać do żółwików wędrowniczków. Mała Lovie klasnęła w dłonie.

- Jejku! Jest lęg.

- Dla ciebie już za późno - powiedziała Toy stanowczym tonem.

- Ale mamusiu...

- Znasz zasady. Możesz być na plaży najwyżej do dziesiątej, a już dochodzi dziesiąta. Pora do łóżka. I nie dąsaj się. Masz szczęście, że pozwalam ci kłaść się tak późno;

- Ale tam jest lęg! - Lovie stawała na palcach i robiła błagalne miny.

Cara zbierała swoje rzeczy.

- Masz jutro pracującą sobotę? Toy pokręciła głową.

- Nie.

- To zabierzmy Lovie. Odeśpi jutro. Ty też. Flo naprawdę potrzebuje pomocy. Ma całą plażę żółwików maszerujących w stronę miasta. Lovie w końcu należy do zespołu.

Toy pacnęła komara, który usiadł jej na uchu. Nie miała nic do powiedzenia wobec argumentów Cary.

- Dobrze. - Wycelowała palec w córkę. - Ale musisz obiecać, że zostaniesz w pobliżu gniazda i nie będziesz ganiała po plaży, zrozumiano? Musimy pomóc Flo, nie będę mogła zajmować się jeszcze tobą. Będziesz pilnowała gniazda. Jak zobaczę, że odchodzisz, natychmiast wracamy do domu.

- Będę stała przy gnieździe, obiecuję.

- W takim razie w drogę. - Cara chwyciła swoją torbę, krzeselko i ruszyła w stronę parkingu.

Zastały Flo stojącą po kolana w oceanie z wysoko uniesioną latarką, która miała udawać księżyc i naprowadzać żółwki na właściwy kierunek. Noc była ciemna, atramentowa i trudno było się rozeznąć, kto jest na plaży. W mroku widać było tylko sylwetki ludzi z zespołu, którzy usiłovali tarasować drogę skołowanym, liczącym po siedem centymetrów żółwikom, zmuszając je do zawracania w stronę wody. Czerwone światła latarek sprawiały wrażenie unoszących się nad plażą dziwnych świetlików.

Toy ustawiła Lovie koło gniazda. Najmłodsza żółwiarka w zespole miała pilnować, czy nie pojawią się kolejne maluchy. Sama zaczęła przeszukiwać trawy na wydmie, szukając żółwików idących na pewną śmierć. Żółwki, kompletnie zdezorientowane, dreptały w stronę światła na bulwarze nabrzeżnym, lamp ulicznych i ostrego światła na ganku najbliższego domu, które ktoś bezmyślnie zostawił zapalone, wychodząc na cały wieczór. Cara zbierała żółwki do wiadra

i nosiła na brzeg, gdzie stała Flo z latarką. Do północy udało się zebrać sto jedenaście maluchów i wypuścić je do oceanu. Ratownicy mogli wracać do domów, śpiący, zmęczeni, ale zadowoleni z dobrze spełnionego obowiązku. To była jedna z tych nocy, kiedy mieli pewność, że ich trud nie idzie na marne.

Toy niosła śpiącą Lovie do samochodu. Drobniutka dziewczynka ważyła tyle co nic. Czasami Toy wydawało się, że Lovie jeszcze ciągle jest maleństwem, ale tego lata po raz pierwszy pozwoliła córce rozwinąć skrzydła.

- Nie powinna markować po nocach. Muszę zacząć pilnować jej rytmu dnia.

- Jesteś dobrą matką - powiedziała Flo idąc zaraz za Toy wąską ścieżką przez wydmy. - Możesz być dumna ze swojej córki. Nie spotkałam dotąd dziecka, które byłoby tak wrażliwe na przyrodę jak ona. Lovie czuje naturę, a to ważniejsze niż umieć wymienić nazwy wszystkich gatunków drzew czy ptaków. To jest serce, tego dziecko nie nauczy się z książek.

Toy oparła sobie Lovie o biodro, poprawiając chwyt. Lubiała słuchać komplementów na temat Toy i własnych talentów wychowawczych. Mogłaby się w nich pławić bez końca. Myślała sobie czasami, że dla samotnej matki takie pochwały są bezcenne, pomagają wierzyć w siebie, podnoszą na duchu...

- Jest takie powiedzenie, że dziecko wychowuje cała wioska. W tym wypadku byłby to nasz zespół żółwiarzy - powiedziała.

- To mi się podoba - przytaknęła Flo z emfazą i nie dodała już nic więcej, żeby nie przesadzić. Wiedziała, że Toy chętnie przyjmuje komplementy, ale z drugiej strony ich nadmiar wprawiał ją w zakłopotanie, chyba dlatego, że sama wychowała się w domu, gdzie trudno było usłyszeć dobre słowo.

Kiedy dotarły do złotego garbusa, Flo ucałowała policzek śpiącej Lovie i zamknęła drzwiczki samochodu.

- Śpij dobrze, mała żółwiarko.

Brett zostawił dla żony światło na ganku. W domu było ciemno, tylko spod drzwi sypialni sączyła się smuga światła. Cara rzuciła zapiaszczony plecak na podłogę w holu i zzuła sandały. Noc była tak wilgotna, jakby wyspę spowiła gęsta, parna mgła. Cara czuła piasek na całym ciele, miała piasek nawet w ustach. Nie mogła się doczekać, kiedy wejdzie pod prysznic.

Otworzyła drzwi sypialni, od razu ogarnęła ją fala chłodnego powietrza z klimatyzatora. Brett jeszcze nie spał, wsparty o poduszki przeglądał jakieś papiery. Podniósł głowę i oczy mu się uśmiechnęły na widok żony.

- Nareszcie. Już zaczynałem się martwić.

- A ja miałam wrażenie, że nigdy nie wrócę do domu - powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

- Wykluły się?

Kiwnęła głową, zdjęła szorty, koszulkę zespołu żółwiarzy i rzuciła przepocone rzeczy na podłogę.

- Wykluły się, ale nie w moim gnieździe, tylko w dwudziestym siódmym. To był koszmar, bo żółwiki ruszyły jak jeden w stronę światła miasta. Trzeba je było wyłapywać i zanosić do oceanu, a one i tak zawracały i znowu chciały maszerować do miasta. Biedactwa zupełnie się pogubiły. Powiadam ci, okropność. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy.

- Weź prysznic, od razu poczujesz się lepiej. Cara miała wrażenie, że uśnie pod prysznicem, w strugach chłodnej wody, ale rzeczywiście poczuła się lepiej. Owinęła się ręcznikiem i poszła do kuchni, poszukać czegoś do jedzenia w lodówce. Ostatnio ciągle była głodna. Zjadła jajko na twardo, kawałek sera i naląła sobie szklanek mleka.

- Nad czym pracujesz? - zapytała, wróciwszy do sypialni.

- Nad raportem za lipiec. - Brett podniósł głowę i odłożył długopis. - Kolejny miesiąc lata za nami. Nie wiem, kochanie. Mamy teraz dwie filie... Będzie ciężko.

- To szczyt sezonu. Nabierzemy rozpędu.

- Oby tak było. - Przesunął dłonią po włosach. Na lato ostrzygł je krótko, ale co by nie robił, zawsze były niesforne. - Zastanawiam się, czy nie powiększyliśmy firmy zbyt szybko. Filia w Bull's Bay nie zaczęła się nawet amortyzować, o zyskach nie wspominając.

Cara usiadła obok męża.

- Brett, wiem, że ciężko ci w to uwierzyć, ale damy sobie radę. W przypadku Bull's Bay musieliśmy działać zdecydowanie, inaczej stracilibyśmy okazję i nie kupili tego lokalu na biuro.

- Zainwestowaliśmy wszystko, co mieliśmy. Zostaliśmy bez grosza i jeszcze się zadłużyliśmy.

Cara westchnęła. Wiedziała, jak bardzo Brett boi się długów. Nie wierzył w dane demograficzne, które mu przedstawiała. Przepracowała całe lata w marketingu i reklamie, umiała czytać liczby i je interpretować. Brett nie wierzył w dane, ale wierzył w Carę. Zaakceptował jej biznesplan, wziął pożyczkę pod zastaw domu i harował jak wół w jarzmie przez siedem dni w tygodniu, żeby otworzyć dwie filie. Cara nie mogła patrzeć na nowe zmarszczki, które pojawiły się na jego czole i wiecznie podkrążone oczy.

Wyjęła mu papiery z ręki i odłożyła na szafkę nocną, potem rzuciła ręcznik, wślizgnęła się do łóżka i przytuliła do Bretta, opierając głowę na jego piersi.

- Toy rozmawiała ze mną o wynajęciu domku plażowego. Uważa, że powinniśmy poszukać kogoś, kto zapłaci wyższy czynsz.

- Kto poruszył ten temat? - W głosie Bretta zabrzmiała ostra nuta.

- Usłyszała przypadkiem, jak Palmer udziela mi braterskich rad. Brett zaklął pod nosem.

- Powiedz jej, żeby zapomniała o sprawie. Może mieszkać w domku tak długo, jak zechce.

- Próbowałam, ale ona źle się z tym czuje. A my potrzebujemy pieniędzy.

Brett westchnął ciężko.

- Nie mówmy już o tym - powiedziała Cara sennym głosem i poklepała męża lekko po piersi. - Ustaliliśmy, że wrócimy do tematu jesienią. To zbyt poważna decyzja, żeby podejmować ją z marszu.

Brett przez chwilę milczał, zastanawiał się.

- Potrzebujemy pieniędzy, to prawda - odezwał się w końcu. - Ale tak naprawdę martwi mnie co innego. Muszę teraz pracować w trzech miejscach równocześnie. A to coś trzeba wyprostować, to znowu załatwić robotę papierkową. Nie mam czasu dla siebie. Dla nas. Pracujemy od świtu do nocy, Caro. Nic tylko praca. Tak się nie da żyć.

Cara otworzyła oczy, oparła się na łokciu i spojrzała na Bretta. Zawsze lubił lato, to była jego pora roku. Był urodzonym nauczycielem, uwielbiał otwierać turystom oczy na piękno przyrody. Zabierał ich na swój statek wycieczkowy, stawał za sterem, dawał sygnał syreną, uruchamiał silniki i wypływał daleko w ocean. Zmuszać kogoś takiego do tkwienia za biurkiem było zbrodnią przeciwko naturze. Robił to dla niej, dla swojej żony. Cara nie mogła go w żaden sposób pocieszyć, podjęli decyzję i teraz musieli się jej trzymać.

- Jesteśmy przemęczeni, ale to nie będzie długo trwało. Filie zaczną pracować normalnym trybem, wszystko się dotrze. Potraktuj to jako inwestycję na przyszłość. To lato będzie ciężkie, ale potem na pewno znajdziesz czas dla swojego dziecka.

„Czas dla swojego dziecka”... Oczy Bretta rozświeciły się na te słowa. Ich największa nadzieja, warta każdego wysiłku.

Brett uniósł się i pocałował Carę w usta.

- A to z jakiego powodu?

- A czy potrzebuję powodu?

- Nigdy.

Obydwoje, czuła to, rozważali, czy nie pocałować się raz jeszcze i pozwolić sobie na chwilę łóżkowych rozkoszy, ale zmęczenie przesądziło sprawę. Cara położyła głowę na piersi Bretta, a on poklepał ją kilka razy po plecach, zgasił światło i sypialnia pograżyła się w zapowiadających cudowny odpoczynek ciemnościach.

- Dobranoc - mruknęła, zapadając w sen.

- Kocham cię - odpowiedział Brett i otulił żonę kołdrą.

Lód zadzwonił w szklance, kiedy Flo uniosła ją do ust.

Nieczęsto pozwalała sobie na łyk Jamiesona z wodą. Od dawna mieszkała sama i wiedziała, jak niebezpieczne może być picie w samotności, ale od czasu do czasu robiła sobie drinka. Dzisiaj był jeden z tych rzadkich wieczorów. Nie była przygnębiona, ale nie była też w szczególnie dobrym nastroju.

Nie mogła zasnąć. Po ciężkim wieczorze na plaży sen jakoś nie chciał przyjść. Kiedy po raz dziesiąty spojrzała na budzik przy łóżku i stwierdziła, że jest druga, przestała się zmuszać. Nalała sobie whiskey i usiadła w bujaku na ganku, wystawiając twarz na podmuch bryzy od oceanu.

Skrzypienie fotela działało kojąco, kojący był zapach róż Mirandy. Po niebie sunęła powoli ciemna chmura. Flo obserwowała

jej wędrówkę do chwili, aż wiatr rozwiął zbity kłęb na dymne pasemka.

Kapryśne niebo, szum oceanu, koncert świerszczy, zapach róż... Zamknęła oczy i znów była młodą dziewczyną, która siadywała na tym samym ganku, gdy rodzice spali już w swojej sypialni na piętrze. To oni zbudowali ten dom, tutaj Florence Prescott spędziła całe życie, tutaj umarła jej matka.

Miranda wierzyła, że duch człowieka pozostaje w ukochanym domu. Twierdziła, że spotykamy to coś, co nazywamy „duchem”, gdy wracamy do domów naszego dzieciństwa. Zapachy ożywiały wspomnienia. Podobnie obrazy. Ale tak naprawdę to miłość wywoływała szepty płynące z przeszłości.

Flo sączyła powoli swoją whiskey. W przeciwieństwie do matki nie była romantyczką. Dla niej Miranda odeszła, tak jak dużo wcześniej odszedł ojciec. Czy ich duchy tu mieszkały, czy nie, to na jej barkach spoczywał trud utrzymania starego domu. Podjęła decyzję i być może wyszła tej nocy na ganek, szukając matczynej rady. Kto wie? Uniosła ponownie szklankę do ust i poczuła mile ciepło rozchodzące się po ciele.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi i znieruchomiała. Z domku Toy wyszedł mężczyzna. Wyprostowała się czujnie i zmrużyła oczy.

Proszę, proszę. To z pewnością nikt inny tylko Ethan panny Toy. Wymyka się od niej nocą niby lis z kurnika. Ukryta w mroku obserwowała, jak nocny gość schodzi po stopniach z ganku, przemierza żwirowany podjazd i wsiada do zaparkowanego na ulicy

pikapu. Usłyszała ciche trzaśnięcie drzwiczek, zapuszczenie silnika, chrzęst opon na żwirze. Flo uniosła rękę i spojrzała na zegarek.

Trzecia nad ranem.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Bardzo dobrze - mruknęła.

Świat nagle przestał być smutnym i przepelnionym samotnością miejscem. Zaśmiała się cicho i podniosła szklaneczkę, spełniając toast za młodość i miłość.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Połowa sierpnia na południowo-wschodnim wybrzeżu oznacza koniec lata i początek sezonu huraganów. Turyści przyjeżdżają tu po słońce, spędzają czas na plażach i niewiele więcej ich obchodzi, ale miejscowi wyczuwają subtelny zmianę, która zbiega się w czasie z rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

Oficjalnie sezon huraganów zaczyna się z początkiem czerwca, kiedy cyklony nawiedzają zachodnią część Morza Karaibskiego i Zatokę Meksykańską. Na początku lipca front burzowy przemieszcza się na wschód, wzrasta częstotliwość huraganów. Mieszkańcy Karoliny Południowej nie zwracają jeszcze wtedy specjalnej uwagi na niebo, acz są tacy, co lubią opowiadać nad szklaneczką mrożonej herbaty, jak to wielokrotnie zaskakiwały ich wczesne huragany.

Dopiero w połowie sierpnia groźny żywioł staje się tematem codziennych dyskusji czy to na ulicy, czy przy stole, czy w czasie konwersacji telefonicznej.

Większość frontów burzowych formujących się w Afryce rozprasza się gdzieś nad północnym Atlantykiem, ale część z nich dociera do wybrzeży Stanów. Te sieją zniszczenie i otrzymują zwykle imię, które je upamiętnia. Turyści uciekają, a miejscowi śledzą wiadomości telewizyjne i radiowe, zastanawiając się, czy uciekać, czy czekać do momentu, aż przyjdzie oficjalne polecenie ewakuacji.

Cara nigdy nie oswoiła się z huraganami. Stawała się nerwowa, wszystko ją irytowało, teraz, kiedy była w ciąży, stała się jeszcze

bardziej pobudliwa. Nie mogła zapomnieć swojego przerażenia, kiedy woda zalewała domek, a one z matką, skulone, przytulone do siebie, chroniły się na strychu, słuchając wycia wiatru i zanosząc modlitwy do nieba. Niewiele robiła sobie z bezlitosnych kpin Flo i Emmi, należała do tych, którzy decydowali się na dobrowolną ewakuację.

I tak dwunastego sierpnia, kiedy władze ogłosiły, że zbliża się potężny huragan, który na pewno otrzyma imię, spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, przygotowała dom na nadejście żywiołu, a potem pojechała do Toy i wspólnie zabezpieczyły Primrose Cottage. Mały domek wytrzymał niejeden huragan, jak często powtarzała z dumą jej matka. Chowały właśnie stojące w ogrodzie plastikowe pojemniki, kiedy usłyszały Flo pozdrawiającą je ze swojej posesji. Ciągnęła drabinę z garażu i zatrzymała się przy płocie dla złapania oddechu.

- Znowu się zaczyna! - zawołała. - Mówią, że tym razem może być naprawdę groźnie.

Cara i Toy pomachały jej na powitanie i podeszły do furki.

- Co z nią chcesz zrobić? - Cara wskazała na starą, popękaną i pochłapaną farbą drabinę.

- To co robią wszyscy. Muszę sprawdzić okiennice i dachówki.

- Nie zamierzasz chyba wspinać się po niej - przeraziła się Cara.

- Ta staruszka wygląda tak, jakby miała się zaraz rozlecieć. Poza tym jest przeżarta przez korniki.

- Zamierzam się wspinać. Ta drabina wytrzymała niejeden huragan.

- Tak, musi pamiętać nawet ten najgorszy, który nawiedził wyspę w 1893 roku.

Flo machnęła ręką z lekceważeniem. Zawsze tak robiła, kiedy ktoś się z nią nie zgadzał.

- Flo, mówię poważnie. W twoim wieku nie powinnaś łązić po drabinach.

- Pewnie masz rację, ale nie mogę się dodzwonić do chłopaka, który zwykle mi pomaga. Jego telefon został odłączony. Widocznie młodzieniec przeprowadził się w miłsze regiony i w nosie ma starsze panie, które korzystały z jego usług. Nie mam do kogo się zwrócić, więc muszę liczyć na własne siły.

- Poproszę Bretta, żeby zajrzał do ciebie - powiedziała Cara.

- Brett i tak już dużo dla mnie robi.

- Uwielbia wspinać się na drabinę. Będzie wściekły, jeśli pozbawisz go tej przyjemności, więc nie kłóć się ze mną. Toy, pomóż odnieść Flo to truchło, które udaje drabinę, z powrotem do garażu.

- Może po prostu postawić ją od razu koło pojemników na śmieci - zaproponowała Toy i spojrzała z wyrzutem na Flo: - I ty mnie nazywasz chomikiem.

- Ta stara drabina może jeszcze służyć długie lata. Cara teraz jeszcze lepiej rozumiała, dlaczego jej matka i Flo były tak bliskimi przyjaciółkami. Spoglądały na świat z tej samej perspektywy. Nie wchodząc z Flo w dalsze spory, wyjęła komórkę z kieszeni.

- Poproszę Emmi, żeby tu przyjechała. Wspólnymi silami zabezpieczymy twój dom w mgnieniu oka.

- Nie bądź niemądra, Caro - zachnęła się Flo. - Masz dość swoich zajęć. Nie potrzebuję waszej pomocy, poradzę sobie.

- Wiem, nie potrzebujesz - Cara wybierała już numer - ale my chcemy pomóc. - Podniosła dłoń, uciszając protesty Flo. - Nie kłóć się ze mną. Emmi już jedzie.

Trzy godziny później okiennice były pozamykane. Na podłodze w kuchni stały butelki z wodą, leżał zapas baterii, latarki, konserwy i inne przedmioty pierwszej potrzeby. Kiedy skończyły przygotowania, otworzyły butelkę wina, a Flo zabrała się za przygotowywanie sosu do spaghetti. W kuchni zapachniało czosnkiem i pomidorami. Toy siedziała na podłodze i pakowała zgromadzone zapasy do plastikowych pojemników. Emmi z listą w rękę sprawdzała, czy Flo ma wszystko, co będzie jej potrzebne. Cara wyznaczała trasę ewakuacji. Flo nie miała dzieci, ale nawet gdyby miała, nie mogłaby życzyć sobie bardziej troskliwych i zapobiegliwych córek.

- W czasie ewakuacji bardzo ważne jest, żeby wiedzieć, w jakim kierunku kto się udaje - oznajmiła Cara, machając długopisem. - Jeśli któraś z nas utknie w korku albo będzie musiała zmienić trasę, powinna zadzwonić do pozostałych. Musimy się nawzajem pilnować.

- Przecież robimy to cały czas - powiedziała Emmi przytomnie.

- Owszem, mądralo, ale w czasie huraganu konieczne są bardzo precyzyjne informacje. Pamiętam swoje przerażenie, kiedy zgubiła mi się gdzieś Toy z maleńką Lovie. Pamiętasz, Toy?

- Jak mogłabym zapomnieć? Ale wtedy to było coś innego, bo nie sądziłam, że będziesz mnie szukać. Myślałam, że nie chcesz mnie znać po tym, jak się zaplątałam w romans z Darrylem.

- Nadal mam do ciebie pretensje o tego Darryla

- powiedziała Cara. - Nie znosiłam go i nigdy mu nie wybaczę, że tak podle cię potraktował. Ale to nie był powód, żeby cię nie szukać. - Pokręciła głową. - Zawsze cię kochaliśmy.

- A ja byłam strasznie naiwna.

- I okropnie uparta - dodała Cara.

- Miałaś osiemnaście lat, Toy. Byłaś dzieckiem - wtrąciła Flo.

Toy marzyła wtedy, że Darryl zostanie jej mężem, że będzie miała normalną rodzinę. Był to nieszczególny okres w jej życiu i wątpliwy powód do dumy. Ilekroć myślała o tamtym czasie, ogarniał ją wstyd.

- Czasami przypominam sobie tamtą dziewczynę i nie wiem, kim była. Ale klnę się na Boga, kiedy zobaczyłam Brettę wchodzącego na izbę przyjęć, zrozumiałam, co oznacza słowo „ratunek”. Nie wiedziałam, jakie to cudowne uczucie mieć kogoś, komu nie jesteśmy obojętni.

- Teraz już wiesz - stwierdziła Cara i Toy posłała jej serdeczny uśmiech.

- Teraz już wiem. Mała Lovie też wie. Chyba dlatego nie boję się huraganów. To dzięki huraganowi stałam się szczęśliwym człowiekiem. Nigdy nie wiadomo, co okaże się dla nas dobre.

- To prawda, ale pomimo wszystko nie bądź niemądra i przygotuj się do ewakuacji. Powinnaś mieć spakowane najpotrzebniejsze rzeczy na wypadek, jeśli każą nam opuścić wyspę - powiedziała Flo.

- Dokładnie - przytaknęła Cara i wręczyła Toy kartkę z potrzebnymi informacjami. - Tu masz trasę ewakuacji do Columbii oraz adres i numer telefonu przyjaciela Bretta, który ma duży dom na obrzeżach miasta. Zgodził się nas przyjąć, gdybyśmy nigdzie indziej nie znaleźli miejsca. Nie obiecuje luksusów, ale może nam dać nadmuchiwane materace. Będzie czysto i sucho.

- Jak to czytam, już przechodzą mnie ciarki - Emmi wzdrygnęła się dla podkreślenia swoich słów.

- Mnie też - zawtórowała jej Toy. - Huragan staje się nagle czymś realnym.

- Jest bardzo realny- powiedziała Flo. - Przeżyłam huragan Hugo i na samo wspomnienie serce zaczyna kołatać mi w piersi jak szalone. Wystarczyło zobaczyć wielką motorówkę wbitą w salon sąsiadów, żeby zrozumieć, czym jest strach. - Flo pokręciła głową. - W moim wieku wolałabym już nie przeżywać podobnych sensacji.

- Nie mamy wyboru - odezwała się Cara. - To cena, jaką płacimy za życie w raju.

- Ty tak to widzisz, ale ja jestem już za stara, żeby co roku się pakować i zabezpieczać dom. Dla mnie to zbyt duży wysiłek.

- Daj spokój - prychnęła Emmi. - Ty jesteś osobą bez wieku. Znam kobiety dwa razy młodsze od ciebie, które nie mają nawet połowy twojej energii. Jesteś w doskonałej formie, Flo.

- Jest mi coraz trudniej funkcjonować normalnie. - Uśmiech zniknął z twarzy Flo. Odłożyła drewnianą łyżkę, którą mieszała sos i westchnęła.

- Flo, co się z tobą dzieje? - zapytała Cara. Flo wyglądała od kilku dni na zmęczoną, jakby ostatnio źle sypiała.

Flo przykręciła gaz pod sosem, usiadła przy stole z Carą i Emmi i omiotła niespiesznym spojrzeniem swoją ukochaną kuchnię, powtarzając sobie w myślach z zadowoleniem, że pomieszczenie jest bardzo przestronne i funkcjonalne.

- Kocham ten dom - powiedziała z nutą smutku w głosie. - Kiedyś był to najbardziej reprezentacyjny dom na wyspie, ale przyszły ciężkie czasy, nie tylko zresztą dla nas. Ojcu udało się zachować dom, ale nie miał już pieniędzy, żeby o niego dbać. Kiedy go odziedziczyłam, a miałam wtedy czterdzieści kilka lat, dom, od dawna wynajmowany, był w opłakanym stanie. Morskie powietrze nie jest łaskawe dla drewnianych konstrukcji. Najemcy też o niego nie dbali. Zastanawiałam się, czy nie powinnam go sprzedać. - Flo ponownie westchnęła. - Za bardzo go jednak kochałam, żeby zdobyć się na taką decyzję. Nigdy nie wyszłam za mąż, nie miałam dzieci, ten dom był moim miejscem na ziemi.

Zgromadziłam trochę oszczędności na koncie, więc postanowiłam przywrócić mu dawną świetność. - Zaśmiała się. - Co to

był za czas. Przez cały tydzień pracowałam w Summerville, a w weekendy przyjeżdżałam tutaj i remontowałam. Byłam jeszcze młoda, pełna energii. Kiedy przeszłam na emeryturę, przeniosłam się tutaj na stałe, sprowadziłam matkę. Każdy grosz wkładałam w ten dom. I myślę, że dobrze zrobiłam.

- Bardzo dobrze-przytaknęła Cara. -To była mądra inwestycja.

Wiesz, ile ten dom jest wart w tej chwili?

- Wiem dokładnie. - Flo zamilkła i podjęła po chwili: - Myślę, że to dobry moment, żeby wam powiedzieć.

- Co mianowicie?

Znowu milczała przez chwilę, po czym oznajmiła mocnym głosem:

- Postanowiłam sprzedać dom.

Zaległa martwa cisza, a potem podniosły się krzyki.

- Nie możesz - zawołały chórem Cara i Toy. Emmi siedziała z rozdziawionymi ustami, nie odezwała się ani słowem.

- Wszyscy w jakimś momencie musimy podejmować podobne decyzje - powiedziała Flo trzeźwo.

- Chcesz rozstać się z nami? Z Isle of Palms? Zostawisz żółwie?
- zaatakowała ją Toy.

- Z nikim się nie rozstaję, dziecko. Nie umieram, tylko się przeprowadzam.

- Chwileczkę - Cara uniosła dłoń. Była blada, wstrząśnięta i potrzebowała czasu, żeby przyjąć do wiadomości to, co właśnie usłyszała z ust Flo. - Porozmawiajmy.

Flo nie spodziewała się, że Cara zareaguje tak emocjonalnie. Rzadko płakała, a w krytycznych momentach zawsze można było liczyć na jej spokój i opanowanie. Toy miała miękkie serce, łatwo się wzruszała i teraz zwilgotniały jej oczy. Emmi z kolei pogrzyżała się w zadumie.

- Masz całe czoło w zmarszczkach, Caro - zauważyła Flo. - Wiesz, że marszczysz się tak od dziecka, kiedy ktoś ze znajomych ma kłopoty? Zawsze chcesz pomagać wszystkim dookoła. Skarbie, ja nie proszę, żebyś rozwiązywała moje problemy. Po prostu informuję was, jak sprawy stoją. Przez całe życie polegałam wyłącznie na sobie i nie zamierzam teraz tego zmieniać. Długo się zastanawiałam, zasięgałam rady znajomych i fachowców. To normalne, że w pewnym wieku człowiek chce zamieszkać gdzieś, gdzie będzie miał święty spokój: Gorzej, kiedy jest rodzina, ziemia... - Uśmiechnęła się smutno. - Ale ja jestem sama i wszystko, co mam, to ten dom.

Spojrzała na Careę i mówiła dalej stanowczym tonem, jakby chciała z góry uprzedzić wszystkie protesty, które rodziły się w głowie Cary:

- Ceny nieruchomości poszły ostatnio bardzo w górę. To była rzeczywiście dobra inwestycja, jak powiedziałaś przed chwilą. - Wzruszyła ramionami. - Problem polega na tym, że to moje gniazdo, wszystko, co mam na tym świecie - powtórzyła- Dziewczynki, i wy w przyszłości możecie znaleźć się w podobnej sytuacji. To trochę przerażające, że po latach oszczędzania i uważnego planowania

wydatków człowiek nagle uświadamia sobie, że kończą mu się pieniądze.

Wydawało mi się, że odłożyłam wystarczająco dużo, by po przejściu na emeryturę żyć spokojnie, ale inflacja pochłonęła oszczędności. Mam na koncie niecałe dwadzieścia tysięcy. Nie pytajcie zatem, czy wiem, ile wart jest ten dom. Dla mnie ważniejsze jest to, o ile poszły w górę moje podatki i ubezpieczenie. Co mi z tego, że wartość domu wzrosła, skoro nie jestem w stanie go utrzymać?

Cara była przerażona, podobnie Toy i Emmi.

- Nie mogłabyś go wynająć? - zapytała Toy. Flo pokręciła głową.

- Nie. Potrzebuję gotówki, żeby znaleźć sobie coś innego. Wszystkie pieniądze ulokowałam w tym domu. Muszę go sprzedać.

- Och, Flo - szepnęła Cara i zamilkła. Nie przychodziła jej do głowy żadna mądra rada. Nie tak dawno jeszcze żyła podobnie jak Flo - samotna, pracująca kobieta, której dobrze się powodzi, mająca ładny dom. Bez męża, bez dzieci. Spojrzała na Toy i zobaczyła lęk malujący się na jej twarzy. Musiała myśleć o swojej sytuacji. Samotne kobiety wiele łączy.

Ponurą ciszę przerwała Emmi.

- Ja go kupię - oznajmiła cicho.

Pozostałe trzy przyjaciółki szeroko otworzyły oczy na tę deklarację.

- Że co, przepraszam? - Flo pierwsza odzyskała głos.

- Powiedziałam, że kupię twój dom - powtórzyła Emmi.

- Emmi, uważaj, co mówisz - mitygowała ją Cara. - Zdajesz sobie sprawę, ile jest wart dom Flo?

- Zdaję. Zażądałam od Toma astronomicznej sumy za mój domek, mam na koncie pieniądze ze sprzedaży domu w Atlancie. Stać mnie.

- Zamierzasz kupić taki stary dom? - Flo spojrzała w zielone oczy Emmi, szukając w nich potwierdzenia, że to żart, albo, co gorsza, odruch litości.

- Flo, zawsze chciałam mieć ten dom - odparła Emmi. - Kiedy byłyśmy dziećmi, Cara i ja wyobrażałyśmy sobie, że tu mieszkamy, marzyłyśmy, że dom będzie kiedyś naszą własnością. Teraz wreszcie będę mogła zrealizować swoje marzenie. - Odwróciła się do Cary z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że zawsze myślałaś o kupnie tego domu? - zapytała Flo z niedowierzaniem.

- Kochanie, gdybym wiedziała wcześniej, już złożyłabym pieniądze w depozycie.

- Niech mnie diabli.

- To jak odpowiedź na modlitwy. Sprzedałam swój domek i szukam czegoś dla siebie, ale w życiu bym nie pomyślała, że tak szybko znajdę wyjście z sytuacji.

- Gdzie będziesz teraz mieszkała, Flo? - zaniepokoiła się Toy.

Flo otworzyła już usta, chciała powiedzieć, że znajdzie sobie jakieś lokum, być może w Mt. Pleasant, ale Emmi była szybsza.

- Flo będzie nadal mieszkała tutaj, oczywiście.

- Tutaj? - powtórzyła Flo, kompletnie oszołomiona. - W tym domu?

- Nie chcesz w nim zostać? - zapytała Emmi.

- Cóż, chcę... Ja... jestem zaszokowana. Nie mogę uwierzyć, że proponujesz mi takie rozwiązanie. - Uniosła kieliszek i upiła łyk wina, po czym spojrzała ponownie na Emmi, która szeptem wymieniała jakieś uwagi z Carą. Coś o konieczności upewnienia się i nie-robieniu sobie zbyt wielkich nadziei.

- Emmi - przerwała gorączkowe szepty i obie damy umilkły posłusznie. Flo patrzyła na ciemnowłosą Carę, ogniście rudą Emmi i widziała znowu dwie rozdokazywane, roześmiane, pełne niespożytej energii ośmiolatki, nierozłączne przyjaciółki. Twarz jej złagodniała na to wspomnienie.

- Jesteś aniołem, że wystąpiłaś z taką ofertą - zaczęła. - Aniołem Miłosierdzia. Doceniam to, jednak kupno mojego domu to jedna rzecz, a propozycja pozostania tutaj to całkiem co innego. Zawsze radziłam sobie sama i nie jestem aż taka stara, żebym musiała szukać u kogoś oparcia. Przede wszystkim jednak nie mogę wykorzystywać twojej serdeczności.

- Wcale nie uważam, że będziesz mnie wykorzystywać - powiedziała Emmi rzeczowym tonem. - Nie wiadomo, czy to nie ja wykorzystuję ciebie. Pozwól, że wyłożę karty na stół. Mówiąc wprost, nie będzie stać mnie na samodzielne utrzymanie takiego domu. To, co przyznał mi sąd przy podziale majątku i pieniądze ze sprzedaży obu

domów, to wszystko, co mam. Muszę tak planować, żeby nie zostać w jakimś momencie na lodzie. Nie chcę być ciężarem dla chłopców, ani, Boże uchroni, zwracać się po pomoc do Toma. Oto moja propozycja: kupię od ciebie dom po cenie wolnorynkowej, za tyle, na ile wyceni go rzeczoznawca. Potem ustalimy, jaki czynsz możesz mi płacić. Będziesz tu sobie mieszkała spokojnie, nie martwiąc się o stan konta, a ja będę miała jakiś dochód, który pomoże mi utrzymać dom. Poza tym miło mieszkać z kimś pod jednym dachem. Nigdy nie mieszkałam sama i ostatnie miesiące przekonały mnie, że nie bardzo potrafię. Dostaję gęziej skórki, budzę się na każde skrzypnięcie desek.

- To podejrzanie proste rozwiązanie.

- Życie wcale nie musi być skomplikowane. Przećwiczyłam już komplikacje i zdecydowanie wolę, żeby było łatwo i prosto. Wiesz, Flo, im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do przekonania, że to nie jest dobry plan, ten plan jest po prostu wspaniały. Proszę, zgódź się.

- W ten sposób nie stracę żadnej z was - odezwała się Cara.

- I zespół żółwiarzy nie ucierpi - dodała Toy z chytrym uśmiechem.

- W takim razie zgadzam się - powiedziała Flo i napełniła ponownie kieliszki. Z wyjątkiem kieliszka Cary, bo Cara nie tknęła swojego wina. Flo drżały dłonie, tak była podniecona i przejęta. Chciała wznieść toast, ale zabrakło jej słów.

- Co mam powiedzieć?

- Za mój nowy dom - wyręczyła ją Emmi.

- Za moją nową sąsiadkę - powiedziała Toy, unosząc kieliszek.

- Za żółwiarzy - dodała Cara.

Zadźwięczało szkło. Cara też uniosła kieliszek, ale ledwie umoczyła usta w winie, co nie uszło uwagi Flo. Kolory wróciły jej na policzki, znów stąpała po pewnym gruncie. Mogła odetchnąć swobodnie, jakby ktoś zdjął jej wielki ciężar z barków.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej o swoim planie - zwróciła się do Emmi. - Od kilku tygodni nie zmrużyłam oka, martwiłam się, że będę musiała sprzedać dom, myślałam o matce, o tym, co ona by na to powiedziała. - Spojrzała na Toy i uśmiechnęła się. - Zadziwiające, co człowiek może zobaczyć, siedząc w nocy na ganku.

Toy spąsowiała i szeroko otworzyła oczy, a Flo zachichotała, zadowolona, że udało się jej odwrócić uwagę od własnej osoby. Podeszła do kuchenki, żeby wstawić makaron, tymczasem Cara i Emmi rzuciły się na zarumienioną Toy, kategorycznie domagając się wyjaśnień.

Karta zdrowia Maleńkiej

12. sierpnia

Usunęliśmy pas obciążeniowy z dwukilogramowym ciężarkiem. Żółwica zanurza się bez większych kłopotów i pływa znacznie swobodniej.

Tak trzymać, Maleńka! TS

Część trzecia

Płyń zawsze w towarzystwie, nigdy samotnie.

Wiara we własne siły jest rzeczą dobrą, ale nadmierna wiara może być niebezpieczna.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W niedzielny sierpniowy ranek Toy siedziała przy stole kuchennym i leniwie wycinała kupony z gazet. Była wykończona i czekała na taki dzień, kiedy w piżamie będzie mogła spokojnie wypić drugą kawę, zamiast wybiegać z domu w nerwowym pośpiechu, by wrócić dopiero późnym wieczorem.

Kotka Kiwi pojawiła się w kuchni i zaczęła załośnie pomiaukiwać, domagając się śniadania.

- Dobrze, dobrze. - Toy pogłaskała lśniące bia-ło-rudo-czarne futerko i uciszyła kocicę, stawiając przed nią miseczkę z suchą karmą. Kiwi zajęła się jedzeniem, a Toy przygotowała sobie następną kawę, potem rzuciła na patelnię kilka plastrów bekonu, z ulgą zapominając o codziennych płatkach. W domku rozszedł się wspaniały zapach, który wywabił Lovie z łóżka. Weszła do kuchni, ziewając szeroko, potargana, z pluszowym żółwiem pod pachą.

- Dzień dobry, słońce - zanuciła Toy.

Żadnej odpowiedzi.

Mała Lovie wdrapała się na krzesło i zasiadła przy stole, mrugając zawzięcie. Toy obserwowała córkę, która budziła się

powoli, rozkwitała jak kwiat oglądany w zwolnionym tempie. Trochę trwało, zanim ocknęła się do końca i zaczęła rejestrować, co dzieje się wokół niej.

- Mogę przeprosić? - zapytała wytwornie i chciała zejść z krzesła, na którym dopiero usiadła.

- Najpierw zjedz plasterek bekonu, potem możesz oglądać kreskówki.

Lovie wepchnęła bekon do ust i pobiegła do bawialni oglądać telewizję. Dla niej niedziela też była wyjątkowym dniem, bo nie musiała się ubierać i spieszyć do szkoły czy do Flo. Połknęła resztkę bekonu i ziewnęła przeciągle, rozkoszując się spokojem.

Ale spokój nie trwał długo, bo odezwał się dzwonek przy drzwiach, płosząc Kiwi. Kotka czmychnęła w ciemny kąt, a Toy spojrzała na zegar kuchenny. Wpół do dziesiątej. Kto o tej porze składa niedzielne wizyty? - pomyślała ze złością.

- Mamo, jakiś pan do ciebie.

Toy wytarła dłonie i wyszła do holu.

- Lovie, mówiłam ci tyle razy, żebyś nie otwie... Zaniemówiła. Niewiele się zmienił przez te sześć lat, od kiedy odszedł. Ciągle był seksowny na swój surowy, kowbojski sposób. Długie jasne włosy nosił zaczesane za uszy, tylko jeden kosmyk się wymknął i tkwił w uchu. No i te bokobrody sięgające szczęki... Miał na sobie ciemne dżinsy, do nich pasek z ogromną srebrną klamrą, kowbojskie buty ze skuwkami na czubkach i brązowy

T-shirt z czaszką w ogniu i skrzyżowanymi piszczelami, mocno znoszoną kurtkę skórzaną, a na szyi rzemyk ze srebrną obrączką.

Toy zmierzyła go uważnym spojrzeniem od stóp do głów, po czym utkwiała wzrok w jego twarzy.

- Cześć, Toy.

- Witaj, Darryl.

Nie była pewna, czy wypowiedziała jego imię na głos. Miała ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem, chwycić Lovie i uciec z domu kuchennym wyjściem, ale stała bez ruchu, jak wrośnięta w ziemię.

Darryl zrobił krok, chciał wejść do holu.

Toy odsunęła się odruchowo, ale nie zrobiła mu przejścia. Zatrzymał się zakłopotany.

- Co tutaj robisz? - zapytała zdławionym głosem.

- Chciałem cię zobaczyć.

- Po co?

- A jak myślisz?

- Nie wiem, co mam myśleć. Minęło prawie sześć lat. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę.

- Ja nigdy nie przestałem o tobie myśleć. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu wywołanym jego słowami.

- Mamo, kim jest ten pan? - zainteresowała się Lovie. Stała przy drzwiach ze swoim pluszowym żółwiem, którego trzymała za łapę.

Toy zamarła. Co ma powiedzieć córce? Darryl przechylił głowę i wpatrywał się w Toy.

- To mój znajomy - rzuciła przez ramię i dodała ściszym głosem: - Darryl, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Idź już.

Darryl spojrział teraz na Lovie.

- Myślę, że mamy sobie bardzo dużo do powiedzenia.

- Nie - sarknęła Toy.

- Mama żartuje sobie z ciebie - Darryl zwrócił się do Lovie. -

Naprawdę nie wiesz, kim jestem?

Lovie pokręciła głową.

Darryl nachylił się do Toy i szepnął:

- Ona woli ciebie, tak?

- Darryl, nie...

- Mówiłaś jej o mnie?

- Powiedziałaś, że tata mieszka w Kalifornii - syknęła Toy. -

Dla dziecka to daleki świat, równie dobrze mógłbyś mieszkać we Francji.

Darryl pogładził małą bródkę.

- Przynajmniej nie powiedziałaś jej, że nie żyję.

- Niewielka różnica.

- Wróciłem i oto jestem.

- Za późno... - ucięła Toy, rozdrażniona pewnością siebie, którą słyszała w głosie Darryla. Ona sama czuła się tak, jakby do jej domu wtargnęła trąba powietrzna, porywając ze sobą wszystko. Nie była w stanie przeciwstawić się tej sile.

Darryl ponownie zwrócił się do Lovie:

- Jak masz na imię, kochanie?

- Lovie.

Darryl rzucił Toy rozbawione spojrzenie, które miało oznaczać, że wie, po kim mała dostała to imię.

- To bardzo ładne imię dla takiej ślicznej dziewczynki.

- Dziękuję. - Lovie przyglądała się nieznajomemu z coraz większym zainteresowaniem.

- Nie zaprosisz mnie do środka, Toy? - zapytał. - Wypadałoby chyba.

Toy ze zrezygnowaną miną odstepała od drzwi i objęła córkę, jakby próbowała chronić ją przed Darrylem.

- Wejdź - powiedziała bez cienia zachęty.

- Bardzo miło z twojej strony.

- Chcesz kawy?

- Napiję się z rozkoszą. Czarna. Bez cukru. - Zawiesił głos. - Jak zawsze.

Zirytowała ją ta niby zażyłość. Poszła nalać kawę, jednocześnie nie spuszczała oka z Lovie, którą zostawiła w pokoju. Darryl usiadł w fotelu naprzeciwko wielkiego panoramicznego okna i zapatrzył się w ocean, z pozoru nie zwracając uwagi na córkę. Lovie, oparta o sąsiedni fotel, nie odrywała od niego wzroku.

Tak długo marzyła, że Darryl pojawi się pewnego dnia, żeby poznać swoje dziecko. Akurat dzisiaj Lovie prezentowała się okropnie: potargane włosy, wygnieciona, poplamiona sokiem piżama. Na podłodze przed włączonym telewizorem książeczka do kolorowania i porozrzucone kredki... Odgłosy muzyki i efekty

dźwiękowe towarzyszące animacji brzmiały makabrycznie wobec powagi chwili.

Toy wyglądała nie lepiej niż córka: kamizelka, piżama, włosy byle jak związane w koński ogon. Nie zdążyła nawet umyć zębów. Dlaczego nie mógł jej odwiedzić, kiedy byłaby ubrana i uczesana jak człowiek? Kim ja się przejmuję? - zgromiła samą siebie w myślach. Facetem, który zostawił je i odszedł w siną dal, nawet się nie obejrzawszy?

Wróciła z kawą do bawialni, wyłączyła telewizor i podała Darrylowi kubek gestem, który powinien go obrazić.

- Dzięki. - Upił łyk. - Dawno nie piłem tak dobrej kawy.

W to akurat Toy mogła uwierzyć.

Upił następny łyk, a ona stała zakłopotana, splatając i rozplatając dłonie. Wreszcie westchnęła z rezygnacją i usiadła w fotelu naprzeciwko Darryla.

- Jak to miło tak siedzieć sobie w trójkę - powiedziała, mrużąc oczy.

- Nie przyzwyczajaj się.

Darryl zachichotał i odstawił kubek na drewniany stolik. Toy bez słowa podsunęła mu tekturową podstawkę. Uniósł brwi zdziwiony, ale podłożył tekturowy krążek pod kubek.

- Nie zdejmiesz kurtki? Trochę za ciepło, żeby siedzieć w skórze.

- Jasne.

Irytowała ją ta uступliwość Darryla. Zdjął posłusznie kurtkę, odsłaniając muskularne, mocno wytatuowane ramiona, ślad jego bujnej, bogatej przeszłości.

- Odwieszę ją. - Toy chciała się podnieść.
- Nie fatyguj się. Położę ją tutaj, na oparciu fotela.
- Jak chcesz.

Położył kurtkę, sięgnął po kubek, upił kolejny łyk i rozejrzał się ciekawie.

- Ładnie mieszkasz.

Spojrzała na pokój oczami Darryla. Wnętrze miało swój urok, urządzone ze spokojną elegancją, tak charakterystyczną dla miss Lovie. Cały domek naznaczony był jej gustem. Toy zawsze marzyła, żeby mieszkać w takim domu.

- Domek nie jest mój.
- Wiem, to własność tej starszej pani. Gdzie ona jest?
- Miss Lovie nie żyje. Niech spoczywa w pokoju.
- Naprawdę? Mieszkasz tutaj sama?

Toy widziała, że Darryl zaczyna coś kombinować i zrobiła się czujna.

- Wynajmuję od Cary. Tymczasowo. Domek należy teraz do niej.

Twarz Darryla stężała.

- Tak, pamiętam ją. - Podniósł się, wytarł dłonie o dzinsy. - Wiem, że cię zaskoczyłem swoją wizytą, ale musimy porozmawiać. Chciałem zaprosić cię na kolację. Razem z Lovie, ma się rozumieć.

Toy zaskoczyła ta propozycja.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - bąknęła.

- Bardzo dobry. Zjemy coś smacznego, pogadamy. Wybierz tylko restaurację.

Wzięła głęboki oddech.

- Ostatecznie...

- Gdzie chciałybyś pójść?

- Nie wiem.

- Może gdzieś nad Shem Creek? Lovie będzie mogła przyglądać się delfinom.

- Nie, nie chcę zabierać ze sobą Lovie.

- Mamusiu... - zaprotestowała zawiedziona Lovie.

- Powiedziałam nie.

Darryl wycelował palec w córkę i powiedział żartobliwym tonem:

- Musisz poczekać, szkrabie. Zabiorę cię kiedy indziej nad Shem Creek, kiedy mama się zgodzi. Założysz swoją najładniejszą sukienkę.

- Ethan też mówi do mnie „szkrabie”. Twarz Darryla skurczyła się.

- Kim jest Ethan?

- Jeśli będziesz zadawać takie pytania, możemy natychmiast się pożegnać - oznajmiła Toy twardym tonem.

Darryl wzruszył ramionami.

- W porządku. Zatem Shem Creek. Zarezerwuję stolik. Przyjadę po ciebie o szóstej.

- Dobrze.

- Pamiętaj, że jesteśmy umówieni. - Przechylił lekko głowę i uśmiechnął się.

- Postaram się nie zapomnieć. - Jak mogłabym zapomnieć, myślała, odprowadzając go do drzwi. Znalazł się tak blisko niej, że cofnęła się raptownie, unikając wszelkiego kontaktu fizycznego.

Darryl skwitował jej reakcję kolejnym uśmiechem.

- Do zobaczenia - powiedział miękko. Zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie. Opuściła powieki. Drżała. Trąba powietrzna przeszła, zostawiając po sobie tylko spustoszenie.

Toy zamówiła krewetki, Darryl wybrał granika.

Nieważne. Z trudem przełykała każdy kęs. Wokół przy stolikach goście popijali wino, nachylali się ku sobie, prowadzili beztrudne rozmowy, a ona czuła się jak drewniany manekin. Z przyklepionym do twarzy uprzejmym uśmiechem usiłowała słuchać, co mówi

Darryl. W przeciwieństwie do niej czuł się zupełnie swobodnie, zachowywał się tak, jakby nie opuścił Toy nawet na chwilę. Wino rozwiązało mu język, opowiadał o Kalifornii, o swoich koncertach, o wytwórni płytowej, która podpisała z nim kontrakt na duże pieniądze, o piosenkarzach country, których poznał. Rzucił wielkimi nazwiskami.

Toy słuchała w milczeniu, nie tykając prawie swojego wina i obserwując migotliwe cienie na oświetlanej blaskiem świec twarzy Darryla. Z jego relacji wynikało, że jeździł przez ostatnie pięć lat po kraju, biorąc udział w konkursach. Niektóre wygrywał, większość

kończyła się fiaskiem, ale te nagrody, które udawało mu się zdobyć, pozwalały mu wiązać koniec z końcem. Nadal hołubił swoje marzenia i nie czuł się przegrany.

Ona widziała to zupełnie inaczej. W jej oczach Darryl przegrał. Kiedy byli razem, on był tym lepszym, miał talent, był bystry, oboje wierzyli, że jego gwiazda zabłyśnie. Często powtarzał, jakie to szczęście, że Toy jest właśnie z nim. Tak, wierzyła w niego. Teraz, patrząc z perspektywy lat, własnych doświadczeń i osiągnięć, zastanawiała się, jak mogła być taka naiwna.

Ciągle jednak miał mnóstwo uroku. Błękitne oczy ocienione gęstymi, czarnymi rzęsami błyszczały w świetle świec, kiedy opowiadał o sobie. Nachylił się nad stolikiem.

- Wiesz, co takiego będzie w Charlotte w przyszłym miesiącu? Zgadnij.

Toy pokręciła głową.

- Amerykański Idol - oznajmił, jakby to było wydarzenie największej wagi, i uderzył dłonią o blat stolika.

- Tak jest, proszę pani, odbędą się eliminacje do Amerykańskiego Idola i mam zamiar wziąć w nich udział.

- Miło.

Na twarzy Darryla odmalowało się rozczarowanie. Widocznie spodziewał się, że Toy wpadnie w zachwyty.

- Miło? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? To dla mnie wielka okazja, będę mógł wreszcie się przebić.

- Z pewnością. Zawsze uważałam, że masz talent. Przechylił lekko głowę i spojrzął Toy w oczy.

- To prawda. Brakuje mi bardzo twojego wsparcia i wiary. Czuję się strasznie osamotniony.

Toy nie odpowiedziała.

- Ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję. - Odruchowo poprawiła włosy, odgarniając luźny kosmyk za ucho. Nie nawykła do komplementów.

Darryl nachylił się ponownie i położył dłoń na jej dłoni.

- Tęsknię za tobą, Toy. Cofnęła dłoń i położyła na kolanie.

- Niepotrzebnie.

Darryl uniósł brwi i sięgnął do kieszonki po papierosa. Spod rozpiętej koszuli wysunęła się srebrna obrączka na rzemyku. Toy rozpoznała ją dopiero teraz. To była ta sama obrączka, którą dostała od Darryla, kiedy wprowadziła się do jego mieszkania. Powiedział wtedy, że ta jest co prawda tylko srebrna, ale następna będzie już złota, ślubna. Zwróciła mu ją, gdy się rozstawali przed jego wyjazdem do Kalifornii. Była zdumiona, że ją zachował.

- Cholera, nie wziąłem papierosów.

- Tutaj chyba nie wolno palić.

Zaklął pod nosem. Psioczył na przepisy, zarządzenia. Ameryka schodzi na psy, stwierdził i odchylił się w krześle, bardzo nadaşany. Wygląda rzeczywiście jak typowy piosenkarz country w swoich dżinsach i dżinsowej marynarce, myślała Toy, przyglądając mu się.

Trochę nieokrzesany, ale przystojny. Nie mogła nie zauważyć powłóczyстых spojrzeń, które posyłała mu kelnerka.

- Myślałem, że się ucieszysz na mój widok - powiedział z żalem.

Toy zaśmiała się.

- Nie sądziłeś chyba, że będę na ciebie czekać? Mam swoje życie. I nie widzę w nim miejsca dla ciebie.

- Zawsze byłeś taka słodka. Skąd wziął się ten chłód?

- Z przemyśleń ostatnich pięciu lat.

- Toy, skarbie, ja wtedy musiałem wyjechać do Kalifornii. To była moja wielka szansa. Wiesz, jak długo śpiewałem po barach, czekając na przełom. - Zamilkł na chwilę i rozłożył ręce. - Nic z tego nie wyszło. Wytwórnia zbankrutowała, zanim zdążyłem nagrać płytę. Kręciłem się jeszcze dwa lata w Los Angeles, potem pojechałem do Nashville na wielki konkurs, który miał zrobić ze mnie gwiazdę. Zaszedłem wysoko, ale zabrakło mi kilku nędznych punktów do pierwszego miejsca. Zwycięzca zgarnął dwadzieścia pięć tysięcy, a ja dostałem tę skórzaną kurtkę.

Upił łyk wina.

- Oto historia mojego życia - powiedział z goryczą w głosie. - Ale ja się nie poddam. Będę dalej śpiewać moje piosenki i czekać na przełom.

- Po co wróciłeś? W Charlestonie raczej się nie wybijesz. Ach, przepraszam, zapomniałam o Amerykańskim Idolu.

- Wróciłem do ciebie. I do Love.

Nie wierz mu, nie wierz, powtórzyła kilka razy w myślach.

- Nic ci nie pomoże ta twarz pokerzystki, kochanie, oczy cię zdradzają.

- Już za późno - powiedziała lodowatym tonem. - Wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam.

Trochę arogancki uśmiech znikł z twarzy Darryla, do głosu doszła zazdrość.

- Chodzi o tego Ethana?

- To nie twoja sprawa.

Darryl starał się panować nad sobą, widziała, jak walczy z emocjami. Kiedyś taki błysk w jego oczach przyprawiłby ją o lęk, teraz nie robił na niej żadnego wrażenia. Nie bała się już. Była spokojna, reagowała obojętnie.

- Chyba zasłużyłem sobie na to - powiedział, przeczesując włosy palcami.

Zbyła jego słowa milczeniem.

- Postaraj się zrozumieć, skarbie. W moim życiu nie było miejsca dla kobiety, tym bardziej dla dziecka. Zbyt wiele nocy spędziłem w tanich, cuchnących motelach, gdzie w pokoju nie było nic poza zepsutym telewizorem i starą Biblią. Powiem ci jedno, kiedy człowiek znajdzie się na samym dole, podnosi głowę.

- To brzmi jak wers z twojej piosenki.

Darryl podrapał się po karku i uśmiechnął smutno.

- To jest wers z mojej piosenki, bardzo prawdziwy wers. - Ponownie nachylił się do Toy z poważnym wyrazem twarzy. - Do diabła, strzępię język po próżnicy. Mówiąc krótko, chcę, żebyś

wiedziała, że się zmieniłem. Tylko ty się dla mnie liczysz. Ty i moja muzyka. Nic więcej.

Brzmiało to tak szczerze, że sprawiało ból. Toy przymknęła oczy i pokręciła głową.

- Nie, Darryl.

- Pozwól mi przynajmniej spotkać się z moją córką. Tylko tyle. Chciałbym z nią porozmawiać, powiedzieć jej, kim jestem. - Widząc, że Toy się waha, dodał z emfazą: - To moje dziecko.

- Jesteś jej biologicznym ojcem, ale nic poza tym. Nie było cię przy niej, nie wychowywałeś jej, nie poświęciłeś ani jednego dnia. Nie wiem, czy powinieneś się z nią spotykać. Nie istniejesz w jej życiu. Nie należysz do rodziny.

- Pewnie Cara należy do rodziny.

- Nie waź się mówić źle o Carze. Okazała wiele serca mnie i Lovie. Nie wiem, co bym zrobiła bez jej pomocy, kiedy nas zostawiłeś i musiałam szukać miejsca w schronisku. Tak, Cara jest naszą rodziną.

- Waszą rodziną, tak? Strasznie porostaś w piórka. Widujesz czasami swoją prawdziwą rodzinę?

- Cara i Brett są moją prawdziwą rodziną.

- Znaczy się, nie widujesz.

- Dla ciebie może to znaczyć, co tylko sobie życzysz. Nigdy się nie kochaliśmy. Dobrze o tym wiesz.

- Widzieli naszą córkę?

- Moją córkę - poprawiła go i założyła ręce na piersi. - Nie, nie widzieli.

- Mojej matce też jej nie pokazałaś?
- Twojej matce? Dlaczego miałabym jej pokazywać Lovie?
- Jest jej bardzo przykro, że nie zna swojej wnuczki.
- Chyba żartujesz. Zapytaj ją może, dlaczego sama nigdy się nie pofatygowała, podobnie jak jej syn, żeby zobaczyć dziecko. W imię czego miałabym... - Toy przerwała i wzięła kilka głębokich oddechów, żeby nie wybuchnąć. - Nie chcę rozmawiać z tobą ani o twojej, ani o mojej matce. Niewiele mnie obie obchodzą. Myślę, że na tym zakończymy wieczór. - Rzuciła serwetkę na stół i sięgnęła po torebkę.

Darryl chwycił ją za rękę, nie pozwalając odejść.

- Nie przyjechałem tutaj klócić się tobą. Wysłuchaj mnie, proszę. Spojrzała wymownie na jego dłoń, na długie palce zaciśnięte wokół jej nadgarstka. Dotyk Darryla sprawiał, że wszystko się w niej burzyło. Kiedyś te dłonie dawały jej rozkosz. I zadawały ból. Powinna o tym pamiętać.

- Posłucham. Ale mów krótko. - Wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

Darryl położył dłonie na stole, przez chwilę się w nie wpatrywał, w końcu zaczął mówić:

- Wiem, że nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Wiem też, że nie zapomnisz mi tego, jak bardzo cię skrzywdziłem. Byłem głupi, bezmyślny. Miałem wszystko, o czym może marzyć facet, a jednak odszedłem.

- Owszem, odszedłeś. Nie oglądając się za siebie. Zniknąłeś na prawie sześć lat.

Podniósł wzrok i spojrzał w oczy Toy.

- Przepraszam. Zdumiały ją te przeprosiny.

- Dokonałeś wyboru.

- Toy, proszę. Chcę naprawić, co zepsułem. Daj mi jeszcze jedną szansę.

- Już za późno.

Darryl zamknął oczy, usiłował się opanować. Przez jego twarz przemknął bolesny grymas. Kiedy uniósł znowu powieki, był już spokojniejszy.

- W porządku, może rzeczywiście jest za późno. Muszę się z tym pogodzić. Ale nie jest za późno, żebym mógł widywać moją córkę. Ty nie chcesz mnie znać, ale nie możesz decydować za nią. Nie sądzisz, że najwyższy czas, żeby poznała swojego ojca?

- Nie pozwolę, żebyś ją skrzywdził tak, jak skrzywdziłeś mnie.

- Nie skrzywdzę jej nigdy w życiu. Wiem, masz powody, żeby wątpić w moje zapewnienia. Bardzo źle cię potraktowałem, przepraszam. Byłem młody, oboje byliśmy młodzi. Teraz jesteśmy dojrzałymi ludźmi. Zrozumiałem, co straciłem. Chcę mieć swój udział w życiu Lovie, taki, na jaki pozwolisz. Może któregoś dnia, jeśli Bóg dopuści, będę miał też udział w twoim życiu. Nie proszę o to. Jeszcze nie teraz. Błagam cię tylko o jedno, pozwól mi spotykać się z córką, pozwól mi ją poznać. Niech się dowie, że jestem jej ojcem. Ja. -

Uderzył się w pierś. - Będiesz ze mnie dumna, Toy. Klnę się na wszystko, że będziesz ze mnie dumna.

Odwróciła twarz, nie chciała zdradzać prawdziwych uczuć. Czy nie czekała przez lata, że nadejdzie taki dzień? Kiedy była w ciąży, marzyła, że Darryl się ocknie, wróci, uzna dziecko. Teraz nie potrafiła podjąć decyzji. Czy miała prawo pozbawić Darryla i Lovie szansy na to, żeby się poznali, zbliżyli do siebie? Niech Bóg mi pomoże, pomyślała i odparła:

- Zastanowię się. Ze względu na Lovie.

Po powrocie do domu Toy położyła Lovie do łóżka, przeczytała jej bajkę na dobranoc, po czym zgasiła światło i położyła się obok córki na nocne pogaduszki, jak je nazywała Lovie. W mroku miała zwierzała się matce ze swoich największych sekretów.

- Fajna była kolacja? - zapytała. Toy zaplotła dłonie na brzuchu.

- Fajna - przytaknęła. - Zamówiłam krewetki. A ty, co jadłaś?

- Ciocia Flo usmażyła hamburgery - mruknęła Lovie. -

Widziałaś delfiny?

- Nie. Nie siedziałam przy oknie.

- Szkoda. - Lovie złączyła palce, robiąc daszek. - Byłaś z tym panem?

- Myślisz o Darrylu? Tak.

- Nie z Ethanem?

- Nie. - Toy czekała, że córka powie coś jeszcze, ale Lovie zamilkła. Leżały w ciemnościach, nie odzywając się. Toy zmagala się z tym, co miała powiedzieć. Jak zapytać dziecko, czy chciałoby

poznać swojego ojca? W żadnych poradnikach dla rodziców nie natknęła się na opis podobnej sytuacji, ale intuicja podpowiadała jej wyraźnie, jak powinna postąpić.

Sama całe życie zastanawiała się, jaki jest jej ojciec, jak wygląda, jak się zachowuje, jaki ma charakter i czy jest do niego w czymkolwiek podobna. Nie miała jego fotografii, żadnych pamiątek. Kiedy pytała matkę, ta krzywiła się i zazwyczaj odpowiadała: „Ten kundel? To byle co? Błogosławię dzień, kiedy odszedł. Nie wspominaj mi o nim. Nigdy!”.

I Toy przestała zadawać pytania, ale pustka w sercu pozostała. Do tej pory nie uwolniła się od podejrzenia, że matka była taka okrutna, bo widziała w niej tylko córkę „tego kundla”, nikogo więcej. Nigdy nie rozmawiały na jego temat, ojciec pozostał już na zawsze tajemniczą postacią. Jeszcze teraz wracała do niego myślami. Czasami patrzyła na Lovie i zastanawiała się, co mała odziedziczyła po dziadku: oczy, uśmiech, porywczosć? Chciała coś o nim wiedzieć, cokolwiek, nawet złe rzeczy, tymczasem nie wiedziała nic.

Darryl miał rację. Był ojcem Lovie. Toy zawsze była szczerą wobec córki. Teraz też była winna jej prawdę.

Otworzyła oczy i zaczęła ostrożnie:

- Skarbie, muszę ci coś powiedzieć o tym panu, który był u nas rano. O Darrylu. Słuchasz mnie?

- Tak.

- To mój stary przyjaciel. Bardzo specjalny przyjaciel. -
Przerwała, mobilizując odwagę. - Kochanie, ten pan... Darryl... to twój tata.

Lovie nie poruszyła się, nie odezwała. Toy czekała w napięciu.

- Słyszałaś, co powiedziałam?

- To mój tata? - Wypowiedziała słowo „tata” powoli, jakby wsłuchiwała się w jego brzmienie.

- Tak.

- Ale mój tata mieszka w Kalifornii.

- Mieszka w Kalifornii, ale przyjechał tutaj, żeby cię zobaczyć.

- Chciał mnie zobaczyć?

- Tak. Chciał cię zobaczyć. I spotkać się ze mną.

- Toy obróciła się na bok, musiała zobaczyć, jakie emocje pojawiają się na buzi Lovie. Lovie wpatrywała się w sufit. Miała szeroko otwarte oczy, ale nie dało się z nich nic wyczytać.

- Nie musisz się z nim spotykać, jeśli nie chcesz. Powiem mu, żeby wracał, skąd przyjechał, i nigdy więcej go nie zobaczysz. Dla mnie to nie ma znaczenia, czy będziesz się z nim widywać, czy nie. Ważne, żebyś była szczęśliwa. Sama zdecyduj. - Zamilkła na moment.

- Chcesz się z nim spotkać?

- Chyba tak.

W głosie Lovie nie było cienia entuzjazmu, a Toy wydawało się, że córkę ucieszy możliwość poznania własnego ojca. Tak długo dopytywała się o niego. Gdzie jest, kiedy wróci. Wiecznie wprawiała

Toy w zakłopotanie, bo w każdym mężczyźnie, który był dla niej miły, widziała od razu tatusia.

- Nie jesteś zbyt zachwycona.
- Czy to znaczy, że wyjdiesz za niego?
- Za Darryla? Nie, na pewno nie.
- Ale on jest moim tatą.
- To wcale nie znaczy, że muszę wyjść za niego za męża.
- Ale gdybyś wyszła, to bylibyśmy rodziną.
- W głosie Lovie zabrzmiała błagalna nuta.

Toy ścisnęło się serce.

- Wiem, trudno ci to zrozumieć. Przepraszam. Chcesz mieć tatę i rodzinę. Ja też bym chciała mieć normalny dom, ale nie z Darrylem.

- Jeśli nie wyjdiesz za niego, to może za Ethana?

- Och, skarbie. Zostawmy teraz Ethana w spokoju. Chcesz się spotkać z Darrylem? - Lovie nie odpowiedziała i Toy musiała ją ponaglić: - Lovie?

- Chcę.

Toy opadła na plecy i położyła dłoń na czole. Miała za sobą naprawdę trudny dzień.

- W porządku, umówię was na spotkanie.
- Kiedy?
- Niedługo.
- Może jutro?

Wszystko działo się zbyt szybko.

- Nie lepiej pojutrze?

- Dobrze. - Lovie odwróciła się plecami. Toy przytuliła się do niej mocno, objęła ją. Zamknęła oczy. Wspominała dzień, w którym Lovie przyszła na świat. Mała urodziła się w czasie huraganu. Kiedy lekarz podał Toy owinięte w różowy kocyk maleństwo, od pierwszej chwili poczuła do tej kruszyny nie dającą się opisać słowami miłość. To uczucie odmieniło jej życie. Leżała długo w ciemnościach, słuchając oddechu córki. Powieki zaczęły jej ciążyć, ale w sercu czuła lekkość. Po chwili ona też spała.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Toy zadzwoniła rano do Akwarium i zapowiedziała, że będzie w pracy trochę później. Zostawiła Lovie u Flo i pojechała do Cary na przyjacielskie zwierzenia. Przed jej przyjazdem Cara zdążyła nakryć na ganku, z którego rozciągał się widok na Hamlin Creek. Na nakrytym niebieskim obrusem stole czekały już truskawki, słodkie bułeczki i mrożona herbata.

- Tak się cieszę, że wpadłaś. - Cara nalała herbatę do wysokich szklanek wypełnionych lodem. - Całe wieki nie miałyśmy okazji spokojnie pogadać. Nie pamiętam już, kiedy byłaś u mnie ostatnio, ot tak, po prostu. Latem człowiek nie ma chwili czasu dla siebie.

Toy kiwnęła głową, śledząc kroplę wody spływającą po schłodzonej szklance. Nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć Carze o swoich problemach.

Cara odstawiła dzbanek z herbatą i usiadła naprzeciwko Toy.

- Wszystko w porządku?

- Chciałam z tobą porozmawiać.

- Tak? - Cara rozpostarła serwetkę na kolanach, uniosła szklankę i zmrużyła oczy. - Czy to ma przypadkiem coś wspólnego z pewnym wysokim, ciemnowłosym przystojniakiem?

Toy omal nie zachłysnęła się herbatą. Carze zaśmiały się oczy na widok zmieszanej przyjaciółki.

- Wiesz?

- Mama wie wszystko.

- Kto ci powiedział?
- Wiewiórki mi doniosły.
- Lovie! Kiedy?
- Któregoś dnia podczas lunchu. Wypaplała, że jeden pan z

Akwarium czasami zostaje u was na noc.

- Mówisz o Ethanie?

Cara zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać.

- A jest jeszcze ktoś inny?
- Zapnij pasy, szykuje się ostra jazda.

Cara włożyła truskawkę do ust, oczy jej zabłyśły. Toy wzięła głęboki oddech.

- Darryl.

Cara w jednej chwili spoważniała. Przełknęła truskawkę i wytarła usta serwetką.

- Darryl? - powtórzyła, siląc się na spokój. Toy kiwnęła głową.

- Darryl? - Cara powtórzyła jeszcze raz, już podniesionym głosem. - Nie mów, że rozmawiałas z tym facetem. Po tym wszystkim, co przez niego przeszłaś?

- Pojawił się wczoraj rano w Primrose Cottage - wyjaśniła Toy.

- O Boże. I co zrobiłaś?

- Nic. Byłam zaszokowana. Stałam jak idiotka i gapiłam się na niego.

- Po co mu otworzyłaś?

- Lovie otworzyła.

- Lovie? - Cara sapnęła przejęta. - Mała Lovie była przy tym?

Widziała go?

Toy ponownie kiwnęła głową.

- Co miałam zrobić?

- Zatrzasnąć mu drzwi przed nosem. To pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy.

- Stałby na ganku i dobijał się tak długo, aż bym skapitulowała.

Znasz Darryla. Jak czegoś chce, nie ma na niego sposobu.

Twarz Cary stężała w gniewie.

- Czego chciał tym razem?

- Poznać swoją córkę. - Toy spuściła wzrok. - Prosił mnie o wybaczenie.

- Bzdura.

- Caro...

- Nie daj się nabierać. Nie powtarzaj drugi raz tego samego błędu. Nie oglądaj się za siebie, Toy. Zbyt ciężko pracowałaś i zbyt wiele osiągnęłaś, żeby spaść teraz do jego poziomu.

- Jest ojcem Lovie - broniła się Toy.

- Raczej dawcą spermy.

Urażona Toy nie zdążyła odparować, bo na ganku pojawiła się Emmi z radosnym „dzień dobry” na ustach. Zrezygnowała z obcisłych, wystrzałowych ciuchów i miała na sobie zwykłe szorty khaki oraz zielony T-shirt z logo Miłośniczek Żółwi.

Stała przy stole, spojrzała na Carę, na Toy i od razu zorientowała się, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje?

- Darryl się objawił - poinformowała ją Cara.

- To nie jest dobra wiadomość. Posłuchaj mojej rady: trzymaj się od niego z daleka - powiedziała Emmi, siadając.

Cara pokiwała głową, pokrzepiona słowami Emmi.

- Ten facet oznacza tylko kłopoty, wiesz doskonale, że tak jest.

Dlatego go skreśliłaś. Nie zapominaj, że cię zostawił z maleńkim dzieckiem.

- Nie zapominam. Byłam przy tym - odparła Toy cierpko.

- Przepraszam. - Cara, uściśnęła dłoń Toy. - Nie zamierzałam skakać ci do gardła. Nieprawda, naskoczyłam na ciebie - poprawiła się - ale nie chcę, żeby znowu cię skrzywdził. Ciebie czy Lovie.

- On się zmienił.

Emmi przewróciła oczami.

- Jezu - jęknęła. -I pewnie powiedział ci, że jest mu bardzo przykro.

Toy nie odpowiedziała, siedziała milcząca, ze spuszczoną głową.

- Wpuściłaś go do domu? - chciała wiedzieć Cara. Toy zdjął ten sam lęk co kiedyś, kiedy bała się

dezaprobaty, z jaką miss Lovie i Cara odnosiły się do Darryla.

Musiała wówczas kłamać i kręcić. Teraz, urażona, że Cara i Emmi ją straszą, też miała ochotę uciec się do krętactwa. Nikt nie będzie jej mówił, kogo może przyjmować w wynajmowanym przez siebie domku. Ona też chyba ma coś do powiedzenia? To w końcu jej życie.

Ile razy powtarzała te słowa, spierając się z Carą?

Toy miała serdecznie dość ciągłego dowodzenia, że nie jest już nastolatką, która lekkomyślnie zaszła w ciążę i znalazła się w tarapatach. Wyprostowała się i położyła dłonie na stole.

- Proszę bardzo, opowiem wszystko ze szczegółami. Owszem, zaprosiłam go do środka. Porozmawialiśmy przez chwilę. Dałam mu jasno do zrozumienia, że jego wizyta nie wprawiła mnie w zachwyt, a on starał się za wszelką cenę być uprzejmy. Zamieniliśmy kilka zdań, po czym poprosiłam go, żeby wyszedł.

- Bardzo dobrze - odezwała się Emmi. Toy spojrzała na nią.

- Wieczorem poszłam z nim na kolację. Przyjaciółki, wstrząśnięte, szeroko otworzyły usta.

- Musiałybyście widzieć buzię Małej Lovie - ciągnęła hardo Toy. - Wisiała na oparciu jego fotela i nie przestawała wlepić w niego oczu. Umierała z ciekawości, kto to taki.

- Nie powiedziałaś jej chyba! - przeraziła się Cara. Toy kiwnęła głową.

Cara osunęła się w fotelu i westchnęła ciężko. Nie wierzyła własnym uszom.

- Caro, Darryl jest jej ojcem. Czy się to komuś podoba, czy nie, fakt pozostaje faktem. - Toy uniosła dłoń, powstrzymując obiekcje Emmi, które co prawda jeszcze nie padły, ale właśnie miały zostać wyartykułowane. - Nie chciałam rozmawiać z nim przy Lovie, więc pojechaliśmy na kolację nad Shem Creek. Jedzenie było dobre, wyjaśniliśmy sobie przy rybie i krewetkach kilka spraw. Rozstaliśmy

się w atmosferze dalekiej od przyjaźni. Chcę to zamknąć, on najwyraźniej też.

- Zamknąć? - W głosie Emmi zabrzmiało najwyższe oburzenie. - A czy on otworzył kiedykolwiek jakieś drzwi? Przepraszam bardzo... Na co mu teraz to... zamykanie?

Cara bawiła się szklanką z niedopitą herbatą.

- Co dalej?

- Chciałby spotkać się z Lovie.

- Spotkać się z Lovie - powtórzyła Cara, ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. - Rozumiem, że się nie zgodziłaś?

Toy spojrzała jej prosto w oczy.

- Przeciwnie, zgodziłam się.

- Toy, co ty robisz? Facet cię zostawił, zostawił dziecko. Jest kompletnie nieodpowiedzialny. Niezrównoważony. Porywczy. Czasami podnosił na ciebie rękę. Zapomniałaś już? Co z Lovie? Pomyślałaś o niej?

- Owszem, pomyślałam - rzuciła Toy ze złością. - Zawsze o niej myślę. Wiem, co znaczy nie znać własnego ojca. Nie chcę, żeby moja córka przeżywała to samo co ja, żeby, jak mnie, zabrakło jej szacunku dla samej siebie. Jeśli Lovie teraz się z tym nie upora, zawsze już będzie jej czegoś brakowało. Nie chcę, żeby ojciec był dla niej jedną wielką niewiadomą. Nie chcę, żeby myślała, że tak mało dla niego znaczyła, że nie chciał jej poznać, nie próbował się z nią spotkać. Żeby się zastanawiała, dlaczego nic go nie obchodziła.

Toy głos zaczął odmawiać posłuszeństwa, wargi jej drżały.

Cara i Emmi wymieniły w milczeniu spojrzenia.

Toy otarła oczy.

- Przepraszam, dałam się ponieść emocjom.

- Nie przepraszaj. To trudny temat - powiedziała Cara serdecznym tonem. - Ojcowie... Nie ma tu żadnej recepty. Ja z moim nigdy nie mogłam się porozumieć. Czasami, kiedy mieszkałam jeszcze w domu, myślałam, że wolałabym go nie znać.

Emmi zwróciła się do Toy już łagodnym tonem.

- Jesteś nad wiek mądra, kochanie. Podziwiam cię. Masz rację, Lovie powinna poznać swojego ojca. To jej prawo. Jego też.

- Jakie prawo? - zachnęła się Cara. - Ten facet nie jest żadnym ojcem. Przez pięć lat nie dał złamanego grosza na dziecko. Nie ma żadnych praw. Żaden sąd by mu ich nie przyznał.

- Ja nie mówię o kodeksach, tylko o prawie moralnym - odparowała Emmi. - Poza tym nie byłabym taka pewna, jak ty, orzeczenia sądu.

- Co takiego? - wtrąciła zaszokowana Toy.

- Lepiej się upewnij, czego on chce. Jeśli wystąpi z wnioskiem o uznanie ojcostwa, sąd najprawdopodobniej przyzna mu prawa - wyjaśniła Emmi.

- Nie ma po temu żadnych podstaw, ani legalnych, ani moralnych - Cara obstawała przy swoim. - Przez pięć lat nie odezwał się ani razu. Nie interesował się dzieckiem.

- Nie wiesz, o czym mówisz, Caro - osadziła przyjaciółkę Emmi.

- Prawo jest prawem. Czegoś się nauczyłam w trakcie rozwodu.

Darryl może dowieść ojcostwa i sąd przyzna mu prawo do widywania Lovie, może nawet opiekę. Jeśli podejrzewasz, że będzie walczył o opiekę, powinnaś wynająć prawnika. Pomijając wszystkie kwestie prawne, uważam, że dobrze zrobiłaś, godząc się, by Lovie poznała ojca. W przeciwnym razie miałyby potem żal do ciebie. Powinnam była postąpić podobnie i dać chłopcom jasno do zrozumienia, że nie mam do nich pretensji o to, że utrzymują bliski kontakt z Tomem. A tak moje urazy wobec Toma odbijają się na synach. Nie będę się już wtrącać, niech sami decydują.

- Twoi chłopcy to już mężczyźni, a Lovie jest jeszcze dzieckiem - nie ustępowała Cara. - Tom mógł być okropnym mężem, ale zawsze kochał chłopców. I nigdy nie uderzył ani ciebie, ani żadnego z nich. Darryl to co innego, spakował manatki i zniknął. Bardzo przepraszam... Pozwolić Lovie poznać ojca to nie to samo, co dopuścić, żeby ingerował w jej życie.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała Toy, ucinając dyskusję. Nie była w stanie ciągnąć dłużej tej rozmowy. Podniosła się i spojrzała na Care, na Emmi. Były jej rodziną, jedyną, jaką kiedykolwiek miała.

- Dziękuję, bardzo mi pomogliście. Musiałam z kimś pogadać, doceniam wasze rady, ale podjęłam już decyzję.

- Nie mogę uwierzyć, że pozwolisz Lovie spotkać się z nim. - Cara trwała przy swoim zdaniu i nie potrafiła ukryć irytacji. Jej upór wyprowadzał Toy z równowagi. Czy ona nie była w stanie sama dokonywać wyborów? Czyżby rzeczywiście była pozbawioną mózgu

idiotką, która nie umie podjąć właściwej decyzji? Cara po prostu nie brała jej zdania pod uwagę, z góry je odrzucała, uznawszy, że wie lepiej, co dobre dla Lovie.

- To moja decyzja, Caro. Najwyraźniej nie potrafisz zrozumieć, co czuję. Nigdy nie byłaś w takiej sytuacji.

- Chciałam ci tylko doradzić - oznajmiła Cara urażonym tonem.

- Nie potrzebuję twoich rad - wybuchła Toy. - Nie życzę sobie, żebyś mi mówiła, co mam robić. Chciałam, żebyś mnie wysłuchała. Nie umiesz słuchać?

Cara przez chwilę mierzyła Toy twardym wzrokiem, wyraźnie zaskoczona, w końcu jej twarz złagodniała.

- Słucham cię, tylko martwię się o was obie, skarbie.

- Wiem, co robię.

Cara uniosła dłonie na znak, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

Toy szła do samochodu zgnębiona, że Cara się na nią obraziła. Przez wszystkie te lata, od kiedy się poznały, była dla niej wzorem, próbowała ją naśladować, ale Cara pewnych rzeczy nie była w stanie zrozumieć i Toy musiała polegać na sobie. Odwróciła się jeszcze i pomachała na pożegnanie. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, Cara zawsze będzie przy niej. Ta świadomość dodawała jej sił. Wiedziała też, jak potoczy się rozmowa na ganku, kiedy zamkną się za nią drzwi.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dzień zaczął się fatalnie: filtry w zbiornikach się zatkały, wszystkie, dostawca nie dowiózł świeżych ryb na śniadanie dla żółwi, a jakby tego było mało, w szpitaliku zjawiała się kolejna pacjentka, znaleziona na plaży w Litchfield. Toy rzuciła wszystkie inne obowiązki i zajęła się nową żółwicą, błagając jednocześnie kolegów z innych działów, żeby pożyczili jej zbiornik. Na szczęście Elizabeth, chociaż nie miała tego dnia dyżuru, zgodziła się przyjść do pracy i pomóc dwóm nowym wolontariuszkom, Bev i Barb. Jason i Ethan akurat tego dnia musieli wypłynąć „Skautem” w morze w poszukiwaniu nowych okazów do Akwarium.

Na domiar wszystkiego Ethan i Darryl mieli się spotkać wieczorem na kolacji w Primrose Cottage i Toy była pełna najgorszych przeczuć.

Jak mogła zrobić coś tak głupiego. Cóż, Darryl się wprosił. Tak długo nalegał, aż wreszcie się zgodziła.

Dopiero później zajrzała do kalendarzyka i stwierdziła z przerażeniem, że wcześniej umówiła się już z Etha-nem. A niech to...

Od samego rana próbowała dodzwonić się do niego i odwołać wieczorne spotkanie, ale nie odbierał telefonu. Dopiero po przyjeździe do Akwarium dowiedziała się, że wypłynął w morze, co oznaczało, że cały dzień będzie poza zasięgiem. Favel zapewniał ją, że po południu powinien wrócić, czekała więc niecierpliwie, co i rusz zerkając nerwowo na zegarek. Minęło w pół do szóstej, a jego ciągle nie było.

Nie pozostawało jej nic innego jak zostawić mu liścik w biurze i... modlić się.

Nieobecność Ethana uświadomiła jej, jak bardzo na nim polegała. Gdyby był w pracy, zaraz znalazłyby się i ryby, i zbiornik dla nowej żółwicy. Toy poradziła sobie co prawda sama, ale nie zmieniało to faktu, że tworzyli świetny, zgrany zespół.

Weszła do jego boksu na drugim piętrze, rozejrzała się trochę speszona. Czuła się niezręcznie, jakby szpiegowała. Przesunęła palcami po metalowym blacie biurka. W boksie panował pedantyczny porządek. Nie było żadnych rzeczy osobistych, ani jednego zdjęcia rodziny, przyjaciół, nawet jej zdjęcia, co sprawiło jej przykrość. Napisała liścik i zostawiła go na środku biurka. Przeczytaj, proszę, modliła się w duchu.

Wsiadła do samochodu, myśląc o czekającym ją wieczorze z Lovie i Darrylem. Odkręciła szybę, wpuszczając trochę powietrza do rozgrzanego jak piec wnętrza, wyjechała z parkingu i skierowała się na północ, do domu. Zegar na tablicy rozdzielczej dawno już odmówił dalszej pracy, ale zegarek na nadgarstku wskazywał za dziesięć szóstą. Z Darrylem umówiła się na szóstą, zatem była strasznie spóźniona.

Za dużo się dzieje w moim życiu, stwierdziła w duchu, skręcając z Palm Boulevard w uliczkę, przy której mieszkała. Jeśli chce uniknąć błędów, powinna szybko podjąć kilka ważnych decyzji.

Mustang Darryla stał już na podjeździe, ten sam, którym jeździł, kiedy jeszcze byli razem. Tym samochodem przyjechał po nią ostatni raz, do tego samego domu. Trafili wtedy w sam środek szalejącego

huraganu, co teraz, z perspektywy lat postrzegała jak znak niebios. Tak wiele się zmieniło w jej życiu od tamtego dnia.

Wypuściła powietrze z płuc, wyłączyła silnik i natychmiast otoczyła ją cisza. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Najchętniej nie wysiadałaby ze swojego garbusa. Wiele by dała, żeby posiedzieć w spokoju choćby kilka minut, uporządkować myśli, ale Darryla nie było w samochodzie, co oznaczało, że już na nią czeka.

Wbiegła po stopniach i otworzyła drzwi frontowe. W bawialni go nie było.

- Darryl?

- Tu jestem - dobiegło ją wołanie z kuchennego ganku.

Zdenerwowało ją, że jej gość czuje się tak swobodnie w Primrose Cottage. Odłożyła torebkę i klucze na stolik w holu i omiotła szybkim spojrzeniem bawialnię. Niech jej Bóg wybaczy podejrzliwość, ale upewniła się, czy srebrne świeczniki stoją na swoim miejscu. Stały. Odetchnęła z ulgą i wyszła na ganek na tyłach domu. Drzwi siatkowe zaskrzypiały przeraźliwie, jak zwykle przy otwieraniu.

Darryl siedział rozparty w fotelu na biegunach, z butelką piwa w ręku. Jedną nogę oparł na wiklinowym stoliku, drugą wprawiał fotel w ruch. Obok na podłodze stała torba z fast foodu i sześciopak piwa.

- Widzę, że czujesz się tu jak u siebie w domu

- wycodziła, nie kryjąc irytacji.

Darryl podniósł wzrok i uśmiechnął się rozkosznie.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale w samochodzie nie dało się wytrzymać. Za gorąco. Pomyślałem, że nic się nie stanie, jeśli usiądę sobie na ganku.

- W porządku - powiedziała, usiłując zapomnieć o ciężkim dniu.
- Nie mogłam wcześniej wyjść z pracy, przepraszam, że musiałeś czekać.

- Nic się nie stało. - Uniósł butelkę. - Napijesz się piwa?

Bardzo chętnie napiłaby się po ciężkim dniu.

- Nie, dziękuję. Muszę jeszcze odebrać Lovie.

- Chyba się nie gniewasz, że zacząłem bez ciebie. Kupiłem kilka sześciopaków, włożyłem je do lodówki. Usychałem z pragnienia. - Spojrzał na zabarwiony purpurą ocean, na złocące się w niskim słońcu wydmy.

- Jak tu pięknie. Ten widok na ocean... To pewnie ostatnie takie miejsce na wyspie. Ale któregoś dnia wejdą deweloperzy, postawią kilka wielkich i drogich rezydencji i będzie po widoku - dodał trzeźwo.

- Nie. Ten teren jest pod opieką konserwatora. Deweloperzy nie mogą tu nic budować.

- Żartujesz? To znaczy, że twój domek wart jest fortunę. - Gwizdnął przeciągle. - Takie miejsce, nad samym oceanem... Masz szczęście.

- Niekoniecznie. To nie mój domek.

- Ale w nim mieszkasz.

Przypomniała sobie, co mówił Palmer Carze o możliwości wynajęcia Primrose Cottage za duże pieniądze, gdyby tylko Toy się wyniosła.

- Tak, mam szczęście, że tutaj mieszkam.

- Jak to mówią, bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Jak długo będziesz tu jeszcze mieszkać?

- Niezbyt długo - odpowiedziała niechętnie. Darryl zawsze był strasznie wścibski, kiedy chodziło o jej sprawy. - Dopóki nie stanę na nogach.

- Nie stawaj zbyt szybko, jeśli chwytasz, co mam na myśli. Bardzo ładnie z ich strony, że pozwolili ci tu mieszkać, trzeba im to przyznać. Rzadko się trafiają tacy ludzie jak oni. Nie płacisz czynszu?

- Płacę - odparła ostro. Coraz bardziej irytowało ją to przesłuchanie. Darryl w swoim prostactwie naruszał granice jej prywatności. - Przepraszam cię, ale muszę iść po Lovie. - Natychmiast pożałowała, że go przeprosza. Kiedy byli razem, nieustannie go przeproszała, czuła się ciągle winna. - Jest u sąsiadki, tu obok. Poczekasz jeszcze kilka minut?

Darryl w odpowiedzi uniósł butelkę.

- Nie martw się o mnie, ale wracaj szybko, żebyśmy mogli razem obejrzeć zachód słońca.

Miała nadzieję, że Darryl nie wpadnie w romantyczny nastrój. Niemal biegiem przebyła odległość dzielącą Primrose Cottage od domu Flo.

Flo otworzyła natychmiast.

- Przepraszam, że...

- Dzięki Bogu, że jesteś - przerwała Toy, wciągnęła ją do holu i zatrzasnęła drzwi. - Jakiś obcy facet siedzi na twoim ganku! Chciałam już wzywać policję, ale Lovie twierdzi, że go zna. Próbowałam zadzwonić się do ciebie, jednak nie odbierałaś telefonu - w głosie Flo zabrzmiała nuta oskarżenia.

- Nie słyszałam. - Toy wyciągnęła telefon z torby. Wyładowana bateria. Pomyślała o Ethanie. Może on też próbował się z nią skontaktować? - Akurat dzisiaj. Przepraszam cię. Zawsze pilnuję, żeby go naładować, ale...

- Masz za dużo spraw na głowie, wiem. Jeśli ten facet, który siedzi na twoim ganku, jest rzeczywiście tym, kim jest według Lovie, to niczemu się nie dziwię.

- Oczy Flo błyszczały podnieceniem.

Lovie wpadła do pokoju i rzuciła się ku matce.

- Jesteś. Mam dla ciebie niespodziankę. Tatuś przyjechał. - Najwyraźniej sprawiało jej przyjemność samo wypowiedzenie słowa „tatuś”. - Biegnę do niego.

- Lovie, zaczekaj. - Toy chciała ją zatrzymać, ale córka była szybsza. - Już otworzyła drzwi i wybiegła na ganek, Flo za nią.

- Niech biegnie - zawołała Toy. - Daj spokój, Flo. Flo wsparła się pod boki i patrzyła za małą figurką pędzącą przez podjazd w stronę Primrose Cottage.

- Nie podoba mi się to wszystko - oznajmiła, wracając do domu.
- Co on tu robi?

- Nie mówmy o tym teraz. - Toy uniosła dłoń.
- Jestem już bardzo spóźniona. - Odwróciła się, ale Flo położyła jej rękę na ramieniu, nie pozwalając odejść.
- Wiesz, co myślę i co czuję.
- Tym razem jest inaczej. On jest inny.
- Co znaczy inny? Lamparty nie zmieniają cętek.
- Zmrużyła oczy i zadała cios: - Olivia Rutledge nigdy go nie lubiła, nie ufała mu za grosz, nie chciała go widzieć w swoim domu.
- Nie mów tak, Flo, proszę, to nie fair. Wiesz, że cztery razy powiedziałam „przepraszam” od chwili, kiedy wróciłam do domu? Cztery razy w ciągu piętnastu minut. Nie mogę się tak zachowywać, ale sama muszę podejmować decyzje, czy wam się to podoba, czy nie.
- Flo w milczeniu wygładzała fałdy na bluzce.
- Cóż, jesteś dorosła. - Podniosła rękę i pogładziła Toy po policzku. Twarz jej złagodniała, w mądrych oczach pojawiła się serdeczność, czułość. Miss Lovie miała takie same oczy, mądre i pełne czułości.
- Flo opuściła rękę, jej rysy znów stwardniały.
- Tylko nie przychodź do mnie z płaczem, jeśli znowu cię skrzywdzi.
- Nie skrzywdzi.
- Jeśli skrzywdzi Lovie, będzie ze mną miał do czynienia.
- Toy cmoknęła Flo w policzek.
- Nie skrzywdzi - powtórzyła.

Wracając do domu, Toy zatrzymała się na chwilę, uniosła głowę, spojrzała na ciemniejące niebo, podrapała się po głowie i rozpuściła włosy. Powoli uwalniała się od stresu, który towarzyszył jej przez cały dzień.

Wszyscy byli przeciwni jej decyzji, nie chcieli, by pozwoliła Lovie spotkać się z ojcem. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak ciężko ona sama przeżyła powrót Darryla i ile ten powrót obudził złych wspomnień. Zamknęła oczy, zbierając siły i powtarzając sobie, że mimo wszystkich dobrych rad wytrwa w swoim postanowieniu.

Wieczór był wyjątkowo spokojny, cichy, ale nie usłyszała kroków na zwirowej ścieżce. Dopiero kiedy się zbliżyły, otworzyła oczy i odwróciła się gwałtownie. W jej stronę szedł Ethan, mocno opalony po całodziennej wyprawie, uśmiechnięty, w T-shircie z logo Akwarium i chłodziarką w ramionach.

- Cześć - przywitał ją radośnie. Toy opuściła bezradnie ręce, nie była w stanie wykrztusić słowa. - Mam nadzieję, że jeszcze nie jadłyście? - dodał, nie doczekawszy się żadnej reakcji.

- Nie - wyjąkała z trudem.

- To dobrze. Umieram z głodu. Przepraszam, że zjawiam się tak późno. Wspaniały dzień!-relacjonował, jeszcze przezywając wycieczkę. - Żałuj, że nie popłynęłaś z nami. Przywieźliśmy dwa tuziny pałaszów. Niesamowite ryby, długie, wiotkie, coś jak skrzyżowanie barakudy z węgorzem, jeśli potrafisz sobie wyobrazić takie stworzenie. Są błękitne, piękne, mają ogromne pyski i strasznie ostre zęby. - Ethan uśmiechnął się na myśl o swoich zdobyczach. - Do

tej pory nie mieliśmy ani jednego okazu w Akwariu, a teraz będzie ponad dwadzieścia. Tak się cieszę. Na razie umieściliśmy je w tymczasowym zbiorniku. Można się im przyglądać godzinami! Pływając, trzymają się razem. Mam nadzieję, że przeżyją i zaaklimatyzują się. - Oczy Ethana, zwykle poważne, błyszczały podnieceniem.

- Nie znalazłeś mojej kartki?

- Jakiej kartki?

- Zostawiłam ci wiadomość na biurku.

- Nie zaglądałem do biura. - Prosto ze „Skauta” przyjechałem tutaj, denerwowałem się, że jestem spóźniony.

Już otworzyła usta, żeby wyjaśnić mu sytuację, kiedy rozległ się głos Lovie.

- Cześć, Ethan!

Odwrócił się w kierunku ganku i przywitał małą uśmiechem.

- Cześć, szkrabie - zawołał, a potem uniósł brwi, przechylił lekko głowę, zmrużył oczy. Toy miała wrażenie, że ogląda film w zwolnionym tempie.

Idąc za wzrokiem Ethana, spojrzała na ganek. Lovie stała przy drzwiach i zawzięcie machała łapką. Tuż za nią stał Darryl, z dłonią na ramieniu córki.

Ethan zamrugał gwałtownie. Rzucił Toy pytające spojrzenie, w którym dojrzała, tak się jej wydawało, błysk zazdrości.

- Masz gościa.

- Usiłowałam cię uprzedzić.

- O czym chciałaś mnie uprzedzić?

Jak miała mu wytłumaczyć w kilku słowach skomplikowaną historię? Próbowała coś powiedzieć, ale Mała Lovie zawołała:

- Ethan, chodź tutaj, poznasz mojego tatę. Twarz Ethana stężała.

- To Darryl, ojciec Lovie. Zjawił się wczoraj, niespodziewanie.

Dzwoniłam do ciebie, zostawiłam kartkę. Chciałam ci powiedzieć o jego wizycie.

- Zjawił się wczoraj i dzisiaj jest tutaj znowu?

- Tak. Przyjechał z Kalifornii.

- Jak długo zamierza tu zostać?

- Nie wiem.

- Zatrzymał się u ciebie?

- Nie, nie. Przyszedł tylko na kolację.

- Rozumiem. Zapomniałaś, że umówiłaś się ze mną. Było to zwykłe stwierdzenie, ale w uszach Toy zabrzmiało jak oskarżenie.

- Zaskoczył mnie kompletnie, miałam chaos w głowie. Nalegał, że chce się spotkać z Lovie, poznać ją i ja...

- Zgodziłaś się. To zrozumiałe, że chciał się spotkać ze swoją córką.

Jeszcze przed chwilą jego głos brzmiał zupełnie inaczej, ostro, niemal wrogo, potem była w nim serdeczność i nuta podniecenia, teraz z kolei pojawiły się obojętność i dystans, jakby Ethan się wycofał i próbował ocenić sytuację z boku.

- To dla ciebie. - Chciał podać Toy chłodziarkę. - W drodze powrotnej zatrzymałem się w Cherry Point. Ojciec przysłała ci krewetki, świeże, prosto z kutra.

- Dziękuję. Nie zostaniesz na kolacji? - Co za idiotyczne pytanie, zbeształa się, wściekła, że je zadała.

- Nie, raczej nie - odpowiedział bez chwili wahania.

- Może zatrzymasz te krewetki? Będziesz miał na kolację.

- Dla siebie też przywiozłem. Weź je.

Toy cofnęła się, nie przyjmując podarunku. Nie mogła go przyjąć, bo miała wrażenie, że to prezent pożegnalny.

- Ethan, zaczekaj. Proszę.

Zerknął ponownie w kierunku ganku, zły, a może zakłopotany, nie potrafiła powiedzieć.

- Weź te cholerne krewetki i znikam. - Wcisnęła jej chłodziarkę. Toy odebrała ją bez słowa.

- Zadzwoń do ciebie później.

Stała jeszcze chwilę bez ruchu i patrzyła, jak idzie zdecydowanym krokiem do swojego pikapu. Otworzył drzwiczki i spojrzał w stronę Toy, jakby chciał utrwalić w pamięci jej obraz. Chwilę później usłyszała warkot silnika i samochód zniknął za zakretem.

Toy wracała do domu zupełnie rozbita. Bała się, że nie znajdzie dość energii, żeby przygotować kolację i przetrwać wieczór.

Najchętniej zamknęłaby się teraz w swoim pokoju i wypłakała porządnie.

Darryl siedział na kanapie w bawialni i oglądał mecz baseballa. Lovie siedziała obok, oparta o ojca, a on tłumaczył jej zasady gry. Przerывała mu, dopytując się, która drużyna jest „nasza”. Nie miała zielonego pojęcia o baseballu, ale chciała kibicować drużynie taty. Odwrócił głowę, kiedy Toy weszła do pokoju.

- Jesteś wreszcie. - Podniósł się, podszedł do niej i wyjął jej chłodziarkę z rąk.

- Jest lekka.

- Szkodzi nic. - Darryl lubował się w niewyszukanych kolokwializmach. - Gdzie chcesz, żebym ją postawił?

- Zanieś do kuchni. Dziękuję. Możesz postawić na blacie.

Poszła za nim. Darryl odstawił chłodziarkę i spojrzał na Toy uważnie.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem zmęczona - przyznała, opierając się o blat. - Miałam bardzo ciężki dzień. Wszystko szło nie tak, jak powinno. - Dolna warga zaczęła jej drżeć niebezpiecznie. Toy westchnęła.

Żadne z nich nie wymieniło jego imienia, ale oboje myśleli o Ethanie.

- Nie zamierzasz chyba obierać tych krewetek? Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinnaś dzisiaj gotować. Obiecałem wczoraj małej, że zabiorę ją nad Shem Creek. Tam jest mnóstwo restauracji. Jedźmy, znajdziemy jakieś sympatyczne miejsce nad samą wodą, usiądziemy przy oknie, żeby Lovie mogła przyglądać się delfinom. Niech tam, co wieczór możemy tam jeździć i za każdym razem jeść gdzie indziej.

Do kuchni wpadła uszczęśliwiona Lovie.

- Możemy? Naprawdę? Mamo, powiedz, że możemy. Proszę.

Darryl nachylił się i chwycił ją w ramiona. Oboje wpatrywali się w Toy, czekając na jej odpowiedź. Dopiero teraz zauważyła, że mają identyczne oczy. Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi?

- Dajcie mi chwilę czasu, muszę się odświeżyć. - Roześmiała się, kiedy Darryl i Lovie wydali równocześnie entuzjastyczny okrzyk.

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy wróciły znad Shem Creek, Lovie spała, a Toy słaśniała się ze zmęczenia. Darryl wniósł córkę na ganek. Przy drzwiach Toy zawałała się, czy ma go zaprosić do środka, czy pożegnać na progu. Szczęknięł zamek, pchnęła drzwi i cofnęła się, robiąc mu przejście.

- Który pokój jest jej? - zapytał szeptem. Toy zaprowadziła go do sypialni Lovie.

- Połóż ją na łóżku. Biedactwo. Miała dzień pełen wrażeń. Spotkanie z tatą to wielkie przeżycie.

- Prawda. Myślę, że poszło niezłe.

Toy nie mogła się nie zgodzić. Darryl przez cały wieczór okazywał Lovie uwagę. Był niez mordowany. Pozostawało tylko wierzyć, że był również szczery. Kolacja upłynęła w sympatycznej atmosferze. Rozmowa toczyła się gładko, lekko, jak między starymi przyjaciółmi. Swego czasu wiele przecierpieli, ale dzisiejszy wieczór przyniósł wspomnienia dobrych chwil z czasów, kiedy byli razem.

Toy odgarnęła kołdrę i Darryl ułożył Lovie ostrożnie w łóżku. Lovie mruknęła przez sen i zwinęła się w kłębek. Toy nachyliła się i zzuła jej sandaalki.

- Poczekam w bawialni, a ty ją tymczasem przebierz w piżamę i otul na noc. Albo pójdę do kuchni i zrobię kawę.

- Myślę, że powinniśmy powiedzieć sobie dobranoc. - Toy wyprostowała się. - Lovie ma jutro lekcje, a mnie czeka kolejny ciężki dzień w pracy.

Darryl kiwnął głową, ale był wyraźnie zawiedziony. Przez cały wieczór ani razu się nie uniósł, nie zirytował, chociaż podpuszczała go od czasu do czasu.

Darryl przed wyjściem pocałował Lovie w czoło.

- Pa, kochanie. Zobaczymy się jutro.

- Pa, tatusiu - mruknęła sennie. Toy poderwała głowę.

- Jutro?

- Mogę przyjść kiedy indziej. Jak ci wygodnie

- oznajmił z niewinną miną.

- O której wracam ze szkoły, mamusiu? - zapytała Lovie, ziewając.

Toy nie wiedziała, co powiedzieć. Stała z sandałkiem Lovie w dłoni i wpatrywała się w niego bezmyślnie.

- Przyjdź może tak jak dzisiaj, o szóstej. Przygotuję krewetki na kolację - zaproponowała w końcu.

- Kochanie, to cudowna propozycja. - Darryl był radosny jak skowronek. Wycelował palec w Lovie.

- A ty powiedz jeszcze raz, kim jestem. Niech to usłyszę.

Lovie uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Jesteś moim tatusiem.

- Zgadza się.

- Lovie, zakładaj piżamę - zakomenderowała Toy. - Wrócę za chwilę, żeby cię utulić do snu.

Odprowadziła Darryla do wyjścia, czując go tuż za sobą. Kiedy otworzyła drzwi, owionęła ją orzeźwiająca bryza od oceanu.

Odwróciła się; Darryl stał o kilka centymetrów od niej. Ta bliskość jakoś dziwnie ją rozbrajała.

- Wspaniały dzieciak. To twoja zasługa.

- Dziękuję. I raz jeszcze dzięki za kolację. Obie miałyśmy udany wieczór.

Czekała w napięciu, bojąc się, że będzie chciał ją objąć, ale minął ją i wyszedł. Odwrócił się jeszcze w progu.

- Chciałem ci powiedzieć, że ślicznie wyglądasz. Nie mówię, że dzisiaj, w ogóle. Zmieniłaś się.

Toy prychnęła.

- Pewnie, że się zmieniłam. Jestem o pięć lat starsza. Jestem matką.

- To prawda - przytaknął - ale jest coś jeszcze. Nie wiem...

Wydoroślałaś. Jesteś mądra. Stałaś się kobietą, którą każdy facet z dumą nazwałby swoją. - Mówił szczerze, widziała to w jego oczach. - Dobranoc.

- Dobranoc. - Zamknęła drzwi, myśląc, że skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie poruszyły jej słowa Darryla.

Toy wracała z plaży w kompletnych ciemnościach, przyświecając sobie latarką. Ciężkie chmury zasłoniły księżyc, na czarnym niebie nie można było dojrzeć ani jednej gwiazdy. Wyszła na spacer, żeby uporządkować myśli po emocjonalnej huśtawce ostatnich dni. Rzeczywiście czuła, że rozjaśniło się w jej głowie, była już pewna podjętych decyzji. Rozebrała się szybko, położyła do łóżka i przysunęła telefon tak, żeby mieć go w zasięgu ręki. Wystukała

numer, który znała na pamięć. Czekala, przygryzając wargę. Jeden dzwonek... drugi...

- Słucham?

- Ethan? Tu Toy.

- Hej.

Głos Ethana brzmiał lodowato.

- Wysłałam na spacer po plaży. Chciałam sprawdzić, czy nie dzwoniłeś w tym czasie.

- Nie, jeszcze nie dzwoniłem.

- Możemy porozmawiać o dzisiejszym wieczorze?

- Jak udała się kolacja? Smakowały wam krewetki?

- Nie jedliśmy ich. W końcu pojechaliśmy na kolację do restauracji. Byłam zdenerwowana i dobrze się stało, że nie musiałam gotować.

- Czym się tak zdenerwowałaś?

- Darryl nie odzywał się od ponad pięciu lat. A teraz przyjeżdża niespodziewanie i chce poznać Lovie. Czy to nie wystarczy?

- Nie wiedziałem, że nie kontaktował się z tobą. Myślałem, że przeciwnie, utrzymujecie kontakty. Nic o nim nie wiem, rzadko go wspominasz.

- Nie mam powodów, by go wspominać. Nie ma dla niego miejsca w moim życiu i szczerze mówiąc, nie jestem specjalnie dumna z tego, że kiedyś byliśmy parą.

- Dlaczego w takim razie spotykasz się z nim?

- Nie określiłabym tego tak. On chciał poznać Lovie, to wszystko.

- A ty co na to?

- W pierwszej chwili byłam przeciwna ich kontaktom, ale zrozumiałam, że Lovie powinna znać własnego ojca. Nie wiem, czy jest tego wart, ale cieszę się, że ona dostała taką szansę.

- Myślisz, że potrafi być dobrym ojcem dla Lovie? Toy zastanawiała się przez chwilę nad pytaniem

Ethana. Przypomniała sobie, jak Darryl nachylił się nad córką i pocałował ją w czoło. Był dla niej czuły, cieszyło go sprawianie jej przyjemności.

- Myślę, że tak. Mam nadzieję. Wiesz, dobry czy zły, to jednak jej ojciec.

- Nie chciałbym, żeby ją skrzywdził. Lovie jest wspaniałym dzieckiem.

- Nie uchronię jej przed światem - powiedziała Toy spokojnie. - Ale zawsze przy niej będę, żeby pomóc w trudnych sytuacjach. Od początku wychowywałam ją sama, mam doświadczenie. I mam moją wioskę, która mi pomaga: to Cara, Brett, Flo, Emmi. Wszyscy zajmujemy się Lovie, ale też troszczymy o siebie nawzajem.

- Darryl może zakłócić ten stan, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wiem. Już zakłócił.

- Jakim sposobem?

- Moja wioska oburza się, że pozwoliłam Darrylowi wkroczyć w nasze, moje i Lovie, życie.

- Zgadzam się z nimi.

Toy westchnęła ciężko i oparła się o poduszki. Doszli do punktu, w którym rozmowa stawała się coraz trudniejsza.

- Przyjazd Darryla był dla mnie ogromnym wstrząsem.

Potrzebuję czasu, żeby dojść do równowagi, uporządkować sobie wszystko.

- Potrzebujesz czasu? Jak mam to rozumieć?

- Myślę, że powinniśmy przestać się spotykać. Muszę się uspokoić, ochłonać.

- Nadal go kochasz?

- Nie.

- To dlaczego nie chcesz się ze mną spotykać?

- Jest mi teraz bardzo trudno. Mam chaos w głowie.

- Skąd chaos, jeśli go nie kochasz? - W głosie Ethana zabrzmiała irytacja.

- Nie wiem. To mnie przerasta. Nie mogę się z tobą spotykać, po prostu.

Przez chwilę milczeli oboje. Pierwszy odezwał się Ethan. Mówił już spokojnie, ważąc słowa:

- Wbrew temu, co twierdzisz, ciągle coś czujesz do tego człowieka. Potrafię to zrozumieć. Jest w końcu ojcem twojego dziecka. Chyba rzeczywiście powinienem odsunąć się na bok. Nie chcę jeszcze bardziej komplikować ci życia.

Tak bardzo pragnęła mu wytłumaczyć niezliczone powody, dla których prosiła go o cierpliwość. Musiała skupić się teraz na jednym,

zrozumieć, w jakim punkcie się znalazła, żeby móc budować swoje życie dalej, ale nie potrafiła mówić o tym, co czuje. Wiedziała tylko jedno. Jeśli dawne rany mają się zabiżnić, jeśli ma myśleć o przyszłości, musi rozliczyć się raz na zawsze ze swoją przeszłością.

- Proszę, wierz mi. Nie spodziewałam się, że Darryl nagle stanie na progu mojego domu.

- Prędzej czy później musiało do tego dojść.

- Tak jak powiedziałeś, jest ojcem Lovie. Muszę dać jej szansę, żeby go poznała.

- Jesteś pewna, że tylko o to chodzi? Westchnęła. Czuła się bardzo zmęczona.

- Niczego nie jestem już pewna.

- Ja jestem pewien swoich uczuć.

Toy nie odezwała się, jakby kwestionowała deklarację Ethana.

- Szanuję twoją decyzję. Wiesz, gdzie mnie szukać - rzucił krótko.

Ethan rozłączył się. Wpatrywała się przez chwilę w słuchawkę nieruchomym wzrokiem. Ocknęła się, kiedy usłyszała przeciągły sygnał.

Karta zdrowia Maleńkiej

31. sierpnia

Żółwica znowu zaczyna grymasić przyjeździe. Ryby przestały jej smakować. Wolontariusze próbują karmić ją oprawionym łososiem. Zjada dwa i pół kilograma luksusowego mięsa dziennie, mowy nie ma o żadnych łbach czy ogonach, dostaje piękne filety.

Znowu ma trudności z zanurzaniem się. Czekamy na kolejną endoskopię.

Dlaczego twój stan ponownie się pogorszył, Małenka? Trzymaj się. Znajdziemy przyczynę. TS

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lato dobiegało końca. Cara zabrała Lovie na plażę, żeby po raz ostatni spojrzeć na gniazdo Maleńkiej. Bolały ją strasznie plecy, usiadła więc na składanym krzeselku i obserwowała, jak mała kręci się wokół gniazda w tanecznych podskokach, czekając na wylęg. W młodych sercach jest tyle nadziei i radości...

Każdego wieczoru od pięciu dni sprawdzały, co dzieje się w gnieździe. Cara była pełna podziwu dla zaangażowania Lovie. Mała pracowała dzielnie przez cały sezon, codziennie przychodziła na plażę z matką, a jeśli Toy nie mogła akurat stawić się na dyżurze, Lovie błagała ciotki, Carę albo Flo, żeby zabrały ją ze sobą. Ten dzieciak miał wielkie serce.

Problem polegał na tym, że z jaj Maleńkiej nie mogły wykluć się żółwiki i Cara musiała jakoś powiedzieć o tym Lovie, rozwiewając jej nadzieje. Pozwoliła jej uganiać się jakiś czas za krabami piaskowymi, po czym zawołała ją do siebie.

- Wracaj, Lovie, robi się późno. Lovie przybiegła do Cary.

- Nie dąsaj się, kochanie. Jutro idziesz do szkoły, musisz wcześniej wstać. Mama czeka na ciebie w domu, będzie się gniewać, jeśli nie wrócisz na czas. Mnie też się dostanie, że tak długo pozwoliłam ci być na plaży.

- Wszystko mi jedno.

- Co z tobą? Nie chcesz iść jutro do szkoły? Zerówka to wielki krok naprzód, prawdziwy przełom. Jesteś już dużą dziewczynką.

Lovie przewróciła oczami, bo słyszała to setki razy.

- Pani Cryns uczy nas czytać, a ja przecież umiem już czytać.

Cara powściągnęła uśmiech.

- Wiem, kochanie, ale w szkole uczysz się też wielu innych rzeczy.

- Tak. Chociaż dobrze, że ona jest miła.

- A Darryl jest miły, jak myślisz? - Cara nie mogła powstrzymać się od pytania.

Lovie nabrała garść piasku w dłoń i zaczęła przesypywać go przez palce.

- Tata? Pewnie, że jest miły. Śpiewa mi różne piosenki i gra na gitarze. Uczy mnie grać. To jest fajne, podoba mi się. Powiedział, że mam ładny głos i może kiedyś zostanę piosenkarką, jak dorosnę.

- Chciałabyś śpiewać? Jak tata?

Lovie wzruszyła ramionami.

- To jest cool - powiedziała.

Cool? Nowe słówko... Cara nie musiała specjalnie wysilać umysłu, by zgadnąć, od kogo Lovie je podchwyciła. Nikt z grona bliskich nie używał takich określeń.

- Dla mamy też jest miły?

Lovie podniosła głowę zdumiona, że ciotka zadaje takie głupie pytania.

- W sobotę zabrał nas do kina.

- No tak - odparła Cara ze śmiertelną powagą. - Zaproszenie do kina świadczy o tym, że tata jest bardzo szarmancki dla dam.

Darryl siedział na wyspie od kilku tygodni i zgodnie z raportami składanymi przez Flo był bardzo częstym gościem w Primrose Cottage, chociaż przyjeżdżał „tylko na kolacje”, jak dodawała Flo uczciwie, na co Cara któregoś razu powiedziała jej, że minęła się z powołaniem, bo powinna była pracować w CIA. Nikogo specjalnie nie cieszyła obecność Darryla, ale wydawało się, że Toy i Lovie go zaakceptowały. Cara starała się trzymać rękę na pulsie, jednak Toy nie zwracała się do niej po radę. Była teraz dojrzałą kobietą, matką, miała ciekawą pracę... Cara musiała uszanować decyzje przyjaciółki, chociaż się z nimi nie zgadzała.

- Myślę, że dzisiejszego wieczoru kraby piaskowe nie odważą się zbliżyć do twojego gniazda.

- Lepiej, żeby się nie zbliżały, bo rozprawię się z nimi.

Toy przezornie ubrała Lovie w bluzkę z długimi rękawami i legginsy, żeby nie pocięły jej komary. Mała wyciągnęła się teraz na piasku i przyłożyła ucho do gniazda.

- Nic nie słyszę. Cara zaśmiała się.

- Nie usłyszałybyś nic, nawet gdyby było tam sto żółwików, a nie sześć.

- Jak myślisz, ciociu, kiedy one się wreszcie wyklują?

- Widzisz, nie wiadomo, czy w ogóle coś się wykluje z jaj Maleńkiej. Musimy czekać.

- Ale miały przecież wykluć się dzisiaj? Cara westchnęła, szukając odpowiednich słów.

- Lovie, wiesz przecież, że to nie jest zwykłe gniazdo. Maleńka zniosła jaja w wodzie. Mama i Ethan zajęli się nimi, przywieźli je tutaj i zakopali na wydmie, modląc się, by się udało.

Lovie przyklepała piasek wokół gniazda.

- Wiem, ale mama mówiła, że żółwici się wyklują, bo to wydma miss Lovie.

Och, Toy...

- Ciociu, te jaja zakopała mama, a w jaki sposób inne trafiają do piasku?

Cara pogłaskała Lovie po głowie. Mała wolontariusz-ka widziała mnóstwo gniazd, obserwowała wylęgi i wędrówkę żółwików do oceanu, ale nigdy nie widziała karrety składającej jaja na plaży. Mało kto widział.

- Pamiętasz, oczywiście, Maleńką. Wiele miesięcy temu coś, co nazywamy instynktem, kazało jej płynąć na swoją rodzinną wyspę, żeby złożyć jaja w tym samym miejscu, gdzie sama się wylęgała. Płynęła i płynęła, przebyła bardzo długą drogę, żeby tutaj dotrzeć. Kiedy już była blisko wyspy, miała w swoim ciele nie siedem, ale pięćset, sześćset jajeczek.

- Tutaj jest jej dom?

- Prawdziwym domem żółwi jest morze, nie ląd. Naprawdę znają i kochają tylko ocean. Żeby złożyć jaja, mama żółwica musi opuścić swój dom i wyczołgać się na plażę. Boi się, ale wychodzi na brzeg. Musi być bardzo ostrożna. Czeka, aż zapadnie noc i zrobi się ciemno. Czai się w fali przybojowej i obserwuje plażę. Jeśli zauważy

człowieka albo psa, albo ostre światło, odwraca się i chowa w oceanie. Dlatego lampy przy plaży są latem zgaszone. Kiedy mama złoży już jaja, wraca zmęczona do oceanu.

- I co robi?

Cara wzruszyła ramionami.

- Płynie, szuka jedzenia. Żółwicy w okresie lęgowym nie jedzą, dlatego są potem wygłodzone.

- To znaczy, że nie wraca do gniazda? Nie opiekuje się swoimi dziećmi?

- Nie. Jej opieka polega na tym, żeby dobrze ukryć jaja. Resztę pozostawia Matce Naturze.

- I Miłośniczkom Żółwi. Cara zaśmiała się.

- Tak, i Miłośniczkom Żółwi.

Wyczuwając, że nadszedł właściwy moment, Cara przysunęła się do Lovie i zaczęła mówić poważnym tonem:

- Pamiętaj, że te jaja zakopała w piasku twoja mama, nie złożyła ich tu Maleńka. Zbyt długo czekamy. To znaczy, że nie wyklują się z nich żółwicy. Widocznie tak miało być.

- Ale mama mówiła, że się wyklują. - Lovie drżała broda, zbierało się jej na płacz.

- Nie, kochanie, mama tylko miała nadzieję, że się wyklują. - Cara posadziła sobie Lovie na kolanach i przytuliła do siebie. - Czasami na coś liczymy, mamy nadzieję, ale to nie znaczy, że to coś się zdarzy.

- Smutno mi.

- Wiem. Mnie też jest smutno. Nic nie poradzimy, tak widać chciała natura. - Pocałowała Lovie w policzek. - Już lepiej?

Lovie kiwnęła głową i Cara postawiła ją na piasku, a potem podniosła się ostrożnie i podała Lovie rękę.

- Pora wracać do domu, kochanie.

Minął kolejny tydzień. Darryl siedział przy stole w jadalni Primrose Cottage, w żółtej czapce klauna na głowie. Obok siedziała Lovie w takiej samej, tylko różowej. Oboje grali na piszczałkach, śmiali się, robili mnóstwo hałasu i świetnie się bawili. Toy kroїła tort urodzinowy udekorowany żółtymi i różowymi różami, sześcioma świeczkami oraz napisem „Lovie”.

Tak musi wyglądać życie rodzinne, myślała, nakładając kawałek tortu tacie, potem mamie, na końcu dziecku. Kiedy już podsunęła ciasto swoim bliskim, usiadła przy stole, ale czuła się bardziej obserwatorką niż uczestniczką przyjęcia. Lovie była nieprzytomnie zapatrzona w ojca.

Od momentu gdy przekroczył próg domku plażowego, do chwili łzawego pożegnania promieniała, że ma go przy sobie.

Przez ostatnie tygodnie Darryl był wspaniałym tatą, wprawiając Toy w zdumienie swoim zachowaniem. Niewiele wiedział o przyrodzie, ale chodził z Lovie zbierać muszle i uczył się pilnie ich nazw oraz starał się zapamiętywać informacje, nie zawsze prawdziwe, którymi dzieliła się z nim córka.

Znał się za to na muzyce i uczył Lovie grać na gitarze. Jeszcze przed urodzinami podarował jej instrument i zaczął udzielać lekcji.

Toy odkrywała z radością, że jej córka ma talent, który musiała odziedziczyć po ojcu, bo na pewno nie po niej. Lovie uczyła się szybko i po pięciu lekcjach potrafiła już zagrać kilka piosenek.

Skończyło się lato, przyszła jesień, Darryl na dobre zadomowił się w Primrose Cottage. Toy nie wiedziała, co o tym myśleć. Była oczywiście szczęśliwa, że Lovie z każdym dniem zbliża się coraz bardziej do swojego ojca, jednak on z kolei wywierał coraz większy nacisk na Toy. Chciał się z nią pogodzić, wierzył, że będą znowu razem.

Spojrzała teraz na niego. Położył rękę na oparciu krzesła Lovie i szeptał jej coś do ucha, a ona zaśmiewała się do łez. Cały Darryl, zawsze wiedział, jak trafić do kobiet, miał wdzięk, który zniewalał, był przystojny. Kiedyś wystarczało jedno spojrzenie tych błękitnych, pełnych słodkiej melancholii oczu, jeden uśmiech, żeby ją kompletnie rozbroić.

Teraz urok Darryla na nią nie działał. Nie czuła nic do tego mężczyzny. Szkoda, myślała. Byłoby jej znacznie łatwiej, gdyby nadal go kochała. Często zastanawiała się, czy rzeczywiście życie z Darrylem było tak dobre, jak dawniej sądziła.

- Co się tak zadumałaś? - zagadnął i w jego oczach zapaliły się diabelskie ogniki. - Za dużo myślisz, Toy. Bierz pizczalę i wygłupiaj się razem z nami.

- Tak, mama, wygłupiaj się - zachichotała Lovie, zachwycona żartami ojca.

Toy podniosła piszczałkę do ust i dmuchnęła z całych sił. Dźwięk był tak koszmarny, że Darryl i Lovie wybuchli śmiechem. Toy też się roześmiała.

- Potrafisz się wygłupiać, mamusiu - stwierdziła Lovie z uznaniem.

- Chyba potrafię - przytaknęła Toy i ponownie przyłożyła piszczałkę do ust.

W tym samym czasie Cara i Brett oglądali prognozę pogody. Do atlantyckich wybrzeży Florydy zbliżał się huragan pierwszego stopnia i istniała obawa, że będzie się przemieszczał dalej na wschód, docierając do Karoliny Południowej. Silniejsze niż zwykle wiatry i ulewy zdawały się zapowiadać jego nadejście. Brett wniósł do domu wszystkie meble ogrodowe i pochował drobne przedmioty, które huragan mógł zniszczyć,

- Okropność, okropność, okropność - powtarzała Cara, zaciskając dłoń na ręce Bretta. - Nasz salon wygląda jak przechowalnia rupieci.

- Kochanie, puść mnie. To boli.

- Przepraszam, Brett. Huragany mnie przerażają.

- Za bardzo się przejmujesz. Po pierwsze, to tylko huragan pierwszego stopnia, tak naprawdę raczej niegroźny. Po drugie, nie wiemy, czy do nas dotrze. Może przemieścić się na północ, omijając nasz stan, albo ucichnie, kiedy dotrze do wybrzeży Florydy. Nie ma co tworzyć czarnych scenariuszy. Poza tym pani doktor powiedziała wyraźnie, że nie wolno ci się denerwować.

- Powiedziała też, że płamienie jest czymś zupełnie normalnym pod koniec pierwszego trymestru. Uspokajasz mnie teraz, a sam wpadłeś w histerię, jak ci powiedziałam, co się dzieje.

Brett westchnął i przytulił Carę.

- Wiem.

Cara oparła głowę na ramieniu męża, ona też się przeraziła, kiedy zobaczyła pierwszą plamkę krwi. Była pewna, że to kolejne poronienie. Zadzwoiła natychmiast do Bretta. Teraz było jej głupio, że narobiła rabanu. Robert wsiadł na skuter wodny i zastąpił szefa przy sterze. Prosił ją potem, żeby nie miała mu za złe, jeśli się okaże, że zajeździł skuter na amen, ale pruć fale na pełnej szybkości, bojąc się, że Brett zostawi statek i pasażerów na pastwę losu i skoczy z mostku do wody, gotów wplaw dopłynąć do brzegu.

Pani doktor uspokajała, że wszystko jest w porządku, a oni dzielnie udawali, że wierzą w jej zapewnienia. Zamówili skromną kolację w pobliskiej restauracji i cały wieczór oglądali telewizję.

Silny wiatr szarpał okiennice przeciwhuraganowe, z nieba lały się strugi deszczu, bębniąc o szyby.

- Boję się - szepnęła Cara.

Brett objął ją mocniej. Wiedział, że żona nie mówi o huraganie. Nic nie odpowiedział. On też się bał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Karetta była bez wątpienia gwiazdą Wielkiego Zbiornika Oceanicznego. Kiedy młodziutki żółw został sprowadzony przed sześciu łąty do Akwarium, mówiono o tym w całym Charlestonie. Ogłoszono konkurs dla dzieci, oczekując propozycji imienia, powstał wszak pewien problem, bo nikt nie potrafił powiedzieć, czy to samiec czy samica.

U żółwi morskich nie sposób określić płci, dopóki nie osiągną dojrzałości. Dorosłego samca łatwo poznać po dłuższym ogonie. Ponieważ uznano, że nie warto przeprowadzać kosztownych badań DNA, ludzie bawili się w zgadywanie, czy w Akwarium pojawił się nowy mieszkaniec, czy może mieszkanka. Kiedy żółw podrósł, wydłużony ogon i wysoki poziom testosteronu przemawiały za tym, że jest samcem. Nazwano go mało oryginalnie Karetta, od łacińskiej nazwy wielkich żółwi morskich *Caretta caretta*, co można było w zasadzie uznać za żeńskie imię.

Nieważne, czy Karetta był w końcu samcem czy samicą, wszyscy go uwielbiali, cały stan kochał tego zwierzaka, bo żółw miał charakter. Pozował efekciarsko do zdjęć, podpływał do szyby, kiedy koło zbiornika gromadziły się dzieci, podszczypywał nurków, co bardzo bawiło publiczność, mniej same ofiary żółwich figli. A gdy pływał sobie spokojnie po Wielkim Zbiorniku, był uosobieniem gracji.

Tego dnia Toy miała dokonać dorocznego „przeгляdu technicznego” Karetty. Elizabeth przyszła wcześniej od niej i już działała. Szorowała energicznie podłogę, którą umyła zaledwie poprzedniego dnia przed końcem pracy.

- Dzięki Bogu, że jesteś - przywitała Toy z radosnym ożywieniem.

- Przepraszam za spóźnienie, ale utknęłam w korku na moście Sawyera. Jak Boga kocha, coraz gorzej się jeździ po tym mieście. - Odłożyła teczkę i aparat fotograficzny na stół do badania. W szpitalu ciągle nie było biurek, szafek i każdy radził sobie, jak mógł. Odwróciła się i otaksowała Elizabeth szybkim spojrzeniem. - Ślicznie dzisiaj wyglądasz.

Elizabeth lekko pokraśniała. Miała fryzurę prosto od fryzjera i staranny makijaż, a wszystko dlatego, że tego dnia zapowiedział się fotograf z lokalnej gazety.

- Właśnie się dowiedziałam, że Kevin chce odwiedzić dzisiaj szpitalik, zaraz po badaniu Karetty.

Toy spochmurniała.

- Wspaniale, po prostu wspaniale.

Tak naprawdę bardziej niż zapowiedziane i niezapowiedziane wizyty irytowała ją perspektywa spotkania z Ethanem, a wiedziała, że podczas badania Karetty będą musieli się spotkać. Od dnia kiedy powiedziała mu, że potrzebuje czasu do zastanowienia, nie pojawił się ani razu w szpitaliku.

Przemierzając przyziemie, sporządzała listę rzeczy do zrobienia. Przestrzeni było tu pod dostatkiem, należało tylko pomyśleć, jak ją wykorzystać. Oczami wyobraźni widziała już, na co przeznaczy pieniądze z grantu. Jej szpitalik był jedynym takim w całym stanie i jego działalność uzależniona była od tego, czy fundacja, do której się zwrócili, przyzna im grant.

- Wszystko wygląda doskonale, Elizabeth. Pamiętaj tylko, żeby nie karmić żółwi przed przyjściem Kevina, bo natychmiast zapaskudzą wodę w zbiornikach.

Elizabeth roześmiała się.

- Szczególnie Litchfield, on to robi specjalnie, nam na złość.

- Nie jest źle - Toy oparła dłonie na biodrach - ale wszystkie zbiorniki mamy zajęte. Jeśli pojawi się kolejny żółw, zanim dostaniemy pieniądze, to naprawdę nie wiem, gdzie go umieścimy.

- Dostaniesz grant, już niedługo, nie martw się. - Elizabeth spojrzała na zegarek. - Idź już do Wielkiego Zbiornika. Ja zostanę na posterunku.

- Dziękuję, Elizabeth. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Dopilnuj, żebym była na zdjęciu. Niby zawsze jestem, a potem tak przycinają, że znajduję się poza kadrem.

Toy patrzyła na miłą, otwartą twarz. Elizabeth była człowiekiem wielkiego ducha, co można było zobaczyć w jej oczach.

- Dopilnuję, przyrzekam.

Toy zabrała aparat i ruszyła na drugie piętro. Starła się zachować spokój, ale świadomość, że za chwilę spotka Ethana, wytrącała ją z równowagi.

Nurkowie, ubrani w czarne, obcisłe kombinezony czekali już na platformie przy krawędzi Wielkiego Zbiornika. Rozpoznała Ethana po wzroście, ale zajęty swoim aparatem tlenowym, nie zwrócił na nią uwagi. Favel i Irwin, też w kombinezonach, pomachali jej przyjaźnie, Toy odpowiedziała na ich powitanie, po czym podeszła do Kevina i Jasona.

Wyraźnie zaintrygowany ruchem na platformie Karetta podpłynął do nurków, licząc, że coś dobrego wpadnie mu do pyska. Na sygnał Ethana cała ekipa skoczyła do wody i otoczyła zwierzę. Operacja nie była wcale łatwa, ale po kilku minutach ciężko obrażony Karetta znalazł się na platformie. Sześciu ludzi musiało wyciągać z wody ważące sto pięćdziesiąt kilogramów żółwia, który nie miał na to najmniejszej ochoty i zdecydowanie odmówił wszelkiej współpracy. Wymachiwał potężnymi wiosłami, rozchlapując wodę i otwierał pysk, usiłując uszczypnąć któregoś z nurków.

Ethan podpłynął do platformy, podciągnął się i stanął obok Karetty.

- Odsuń się - warknął pod adresem Toy. - Nic tu po tobie, on jest za ciężki.

- Pomogę - upierała się.

- Zostaw go, mówię. - Zabrzmiało to jak rozkaz i Toy

skapitulowała, urażona, że Ethan nią dyryguje, wykorzystując swoją

pozycję przełożonego. Wiedziała, że drży o ukochanego żółwia, ale nie musiał jej odpędzać. Potraktował ją jak słabą kobietkę, a ona tego nie znosiła. Uparty Karetta wylądował tymczasem w plastikowym pojemniku i wszyscy odetchnęli z ulgą, że mają za sobą tę część zadania.

Badanie w szpitaliku przebiegło gładko. Doktor Tom obejrzał żółwia, pobrał próbki, zrobił USG i zważył zwierzaka. Kończąc, oznajmił, że Karetta jest zdrowy, tylko utuczony jak prosię.

- Ten tłuszcioch musi przejść na dietę - zwrócił się do Ethana.

Toy parsknęła śmiechem, a Ethan lekko się zaczerwienił i obiecał, że dopilnuje, by żółw mniej jadł.

Humorzasty Karetta, o dziwo, spokojnie poddał się czyszczeniu karapaksu. Toy i Elizabeth przeprowadzały zabieg, a chłopcy z drugiego piętra rozmawiali o dziecie Karetty, o różnych sprawach związanych z Akwariem i o nowym nabytku, czyli wspaniałych pałaszach. Kiedy Toy kończyła czyszczenie, miała zdarty naskórek na opuszkach palców, bolały ją ramiona, ale pancerz lśnił jak nowy.

Żółw wrócił do plastikowego pojemnika, dla zasady trochę protestując, i został odtransportowany z powrotem do Wielkiego Zbiornika. Przedtem jeszcze Favel szepnął coś na ucho Elizabeth, spoglądając znacząco na Toy, ale nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Będę mógł obejrzeć szpitalik? - zagadnął Kevin.

- Oczywiście - przytaknęła Toy. - Zaraz wracam. Umyła dłonie, zatknęła luźny kosmyk włosów za

ucho. Miała nadzieję, że nie wygląda zbyt nieporządnie po zabiegach kosmetycznych zaaplikowanych Karetcie. Ethan, Jason i doktor Tom zostali w szpitaliku, teraz towarzyszyli Kevinowi w czasie obchodu. Przy każdym z sześciu zbiorników Elizabeth pokazywała zrobione przez Toy zdjęcia ilustrujące postępy w rehabilitacji każdego z pacjentów i te zdjęcia były najlepszym świadectwem wspaniałej roboty, jaką wykonywał pracujący tu zespół.

Toy była dumna ze swoich wolontariuszy, z nowych pomysłów, które zespół wcielił w życie, próbując ulżyć chorym zwierzętom. Pęknięcie na pancerzu Cherry zostało wypełnione żywicą epoksydową, Hamlin przeszedł operację, dzięki której nie stracił wiosła, a pas obciążeniowy Maleńkiej wywołał pełen rozbawienia chichot Kevina. Litchfield, swoim zwyczajem zapaskudził zbiornik w najmniej odpowiednim momencie, akurat kiedy Kevin zatrzymał się obok niego. Elizabeth jęknęła i pobiegła po podbierak.

- Jeśli dostaniemy grant, będziemy mogli zainstalować filtry w każdym zbiorniku - powiedziała Toy, patrząc, jak Elizabeth oczyszcza zbiornik. - Jeden z naszych żółwi już niedługo wróci do oceanu. To dobra wiadomość. Wypuszczamy lada dzień Kiawah - wskazała zbiornik żółwicy. - Czekamy jeszcze tylko na wyniki badania krwi.

Kevin zatrzymał się, założył ręce do tyłu, obok stanęli Jason, Ethan i doktor Tom. Nawet Elizabeth przerwała czyszczenie zbiornika i czekała, co powie prezes. Podobnie Toy, która czuła, że za chwilę padną ważne słowa.

- Robisz tu wspaniałą robotę, nie dysponując praktycznie żadnym budżetem - oświadczył Kevin. - Jesteśmy dumni z ciebie i z całego zespołu szpitalika. Jeśli zaś chodzi o filtry... - Kevin uśmiechnął się szeroko. – Mam przyjemność poinformować cię, że dostałaś grant. Moje gratulacje.

Wszyscy zaczęli się śmiać, klaskać, każdy chciał pogratulować Toy zwycięstwa, a ona stała z rozdziawionymi ustami, zaszokowana, i nie mogła jeszcze uwierzyć, że się udało.

Ethan stał z boku, ale wpatrywał się w nią uważnie. Wymienili spojrzenia. Raptem wszystko znikło, ucichło, jakby znaleźli się w szpitaliku tylko we dwoje. Zapomnieli o dzielącym ich ostatnio dystansie. Grant był efektem ich wspólnej pracy, spełnieniem ich wspólnych marzeń.

Odezwał się Jason, prosząc o uwagę, i chwila bliskości minęła.

- Zanim się rozejdziemy, chciałbym poinformować wszystkich, co wykazało dzisiejsze USG Karetty.

Wszyscy natychmiast zamilkli, znieruchomieli, ciekawi, co usłyszą. Jason rozłożył ręce.

- Otóż nasz Karetta to panna.

Wiadomość została przyjęta wybuchami śmiechu i okrzykami:

- A nie mówiłem!

- Wiedziałam!

Toy musiała przyznać, że długi ogon zwiódł ją całkowicie. Jason i Ethan pożegnali się, spiesząc do żółwia, który okazał się żółwica.

- Musimy jeszcze coś omówić, ale to potem - zwrócił się Kevin do Toy, kiedy szli do sali konferencyjnej, gdzie zespół szpitalika postanowił uczcić przyznanie grantu zaimprovizowanym przyjęciem.

Kiedy Toy wróciła na Isle of Palms, w domu Flo i Emmi paliły się wszystkie światła. Bawialnia udekorowana była balonami i wielkim transparentem z napisem GRATULACJE. Emmi przywitała Toy w progu kieliszkiem szampana, a w bawialni czekał już cały zespół żółwiarzy. Wszyscy ściskali ją, gratulowali i żartowali z biednej Karetty, która przez najbliższe tygodnie miała być stałym tematem rozmów.

- Wspaniale się urządziłyście. Dom wygląda po prostu pięknie - powiedziała Toy do Emmi.

- Zdecydowałyśmy się na pastelowe kolory. Odmalowałyśmy wszystkie pokoje, wycyklinowałyśmy podłogi, część mebli poszła do magazynu na przechowanie, zostało trochę antyków Mirandy, kilka moich ulubionych rzeczy z Atlanty.

- Te nowe okiennice to świetny pomysł. W ogóle zrobiło się tu jakoś pogodniej. Dom odmłodniał, jakby zamieszkało w nim szczęście.

Emmi omiotła bawialnię ukontentowanym i dumnym spojrzeniem.

- Doskonale się uzupełniamy. Flo lubi gotować, ja lubię sprzątać. Dobrze nam razem.

Toy zaśmiała się.

- Kto by przypuszczał, że dwie takie petardy jak wy będą umiały się porozumieć.

Emmi przysunęła się bliżej do Toy i powiedziała zniżonym głosem.

- Wiem, że proponowałaś Carze, że się wyprowadzisz. - Nie, nie - zastrzegła się pospiesznie Emmi, kiedy Toy zrobiła wielkie oczy - nie wtykamy nosa w twoje sprawy. Chciałyśmy ci tylko powiedzieć, że w każdej chwili możecie z Lovie zamieszkać tutaj, jeśli rzeczywiście myślisz o przeprowadzce.

Toy z wrażenia zaparło na moment dech w piersiach.

- Emmi, jesteście kochane, ale sama nie wiem...

- Pamiętaj tylko, że masz taką możliwość. Poza tym Cara nie wyrzuca cię przecież z domku, na litość boską.

- Gdybym się do was przeprowadziła, wasz dom zamieniłby się w schronisko dla Miłośniczek Żółwi.

Emmi odrzuciła głowę i zaśmiała się serdecznie.

- To mi się podoba. Mogłybyśmy nawet zamówić odpowiednią tabliczkę. - Widząc niepewną minę Toy, parsknęła znowu śmiechem. - Żartuję.

- Dziękuję za propozycję, Emmi. Lato się skończyło, będę musiała zastanowić się, co dalej.

- Byle nie dzisiaj. - Emmi ponownie napełniła kieliszek Toy. - Dzisiaj świętujemy twój sukces. Jestem z ciebie dumna, skarbie. Wszyscy jesteśmy dumni. To prawdziwy przełom w twojej karierze.

Nikt nie zasłużył na niego bardziej niż ty. Teraz będziesz się martwić tylko o jedno - na co przeznaczyć pieniądze z grantu.

Do dziewczyn podeszła Flo z tacą krewetek.

- Zjedz coś, nasza gwiazdo - zachęciła Toy i zaraz zapytała: - Gdzie Ethan? Dlaczego go tu nie ma? Przecież pomagał ci przy aplikacji.

Toy obracała nabitą na wykałaczkę krewetkę.

- Nie zapraszałam go. My... Nie widzimy się ostatnio... no i dlatego ja...

- Nieważne - przerwała jej Flo. - Tak czy inaczej mógł wpaść na kieliszek szampana.

Emmi spojrzała w stronę domku Toy.

- A Darryla zaprosiłaś? - Wymówiła jego imię tak, jakby to było jakieś obsceniczne słowo.

Toy pokręciła głową.

- Nie powiedziałam mu nawet, że dostałam grant. - Zamilkła na moment. - Nie sądzę, żebyście chciały go tu widzieć.

Emmi zacisnęła usta i spojrzała na Flo.

- Teraz to twój dom - powiedziała Flo.

- Nie wyrzuciłabym go za drzwi - powiedziała Emmi, nie odpowiadając wprost.

Toy kiwnęła głową, nie czuła gniewu, było jej tylko smutno, że ludzie, których kocha, jej najbliżsi, nie są w stanie zaakceptować Darryla.

- Skarbie - odezwała się Emmi sztucznie rozweselonym głosem.
- Nie chciałabyś chyba, żeby znaleźli się z Brettem na tym samym przyjęciu, szczególnie po kilku piwach. Wypakowałam najlepszą porcelanę.

- Skoro mowa o Bretcie, to widzę, że nie odstępuję Cary na krok.
- Flo wskazała ich oboje i wszystkie trzy odwróciły głowy. Cara siedziała w fotelu, a Brett stał obok niczym strażnik na warcie, z talerzykiem krewetek w dłoni. - Ale to jeszcze nie wszystko - dodała Flo, zniżając konfidencyjnie głos. - Cara pije wyłącznie wodę mineralną.

- Zauważyłam. - Emmi się zamyśliła. - Od kilku tygodni nie tyka alkoholu.

- I tak będzie przez dobrych kilka miesięcy - powiedziała Flo. - Spójrzcie na nią. Zaokrągliła się ostatnio. Wiecie, co myślę?

Toy pokręciła głową.

- O nie, Cara nic nie mówiła.

Emmi i Flo spojrzały na nią jak na niedorozwiniętą.

- Cara potrafi być bardzo tajemnicza - stwierdziła Emmi. - Kiedy miałyśmy po osiem lat, przez kilka tygodni podkochiwała się w Tomie, ale powiedziała mi o tym, dopiero jak jej przeszło.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam dość udawania, że nic nie widzę. Zapytam ją wprost.

Toy i Emmi wymieniły spojrzenia, parsknęły śmiechem i pomaszerowały za Flo do podejrzaney. Cara uniosła głowę i uśmiechnęła się na widok przyjaciółek.

- O co chodzi? - zapytała, kiedy otoczyły fotel. - Improwizowane zebranie Miłośniczek Żółwi?

Emmi i Toy spojrzały na Flo, której oczy jaśniały niczym dwie pochodnie.

- Chcemy ci zadać pytanie, moja panno,

- Uh, to brzmi poważnie - powiedziała Cara żartobliwym tonem i zerknęła na Bretta.

- Czy ty jesteś...

- Ani słowa więcej - rzucił ostrzegawczo Brett. Z natury łagodny, stawał się groźny jak buldog, kiedy szło o jego ukochaną Care.

Flo zamknęła usta, zaskoczona, a Emmi nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

Brett poszukał przyzwolenia w oczach żony, po czym spojrział na trzy przyjaciółki, uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Psujecie nam niespodziankę, ale niech będzie. Mamy dla was dobrą wiadomość. Jesteśmy w ciąży.

O wpół do dziewiątej naczynia były pozmywane, resztki jedzenia powędrowały do lodówki, Lovie spała w pokoju gościnnym na piętrze, ale dziewczyny, uradowane nowiną o przyznaniu Toy grantu, długo nie mogły się rozstać.

Toy usiadła w bujaku na ganku kuchennym Flo. W gęstym, atramentowym mroku niewiele mogła dojrzeć, ale słyszała kojący szum oceanu. Huragan nadciągający nad Florydę przemieścił się na północny wschód i rozproszył, ku powszechnej uldze, nad

Atlantykiem. W Karolinie nadal wiały jednak silne wiatry, padały rześciste deszcze, zwilżając ziemię i odświeżając powietrze. Toy miała wrażenie, że wilgotna, orzeźwiająca bryza znad oceanu wywiewa ostatnie bąbelki szampana z jej oszołomionej sukcesem i alkoholem głowy.

Takiego dnia nie przeżyła jeszcze nigdy. Grant przyznany... Cara w ciąży... Emmi i Flo na dobre zaaklimatyzowane we wspólnym domu. Czy człowiek jest w stanie przyjąć tyle szczęścia? Objęła ramiona dłońmi i westchnęła. W życiu każdej z nich zachodziły radykalne zmiany. Co jeszcze los przyniesie? Co dalej?

Spojrzała w kierunku Primrose Cottage, ciemnego teraz i pustego. Tak, najwyższa pora, żeby pożegnała się z domkiem i zaczęła szukać innego mieszkania. Oto odpowiedź na jej pytanie.

Pomyślała o propozycji Emmi, ale perspektywa przeprowadzki napełniała ją przerażeniem. Z drugiej strony, obiecała Carze, że z końcem lata zacznie się rozglądać za nowym lokum i oto nadszedł koniec lata, coś musiała przedsięwziąć. Kończył się wrzesień, a ona do tej pory nie zrobiła nic, nie wykonała nawet jednego telefonu. Wiadomość o ciąży Cary, chociaż radosna, przesądzała sprawę. Carze bardziej niż kiedykolwiek potrzebne będą dodatkowe pieniądze.

A jednak opuszczenie domku plażowego oznaczało rozstanie z jedynym miejscem, w którym czuła się naprawdę bezpiecznie i które przepełnione było obecnością miss Lovie. Czy naprawdę była gotowa na taki krok?

- Tu jesteś.

Na ganku pojawiła się Cara z dwoma kubkami kawy.

- Bezkofeinowa - powiedziała, podając Toy kubek. -I gorąca, uważaj. Z mlekiem, jedna łyżeczka cukru, tak jak lubisz.

- Dziękuję. - Zbliżyła kubek do nosa. - Pachnie wprost wspaniale.

- To prywatne przyjęcie dla jednej osoby czy mogę się przyłączyć?

- Siadaj, mamusiu.

Cara odstawiła ostrożnie kubek na stolik i przyciągnęła sobie drugi fotel na biegunach, tak żeby siedzieć obok Toy. Usadowiła się wygodnie i westchnęła z zadowoleniem.

- Przyjęcie było wspaniałe, prawda?

- Jestem po prostu przytłoczona. Dwa przyjęcia jednego dnia, to za dużo dla takiego biednego kopciuszka jak ja.

- Nie chcę więcej słyszeć o biednym kopciuszku - zrugła ją Cara. - Jesteś teraz wybijającą się akwarystką, która zakłada właśnie pierwszy w naszym stanie szpital dla żółwi morskich. Jesteś wschodzącą gwiazdą, jeśli nie masz nic przeciwko temu określeniu.

Toy prychnęła z lekceważeniem i pokręciła głową, ale słowa Cary sprawiły jej przyjemność.

- Ile pieniędzy właściwie dostałaś w ramach tego grantu?

- Trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

Cara przestała się bujać i aż sapnęła z wrażenia.

- Tak dużo?

Toy kiwnęła głową.

- Nie wszystko trafi bezpośrednio do mnie. Częścią tej sumy będzie dysponowało Akwarium, żeby zabezpieczać nasze potrzeby. Ja dostanę do dyspozycji jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. To aż nadto, żeby stworzyć naprawdę przyzwoity szpital, z którego będziemy dumni.

- To prywatny grant?

- Tak, dostaliśmy go od prywatnej fundacji.

- To wspaniale, Toy. Naprawdę będziesz mogła dużo zdziałać z takimi pieniędzmi.

- Nie mogę się już doczekać. Jason powiedział mi, że mam przygotować wstępny szkic, jak sobie wyobrażam nasz szpital. Ogromna robota, ale będę mogła kupić wszystko, czego potrzebujemy. Nadal nie wierzę, że dostałam te pieniądze. Wiesz, ciągle jestem chyba w szoku.

Cara, szczęśliwa szczęściem Toy, nachyliła się i serdecznie ją uściskała. Drobniutka, o dziecięcej buzi Toy budziła w niej macierzyńskie odruchy. Zamknęła oczy i pomyślała, że tak właśnie musi czuć się matka, która widzi, jak spełniają się marzenia jej dziecka.

- Mam też inne wieści, którymi się z wami jeszcze nie podzieliłam - powiedziała Toy i uwolniła się z objęć Cary.

Cara ścierpła, przemknęło jej przez głowę, że zaraz usłyszy o zaręczynach Toy z Darrylem.

- Mianowicie?

- Prezes naszej rady nadzorczej powiedział mi, że zostałam zaproszona na najbliższe spotkanie fundacji, która przyznała mi grant. Oni zajmują się żółwiami, przede wszystkim żółwiami morskimi. Kevin chce, żebym pojechała, Akwarium pokrywa wszystkie koszty. Mam lecieć do Kostaryki, Caro.

- Kocham Kostarykę - zawołała Cara z entuzjazmem, szczęśliwa, że to nie to, czego się obawiała. - Kostaryka jest cudowna, prawdziwa Mekka wszystkich zielonych. Będiesz miała wspaniałą wycieczkę.

- Nie jestem pewna, czy powinnam jechać. Mam tyle obowiązków na głowie. A teraz, kiedy zaczniemy organizować szpital, będę musiała pracować jeszcze więcej. Kto zajmie się żółwiami pod moją nieobecność? Z kim zostawię Lovie? Nie mogę tak po prostu spakować się i wsiąść do samolotu.

- Lovie zostanie u nas - oznajmiła Cara tonem nie podlegającym dyskusji. - A żółwiami przez tych kilka dni zajmą się twoi wolontariusze.

- Tak, ale nie zajmą się już rozbudową szpitala. Tyle jest do zrobienia, nad każdą rzeczą trzeba się dobrze zastanowić...

- Nie zastawiaj się za bardzo. To wspaniała okazja. Musisz jechać.

- Caro, ja nigdy w życiu nie leciałam jeszcze samolotem. Nigdy nie wytknęłam nawet nosa poza granice naszego stanu, nie mówiąc o podróżach do innych krajów.

- Tym bardziej musisz jechać. Najwyższa pora, żebyś się wreszcie ruszyła z Isle of Palms. Rezerwuj bilet, bierz paszport i w drogę.

- No właśnie, kolejny szkopuł. Nie mam paszportu. Nie wiem nawet, jak go wyrobić.

- Wszystkiego trzeba się nauczyć. Einstein mówił, że jedynym źródłem wiedzy jest doświadczenie.

- Jest takie powiedzenie, że doświadczenie to najlepsza szkoła, ale prawdziwym uniwersytetem każdego człowieka jest możliwość pobierania nauk u innych. Ja dopiero przeszłam szkołę doświadczenia.

Cara wyczuwała, że opory i wahania Toy biorą się z czegoś, o czym nie chce mówić.

- Nie chodzi przypadkiem o Darryla?

- O Darryla? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? Cara wzruszyła ramionami.

- Po prostu zastanawiam się, jak się między wami układa. Jak powiedziałaś, że masz jeszcze jedną wiadomość, przestraszyłam się, że powiesz mi o waszych zaręczynach.

- Pomyślałaś o zaręczynach? - Toy zaśmiała się głośno. - Nie myślę w ogóle o ślubie. Z nikim. Nie jestem gotowa.

Na twarzy Cary odmalowała się wyraźna ulga.

- Dzięki Bogu. Dobrze słyszeć.

Przez chwilę bujały się w swoich fotelach, milcząc i obserwując wychodzący zza chmur księżyc, skrzący się srebrzystymi refleksami ocean.

- Co z Ethanem? - zapytała Cara po długiej chwili. - Pomoże ci organizować szpital?

- Chyba wszystko popsułam - odpowiedziała Toy.

- Za długo czekałam. Nie jesteśmy już przyjaciółmi.

- Naprawdę?

- Ethan był zawsze bardzo serdeczny wobec mnie.

- Toy uśmiechała się do własnych wspomnień, nie wiedząc o tym. - Ilekroć trzeba było pomóc przy żółwiach, robić im zdjęcia, wyciągać je ze zbiorników, zawsze mogłam liczyć na jego pomoc, nie musiałam nawet prosić. Tak samo było z grantem. Sam zaproponował, że razem przygotujemy aplikację. Bez niego nie dałabym sobie rady.

- Szkoda, że między wami się popsuło - westchnęła Cara. - Bardzo go lubiłam.

- Ja też go lubiłam. Nadal go lubię, ale on nie jest mną zainteresowany. W każdym nie tak, jak mężczyzna może być zainteresowany kobietą.

- Jesteś pewna?

- Między mną a Darrylem całkiem nieźle się układa

- oznajmiła Toy niespodziewanie, zmieniając temat.

- Hm - mruknęła Cara niezobowiązująco, bez szczególnego entuzjazmu.

- Jest... Nie wiem... Jakoś inaczej. Może to on się zmienił, może ja, w każdym razie jest inaczej. Z drugiej strony... - Toy rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, na czym to polega, ale drobiazgi, których wcześniej nie zauważałam, teraz mnie wkurzają.

Cara zaczęła znowu się bujać.

- Co takiego na przykład? - zapytała z nieukrywanym zainteresowaniem.

- Na przykład kiedy stawia piwo na stole, zapominając o podstawce albo gada z pełnymi ustami.

- Uśmiechnęła się do Cary. - Sposób, w jaki się śmieje. Ma taki dziwny śmiech, idący gdzieś z trzewi. - Próbowала naśladować Darryla. - Brzmi to jak zapuszczanie silnika albo jak kaszel kota, który nałykał się własnej sierści.

Cara śmiała się tak serdecznie, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Powinnaś słyszeć, jak Brett chrapie. Człowiek ma wrażenie, że siedzi tuż przy torze, na którym ścigają się samochody. To nie jest zapuszczanie silnika, to ryk piętnastu silników pracujących na pełnych obrotach.

- Ale Darryl ma swoje zalety - dodała Toy dla porządku. - Bardzo się stara. Zaprasza nas na kolacje do restauracji, kupuje Lovie drobne prezenty. Wiesz, że uczy ją grać na gitarze? Jest dobra, ma talent. Sama bym tego nie odkryła.

- Lovie mi opowiadała.

Twarz Toy spoważniała, znikła z niej cała radość.

- Przez ostatnie lata nie było mu lekko. Niewiele ma, niewiele zdobył. Pech towarzyszy mu jak cień.

- Pech - powtórzyła Cara. - Tak zwykliśmy nazywać nasze błędne wybory.

Toy nie odpowiedziała, upiła łyk kawy. Cara czekała cierpliwie.

- Ponuro to brzmi - podjęła znowu Toy, odstawiając kubek. - Nie chcę wydać się zarozumiała, nie mam patentu na mądrość, ale...

- ...Darryl jest tępy jak Rambo i jego scyzoryk razem wzięci - dokończyła Cara.

Toy westchnęła na to kwieciste określenie.

- Nie zastanawia się za bardzo nad swoim życiem, to pewne. Jest impulsywny, odwrotnie niż ja. Ja muszę przemyśleć każdy aspekt sprawy, zanim podejmę decyzję. Kiedy byliśmy razem, byłam młoda, niedoświadczona, chyba dlatego nie zauważyłam, że nie jest zbyt bystry. Albo po prostu nie chciałam tego widzieć. Opowiadam mu o swojej pracy, o książkach, które czytam, czy choćby o bieżących wydarzeniach i widzę, że on nie rozumie nawet połowy z tego, co mówię. Któregoś dnia powiedziałam mu, że bardzo cenię Thoreau, a on zapytał, w jakich filmach ten facet grał!

Cara dostała ataku śmiechu. W głębi duszy cieszyły ją wpadki Darryla. Od momentu kiedy Darryl pojawił się na wyspie, żyła w strachu, że Toy zadzwoni zapłakana któregoś wieczoru, oznajmiając, że znowu wystawił ją do wiatru. Albo, co gorsza, zawiódł Lovie. Albo... że znów są razem, bo jednak się kochają.

- A więc jest popędliwy, lekkomyślny, nie zastanawia się nad tym, co robi. Uroczy człowiek. Mówisz, że zachowuje się wzorowo

wobec ciebie i Lovie. Jesteś pewna, że nie zależy mu na tak zwanym bliższym kontakcie?

- Nie wierzę, żeby chciał uwić sobie gniazdko w Primrose Cottage.

- Dlaczego nie? To całkiem do niego podobne.

- Caro, jesteś niesprawiedliwa.

- Skąd wiesz, czy niesprawiedliwa? Potrafisz mu zaufać? Do końca?

- Nie wiem - odpowiedziała Toy najszczerzej, jak potrafiła. - Co mam robić?

- Kochanie, powiedz mu po prostu adios. To po hiszpańsku „żegnaj”. Powinnaś poduczyć się trochę hiszpańskiego przed wyjazdem do Kostaryki.

- Nie mogę tak postąpić.

- Dlaczego nie? On cię przecież zostawił. Nie masz wobec niego żadnych zobowiązań.

Toy odwróciła głowę i Cara zdała sobie sprawę, że wspomnienie tamtej sytuacji ciągle sprawiało jej ból.

- Chyba nic do niego nie czujesz?

- Oczywiście, że czuję. Darryl jest przecież ojcem mojego dziecka.

Absolutna lojalność, cecha skądinąd godna najwyższego szacunku, była słabą stroną Toy. Cara nie potrafiła ukryć irytacji.

- Toy, zastanów się, co mówisz. Ten facet potrafił cię uderzyć. Pomiał toba.

Toy wyprostowała się w fotelu.

- Caro, mężczyźni pomiatali mną przez całe moje życie.

Żadnemu już na to nie pozwolę. Nigdy.

W słowach Toy było tyle mocy i stanowczości, że Cara nic nie odpowiedziała. Każdy komentarz musiałby zabrzmieć protekcjonalnie. Oparła się wygodnie w fotelu i utkwiała spojrzenie w rozgwieżdżonym niebie. Szukała spadającej gwiazdy, jak to zwykły robić panie zajmujące się żółwiami, kiedy czuwały nocami przy gniazdach, ale jej wzrok powędrował za mknącym po niebie satelitą.

- Co się dzieje? - zapytała Toy.

- Nic. Po prostu chciałabym, żebyś mnie wysłuchała. Toy zaśmiała się i poklepała dłoń Cary. Doceniała starania przyjaciółki.

- Muszę się nauczyć, że nie zawsze można uczynić rzeczy lepszymi.

- Czynisz je lepszymi. Wystarczy, że jesteś i słuchasz. A ja też słucham tego, co mówisz i rozważam twoje rady.

- Ostatnio powiedziałaś, że nie mogę wiedzieć, co czujesz, nie mam pojęcia o twojej przeszłości. - Cara obróciła głowę i spojrzała Toy w oczy. - Nie jesteś już tą smarkatą, która wpadła w tarapaty. Ja też cię słucham, Toy, co więcej, widzę w tobie dojrzałą kobietę. Sama podejmujesz decyzje.

- Dziękuję - Słowa Cary głęboko poruszyły Toy. - Nie chcę działać pochopnie. Nie jestem naiwna. Obserwowałam Darryla przez ostatnie tygodnie, widziałam każdy drobiazg, każdy niuans. Celowo

go drażniłam, testowałam i wierzę, że naprawdę się zmienił. -

Zawiesiła na moment głos. - Chce, żebyśmy byli prawdziwą rodziną.

Carę ogarnęła panika.

- O czym ty mówisz? Jesteś w nim zakochana?

- Nie wiem, co to znaczy być zakochaną. Spędzamy razem dużo czasu, jest miło. Lovie go uwielbia.

- Ale czy go kochasz?

- Miłość to mocno przeceniane uczucie.

- Odpowiedz na moje pytanie. Kochasz go?

- Caro, miłość nie jest jedynym fundamentem małżeństwa.

Cara przestała się bujać.

- W takim razie co nim jest, twoim zdaniem, jeśli nie miłość? - rzuciła z irytacją.

Toy uniosła dłoń i zaczęła wyliczać na palcach:

- Wzajemne oddanie, poczucie obowiązku, szacunek, dzielenie życia, dzieci.

- Tak, to wszystko składa się na udany związek, zgoda, ale jeśli brakuje miłości, namiętności, pewności, że ten ktoś jest tym jedynym, to na czym będziesz budowała małżeństwo? Bez miłości małżeństwo jest codzienną udręką.

- A co powiesz o aranżowanych małżeństwach? Bywają bardzo udane.

- Kochanie, dwieście lat temu ludzie przelewali krew za prawo do małżeństw z miłości. Odrzucali względy polityczne, finansowe...

Nie rób wielkiego kroku w tył.

- Gdybym wyszła za Darryla, moje życie niewiele by się zmieniło. Niezłe się dogadujemy, znamy świetnie nasze złe i dobre strony. Czułybyśmy się z Lovie bezpieczne.

- Nie wychodzi się za mąż dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. - Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. - Czy ten pomysł nie wziął się przypadkiem z przekonania, że musisz wyprowadzić się z domku plażowego?

- Nie - skłamała Toy.

- Powiedziałam ci, że możesz mieszkać w Primrose Cottage, jak długo zechcesz.

- Caro, tu chodzi o coś więcej. Lovie potrzebuje pełnej rodziny. Chce mieć tatę.

- Lovie będzie miała tatę, jeśli się zgodzisz na jej spotkania z Darrylem, ale to nie oznacza jeszcze, że musisz wychodzić za niego za mąż. Nie podejmuj takiej decyzji tylko przez wzgląd na Lovie. Za mąż wychodzi się dla siebie.

- Czy to nie jest zbyt egoistyczna postawa?

- Jasne, że tak. Chodzi o twoje ego, to egoizm w najlepszym znaczeniu tego słowa. Jak możesz wiązać się z kimś, nie myśląc o sobie, nie zastanawiając się, czego ty sama naprawdę pragniesz? W takich sytuacjach trzeba być egoistką.

Obie zamilkły. Cara miała ochotę solidnie potrząsnąć Toy, zmusić ją w jakiś sposób, żeby wreszcie zapomniała o przeszłości. Stare rany najwyraźniej nie zabiły się jeszcze. Nachyliła się, ujęła dłonie Toy i przemówiła serdecznie:

- Ten wyjazd do Kostaryki nie mógł wypaść w lepszym czasie. Musisz tam jechać, dla siebie. Nie myśl o tym jak o wakacjach. Kochasz to, co robisz. Jedź i zapomnij o wszystkim innym. O Darrylu, Akwarium, domku plażowym, nawet o Lovie. Matka kiedyś mi powiedziała, że każda kobieta potrzebuje czasem samotności, żeby zebrać siły i móc sprostać problemom.

- Kochana miss Lovie. Tak bym chciała, żeby była teraz z nami.

- Jest z nami. Nie czujesz jej obecności? Toy, pomyśl, jak daleko obie zaszłyśmy przez lata dzielące nas od śmierci mamy. Byłaby z ciebie dumna. Carpe diem, często ci to powtarzała. Kochanie, uwolnij się od lęków. Jedź do Kostaryki. Posmakuj życia. Teraz twoja kolej.

- To wielki krok.

Cara poklepała się po brzuchu.

- To też wielki krok.

Zaśmiały się obydwie. Toy kątem oka dostrzegła świetlistą smugę na niebie.

- Spadająca gwiazda! - zawołała Cara. - Szybko, pomyśl sobie jakieś życzenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Toy i Elizabeth stały przy zbiornikach i przyglądały się żółwiom.

- Są niespokojne. Popatrz, wszystkie skierowały się na południe i wiosłują zawzięcie. Nigdzie nie dopłyną, docierają do szklanej ściany, ale nie przestają przebierać wiosłami. Czują, że pora migrować na cieplejsze wody. Chciałabym je wypuścić do oceanu, zanim zrobi się zimno. Może nawet Maleńką.

- Miejmy nadzieję, że doktor Tom zgodzi się na to jeszcze przed twoim wyjazdem do Kostaryki. Spakowałaś się już?

- Prawie. Dziękuję za ten kostium kąpielowy. Nie powinnaś była.

- Drobiazg.

- Nigdy nie miałam tak skąpego bikini.

- W sam raz na tropiki. Zwolnij na moment tempo, dziewczyno. Jedź, odpocznij. Ani się obejrzysz, a będziesz taka stara jak ja. Póki masz ładną figurę, póki jesteś seksowna, ciesz się tym. Na co czekać? Zabierz koniecznie ten kostium ze sobą, posłuchaj mnie.

Toy zaśmiała się. Może rzeczywiście wrzuci do walizki bikini od Elizabeth.

- Jeszcze mam tyle do zrobienia, a lecę przecież już jutro. Gdybym wiedziała, że z wyjazdem jest tyle zamieszania, chyba nigdy bym się nie zdecydowała.

- Kiedy dotrzesz na miejsce, zmienisz zdanie. Elizabeth odeszła zawołać doktora Toma i Jasona, żeby i oni mogli zobaczyć niezwykle zjawisko, a Toy zaczęła robić zdjęcia. Była pewna, że bez dowodów nikt nie uwierzy, że wszystkie żółwie jak na komendę usiłowały płynąć w tym samym kierunku.

Nachylona nad zbiornikiem Maleńkiej w pewnej chwili usłyszała kroki. Odwróciła głowę i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła Ethana. Był ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć w szpitaliku. Odruchowo poprawiła włosy, otarła krople wody z twarzy i uśmiechnęła się sztywno.

- Nachyliłaś się tak bardzo, że mogłaś wpaść do zbiornika - powiedział, starając się nadać swojemu głosowi przyjazne brzmienie.

- Robiłam zdjęcia. Niezwykle, ale wszystkie żółwie usiłują wiosłować w jednym kierunku, na południe.

- To ich pora migracji.

- Elizabeth poszła zadzwonić po Jasona i doktora Toma. Ciebie też zawiadomiła? - Toy nie odzywała się do Ethana od wielu tygodni. Nie dzwoniła do niego, nie szukała jego rady.

- Nie, nie odebrałem żadnego telefonu.

- Co cię w takim razie sprowadza? Masz do mnie jakąś sprawę?

- Pomyślałem po prostu, że zajrzę do ciebie, zapytam, jak sobie radzisz i jak wyglądają plany rozbudowy szpitala.

- Mamy strasznie dużo roboty, ale jakoś sobie radzimy. Dzięki. Ethan kiwnął głową.

- W to nie wątpię. Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie, ale dziękuję za propozycję.
- Wypuściłaś już dwa żółwie - zauważył, szukając tematu do rozmowy.
- Tak, Sharkbite'a i Kiawah. Cherry Point wypuścimy po moim powrocie z Kostaryki.
- Prawda, lecisz do Kostaryki - podchwycił skwapliwie. - Kiedy dokładnie?
- Jutro. Spotkanie odbędzie się w weekend, we wtorek będę już z powrotem w pracy.
- Spodoba ci się ten kraj. Będiesz na pewno chciała zobaczyć arribadę.¹ Żółwie właśnie zaczynają składać jaja na kostarykańskich plażach.
- Tak, może mi się poszczęści. Bardzo chciałabym też zobaczyć żółwie skórzaste.
- Na nie jeszcze, za wcześnie, obawiam się. Nie robiłbym sobie na twoim miejscu zbyt wielkich nadziei.
- Robienie sobie wielkich nadziei to moja wada. Ethan uniósł brwi.
- Wada? Ja powiedziałbym, że zaleta. Jedna z rzeczy, które lubię w tobie najbardziej. Twój niczym niezachwiany optymizm.

1 Arribada - po hiszpańsku oznacza „przybycie”. Tak nazywa się wędrówkę samic żółwi na plażę-wylęgarnię, na której kiedyś same się urodziły (przyp. red.).

Niespodziewany komplement dodał Toy odwagi.

- Nie wiedziałam, że cokolwiek we mnie lubisz.

- A co właśnie powiedziałem?

- A co ja właśnie powiedziałam? Ethan, unikasz mnie od wielu tygodni.

- Miałem wrażenie, że o to prosiłaś. Chciałaś, żeby zostawić cię w spokoju.

Toy pokręciła głową. Czekala, że Ethan coś powie, a ona zaraz usłyszy wyznanie, które widziała w jego oczach. Trzasnęły zamykane z impetem drzwi i od wejścia do przyziemia dało się słyszeć głosy kilku osób.

- Popatrzcie, co te gady wyprawiają! Szalone żółwie! - zawołał Jason, przekraczając próg szpitalika. Za nim weszli Elizabeth i doktor Tom.

Toy zerknęła na wyraźnie poirytowanego Ethana i przywitała gościa wymuszonym uśmiechem.

- Muszę iść - mruknął Ethan.

- Masz podobno kłopoty ze swoim rekinem? - zagadnął Jason.

- Owszem - przytaknął Ethan. - Po południu spróbuję przywołać drania do porządku.

- Bądź ostrożny - odezwał się Tom.

- Będę uważał. - Ethan spojrzał na Toy. - Mam coś dla ciebie na podróż do Kostaryki. Mogę zostawić to w twoim biurze?

Toy zaczerwieniła się lekko.

- Oczywiście, kiedy zechcesz.

- Świetnie. - Ethan kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł.

Ustalono, że przez tych kilka dni Jason zastąpi Toy, ale i tak najwięcej obowiązków spadło na Elizabeth. Favel zaofiarował się, że będzie jej pomagał i Toy nie była pewna, czy kierowała nim miłość do zółwi, czy sympatia dla uroczej starszej pani. Uśmiechnęła się na myśl o zawiązującej się między tą dwójką nici porozumienia i odsunęła stertę papierów leżących na biurku. Niemal w tej samej chwili w progu jej biura stanął Ethan.

- Przyniosłem coś, co może ci się przydać w Kostaryce. - Podał jej kilka map i przewodnik. Ten ostatni opatrzony był licznymi uwagami na marginesach. Ethan zaznaczył też, z myślą o Toy, do których restauracji warto się wybrać, a które hotele lepiej omijać z daleka.

- Tutaj jest tyle twoich notatek. Na pewno chcesz mi to pożyczyć?

- Mieszkalem w Kostaryce przez sześć lat, nie potrzebuję przewodników. Poza tym kraj zmienia się szybko, większość tych uwag zapewne dawno się zdezaktualizowała, ale część z nich może ci się przydać. Masz tam też kopertę, a w niej lokalną walutę.

- To kilka tysięcy kolonów.

- Niewiele. Starczy może na jeden lunch. A tu jeszcze trochę drobnych. - Wyjął z kieszeni garść monet, a z nimi muszelkę, tę samą, którą Lovie podarowała mu w czasie letniego spaceru po plaży. Schował ją szybko z powrotem do kieszeni. - Przydadzą ci się.

- Dziękuję bardzo. Powiedz, co mogłabym ci stamtąd przywieźć? - zapytała Toy. Miała ochotę powiedzieć, że przywiezie mu swoje serce, ciało, duszę, jeśli tylko Ethan da mały znak, że tego pragnie.

Mary Alice Monroe

A on pokręcił głową i mruknął: - Nic, dziękuję. Chciałem ci to po prostu dać. Miłej podróży.

Toy skończyła nudną robotę papierkową, zamknęła szuflady biurka. Mogła wracać do domu. Rzadko brała wolne i teraz tygodniowy wyjazd wydawał się jej wiecznością. Ale nie chodziło tylko o wyjazd, a raczej mniej chodziło o wyjazd, bardziej o Ethana. Myśl o nim nie dawała jej spokoju od momentu, kiedy rano pojawił się w szpitaliku. Po raz tysięczny zadawała sobie pytanie, czy to złudzenie, czy rzeczywiście istniała między nimi chemia, magnetyzm, jakkolwiek to nazwać? Fakt, że nosił w kieszeni muszelkę, którą dała mu Lovie, coś chyba znaczył?

Wstała z westchnieniem, zarzuciła plecak na ramię i zgasiła światło w swoim boksie. Była już w holu Akwarium, gdy zatrzymała się kierowana jakimś impulsem, którego nie potrafiła nazwać. Zawróciła i poszła do galerii Wielkiego Zbiornika Oceanicznego. Od razu rozpoznała Ethana w czarnym stroju nurka. Przypomniała sobie, że rano ktoś wspomniał o kłopotach z rekinem, na co Ethan odpowiedział, że pogada sobie z drapieżnikiem po południu.

Zszedł niemal na dno i opływał powoli przyciągającą wzrok rafę. W ręku trzymał białe plastikowe wiaderko. Kilka ryb krążyło

wokół niego, dopominając się natrętnie jedzenia. Odpędził je i podniósł głowę, obserwował coś uważnie.

Toy poszła za jego wzrokiem i zobaczyła wyłaniającego się z mroku wielkiego rekina tygrysięgo. Przepłynął obojętnie obok Ethana, w ślad za nim pojawiły się dwa kolejne, znacznie mniejsze, ale i one nie zwróciły uwagi na nurka z wiaderkiem pełnym jedzenia.

Ciekawa, dokąd podążyły, Toy szukała długo ich śladu w przepastnym mroku. Kiedy spojrzała znowu na Ethana, zobaczyła, że wpatruje się w nią bez ruchu. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, po czym Ethan podpłynął do szyby i położył na niej płasko dłonie. Toy podeszła do zbiornika, powtórzyła jego gest i było tak, jakby złączyli dłonie, acz oddzielone grubą ścianą ze szkła.

Wielki rekin pojawił się znowu i Ethan gwałtownie odwrócił głowę. Ubezpieczający go nurek sygnalizował, żeby miał się na baczności. Ethan opuścił rękę-Magia prysła. Toy cofnęła się o kilka kroków, świadoma, że zdarzyło się coś ważnego. Nie potrafiła tego nazwać, ale była pełna doniosłości chwili. Ethan odpłynął ku rafie, a ona, oszołomiona jeszcze tym, co zaszło, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Toy stała przy oknie w bawialni i spoglądała w ciemne niebo. Od zachodu zbliżała się burza i wyczuwalne naelektryzowanie dobrze korespondowało z jej nastrojem. Ciągle wracała myślami do magicznej chwili w galerii Wielkiego Zbiornika, czuła ją w całym ciele-Może zapierające dech w piersi doznanie więzi było tylko grą wyobraźni? Może coś sobie ubzdurzyła niczym zadurzona nastolatka?

Powinna myśleć o jutrzejszym wyjeździe, zamiast zadręczać się bezsensownymi pytaniami. Jej niepokój i rozgorączkowanie to po prostu zdenerwowanie przed podróżą. Przecież po raz pierwszy wyruszała tak daleko.

Gdzieś blisko rozległ się grzmot, lunął deszcz. Toy odeszła od okna i zaczęła zapalać światła. Tutaj, w domku plażowym czuła się bezpieczna. Lovie spała już smacznie, bilet na samolot leżał na stoliku w holu, obok torby z laptopem i teczki z dokumentacją dotyczącą szpitala. Była spakowana, gotowa do podróży.

Usłyszała ciężkie kroki na ganku i po chwili do kuchni wszedł Darryl, ocierając krople deszczu z twarzy.

- Gotowa? - Pytanie zabrzmiało jak echo jej myśli.

- Włożę walizkę do bagażnika twojego samochodu.

- Dzięki. - Darryl bardzo jej pomógł w przygotowaniach do wyjazdu. W ogóle ostatnio odkrywała w nim cechy, których wcześniej nie dostrzegała: troskliwość, niezawodność... Starał się, jak mógł, ułatwiać jej życie.

- Dziękuję za wszystko.

Podeszła do blatu kuchennego i zaczęła skreślać kolejne pozycje na długiej liście rzeczy do załatwienia. Drgnęła, czując, że Darryl staje za nią i obejmuje ją ramieniem.

- Co robisz? - zachnęła się.

- Próbuję być blisko - mruknął miękko i musnął wargami jej kark. - Wyjeżdżasz, chciałbym się pożegnać.

- Daj spokój, proszę.

Obrócił ją w objęciach twarzą ku sobie i Toy zdało się przez moment, że znowu jest młodą dziewczyną chroniącą się przed twardą rzeczywistością w ramionach Darryla. Kiedy chciał ją pocałować, odepchnęła go.

- Nie mogę - powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

- Nie potrafię.

Darryl znieruchomiał na moment, jakby nie rozumiał reakcji Toy, a potem uwolnił ją z objęć.

- Kiedyś lubiłaś moje pocałunki.

- Wiem. Przepraszam.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości.

- Ja naprawdę nie mogę - powtórzyła łagodnie. Nie chciała go ranić. - Nie chcę.

- W porządku - przytaknął machinalnie, zacisnął usta i dodał po chwili: - Nie, nie jest w porządku. Nie chwytam, o co biega. Staram się być dla ciebie miły, a ty mnie odpychasz. Dziewczyno, daj mi nadzieję.

- To byłoby nieuczciwe. Nie mogę ci dać nadziei. Proponuję ci przyjaźń i możliwość widywania Lovie. To wszystko.

- W co ty ze mną grałaś? - zapytał zdławionym głosem.

- W nic nie grałam. Chciałeś poznać swoją córkę, dałam ci tę szansę.

- Nie powiesz mi, że między nami w tym czasie nic się nie działo. Ja cię wyczuwam, maleńka.

- Masz rację, coś było - przyznała Toy, starając się mówić najszczerzej, jak potrafiła. - Widziałam, że chcesz do mnie wrócić, ale nie zrobiłam nic, żeby cię do tego zachęcić. Potrzebowałam chyba czasu, żeby rozeznąć się we własnych uczuciach. Potrafisz to zrozumieć? Chciałam, żeby między nami się ułożyło, myślałam, że może uda się nam stworzyć rodzinę. Marzyłam kiedyś o tym. Błagałam cię, żebyś nie odchodził. Pamiętasz?

Darryl kiwnął głową.

- Byłem skończonym głupcem.

- Nigdy nie miałam prawdziwej rodziny, chciałam, żeby Lovie ją miała. Jesteś dla niej taki dobry. Wierzyła, że nam się uda - szepnęła.

- Ja tego pragnę. Wiesz, że tak jest. Kocham cię, Toy. Nigdy nie przestałem cię kochać.

- Owszem, przestałeś - rzuciła mu w twarz. - Przestałeś mnie kochać, Darryl. Ale to nic, bo ja też cię nie kocham - dodała już spokojniejszym, pewnym głosem.

Milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową, jakby otrząsał się z szoku.

- A więc to tak.

Podszedł do kanapy i wziął swoją kurtkę.

- Darryl...

- Co takiego? - W jego głosie zabrzmiała złość zaprawiona zniecierpliwieniem.

Toy podała mu kopertę.

- Tu masz wszystkie potrzebne adresy i telefony. Uprzedziłam Care, że w sobotę zabierasz Lovie do muzeum. Lovie będzie mieszkała u Cary pod moją nieobecność - powiedziała bezbarwnym głosem. - Możesz ją stamtąd odebrać. Oczywiście, jeśli podtrzymujesz swoją propozycję.

- Pewnie, że podtrzymuję, do cholery. Dlaczego niby nie? Ona nie dała mi kopniaka. Na razie.

Toy podniosła wzrok.

- Cieszę się, że nadal będziesz się z nią widywał. Ona bardzo czeka na to sobotnie spotkanie. Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek pytania, dzwoń do Cary. Mój telefon komórkowy nie będzie działał w Kostaryce, nie mam roamingu.

Toy nadal trzymała kopertę w wyciągniętej dłoni.

Darryl patrzył na nią, jakby się zastanawiał, czy mają schować do kieszeni, czy zmiąć i cisnąć Toy w twarz. W końcu ją odebrał, odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy Toy wysiadła z samolotu, uderzyła ją fala tropikalnego, wilgotnego i parnego powietrza. Przeszła z pozostałymi pasażerami do baraku z blachy w pobliżu pasów startowych, który pełnił rolę terminalu. Po odprawie zaczęła się rozglądać za kimś, kto trzymałby w rękach kartonik z jej nazwiskiem.

Dojrzała młodego chłopaka z sięgającymi ramion dreadami i kilkoma sznurami koralików na szyi. Uśmiechnął się do niej, jakby ją rozpoznawał, uniósł nad głową pomietą kartkę, tak że mogła odczytać nabazgrane byle jak litery układające się w napis „Ms. Toy Sooner”. Ucieszona, że ktoś jednak odbierze ją z lotniska, przywołała chłopca gestem dłoni.

- Jestem Rafael - przedstawił się. - Mam zawieźć panią do Playa Grande. To cały pani bagaż? Wezmę go, pozwoli pani. Proszę za mną.
- Rafael mówił po angielsku z ładnym brytyjskim akcentem i mimo luzackiego stylu okazał się niezwykle rzetelnym opiekunem.

Miss Lovie zawsze powtarzała, że nie należy oceniać ludzi po pozorach. Toy miała nadzieję, że mama Rafaela przekazała mu tę samą mądrość, bo w swoim skromnym kostiumiku wyglądała jak nauczycielka na wycieczce w tropiki.

Kiedy wsiedli do mocno wysłużonego, zakurzonego dżipa, Rafael wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Proszę zapiąć pasy, bo trochę nas wytrzęsie - przestrzegł lojalnie.

I rzeczywiście wytrzymało. Po przejechaniu krótkiego odcinka autostradą Pan American zjechali na obfitującą w wykroty oraz ogromne kałuże - pora deszczowa w tej części Kostaryki trwa od maja do grudnia - drogę gruntową i tak już było do końca, ale Toy nie zwracała na nic uwagi, zachwycona pięknem egzotycznych krajobrazów.

Rafael okazał się miłym, chętnym do opowiadania o swoim kraju towarzyszem, a do tego świetnym kierowcą. Zgrabnie omijał koleiny i ogromne, głębokie kałuże, bez trudu przeprowadzał się przez strumyki przecinające drogę. Toy zaciskała palce na tablicy rozdzielczej, aż bieleły jej knykcie, jednak była pełna podziwu dla umiejętności Rafaela. W końcu zobaczyła zespół niskich, drewnianych bungalowów nad samym brzegiem Pacyfiku.

- Jesteśmy na miejscu. Witaj w „Villa Baluas” - oznajmił chłopak, przechodząc z Toy na ty. Po chwili wjechał na parking. - To hotel ekologiczny - dodał.

Obiecawszy, że za kwadrans spotka się z nim w hotelowym barze na piwie, Toy pozwoliła się zaprowadzić uśmiechniętej kobiecie do zarezerwowanego dla niej domku. Kiedy weszła do środka, stanęła przy oknie, spojrzała na ocean i chociaż nie był to Atlantyk, poczuła się jak w domu. Kobieta zamknęła za sobą cicho drzwi, a Toy zrzuciła zakurzone, przepocone ubranie i weszła pod prysznic. Woda była zaledwie letnia, ciurkała wąłym strumyczkiem, ale przynosiła cudowną ulgę po męczącej podróży do Kostaryki, a potem ze stolicy na wybrzeże.

Przebrała się i dołączyła do reszty uczestników spotkania, którzy siedzieli już w restauracji na świeżym powietrzu pod trzcinowym daszkiem, i czekali na kolację. Wszyscy odprężeni, w doskonałych humorach, popijali spokojnie piwo i przerzucali się żartami. Nikogo z nich nie znała i poczuła się nieswojo, ale natychmiast pojawił się Rafael i wziął ją pod swoje skrzydła.

- Uwaga, załoga, to Toy Sooner ze Stanów Zjednoczonych, jeszcze jedna uczestniczka spotkania - dokonał prezentacji i od stolików rozległy się powitalne okrzyki. Potem posadził ją przy swoim stoliku i zabawiał przez cały wieczór. Był serdeczny, troskliwy, flirtował z nią cały czas, ale nie narzucał się, traktował flirt jako wyrafinowaną zabawę czy też sztukę wartą kultywowania i doskonalenia.

Polubiła go bardzo. Mimo chłopięcego wyglądu mógł mieć dwadzieścia sześć, siedem lat, w każdym razie na pewno nie przekroczył trzydziestki. Wszyscy uczestnicy spotkania byli mniej więcej w tym samym wieku. Dwudziestoosobowa grupa, z małżonkami, ktoś nawet przyjechał z dwójką dzieci, zajęła cały hotelik. Przedstawiciele fundacji zamieszkali w eleganckim hotelu w Tamaryndo, ale młodzi woleli niezobowiązującą atmosferę „Villa Baluas”. Kiedy po kolacji wszyscy rozsiedli się nad basenem, ze szklankami piwa, Toy zaczęła ich rozpoznawać. Oprócz tubylców byli tu ludzie ze Stanów, z Meksyku, nawet z Europy. Kończyli różne szkoły, pracowali w różnych zawodach, mieli różne cele w życiu, ale łączyło ich zaangażowanie w ochronę żółwi morskich.

Rafael usiadł obok Toy na brzegu basenu, z nogami w wodzie.

- Jest kiepsko - powiedział, kiedy rozmowa zesła w sposób naturalny na żółwie. - W zeszłym roku odnotowaliśmy najmniejszą liczbę gniazd w dotychczasowych statystykach, a przewiduje się, że w tym roku nie będzie wcale lepiej. Żółwie skórzaste są gatunkiem zagrożonym, giną w sieciach rybaków, ale organizacji międzynarodowych to nie obchodzi. I tak wymordujemy jedne z najstarszych zwierząt na Ziemi.

- Może tak, a może nie - powiedziała Toy, machając nogami w wodzie. - Nie wierzysz w wieczną wiosnę? Świat się odradza.

Rafael stuknął się z nią szklanką.

- Jesteś optymistką - bardziej stwierdził niż zapytał. - To mi się podoba. To znaczy, że naprawdę należysz do załogi.

Toy zamyśliła się. Jak to określił Ethan? „Niezachwiany optymizm”. Była ciekawa, co porabia o tej porze. Siedzi jeszcze w Akwarium czy wrócił już do domu?

Następnego dnia rano zaczynało się sympozjum. Mając do wyboru uciążliwą jazdę samochodami po strach budzących drogach i przeprawę stateczkiem przez ujście rzeki oddzielającej Playa Grande od miasta, wszyscy jednogłośnie wybrali stateczek.

Późnym popołudniem, kiedy już zostały ogłoszone wszystkie przewidziane na ten dzień referaty, Toy wybrała się na zakupy. Znalazła T-shirt z wydrukowaną na plecach tabelą wszystkich gatunków rekinów, prezent dla Ethana. Lovie kupiła koszulkę z

żółwiem skórzastym, a Carze ceramiczny wazon z wizerunkiem żółwia.

W drodze powrotnej towarzystwo zaczęło planować wieczorny wypad, wszyscy mieli ochotę wypić kilka drinków i potańczyć. Rafael objął Toy.

- Idziesz z nami.

- Nie, wykluczone - broniła się Toy. - Jestem zmęczona, poza tym ja nie potrafię tańczyć.

- Każdy umie tańczyć.

- Ja nie.

- W takim razie nauczę cię.

Kiedy była znacznie młodsza, bardzo lubiła tańczyć. Nie znała żadnych kroków, po prostu improwizowała do muzyki z radia. Kiedyś matka przyłapała ją na takiej zabawie. „Poruszasz się, jakbyś miała dwie lewe nogi”, skwitowała cierpko jej pląsy.

- Jestem beznadziejna, uwierz mi. Poza tym może zadzwonić któryś ze strażników. Wolę zostać w hotelu.

Playa Grande, miejsce lęgowe ginących żółwi skórzastych, była plażą zamkniętą i zwykli śmiertelnicy nie mieli na nią wstępu. Jeśli któryś ze strażników rezerwatu wypatrzył wyczołgującą się z oceanu żółwicę skórzastą, ogłaszał alarm i wzmacniano patrole.

Rafael spojrzał na Toy jak na osobę niespełna rozumu.

- Żadna żółwica dzisiaj się nie pojawi. Pierwszych możemy się spodziewać najwcześniej za tydzień. Chodź z nami, proszę - nalegał, pociągając za brzeg jej T-shirtu. - Nauczę cię tańczyć.

- Idźcie beze mnie. - Stateczek dobił do nabrzeża i dyskusja tym samym się skończyła.

Toy wzięła prysznic i postanowiła iść na spacer przed kolacją.

Z plaży zeszli już surferzy i tylko wspaniała fregata o czarnych skrzydłach układających się w M krążyła nad oceanem. Wczoraj Toy była podniecona: egzotyczny kraj, nowi ludzie, nowe wrażenia, ale dzisiaj, kiedy trochę ochłonęła, poczuła się strasznie wyobcowana i już tęskniła za domem. Martwiła się o Lovie, nie wiedziała, jak córka znosi rozłąkę. Gdziekolwiek spojrzała, wracała myśl o Lovie. Czy spodobałaby się jej ta muszelka? Czy próbowałaby zaprzyjaźnić się z iguaną wygrzewającą się koło hotelowego basenu?

Toy nie przypuszczała, że będzie tak bardzo tęsknić, że poczuje się po przyjeździe do Kostaryki tak bardzo osamotniona. Po kolacji, gdy reszta towarzystwa wyprawiła się do miasta, położyła się w hamaku zawieszonym przed jej domkiem i próbowała czytać materiały rozdane uczestnikom sympozjum, ale prawie natychmiast zapadła w sen. Obudziło ją potrząsanie za ramię.

- Co się dzieje? - zapytała półprzytomna.

- Obudź się, Toy. - Rafael wywijał latarką i szczyrzył się radośnie, że przynosi taką wspaniałą wiadomość. - Jakies siedemset metrów od hotelu pojawiła się na plaży żółwica skórzasta. Przypląnęła wcześniej, specjalnie dla ciebie - dodał ze śmiechem. - Bierz aparat i idziemy.

Toy omal nie wypadła z hamaku, usiłując jak najszybciej się z niego wydostać. Pobiegła do pokoju, chwyciła plecak i pędem wróciła

do Rafaela. Przy wejściu na plażę czekali już pracujący w rezerwacie biolog i strażnik. Zaledwie kilkoro uczestników wybierało się na spotkanie z żółwica, pozostali bawili się w mieście. Strażnik służbista sprawdził pedantycznie nazwiska osób na liście, po czym wydał rozkaz marszu parami. Toy szła z Rafaelem. Wydawało się jej, że jest w całkiem dobrej formie, ale po przejściu szybkim marszem kilkuset metrów po piasku brakowało jej tchu.

- Myślałam, że pojechałeś do miasta z innymi
- sapnęła, zwracając się do Rafaela.
- Pojechałem, ale potem pomyślałem, że siedzisz sama w hotelu.

Chciałem być przy twoim pierwszym spotkaniu z żółwiem skórzastym, jeśli się pojawi. Czujęm przez skórę, że szczęście dziś uśmiechnie się do ciebie.

- To nie będzie mój pierwszy żółw morski - odpowiedziała z urazą. - Widziałam setki karret.

- Karrety to nie są prawdziwe żółwie morskie
- prychnął Rafael. - Maleństwa w porównaniu ze skórzastymi.

Wiesz, niektóre źródła podają, że karapaks może mieć nawet trzy metry długości, a ciężar ciała wynosić do tysiąca kilogramów, chociaż zwykle spotyka się mniejsze okazy.

Już gotowała się na ostrą ripostę, ale ich przewodnik zatrzymał się i skierował snop światła latarki na ślady żółwicy. Rozstaw między nimi wynosił jakieś półtora metra, a były tak głębokie, jakby po piasku przejechał buldożer.

Rafael rzucił jej pełne wyższości spojrzenie i uśmiechnął się triumfalnie.

Strażnik poszedł wzdłuż śladów, spojrzeć na żółwicę, reszta czekała, zbита w gromadkę wokół biologa. Nie czekali długo. W walkie-talkie biologa zaskrzeczał głos strażnika. Żółwica zaczęła wykopywać dołek na gniazdo, teraz mogli ją obejrzeć.

- Proszę stanąć z tyłu, za żółwicą i uważać, żeby was nie zobaczyła - przestrzegł biolog.

Toy, oswojona z żółwiami, nie była przygotowana na to, co zobaczyła. Przed nią, w słabej poświacie księżycy majaczył potężny czarny kształt, tak ogromny, że niemal budzący grozę. Wszystkie odmiany żółwia, z którymi dotąd się stykała: karrety, zatokowe, oliwkowe, zielone i szylkretowe mają wypukły, twardy pancerz, tymczasem teraz patrzyła na stworzenie o wspaniałym i, zgodnie z nazwą, skórzastym, pofałdowanym wzdłużnie pancerzu.

Kiedy przykleknęła obok Rafaela, ujął jej dłoń. Wpatrywał się w żółwicę z nabożnym zachwytem, mimo że dla niego nie było to pierwsze spotkanie z pięknym olbrzymem. Uśmiechnęła się, szczęśliwa, że może dzielić niezwykłą chwilę z przyjacielem. Pomyślała o swoich bliskich w Charlestonie: Carze, Flo, Emmi, o Lovie przede wszystkim. Gdyby mogły widzieć to, na co ona teraz patrzyła...

Żółwica, która musiała mieć około dwóch metrów długości i ważyć pięćset, sześćset kilogramów, wykopywała pracowicie tylnymi odnóżami dół w piasku. W każdym jej ruchu, mimo mamucich

kształtów, była niezwykła gracja. Kiedy gniazdo było głębokie na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów, znieruchomiała i po chwili zaczęła składać jaja, które jednak zamiast do gniazda, trafiały w nadstawioną dłoń biologa. Odbierał każde z namaszczeniem i wkładał ostrożnie do plastikowego woreczka. Miały trafić do inkubatora i zostać otoczone troskliwą opieką. Gatunek był tak zagrożony, że należało zadbać o każdy, absolutnie każdy lęg. Toy otarła łzy. Być może oglądała jeden z ostatnich okazów żółwia skórzastego.

Nie zdążyła się nacieszyć widokiem wspaniałego zwierzęcia, a przewodnik już dawał znaki, że muszą się wycofać. Podniosła się posłusznie i ruszyła wzdłuż plaży z resztą grupy, zachwycona, że miała tyle szczęścia i zobaczyła niezwykle widowisko.

Darryl siedział w barze restauracji nad Shem Creek. Sala restauracyjna była wypełniona do ostatniego stolika, ale tutaj, w barze jedynymi gośćmi były dwie dziewczyny siedzące w kącie i on. Drobniejsza przypominała mu Toy, była do niej podobna, miała jej oczy.

- Cholera - mruknął i skinął na barmana, żeby podał mu kolejne piwo. Ostatnie, powiedział sobie, obliczając szybko, ile wyniesie rachunek. Został prawie bez pieniędzy. Gdyby nie to, że następnego dnia miał występ, musiałby znowu prosić matkę o robotę. Nigdy nie pożyczala mu pieniędzy. Była tak skąpa, że jeśli zdarzyło się jej otworzyć portmonetkę, w powietrze wzbijał się kurz. Na każdy grosz, który od niej dostał, musiał zapracować. Coś naprawił w jej domu, coś odmalował. Dzięki temu mógł zapraszać Toy i Lovie na kolacje, do

kina. Nie chciał, by wiedziały, że jest kompletnie splukany. W ogóle starał się w ich obecności trzymać fason: nie kłać, dbać o dobre maniery, czyścić buty, słuchać cierpliwie niekończących się opowieści Toy o tych jej cholernych żółwiach.

I po co te wysiłki, skoro nie chciała mieć z nim nic wspólnego? Nie pozwoliła nawet się pocałować. Rozgoryczony, pociągnął solidny łyk piwa.

Z głośników sączyła się piosenka country. Jakiś gość śpiewał o tym, że życie to jedna wielka porażka i Darryl uniósł butelkę w ponurym toaście:

- Święta racja, stary.

Nastawił ucha, próbując wychwycić słowa.

Myślisz, żeś złapał Boga za nogi A to ślepy zaułek I koniec twojej drogi.

- Niech to szlag - mruknął kwaśno, szukając zrozumienia u barmana. - Sam mógłbym coś takiego napisać.

Barman skinął głową, nie podnosząc wzroku znad szklanki, którą wycierał.

Szczaw, pomyślał Darryl z pogardą. Za młody, żeby wiedzieć, jak jest. Mógłby mu opowiedzieć, co to jest country rock. Grał w najlepszych kapelach działających na tej scenie muzycznej. Ma talent, a jakże. Musi tylko się przebić, tymczasem siedzi od lata w tym zapyziałym miasteczku. Jak tylko zapłacą mu za jutrzejszy występ, jedzie do Nashville. To jest właściwe miejsce dla niego. Pojutrze stąd znika.

Dziewczyny siedzące przy stoliku w kącie podniosły się i ruszyły do wyjścia. Darryl odprowadził wzrokiem drobniejszą, podobną do Toy i szybko odwrócił głowę. Ta też najpewniej wystawiłaby go do wiatru. Zaczął wzbierać w nim gniew. Odchylił głowę, uniósł butelkę, chciał pociągnąć łyk, ale butelka była pusta. Odstawił ją z hukiem. Barman, osiłek na sterydach, spojrział na niego ostrzegawczo.

Darryl wołał z nim nie zadzierać. Położył na barze kilka jednodolarowych banknotów i wyszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Darryl z niedowierzaniem patrzył na skromny, otynkowany na różowo domek. Wyobrażał sobie, że taka wielka pani jak Cara Rutledge musi mieszkać w jednej z tych wypasionych rezydencji, co to ich wyrosło pełno na tej cholernej wyspie. Ale nawet taka psia buda w takim miejscu była warta więcej pieniędzy, niż on kiedykolwiek widział.

Szedł powoli do drzwi, próbując ukryć ogromną treść. Nigdy nie poznał baby osobiście, ale z tego, co mu opowiadała Toy, zdążył sobie wyrobić opinię, że z niej niezła jędza. Toy traktowała jej słowa niemal jak świętość. Ciągłe tylko słyszał: Cara to. Cara tamto, Cara owo. Cara...

Stanął na ganku, przyglądził włosy i nacisnął dzwonek. Dlaczego tak się denerwuje? Drzwi się otworzyły i w progu stanął jego postrach.

Pierwsza myśl, jaka przemknęła mu przez głowę, to że Cara Rutledge jest piękna, niezwykle piękna, ale nie w jego typie. Za wytworna. Wyniosła. Taka, co to patrzy na wszystkich z góry.

- Pan Duggans? - zapytała takim tonem, jakby miała przed sobą akwizytora.

- W rzeczy samej, tak nazywał się mój ojczulek. Dla pani mogę być Darryl.

- Zostańmy przy panu Duggansie. Tu ma pan numery telefonów. Jeśli Lovie źle by się poczuła albo po prostu chciała wcześniej wracać do domu, proszę do mnie dzwonić.

- Nie będzie chciała wracać wcześniej.

Cara wręczyła mu kartkę z wypisanymi na maszynie informacjami.

Kolejna lista. Nawet ponumerowana. Prawdziwe cudactwo.

- A jeśli?

- Jakie tam jeśli - mruknął i wsunął kartkę do kieszeni. Damulka zacisnęła usta, jakby powstrzymywała się przed wrzaskiem. Czekał, ciekaw, czy puszcza jej nerwy. Trzeba jej to oddać, że potrafiła utrzymać je na wodzy. Uśmiechnęła się sztywno. Znał dobrze ten uśmiech. Tak uśmiechali się barmani, kiedy zamierzali za moment wykopać go z lokalu.

- Przyprowadzę Lovie - powiedziała tylko i przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodała: - Może pan wejdzie?

- Zaczekam tutaj.

Chciał odebrać córkę i wynieść się stąd czym prędzej. Wsunął dłonie do tylnych kieszeni dżinsów i zaczął chodzić po ganku. Nie czekał długo. Po chwili drzwi się otworzyły, wybiegła Lovie i przypadła do ojca.

- Tatuś!

Najpiękniejsze, co mi się przydarzyło w życiu, to Lovie, pomyślał, zaskoczony, że ten maluch w niebieskiej sukience, z

włosami zawiązanymi w kucyki, budzi w nim tak wielką czułość.
Czuł się dumny.

- Jedziemy - powiedział z uśmiechem.

- Proszę zaczekać - zawołała Cara. Darryl zatrzymał się,
odwrócił.

- Chciałam tylko potwierdzić, że odbiorę Lovie o czwartej na
Patriot's Point.

- Tak. Będziemy tam o czwartej - rzucił krótko. Cara
pomasaowała plecy i posłała Lovie ciepły uśmiech.

Nie przypuszczał, że tę kobietę stać na taką słodycz.

- Baw się dobrze, kochanie.

- Będzie się dobrze bawiła - warknął Darryl i odszedł,
prowadząc córkę za rękę.

Toy od urodzenia mieszkała nad morzem, ale nigdy dotąd nie
surfowała, chociaż zawsze zazdrościła tym, którzy szaleli na desce.
Ocean był tego dnia w miarę spokojny, a mimo to nie mogła utrzymać
równowagi. Po godzinie prób skapitulowała i wyciągnęła nieszczęsną
deskę na brzeg.

- Za bardzo się usztywniasz. Jesteś jak ta deska - stwierdził
Rafael, podchodząc do niej. - Rozluźnij mięśnie, dziewczyno.

Strasznie ją złościło, że po Rafaelu nie było widać śladu
zmęczenia, gdy ona ledwie mogła utrzymać się na nogach.

- Próbuję - mruknęła spiętym głosem.

Rafael zaśmiał się i odgarnął jej kosmyk z policzka.

- Może za bardzo próbujesz.

- A może nie jestem do tego stworzona.
- Nie mów mi, że się poddajesz.
- Nie rezygnuj ę tak łatwo - zachnęła się - ale jestem realistką.

Poza tym po powrocie do domu nie będę miała czasu na surfowanie.

- Daj spokój. Tylko praca i praca! Musisz być strasznie nieszczęśliwym człowiekiem.

Toy uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Próbuję, Rafaelu, ale nie chwytam.

- Zostaw deskę na brzegu i wracamy do wody. Spróbujemy innej metody. -I Rafael zaczął jej pokazywać, jak ustawiać ciało do fali, jak się jej poddawać, wyczuwać jej pęd i zachowywać równowagę. W jego instrukcjach było tyle samo flirtu co prawdziwego treningu.

- Teraz już czujesz, co trzeba robić? - zapytał w pewnym momencie. - Uważaj, idzie następna fala. Zamknij oczy i nie bój się, jestem tutaj, trzymam cię. Wyciągnij ręce, wyprostuj ramiona i pozwól się unieść fali. Dobrze, już chwytasz! - zawołał zadowolony.

- To ma mi pomóc surfować?

- Surfowanie to umiejętność wyczuwania fali. Teraz bierz deskę.

Wrócili z deskami do wody, wypłynęli poza przybój i czekali cierpliwie na odpowiednią falę.

- Ta będzie dobra - zawołał Rafael i fala poniosła Toy. Przez chwilę leżała na desce, bała się, że kiedy stanie, znowu straci równowagę, ale ciekawość ryzyka wzięła górę. Jedna stopa... Druga... Teraz się wyprostować... Powoli, ostrożnie... Poczowała wiatr na twarzy i ogarnęła ją nieznana radość. Pędzi na grzbiecie fali!

Wszystko trwało raptem dziesięć sekund, ale było wspaniale. Dziesięć sekund odmieniających życie. Kiedy wyszła na brzeg, śmiała się, uszczęśliwiona nowym doznaniem.

- No widzisz, udało się - zawołał Rafael. - Wiedziałem, że się uda.

- Dziękuję! - Toy podbiegła do niego uśmiechnięta od ucha do ucha. - Zawsze chciałam spróbować, ale byłam pewna, że nie potrafię. Powtarzamy?

- Nie, szalona istoto. Jesteś teraz na adrenalinie. Po dobrym surfie lepiej nie robić powtórek.

- Mam wrażenie, że mogłabym surfować w nieskończoność. Absolutna euforia.

Rafael kiwnął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, to wspaniałe uczucie. - Wziął od Toy deskę i ruszyli ku „Villa Baulas”. - Trzeba tylko zaufać sobie, uwolnić się od stresu.

- Nie przypuszczałam, że można uczyć się surfować bez deski.

Rafael zaśmiał się głośno.

- Kiedy wciągnąłem cię do wody, wcale nie chodziło o surfowanie.

- A o co? - Toy posłała mu groźne spojrzenie.

- To była nauka tańca. Jutro wszyscy wybieramy się na wielkie przyjęcie do „Kiki's”. Ty też. I żadnych wymówek. My, Latynosi, kochamy taniec.

Tego dnia morze było wzburzone, niebo szare, zasnuite ciężkimi chmurami i Cara, bez specjalnych wyrzutów sumienia zamknęła biuro

Eco-Tours wcześniej. Cały dzień bolały ją plecy, a rano zobaczyła kilka plamek krwi na spodniach od piżamy. Znowu plamiła.

To tylko krew, przekonywała samą siebie. Przecież pani doktor powiedziała, że to normalne i nie ma czym się przejmować. Siedziała cały ranek z nogami opartymi na krześle i pewnie ta nienaturalna pozycja sprawiła, że rozbolała ją głowa. Nie będzie niepokoiła Bretta, nie zadzwoni do niego, ale lepiej wrócić wcześniej do domu.

Kiedy zatrzymała się na podjeździe, poczuła tępy ból w podbrzuszu. To nic, położy się zaraz i ból minie. Wysiadła z samochodu i ból się wzmógł. Położyła dłoń na podbrzuszu i wstrzymała na moment oddech. Wszystko w niej krzychało: nie, nie! Na uginających się nogach przeszła do drzwi, drżącymi palcami przekręciła klucz w zamku. W holu poczuła, że stróżki krwi płyną po udach.

- Boże, chroń moje dziecko, proszę - modliła się. Oparta o ścianę osunęła się na podłogę. Nie było już żadnej nadziei. Jej największe marzenie nie miało się spełnić.

Brett wrócił do domu niedługo po Carze i znalazł ją skuloną na podłodze łazienki, w niewielkiej kałuży krwi. Zawiózł ją natychmiast do szpitala. Kiedy ją wypuszczono po kilku godzinach, czuła się pusta, wydrążona. Pragnęła tylko jednego - położyć się, naciągnąć kołdrę na głowę, zasnąć i o wszystkim zapomnieć. Ani Brett, ani ona nie powiedzieli sobie ani jednego słowa pocieszenia, nie mówili o swojej rozpacz. Komuś mogłoby się to wydawać stoicką odwagą, a oni po prostu bali się słów.

W domu czekały już na nich Flo i Emmi. Smutne, zatroskane, pomimo to próbowały się uśmiechać. Flo ugotowała minestrone, Emmi pokroiła bagietkę, postawiła na stole deskę z serami, ale zapach jedzenia przyprawiał Carę o mdłości. Posiedziała chwilę z przyjaciółkami, przyjęła ich słowa otuchy, po czym uciekła do swojej sypialni.

Leżąc już w łóżku, nie mogła się pozbyć dręczącego niepokoju. Nie miał związku z poronieniem, to wiedziała na pewno, ale coś było nie tak. Spojrzała na zegarek na szafce nocnej, ale cyfry zasłaniała szklanka z wodą. Cara była tak osłabiona, że nie mogła się unieść.

- Brett - zawołała. - Brett!

Usłyszała jego kroki i za moment pojawił się w progu sypialni.

- Tak? Przynieść ci coś?

- Nie widzę zegarka.

- Kochanie, nie sprawdzaj, która godzina. Późno już, postaraj się usnąć.

- Proszę cię. Coś... Mógłbyś przesunąć tę szklankę? Jej głos brzmiał tak nagłaco, że Brett bez dalszych dyskusji spełnił prośbę. Siódma czterdzieści dwie. Cara zacisnęła palce na kołdrze.

Późno. Bardzo późno, powtarzała sobie gorączkowo. Nagle przez ból, zmęczenie, rozpacz przedarła się straszna świadomość. Ogarnęła ją panika. Szarpnęła głową w prawo, w lewo, z gardła wydobył się ochrypły, krótki skowyt.

- Caro, co się dzieje? - w głosie Bretta zabrzmiało czyste przerażenie.

- Boże święty...! Brett, gdzie Lovie?

Wszyscy zebrali się w sypialni. Brett siedział na skraju łóżka, trzymając wspartą o poduszki Carę za rękę. Flo i Emmi chodziły nerwowo po pokoju. W nogach łóżka stała policjantka z otwartym notesem w dłoni.

- Była pani umówiona z tym Duggansem na Patriot's Point o czwartej, tak? - upewniała się.

Cara skinęła głową.

- Tak.

- Gdzie dokładnie?

- Na nabrzeżu. Przypomniałam mu jeszcze, gdzie i o której mamy się spotkać, kiedy odbierał Lovie. - Cara ścisnęła dłoń męża. - Nie dojechałam tam.

- Rozumiem, proszę pani. Bardzo mi przykro. - Sierżant Kim знаła Carę. W minionych latach wiele razy była wzywana przez żółwiarzy. Sama kochała żółwie i pojawiała się natychmiast, jeśli tylko była potrzebna.

- O której próbowała pani po raz pierwszy skontaktować się z Duggansem?

- Dopiero około ósmej. To, co się zdarzyło... - Podniosła dłoń do ust. - Zapomniałam - dokończyła łamiącym się głosem.

- Nie zapomniałaś - wtrąciła Flo, stając w obronie przyjaciółki. - Miałaś ciężki, traumatyczny zabieg, na litość boską.

- Nie odebrałam Lovie - powiedziała zgnębiona Cara. - Mogłam poprosić o to ciebie, kogokolwiek. Byłam umówiona z tym człowiekiem i najzwyczajniej W świecie zapomniałam.

- Próbowaliśmy dzwonić na numer komórkowy, który zostawił nam Duggans, ale już nie działa, został wyłączony przez operatora. To ten, który pani dałam.

- Tak, sir. Został wyłączony, bo Duggans nie zapłacił ostatnich rachunków.

- Wspaniale - sarknął Brett takim tonem, jakim rzuca się przekleństwa.

- Gdzie on mógł się podziać? Udało się pani skontaktować z kimś z jego znajomych?

- Jego matka mieszka chyba w Charlestonie - podsunęła Flo.

- Sprawdziliśmy - powiedziała sierżant Kim.

- Twierdzi, że nie wie, gdzie jest syn. Prosiła, żebyśmy dali jej znać, jeśli go znajdziemy. Duggans jest jej podobno winien jakieś pieniądze. Pożyczyła mu niedawno trzysta dolarów.

- Boże - szepnęła Cara. - Musiał zaplanować wcześniej, że porwie Lovie.

- Tego nie wiemy.

- Bierzemy pod uwagę taką możliwość - odezwała się sierżant Kim. - Większość porwań dzieci to porwania dokonane przez któreś z rodziców.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach, Flo poszła otworzyć i po chwili w sypialni pojawił się Ethan. Omiótł pokój szybkim spojrzeniem i skinął głową na powitanie.

- Jestem Ethan Legard - przedstawił się sierżant Kim.

- Pracuję z Toy Sooner w Akwarium. Jak mogę pomóc?

- Dzięki, że przyjechałeś - odezwał się Brett. - Próbujemy dojść, co się właściwie stało. Nie możemy skontaktować się z Toy, w jej hotelu nikt nie odpowiada.

- To właściwie mały rodzinny pensjonat. Nie musi mieć wszystkich udogodnień, jakie mają zachodnie hotele, ani takiego serwisu.

- Masz jakiś pomysł, jak moglibyśmy się z nią porozumieć?

Ethan podał sierżant Kim dużą szarą kopertę.

- To wszystkie materiały, jakie udało mi się zebrać na temat sympozjum, na które pojechała Toy. Też zamierzałem wziąć w nim udział, ale ostatecznie zrezygnowałem. Znajdzie tu pani wszystkie dane kontaktowe.

- Dziękuję. - Sierżant Kim schowała kopertę do służbowej torby.

- Dzwoniliśmy też do hotelu, w którym odbywa się sympozjum - podjął Brett. - Zostawiliśmy chyba z dziesięć wiadomości dla organizatorów, ale nikt dotąd nie oddzwonił.

Ethan zerknął na zegarek.

- Późno już. Dzisiejsze obrady dawno musiały się skończyć. - Tu westchnął. - Jutro niedziela. Nikogo nie złapiemy w biurze organizacyjnym.

- Może powinniśmy zadzwonić na policję w Playa Grande albo w Tamaryndo i poprosić, żeby odszukali Toy? - zaproponowała Flo.

Ethan pokręcił głową.

- Tamtejsza policja ma za mało ludzi, ledwie sobie radzą. Nie będą w stanie zająć się naszą sprawą od ręki. Znam Kostarykę. Ja polecę po Toy.

- Nie, ja polecę - wyrwał się Brett.

- Drogi są okropne, a w porze deszczowej praktycznie nieprzejezdne nocą, zwłaszcza dla kogoś, kto nie ma w tej materii doświadczenia. Lepiej, jeśli ja polecę.

- To mój obowiązek.

Dwaj chętni do działania panowie mierzyli się przez chwilę wzrokiem jak stający do walki współzawodnicy.

- Ja też znam Lovie - poinformował Brett Ethana bardzo uprzejmym tonem. - Oraz Toy.

Brett pokiwał głową.

- Złapię pierwszy samolot do San Jose. - I Ethan wybiegł z pokoju.

Następnego ranka Darryl siedział na materacu i wpatrywał się tępo w telefon. Miał potwornego kaca i mózg chwilowo, ale zdecydowanie odmawiał mu posłuszeństwa. Nie pamiętał nawet, ile wypił poprzedniego wieczoru.

Występ w małym barze w górach skończył się całkowitą kląpą. Stali bywalcy popijający piwo przy stolikach nie chcieli go słuchać, przerywali każdą piosenkę gwizdami i tupaniem. Pianista wołał

tradycyjne country niż country rocka i tak też grał, a naćpany perkusista nie odróżniał jednego od drugiego.

Darryl skasował trzysta dolarów za wieczór. Minus to, co musiał zapłacić za drinki, oczywiście. Sięgnął po leżące na stole rachunki, przejrzał je i zaklął pod nosem. Za trzysta papierów nie warto było ruszać tyłka i wlec się do Karoliny Północnej.

- Tatusiu, mogę pooglądać kreskówki? - Darryl podniósł głowę. Mała Lovie stała obok telewizora, ciągle w swojej wczorajszej sukience, teraz wymiętej i poplamionej keczupem z hamburgera, którego zażyczyła sobie na kolację. Boso, z potarganymi włosami wyglądała jak dziecko ulicy. Trzymała pilota w obydwu dłoniach i naciskała wszystkie guziki, ale stary telewizor nie reagował.

Cholera, zupełnie o niej zapomniał. Po jakiego ciągnął ją ze sobą do tego żalostnego baru? Toy zawsze mu powtarzała, że nie zastanawia się nad tym, co robi, i miała rację. Czasami nikt inny, tylko on sam był swoim największym wrogiem. Miał zamiar zaraz po występie jechać do Nashville. Teraz będzie musiał odwiedzić małą do Charlestonu, zanim ruszy w dalszą drogę.

Skrzywił się na myśl o Carze Jak Jej Tam i o pouczeniach, których będzie musiał wysłuchać. No nie. To ona nie stawiała się na spotkanie, nie odebrała Lovie w umówionym miejscu i o ustalonym czasie. Ciekawe, gdzie się podziewała? Czekał na nią, prażąc się na słońcu, ponad godzinę. Telefon komórkowy mu wyłączyli, musiał biegać po sklepach, usiłując rozmienić pieniądze, potem długo szukał automatu telefonicznego.

Kiedy się w końcu dodzwonił pod numer, który mu dała, nikt nie odpowiadał. Wybrał po kolei wszystkie numery z listy. Z tym samym skutkiem. I to po wykładzie paniusi, jak to ma dzwonić i meldować, gdyby coś się stało. Niech teraz ona sobie poczeka na niego, tak dla odmiany. No i zabrał córkę do Karoliny Północnej.

Zamierzał odwieźć ją zaraz po koncercie, ale biedna mała zasnęła na ławeczce w barze, a on nie miał siły tłuc się cztery godziny nocą do Charlestonu. Postanowił przenocować w tanim motelu niedaleko baru.

Spojrzał na zegarek; dochodziła dziewiąta. Lovie włączyła w końcu telewizor, znalazła kanał ze swoimi ukochanymi kreskówkami i zapomniała o bożym świecie. Zerknął na nią, po czym rozpostarł kartkę, którą dała mu Cara, przysunął sobie telefon i wystukał numer.

Odebrał mężczyzna.

- Z kim mówię? - zapytał Darryl, zamiast się przedstawić.

- Brett Beauchamps przy telefonie. A pan? - Pauza. - To Darryl?

- Tak.

- Gdzie jest Lovie? - wrzasnął Brett. - Dokąd ją wywiozłeś, do cholery?

Darryl chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wtrącić słowa.

- Myślisz, że ci to ujdzie na sucho? Policja już cię szuka, więc lepiej natychmiast oddaj dziecko.

- O czym ty, kurwa, mówisz, człowieku?

- Urowadzenie dziecka to przestępstwo federalne. Nie masz przyznanej opieki, nie masz nawet prawa do wizyt.

- Ja nie...

- Wiemy już, że w Kalifornii wystawili na ciebie nakaz aresztowania. Jesteś umoczony, kolego. Lepiej przywieź Lovie. Natychmiast. A jak nie, to znajdę cię i... Słyszysz? Czy ty....?

Darryl odłożył bez słowa słuchawkę. Zrobiło mu się niedobrze, miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Co się, do cholery jasnej, dzieje? Czy cały świat zwariował? Zabrał dziecko na jedną noc. Swoje dziecko. Co ten palant wyrzaskiwał o uprowadzeniu? Wiedzą już o nakazie wystawionym w Kalifornii. Do diabła, skąd miał wiedzieć, że laska jest niepełnoletnia?

Położył się na cuchnącym wilgocią materacu i zacisnął dłonie. Teraz nie może już wracać do Charlestonu. Tamci są przekonani, że porwał własną córkę. Nie będą słuchali żadnych wyjaśnień. W dodatku wisi mu nad głową ten nakaz z Kalifornii. Skują go, jak tylko się pojawi. Niezły syf. Uderzył pięścią w materac. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Cholera, cholera, cholera...

Co ma teraz począć z Lovie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Nie spinaj się tak, Toy - powiedziała Martina, kiedy wysiedli z samochodu. Martina, jedna z uczestniczek sympozjum, pełna życia Brazylijka, już kołysała biodrami w takt muzyki dochodzącej z „Kiki's”, typowej latynoskiej tancbudy na świeżym powietrzu, która ulokowała się wygodnie na skrzyżowaniu dróg.

Rafael obszedł samochód i ujął Toy pod łokieć.

- Gotowa na tańce? - zapytał. Oczy już mu się śmiały na myśl o czekającym ich wieczorze.

- Nie znam latynoskiej muzyki - odparła z wahaniem. - Spodziewałam się... no wiesz, rocka.

- Słuchamy różnej muzyki, ale kiedy tańczymy, to musi być salsa, jive albo lambada. Zresztą wszystko jedno co, byle latynoskie. Co to jest? - Spojrzał niechętnym wzrokiem na szal, którym Toy szczelnie się owinęła.

Kiedy przed wyjazdem do „Kiki's” Martina zobaczyła Toy w szortach i T-shircie, załamała ręce i zaciągnęła biedaczkę do swojego pokoju, gdzie zamieniła Toy w wampa czy też raczej kocicę, jak to sama określiła. Teraz Toy nerwowo osłaniała skąpą czarną sukienkę szalem.

Rafael pociągnął za jego kraj, szal się zsunął, a on otworzył szeroko oczy.

- Ja... Martina... - bąkała Toy.

- Que bonita - zawołał z uznaniem i uśmiechnął się. - Dzisiaj wyglądasz nieziemsko.

Toy zaśmiała się i nie próbowała już osłaniać się szalem. Była w tropikach, daleko od domu, nikt jej tu nie znał. Pomyślała, że to dobrze być czasami kimś anonimowym. Anonimowość daje człowiekowi wolność, a ona chciała być teraz wolna, chciała poczuć to samo, co czuła dzisiaj na desce.

Kiedy weszli pod trzciniowy dach restauracji, przywitały ich gromkie okrzyki od długiego stołu w rogu. Uczestnicy sympozjum bawili się w najlepsze, opijając pierwsze gniazdo żółwia skórzastego w tym sezonie. Dla kilku osób, które wyjeżdżały następnego dnia, był to pożegnalny wieczór.

Randall Arauz, jeden z najwybitniejszych biologów morskich, przyjaciel Ethana, podszedł do Rafaela i klepnął go serdecznie w plecy. Rodowity Kostarykanin, miał w sobie tę witalność i otwartość, która Toy zaczynała się coraz bardziej podobać. Nieważne, że był znany i ceniony na całym świecie, tu w „Kiki's” wszyscy byli sobie równi.

- Słyszałem, że wczoraj pojawiła się pierwsza żółwica skórzasta. Wspaniale. Może to dobry omen? Musimy to uczcić czymś specjalnym. - Kiedy zajęli wolne miejsca przy wspólnym stole, Randall przywołał kelnerkę. Dziewczyna wróciła po chwili z butelką i jednym kieliszkiem, który napełniała dla każdego z biesiadników po kolei.

- Co to jest? - zapytała Toy Rafaela.

- Wódka z cukru trzcinowego. Zasmakuje ci.

Toy skrzywiła się. Każdy spełniał toast i przekazywał kieliszek sąsiadce czy sąsiadowi. Trunek trzeba było wychylić jednym haustem, kto tego nie zrobił, był wyśmiewany. Kiedy kieliszek pojawił się przed Toy, Rafael mrugnął do niej zachęcająco.

Przechyliła odważnie kieliszek. Poczowała lekkie pieczenie w przełyku, ale alkohol był rzeczywiście smaczny, słodki i aksamitny.

Przy sąsiednim stole rozgościła się ekipa z „National Geographic”. Chłopcy przyjechali do Tamaryndo, żeby nakręcić film dokumentalny o żółwiach skórzastych, a teraz pajacowali, przeprowadzając z gośćmi „Kiki's” wywiady na niby i rozśmieszając wszystkich do łez. Kapela grała muzykę latynoską. Toy zaczęła się kołysać, zachwycona dźwiękami marimby, która wyglądała jak ksylofon, a brzmiała jak blaszany bębenek. Właściciel tancbudy, Kiki, który wyglądał jak kostarykański Lionel Richie, śpiewał ludowe piosenki, przygrywając sobie na marakasach. Goście wykrzykiwali kolejne tytuły i śpiewali razem z Kikim. Jedni znali całe teksty, od pierwszej do ostatniej zwrotki, inni improwizowali, gdy pamięć zawodziła.

Zabawa trwała w najlepsze, więcej pito niż jedzono, pojawiali się kolejni muzycy, wzbogacając brzmienia swoimi instrumentami. Dołączyła gitara, gitara basowa, saksofon, akordeon, timbales, rozkołysana dotąd muzyka stała się żywsza, ostrzejsza, dało się w niej słyszeć rytmy hiszpańskie, ale też afrykańskie, przywiezione przed dwustu, trzystu laty do Indii Zachodnich przez czarnych niewolników.

Coraz więcej gości „Kiki's” przyłączało się do tańczących. Toy i Rafael też wyszli na parkiet.

Początkowo poruszała się sztywno, pełna lęku, że popełni jakiś błąd.

- Przypomnij sobie fale - powiedział Rafael, kładąc dłonie na jej biodrach. - Zanurz się w muzyce, pozwól, żeby cię opływała.

I Toy zaczęła się powoli rozluźniać. Karaibskie rytmy działały na nią zniewalająco, wprawiały w ruch ciało, które samo, niejako poza jej wolą reagowało na muzykę, a ta przenikała do krwiobiegu, pulsowała w żyłach. Toy śmiała się, zagarniała włosy do góry, kołysała biodrami. Czowała się seksowna, czowała się wolna - żyła. Na parkiecie zrobiło się ciasno, wszyscy goście chyba tańczyli, stoły opustoszały.

W pewnym momencie kątem oka dojrzała kogoś stojącego przy wejściu, z boku. Powoli opuściła ramiona. Nie wierzyła w to, co widziały oczy. Odgarnęła opadające na twarz włosy i pomachała dłonią.

- Ethan! - zawołała.

Ethan odwrócił gwałtownie głowę.

- Tutaj, Ethan!

Dostrzegł ją i zaczął się przeciskać przez tłum. Kiedy zobaczyła jego napięte rysy, uśmiech znikł z jej twarzy, przysła radość, która przepelniała ją jeszcze przed chwilą. Ruszyła w jego stronę. Nie miała pojęcia, dlaczego przyleciał do Kostaryki, ale kiedy poczuła jego dłoń na ramieniu, ogarnęła ją panika.

- Toy...
- Co się stało? - krzyknęła.
- Wracamy do domu.
- Co się stało? - powtórzyła.
- Mam już bilet dla ciebie.

Wpatrywała się w twarz Ethana, szukając odpowiedzi i nagle zrozumiała, w jednym przerażającym przebłysku.

- Boże, Lovie? - zawołała rozzwierającym głosem.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Toy wpadła do domu jak oszalała. Wykrzykiwała imię córki, biegając z pokoju do pokoju, jakby jeszcze się łudziła, że ją znajdzie. Nie płakała w drodze, ale też nie jadła i nie spała przez ostatnich dwadzieścia jeden godzin, bo tyle, z przesiadkami, czekaniem na połączenia, zabrała im podróż z Tamaryndo na Isle of Palms.

Obiegła cały dom i wróciła do bawialni, gdzie czekał Ethan.

- Gdzie ona jest? - zapytała z rozpaczą w oczach. - Gdzie moja Lovie?

Głos się jej załamał, zachwiała się. Ethan zdążył chwycić ją w ramiona, zanim osunęła się na podłogę.

Cara siedziała przy oknie i patrzyła w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Za jej plecami Brett rozmawiał przez telefon z Ethanem. Wypowiadał zdania cicho, mechanicznie, wszystkie jednym tonem. Cara zawsze myślała, że w sytuacjach krytycznych to ona jest tą silną, która potrafi zachować spokój i trzeźwość umysłu. Kiedyś tak było, ale to minęło, skończyło się. Czuła wstręt do samej siebie, niepotrzebny wstręt, który nikomu nie mógł przynieść pożytku. Ani Toy, ani Lovie, ani jej mężowi. Brett odłożył słuchawkę i westchnął ciężko.

- Jak ona się czuje?

- Wrócili właśnie z posterunku policji. Ethan ma nadzieję, że Toy wreszcie uda się zasnąć. Zostanie u niej na noc.

- To dobrze. Nie powinna być teraz sama.

- Jutro rano znowu jadą na policję. Może ona powie im coś, co nam umknęło.

- Powinam się z nią zobaczyć.

- Ale nie dzisiaj. Jest kompletnie wyczerpana.

- Ona nie chce mnie widzieć, tak?

- W tej chwili nie chce widzieć nikogo. Musi odpocząć. Jutro się z tobą spotka.

- Nie sędzę. Obwinia mnie i wcale się jej nie dziwię. Na jej miejscu reagowałabym chyba podobnie.

Brett stanął koło fotela Cary i położył jej dłoń na ramieniu.

- Toy nikogo nie obwinia. Martwi się tylko, co z Lovie.

- Na pewno mnie obwinia! Straciła przeze mnie dziecko. Jak mogłam? Ty też straciłeś przeze mnie dziecko.

Kiedy Brett przy niej ukląkł, zaczęła okładać go pięściami.

Bębniła zaciśniętymi dłońmi w jego pierś i powtarzała:

- Dzieci... dzieci... giną przeze mnie.

Jakoś udało mu się ją objąć. Otaczał Carę ramionami i czekał, aż wybuch minie.

- To znak - powiedziała po chwili zmęczonym, łamiącym się głosem. - Nie jestem stworzona na matkę. Może tak jest lepiej.

- Nie wolno ci tak mówić, kochanie.

Brett miał rację, ale to nie łagodziło cierpienia. Pocałowała jego dłoń.

- Wybacz mi - szepnęła.

Rano to Ethan przygotował śniadanie. W kuchni poruszał się z tą samą efektywnością i dbałością o każdy detal, które Toy podziwiała u niego w Akwarium.

Kiedy postawił przed nią ładnie przybrany talerz z pachnącym omletem, poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka.

- Skąd jedzenie? - zapytała drewnianym głosem.

- Flo i Emmi zajrzały tu wczoraj wieczorem i przyniosły podstawowe wiktuały. Była też Cara. Spałaś, nie chcieliśmy cię budzić.

- Cara była? - Uchwyciła się tej informacji. - Przywiozła jakieś wiadomości?

- Nie, nic.

Iskierka nadziei zabłysła na moment i zgasła.

- Przepraszam, nie mogę jeść. Może później. - Odsunęła talerz. - Robi mi się mdło na widok jedzenia. - Sięgnęła po szklankę i napiła się wody. Woda była jej potrzebna. Woda była dobra. - Mam zadzwonić na policję?

Ethan pokręcił głową.

- Powiedzieli, że sami do ciebie zadzwonią.

Toy wstała, zaczęła chodzić po kuchni. W pewnym momencie zatrzymała się.

- Muszę się zobaczyć z moją matką – oznajmiła niespodziewanie dla samej siebie. Znalazła kluczyki i wybiegła. Ethan dogonił ją przy drzwiach.

- Zaczekaj, pojedę z tobą.

Chciał jej pomóc, cały czas jej pomagał, dostrzegała to i doceniała. Pomyślała, że czułaby się znacznie lepiej, mając go także teraz przy sobie, ale pokręciła stanowczo głową.

- To jest coś, co muszę załatwić sama. A ty... - zawiesiła głos. - Ty lepiej wracaj do swojego domu.

- Znowu chcesz się mnie pozbyć.

- Tak.

Skreśliła w wąską uliczkę, przy której stały ciasno stłoczone zaniedbane domy. Wyleniałe splechotki ziemi udające trawniki, koślawe płoty, dziury w asfalcie, atmosfera beznadziei i apatii. Uliczkę zamykał parking dla przyczep. Na takich parkingach, w mieszkalnych przyczepach, na marginesie społeczeństwa, mieszkali ci, których nazywano białymi śmieciami.

Toy wysiadła z samochodu i podeszła do przyczepy należącej do matki. Zapukała do drzwi. Usłyszała ciężkie kroki i po chwili w progu stanęła tęga kobieta w kwiecistym szlafroku.

- Każdego bym się spodziewała, ale nie ciebie - powiedziała bez cienia uśmiechu.

- Jak się masz, mamó?

- Czego chcesz?

- Chciałam z tobą porozmawiać. - Zerknęła ponad ramieniem matki. - Jesteś sama?

- Nie ma go - padła lakoniczna odpowiedź. - Wchodź. Toy odetchnęła z ulgą. Jeśli nadal pracował w odlewni, jak dawniej, musiał być w pracy o szóstej. Weszła i rozejrzała się po wnętrzu.

Niewiele się tu zmieniło przez te wszystkie lata. Te same nędzne, tak samo jak dawniej ustawione meble. Deska do prasowania, obok torby z praniem, co oznaczało, że matka ciągle zarabia prasowaniem.

- Widziałam cię w telewizji - powiedziała. Nie poprosiła Toy, żeby usiadła, nie zaproponowała jej szklanki wody. - Pracujesz, znaczy, w Akwarium? - Toy kiwnęła głową. - I studia niby jakieś kończyłaś?

- W zeszłym roku zrobiłam dyplom.

Na twarzy matki odmalowało się zaskoczenie i cień niepewności.

- Pierwsza w rodzinie, co uniwersytety kończyła. I na co to komu? Pewnie myślisz, żeś tera wielkie Bóg wi co.

Ta kobieta ciągle potrafiła zadawać jej ból. Toy nachyliła się i wyjęła z plecaczka zdjęcie Lovie.

- Widziałas może ostatnio Darryla, mammo?

- Darryla? - powtórzyła zaskoczona matka. - Skąd. Po co miałby się tu pokazywać?

- Wrócił niedawno z Kalifornii. Pojawił się u mnie, chciał poznać Lovie. - Toy wyciągnęła dłoń ze zdjęciem. - To ona. Moja córka i twoja wnuczka. Ma na imię Olivia, ale wszyscy mówią na nią Lovie.

Matka wzięła zdjęcie, przez chwilę uważnie mu się przyglądała. Toy spodziewała się wyrzutów, pretensji, że nigdy nie pokazała jej Lovie, tymczasem twarz matki złagodniała.

- Wykapana ty, jakieś miała te lata - stwierdziła miękko. - Ładna.
Musisz przywieźć ją tu kiedy.

- Mamo, Darryl ją zabrał.

- Jak to zabrał? - nie mogła zrozumieć matka.

- Wyjechałam na tydzień. Lovie została u mojej przyjaciółki.

Przyjechał po nią w sobotę, tak byliśmy umówieni. Miał ją zabrać do muzeum. I już jej nie odwiózł. Nie wiemy, gdzie teraz są. Miałam nadzieję, że może ty go widziałaś albo coś słyszałaś.

- Nie. Nie widziałam ani jego, ani jej. On by się tu nie pokazał, wie dobrze, co o nim myślę. - Wyraz twarzy matki znowu się zmienił.

- I po co było zostawiać dzieciaka po jakichś przyjaciółkach? Co to ona nie ma rodziny? Tutaj trzeba było ją przywieźć.

- Z nim nigdy bym nie zostawiła mojej córki - powiedziała Toy z mocą.

Matka skrzywiła się z niesmakiem.

- Znowu zaczynasz? Roy przysiągł na Biblię, że nigdy cię nie dotknął tam, gdzie nie trzeba. Musiałaś coś sobie ubzdurać. Zmyślałaś. Twój ojciec to bogobojny człowiek. Nie skrzywdziłby ciebie ani twojego dziecka.

- Roy nie jest moim ojcem.

- Roy jest jedynym ojcem, jakiego masz. A ja jestem twoją matką. U mnie mała powinna zostać, a nie błąkać się po obcych. Ja bym wiedziała, jak się nią opiekować. Nie byłoby teraz tego nieszczęścia.

- Zaopiekowałbyś się nią, jak opiekowałaś się mną?

- Tylko tak do mnie nie mów-rozzłościła się matka.

- Ja cię tu nie prosiłam. Przychodzisz, bo znowu jesteś w kłopotach. - Machnęła ręką, wypraszając Toy. - Wynoś się. Nic się nie zmieniłaś. Zawsze taka sama. Zawsze przynosisz kłopoty. Powinnaś na drugie mieć Kłopot.

Toy wyszła bez słowa. Odwróciła się jeszcze i spojrzała na stojącą w progu matkę, z twarzą wykrzywioną grymasem złości. Wiedziała, że widzi ją po raz ostatni.

- To twoja wina, że zabrał dziecko! Tylko twoja, ty cholero! - poniósł się za nią pełen nienawiści wrzask.

Toy chciała jak najszybciej znaleźć się znowu na Isle of Palms, gdzie czuła się bezpieczna, ale musiała zatrzymać się po drodze w jeszcze jednym miejscu. Może tutaj czegoś się dowie. Domek był niewiele większy niż przyczepa matki, ale znajdował się w ładniejszej okolicy: przystrzyżone trawniki, kwiaty, porządne chodniki, dużo drzew...

Stała przed świeżo odmalowanymi drzwiami z wypucowanymi szybami i nacisnęła gong. Właścicielka schludnego domeczku była w wieku jej matki. Darryl odziedziczył po niej drobną budowę kości i sprężystość.

- Dzień dobry, pani Duggans. To ja, Toy. Pamięta mnie pani?

- Toy Sooner? Oczywiście, że pamiętam.

- Nie chciałabym przeszkadzać, ale potrzebuję pani pomocy.

Pani Duggans wahała się. Toy czuła, że musi być zdenerwowana.

- Zajmę tylko chwilę.

- Dobrze, wejdź, ale naprawdę tylko na chwilę. - Wprowadziła Toy do bawialni i wskazała zapraszającym gestem fotel. - Usiądź, proszę.

Toy usiadła i nie bawiąc się w towarzyskie wstępy, zapytała wprost.

- Kiedy Darryl odzywał się do pani?

Pani Duggans usiadła naprzeciwko Toy i wygładziła zielone szorty.

- Przyjechał do Charlestonu dwa miesiące temu, wiesz przecież, bo częściej odwiedza ciebie niż mnie.

Tutaj pokazuje się tylko wtedy, kiedy chce coś zjeść albo pożyczyć pieniądze. Pewne nawyki nigdy się nie zmieniają. Jestem jego matką i chętnie mu pomagam, jeśli mogę. Kiedy odwiedził mnie ostatnim razem, cały czas opowiadał o tobie i twojej córeczce. Mała Lovie, prawda?

- Tak, proszę pani, tak do niej mówimy, naprawdę ma na imię Olivia.

- Ładne imię.

Toy wyjęła zdjęcie Lovie i podała pani Duggans.

- Śliczne dziecko. Podobna bardzo do Darryla, nie sądzisz?

Toy uniosła brwi. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Lovie może być podobna do swojego ojca, ale nie podzieliła się tą refleksją z panią Duggans.

- Jak on ją kocha - zakomunikowała pani Duggans.

- Dlatego tu jestem. Darryl nie odwiózł Lovie po ich ostatnim spotkaniu. Minęły trzy dni...

Pani Duggans powoli opuściła dłoń z fotografią na kolano.

- Nie telefonował do ciebie? Toy pokręciła głową.

- Wyjechałam na tydzień. Telefonował do Cary. Brett z nim rozmawiał, ale Darryl nic mu nie powiedział, ani gdzie jest, ani dlaczego zabrał Lovie. Po prostu odłożył słuchawkę. Może odzywał się do pani? Wie pani, gdzie teraz jest?

- Nie wiem - odpowiedziała pani Duggans lodowatym tonem i oddała Toy zdjęcie. - Dlaczego miałyby się odzywać?

- Nie wiem. Chwytam się każdej szansy. Policja go szuka, ale oni też nie mają żadnych punktów zaczepienia.

- Policja? - W głosie pani Duggans zabrzmiało przerażenie. - Zawiadomiłaś policję?

- Tak. Zgłosiliśmy zaginięcie, a oni mówią o kidnappingu.

- Toy, coś ty najlepszego zrobiła? - Pani Duggans poderwała się z fotela, załamując ręce. - Mój syn nie porwał waszego dziecka! Nikt nie przyszedł na umówione miejsce, żeby odebrać Lovie, a on przecież miał wieczorem występ, musiał jechać do pracy. To wszystko.

Teraz i Toy się poderwała.

- A więc pani z nim rozmawiała! Gdzie on jest? Pani Duggans pokręciła głową.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Musi pani. Proszę. Gdzie jest moja córeczka? Niech mi pani powie. Albo niech pani powie to policji.

- Nie, nie mieszaj w to policji. Niepotrzebnie ich zawiadamiałaś.

- Pani Duggans objęła ramiona dłońmi i odwróciła wzrok. - Mówił, że musiał jechać na koncert. Nie pamiętam, jak się to miasteczko nazywa. Gdzieś w Karolinie Północnej.

- Przekroczył granicę stanu?

- Miał występ. Jechał do pracy. Nie wiedział, co zrobić z Lovie i zabrał ją ze sobą. To nie było porwanie.

- Dlaczego w takim razie potem jej nie odwiózł?

- Nie wiem. Ten chłopak nigdy nie miał za dużo oleju w głowie.

- Oby jak najszybciej nabrał nieco rozumu - sarknęła Toy i odwróciła się na pięcie.

- Toy, proszę, daj mu jeden dzień. Tylko jeden dzień. Jeśli zadzwoni do mnie, każę mu natychmiast zadzwonić również do ciebie. Mój syn jest może impulsywny, ale nie jest kryminalistą. Zaufaj mu. Toy pokręciła głową.

- Nigdy już mu nie zaufam.

Toy prosto od pani Duggans pojechała na posterunek policji na Isle of Palms, gdzie spędziła trzy długie godziny. Panowie funkcjonariusze wysłuchali jej informacji, po czym poprosili uprzejmie, by poczekała łaskawie w holu, oni tymczasem zajmą się sprawdzaniem, gdzie w Karolinie Północnej Duggans mógł mieć występ. Miła pani obsługująca centralkę telefoniczną przyniosła Toy kubek kawy i oznajmiła z niezachwianą ufnością:

- Teraz na pewno już znajdą pani córeczkę. Ja to czuję.

Czas włókł się niemiłosiernie, Toy zeszywniała od długiego siedzenia na niewygodnym krześle. Kiedy w pewnym momencie drzwi wejściowe się otworzyły, była pewna, że zobaczy Lovie prowadzoną przez dobrego policjanta i miłą panią z centralki, ale do holu weszła Flo.

- Zabieram cię do domu.

- Nigdzie nie pojedę. Muszę tu czekać. Oni na pewno ją znajdą.

- Wiedzą, gdzie mieszkasz, znają twój numer telefonu. Nie pomożesz Lovie, wysiadując tutaj. Poza tym oni zaraz kończą pracę, skarbie. Zostanie tylko dyżurny, reszta też chce trochę pomieszkać. Wstawaj i jedziemy do domu.

I Toy posłusznie wstała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Toy krążyła niespokojnie po domu. Czekwała na jakąkolwiek wiadomość, ale telefon milczał. Nie wyobrażała sobie, jak znieś kolejną noc bez Lovie. W uszach ciągle rozbrzmiewały jej słowa matki: „Twoja wina, twoja wina”. Wspomnienia z domu rodzinnego, które tak długo udawało się jej tłumić, wypierać ze świadomości, wracały teraz z zwielokrotnioną siłą. Była wobec nich bezbronna. Miała znowu trzynaście lat, znowu mieszkała w przyczepie. Matka stała przy desce do prasowania. Na metalowym wieszaku, takim jak w magazynach albo tanich sklepach, wisiało kilkanaście męskich koszul.

- Mamo, jestem głodna.

- To se co zrób.

- Ale nic nie ma. - Toy zdążyła już zajrzeć do lodówki, w której znalazła pojemnik z mieloną kawą, kilka obitych jabłek i piwo.

- A idź do McDonalda.

- Nie mam pieniędzy.

Matka oderwała wzrok od ekranu telewizora. Zawsze kiedy prasowała, oglądała telewizję.

- Znaczy, pech. Wynoś się stąd i nie marudź. Nudzisz mnie.

Toy czuła się tak znękana, tak nieszczęśliwa, że zapomniała o ostrożności.

- Jestem głodna! - krzyknęła na całe gardło. - A ty jesteś moją matką. Powinnaś mnie karmić. Cały dzień nic nie jadłam.

Zobaczyła, jak twarz matki wykrzywia grymas wściekłości i poczuła piekący ból. Matka zwykle biła ją gołą ręką, tym razem jednak rzuciła się na nią z gorącym żelazkiem. Toy z histerycznym krzykiem przebiegła przez pokój i upadła w kącie. Tego dnia przestała wierzyć, że matka ją kocha. Coraz częściej nocowała u przyjaciółek, wracała do przyczepy, kiedy chciała. Matce było obojętne, co się z nią dzieje, więc Toy pojawiała się w domu coraz rzadziej. Uciekała od matki i od Roya, który próbował obmacywać ją po kątach. Po pierwszym takim incydencie powiedziała o wszystkim matce, wtedy miała jeszcze do niej naiwne, szczenięce zaufanie. Wybuchła straszna awantura, Roy zniknął, ale po kilku tygodniach wrócił jak gdyby nigdy nic. Oboje, on i matka, powiedzieli wtedy Toy, że łyże jak pies i jeśli dalej będzie opowiadać takie plugastwa, zostanie wykopana z domu.

Mając szesnaście lat, poznała Darryla. Był od niej o kilka lat starszy, miał własne mieszkanie... Zaopiekował się nią, kupował jej różne dobre rzeczy do jedzenia, ubrania, nawet płyty. Nigdy nie pozwolił nikomu powiedzieć o niej złego słowa. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, przeprowadziła się do niego. Sielanka szybko się skończyła, Darryl raz, drugi podniósł na nią rękę. Za którymś razem, bojąc się o dziecko, które nosiła, uciekła do matki. Do tej pory ogarniał ją wstyd, że postanowiła szukać wsparcia u ostatniej osoby, u której powinna go szukać. Matka obrzuciła ją stekiem obelg i kazała zabierać się do diabła.

Nie wróciła już do Darryla. Los postawił na jej ścieżce inną matkę. Miss Lovie ją uratowała. Odmieniła jej życie bez uciekania się do wielkich słów i wzniosłych gestów, tylko przez zwykłą wytrwałość. Uczyła ją prostych rzeczy: jak utrzymać porządek we własnym pokoju, jak przygotować posiłek, przyszyć guzik. Poświęcała Toy wiele uwagi i w ten sposób nauczyła ją rzeczy najważniejszej - otwarcia na potrzeby innych. To dzięki niej Toy skończyła studia, dostała ciekawą pracę i, co najważniejsze, potrafiła być dobrą matką dla małej Lovie.

Właśnie, pomyślała, budząc się ze wspomnień. Jaką naprawdę jest matką?

Jak ważne są cechy genetyczne? Czy matka może się nauczyć czułości i troskliwości, czy musi je odziedziczyć po przodkiniach? Toy wyrzucała sobie własną lekkomyślność. Tysiące kilometrów od domu surfowała na kostarykańskiej plaży i tańczyła salsę, pozwalając, by Darryl porwał dziecko. Powinna być na miejscu. Powinna być uważna. Czy dobra matka popełnia takie błędy?

Toy wzięła prysznic, włożyła piżamę, ciepły szlafrok, a potem po raz setny sprawdziła, czy nie ma żadnych wiadomości na automatycznej sekretarce. Znienawidzony nosowy głos odpowiedział, jak odpowiadał za każdym razem: „Nie masz żadnych wiadomości”. Toy westchnęła.

Przybita, zawiedziona wiedziała, że nie uśnie. Żeby wypełnić jakoś czas, zająć czymś myśli, sięgnęła po zdjęcia, które robiła przez całe lato. Otworzyła duże, szare pudło i zaczęła je układać w porządku

chronologicznym: maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień. Zdjęcia ludzi i zdjęcia przyplływających na wyspę żółwie. Dłonie pracowały szybko, tworząc niezwykłą wizualną sagę, opowieść o cudownym lecie na Isle of Palms. Opowieść o karretach, o powinności, o przyjaźni, o matce i córce.

Zdjęcia jako świadectwa. Patrzyła na nie i widziała, że była przy Lovie, kiedy córka budowała swoje zamki z piasku, kiedy zbierała muszelki, kiedy siedziała na wydmie, chłonąc potęgę oceanu, kiedy była chora i kiedy zaczynała szkołę. Przyszywała poobrywane guziki, przygotowywała dla niej kostiumy na Halloween, prała jej ubrania, czytała na dobranoc, przygotowywała dla niej posiłki, całowała każdego wieczoru przed zaśnięciem.

- Byłam zawsze przy niej... - powiedziała na głos.

Okazywała cierpliwość i wytrwałość. Wolno jej było popełnić błąd. Każda matka popełnia błędy, nawet najlepsza. Miss Lovie popełniała błędy, a przecież była dobrą matką dla Cary.

Ona sama też nie nazwałaby się chodzącym ideałem, ale zdjęcia przyniosły odpowiedź na zrodzone z udręki pytania.

Tak, jest dobrą matką.

Późną nocą odezwał się dzwonek przy drzwiach. Toy szarpnęła się na jego dźwięk, przestraszona. Upuściła trzymaną w dłoni fotografię i poszła sprawdzić, kto o tej porze zakłóca jej spokój.

Na ganku stał Ethan w płaszczu przeciwdeszczowym, z lśniącymi od deszczu włosami. Nie czekając na zaproszenie, minął Toy i wszedł do bawialni.

- Nie wyjdę stąd - oznajmił, stając na środku pokoju. - Wiem, co musisz teraz czuć. Myślisz, że nie potrzebujesz nikogo, ale jesteś w błędzie. Właśnie w takich chwilach ludzie są nam najbardziej potrzebni. Ludzie, którym na nas zależy. Którzy nas kochają - zamilkł na moment. - Kocham cię, Toy. Zostanę z tobą i pomogę ci przejść przez ten koszmar, a kiedy Lovie wróci, porozmawiamy o przyszłości. Musimy sobie wiele wyjaśnić, tylko nie każ mi się stąd wynosić, bo i tak nie wyjdę - powtórzył.

Toy nigdy nie słyszała, by Ethan przemawiał w taki sposób. Zamknęła powoli drzwi i podeszła do niego. Wpatrywał się w nią, czekał na jej reakcję. Przypomniała sobie tamten dzień, kiedy całą ekipą przywieźli Maleńką do Akwarium. Stał wtedy na platformie Wielkiego Zbiornika, ociekając wodą jak teraz. Usłyszał, że go woła, i odwrócił się w jej stronę.

A teraz był tutaj. Coś kliknęło w mózgu, jakby zakończył się jakiś bardzo złożony proces i każdy element układanki wreszcie trafił na swoje miejsce. Ostrożnie zdjęła z Ethana mokry płaszcz, odgarnęła kosmyki przyklepione do czoła. Spojrzał jej w oczy i napięte mięśnie twarzy rozluźniły się, na ustach pojawił się cień uśmiechu. Jeden zwykły gest przywołał więcej wspomnień niż potok słów.

- Wobec tego nie wychodź - powiedziała po prostu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Policjanci powiedzieli jej, że nie pozostaje nic innego jak czekać, więc Toy czekała.

W sobotę padał deszcz i wiał wiatr. Ci, co przyjechali spędzić weekend na wyspie, narzekali teraz na fatalną pogodę, sącząc drinki w barach, ale Toy przyjęła deszcz z radością. Miała zadanie do wykonania. Ostatniej nocy w jakimś przebłysku postanowiła zrobić dla swojej córki dziennik minionego lata, wykorzystując robione przez siebie zdjęcia. Obudziła się o pierwszym brzasku i zabrała od razu do pracy. Kiedy Ethan wstał kilka godzin później, zastał ją nachyloną nad stołem. Robiła gorączkowe notatki, coś szkicowała i przemawiała na głos do Lovie. Opowiadała córce o cudownym lecie, które spędziły razem: dwie Miłośniczki Żółwi, mała i duża.

Tak minął cały ranek. Ethan siedział na kanapie i czytał. Czasami opuszczał książkę na kolana i przysłuchiwał się Toy, a ona zapisywała swój monolog i nie przestawała mówić, jakby Lovie była przy niej. Dziennik minionego lata nabierał kształtu i dawał jej siłę, łączył z Lovie. Wierzyła mocno, że kiedy napisze ostatnie słowo, wklei ostatnie zdjęcie, Lovie wróci do domu.

Godziny mijały, z policji nie było żadnych wiadomości i Toy zaczęła tracić otuchę. Zamknęła dziennik, położyła dłoń na okładce. Do serca znowu wkradał się niepokój. Ethan zdecydowanym gestem odłożył czytana książkę.

- Jedziemy - oznajmił.

- Dokąd? Na posterunek?

- Nie. - Wstał i wyciągnął do niej dłoń. - Do Akwarium.

Ethan miał rację. To było właściwe miejsce w jej stanie ducha. Stęskniła się za Akwarium. Kiedy weszła do przyziemia, poczuła, że jest w domu. Otworzyła drzwi szpitalika i szła od zbiornika do zbiornika, witając się z żółwiami. Ethan dyskretnie trzymał się z tyłu.

- To prawdziwi nauczyciele - powiedziała, odwracając głowę. - Od nikogo chyba nie nauczyłam się tak dużo, jak od nich. - Podeszła do największego zbiornika w głębi sali. - A ty, Maleńka, jesteś najlepszą nauczycielką z nich wszystkich - zwróciła się do żółwicy.

Toy wspięła się po schodkach i stanęła przy krawędzi zbiornika, żeby móc lepiej widzieć żółwicę.

- Jesteś najlepszą nauczycielką i jesteś piękna. Popatrz, jak nabrałaś ciała. I jak błyszczy twój pancerz. Wiesz, zbliża się powoli zima, ocean traci ciepło. Jeśli mamy cię wypuścić, musimy zrobić to szybko. Jesteś gotowa? - Poklepała Maleńką po karapaksie. Żółwica odpłynęła szybko, gotując się do okrążenia zbiornika. Toy już chciała się skryć, przekonana, że Maleńka chluśnie zaraz wodą, ale ona opłynęła zbiornik, wróciła do Toy i wysunęła łeb na powierzchnię.

Toy patrzyła na nią z czułością. Maleńka była jej pierwszą żółwica, przysparzała mnóstwo problemów, jakby chciała sprawdzić swoją opiekunkę. I nauczyła Toy, że nigdy nie wolno się poddawać.

- Nie wiem, kto kogo tak naprawdę uratował - powiedziała żółwicy. - Nie wiem też, czy będę potrafiła rozstać się z tobą.

Kiedy w drodze powrotnej do domu wjechali na Sullivan Island, odezwał się telefon Toy. Zaczęła szukać go gorączkowo w torebce, by odczytać na wyświetlaczu, że to połączenie zamiejskowe.

- Ethan, zatrzymaj się - zawołała i nacisnęła zielony przycisk. - Tak, słucham. Halo?

Cisza. I głośnie bicie jej serca.

- Cześć, Toy. Była bliska łez.

- Darryl! - Ethan zjechał na parking i wyłączył silnik. - Gdzie jesteś? Jak Lovie?

- Dzwonię z budki. Nie namierzysz mnie. Nie próbuj. Lovie czuje się dobrze. Chcę ci powiedzieć, że nie porwałem naszego dziecka.

- Wiem. Widziałam się wczoraj z twoją matką. Powiedziała mi, że musiałeś jechać na występ i zabrałeś Lovie ze sobą.

- Tak właśnie było. Nikt się nie zjawił, żeby ją odebrać. Smażyłem się na słońcu ponad godzinę, czekałem... Cara nie przyjechała, a ja nie mogłem stracić tego występu. Wierzysz mi?

- Wierzę.

- Ty jedna. Inni nie wierzą. Zawiadomili policję. Po kiego? Odwiózłbym Lovie, gdyby nie zaczęli się pieklić. Załatwili mnie na perłowo. Nie porwałem Lovie. Nie zgwałciłem tej laski w Kalifornii. Nie zamierzam iść do pierdła.

- Wiem, wszystko wiem - przytakiwała Toy. Darryl mówił urywanymi zdaniem, chaotycznie, jak mężczyzna na skraju załamania nerwowego. - Mogę porozmawiać z Lovie?

- Lepiej nie. Cały dzień płakała za tobą. Ledwie ją uspokoiłem. Nie chcę, żeby znowu zaczęła.

- Przywieź ją do domu.

- Myślisz, że nie chciałbym? Nie nadaję się na tatusia. Ona powinna być z tobą. Co mam robić, Toy? - W głosie Darryla brzmiała desperacja. - Nie mogę jej przywieźć, bo zaraz mnie aresztują. Nie będę ryzykował.

- W takim razie ja po nią przyjadę, powiedz tylko dokąd. - Toy modliła się, czekając na odpowiedź.

- Dobrze - zgodził się Darryl. - Tylko żadnych numerów. Jak zobaczę policjanta, choćby to był zwykły krawężnik, zjeżdżam i nigdy więcej nie zobaczysz Lovie. A teraz słuchaj. Jestem w Baileyville, w Karolinie Północnej, przy autostradzie 26, tuż przy granicy stanowej. W samym centrum miasteczka jest taki skwer, rozumiesz? Łatwo znajdziesz. Przy głównej ulicy. Na środku stoi wielka altana. Zostawię tam Lovie punkt ósma. Słyszysz? Dzisiaj wieczór, punkt ósma.

Toy spojrzała na zegarek.

- Jest czwarta, nie wiem, czy zdążę tam dojechać na ósmą. Przeprowadź ją o dziewiątej.

- O dziewiątej będzie już ciemno, nie zostawię jej samej. Dobra, o wpół do dziewiątej. Zaczekam z nią na ciebie, ale tylko pięć minut. Musisz zdążyć, bo potem zostawię ją samą. - Darryl rozłączył się. Toy przez chwilę wpatrywała się w swój aparat, a potem spojrzała na Ethana. - Jedźmy! Mamy cztery godziny, żeby dotrzeć do Karoliny Północnej. Musimy się spieszyć.

Jechali jak na złamanie karku, ale dotarli do Bailey-ville dokładnie za dwie wpół do dziewiątej, kiedy na ulicach zapalały się pierwsze latarnie. Bez trudu odnaleźli wskazany przez Darryla skwer przy głównej ulicy, z altaną na środku.

- Zatrzymaj się tutaj. - Toy wskazała wolne miejsce. - Stąd Darryl cię nie zobaczy. Wróć tak szybko, jak to możliwe.

- Nie puszczę cię samej.

- Ethan, proszę. Rozmawialiśmy o tym w drodze. Znam Darryla. Wścieknie się, jak zobaczy, że kogoś ze sobą przywiozłam, i zrobi jakieś głupstwo. Zostań tutaj i czekaj.

Ethan już nie nalegał, ale w oczach miał udękę. Ustępstwo przyszło mu z najwyższym trudem.

Toy wyskoczyła z samochodu i pobiegła w stronę altany. Z daleka już zobaczyła małą figurkę siedzącą na ławce. Coś chwyciło ją za gardło.

- Lovie!

Córka wyprysnęła z altany jak strzała.

- Mama!

Biegły ku sobie bez tchu i po chwili Toy trzymała Lovie w ramionach, czuła jej rączki na szyi, czuła bicie jej serca. Śmiała się i płakała jednocześnie. Lovie też się rozplakała. Tak długo dzielna, teraz nie mogła powstrzymać łez.

Z ulicy doszedł odgłos zapuszczanego silnika i Toy kątem oka dostrzegła czerwonego mustanga. Nie widziała w zapadającym zmroku twarzy mężczyzny, ale wiedziała, że to Darryl.

- Dziękuję - szepnęła.

Jakby ją słyszał, wystawił rękę i uniósł dłoń w pożegnalnym geście. Nie obwiniała go i nie chciała osądzać. Znała go, wiedziała, kim jest. I że nigdy więcej już go nie zobaczy.

Samochód zniknął za zakrętem.

- Chodź, kochanie - zwróciła się do Lovie. - Wracamy do domu.

Zanim jednak wrócili do Primrose Cottage, zatrzymali się na chwilę u Cary. Było już po północy, ale w różowym domku paliły się wszystkie światła. Brett pierwszy wybiegł na podjazd, za nim Flo i Emmi, na końcu wyszła osłabiona jeszcze Cara. Wszyscy musieli wyściskać Lovie, ale najdłużej tuliła ją właśnie ona. A potem nastąpił najtrudniejszy moment. Cara i Toy nie widziały się od powrotu Toy z Kostaryki, nie zamieniły jednego słowa przez telefon. Cara tyle razy powtarzała w myślach „wybacz mi”, że nie uświadomiła sobie, że wypowiada je głośno. Toy otworzyła ramiona i przyjaciółki padły sobie w objęcia.

- To rozumiem - zawołała Flo i klasnęła w dłonie.

- To się nazywa prawdziwy powrót.

Ethan nie spieszył się. Wsiadł dopiero teraz z samochodu i stanął z boku, kolo Bretta, niepewny, jakie jest jego miejsce w tym ścisłym kręgu bliskich sobie ludzi.

- Tyle ci zawdzięczamy, że nie umiem tego wyrazić.

- Brett kilka razy klepnął Ethana po plecach.

- Nic mi nie zawdzięczacie. - Ethan cofnął się o krok. - To moja rodzina.

Brett spojrzał na niego uważnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- A niech to piorun strzeli! Moje gratulacje. - Brett uściskał dłoń

Ethana i długo nią potrząsał.

Część czwarta

Zanurz się! Poczuj, jak woda cię opływa. Pozwól, żeby cię
niosła. Już pływasz!

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Toy zawsze uważała, że październik to najpiękniejszy miesiąc na Isle of Palms. Wieczory są chłodne, rośliny odżywają po letnich upałach, kwiaty rozkwitają tysiącem barw, turyści wyjeżdżają, plaże i ulice pustoszeją, a mieszkańcy wyspy znów mogą cieszyć się spokojem.

Będzie tęskniła za tym miejscem. Westchnęła, przerywając sprzątanie. Przez ostatnie pięć lat Primrose Cottage był jej prawdziwym domem. Każda szybka, każda deska miały wartość sentymentalną. Tu, pod oknem od frontu lubiła siadywać miss Lovie. Wystarczyło, by Toy zamknęła oczy, i pod powiekami pojawiał się obraz mentorki. Oto usadowiwszy się wygodnie, czyta Biblię i popija herbatę... za chwilę położy dłoń na otomanie, poklepie kilka razy poduszkę, zapraszając Lovie, by usiadła obok niej na krótką pogawędkę.

O czym by teraz mówiła? Tyle się zdarzyło w jej życiu, tyle miałyby do opowiedzenia drogiej miss Lovie.

O studiach, o pracy, o swoim macierzyństwie. I o tym, że wreszcie przestała się zmagać ze swoją przeszłością, uwolniła się od niepewności, żalu i gniewu.

Z zamyślenia wyrwało ją wejście Cary. Postawiła kolejne pudło na podłodze i wyprostowała się.

- Nigdy nie przypuszczałam, że pojedynczy egzemplarz dziecka może mieć tyle zabawek.

Toy skwitowała jej uwagę śmiechem.

- Większość z nich ty jej dałaś, to teraz nie narzekaj. Cały dzień ciężko pracowały w domku plażowym.

Robiły porządki, pakowały rzeczy Toy i Lovie, nosiły kartony do furgonetki Ethana. I rozmawiały swobodnie, pierwszy raz tak swobodnie od czasu powrotu Toy z Kostaryki.

- To ostatnie pudło - powiedziała Cara. - W sypialniach nic już nie ma.

Toy zdjęła gumowe rękawiczki.

- A ja skończyłam myć ostatnie okno. Jeszcze tylko zaniosę proszki i płyny, szmaty i szczotki do schowka, wystawię torby ze śmieciami na chodnik, żeby rano mogła zabrać je śmieciarka i koniec.

- Warga zaczęła jej niebezpiecznie drżeć. Podniosła dłoń, żeby ukryć objawy przyływu wzruszenia, ale Cara zdążyła zobaczyć, co się dzieje, i była już przy niej.

- Chyba wyplakałam wszystkie łzy ostatniej nocy.

- Jesteś pewna, że chcesz się wyprowadzić? Nie musisz. Ethan też mógłby tu przecież zamieszkać.

- Myślisz, że bym nie chciała? - Kilka łez musiało jednak zostać, bo Toy otarła oczy. - W mieszkaniu Ethana będzie nam trochę ciasno, ale już niedługo przeniesiemy się do ślicznego domu na John's Island.

O rzut kamieniem od mamy Legard. - Toy przewróciła zabawnie oczami i Cara pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Poradzę sobie - powiedziała Toy z animuszem. - Nie można stać w miejscu, trzeba wychodzić życiu naprzeciwko.

- Pamiętasz, co zawsze mówiła mama? Wielka podróż zaczyna się, kiedy stawiamy pierwszy krok.

- Wyobrażasz sobie mnie jako mężatkę? Jestem taka szczęśliwa, że aż się boję.

- Nie bój się. Zapracowałam swoim życiem na każdą chwilę szczęścia, którą podarował ci los.

- Ty też, Caro.

Twarz Cary spoważniała.

- Złożyliśmy już papiery adopcyjne. Zrobiliśmy pierwszy krok w naszej wielkiej podróży.

Toy objęła Carę i stały tak, przytulone do siebie, na środku pokoju, zadumane. Toy pomyślała, że oto skończył się kolejny sezon i żółwicę płyną teraz w cieplejsze rejony. Następnego dnia Maleńka wracała do oceanu, by dołączyć do swoich sióstr.

- Wszystko zmienia się tak szybko - powiedziała Cara, a Toy ogarnął smutek na myśl, że będzie musiała się rozstać ze swoją żółwicą. I z ukochanym domkiem na plaży.

- Wiesz, Caro, czasami chciałabym, żeby wszystko trwało tak, jak jest. Dlaczego dzieje się inaczej?

- Na tym polega życie. Popatrz na Lovie. Jeśli oglądasz jej zdjęcia robione przez lata, widzisz, jak bardzo się zmieniała.

- Będzie mi trudno rozstać się z Maleńką.

- Wiem, ale domem Maleńkiej jest ocean, musi do niego wrócić.

Tak uczymy się rozróżniać, co ma trwać, a czemu powinniśmy

pozwolić przeminąć. Nie trzymajmy się naszego małego świata zbyt kurczowo.

- Masz rację. Chcę, żeby wróciła do oceanu, odzyskała wolność, ale będzie mi trudno żegnać się w jednym czasie z Maleńką i z domkiem. Zanim przyszedł z ostatnim kartonem, myślałam właśnie, ile dobrych chwil spędziłam w tym pokoju z miss Lovie. Czasami chciałabym, żeby wróciły.

- Wszyscy mamy wspomnienia takich chwil i tęsknimy za nimi. Olivia tworzyła dla nas magiczny świat, teraz my będziemy go tworzyć dla naszych dzieci.

- Zawsze będę wdzięczna miss Lovie i tobie, za wszystko, czego się nauczyłam, mieszkając tutaj.

- Ten domek ma w sobie coś niezwykłego - przytaknęła Cara. - Im jestem starsza, tym lepiej rozumiem, co powiedziała kiedyś matka. Nasz domek to nie miejsce, ale stan umysłu. Tak naprawdę nie rozstajesz się z Primrose Cottage, Toy.

Toy łzy napłynęły do oczu.

- Pora się zbierać - rzuciła Cara, która zawsze wystrzegала się wzruszeń.

Zaniosły ostatnie kartony do furgonetki, potem dla porządku obeszły lśniące czystością wnętrza i Cara przekreśliła klucz w zamku. Na stopniach ganku Toy odwróciła się i spojrzała raz jeszcze na Primrose Cottage.

- Dziękuję, miss Lovie - szepnęła. - Dziękuję, że byłaś przy mnie, moja dobra matko, kiedy najbardziej cię potrzebowałam. Opuszczam domek, ale ciebie na zawsze zachowam w sercu.

Karta zdrowia Maleńkiej 22. października

Ostatnie ważenie żółwicy (133,5 kilograma). Wyniki badań na obecność niepożądanych kultur bakteryjnych - negatywne. Dzisiaj pacjentka zostanie wypuszczona do oceanu na Isle of Palms.

KONIEC LECZENIA

Zegnaj, Maleńka! Powodzenia! TS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Dzień był wyjątkowo piękny.

Deszcze w końcu ustał i na październikowym niebie pojawiło się słońce, jakby i ono, ogrzewając wody Atlantyku, chciało wziąć udział w uroczystym pożegnaniu Maleńkiej.

Toy przyjechała na wyspę z Ethanem. W drodze co chwilę się oglądała, żeby sprawdzić, jak umieszczona w wielkim plastikowym pojemniku i okryta mokrymi ręcznikami żółwica znosi jazdę. Czas tak szybko mija, myślała, spoglądając na pożółkłe trawy. Miała wrażenie, że zaledwie wczoraj wieźli Maleńką w przeciwnym kierunku, do Akwarium.

Maleńka była dla niej kimś wyjątkowym. Bliskim. Walcząc o jej powrót do zdrowia, Toy kierowała się bardziej intuicją i uczuciem niż wiedzą wyniesioną ze studiów. Odniosła sukces, którego zwieńczeniem miało być rozstanie z żółwica. Oto prawdziwy paradoks.

Ethan podjechał na sam skraj plaży. Tuż przy linii wody czekała już spora grupka tych, którzy chcieli zobaczyć powrót Maleńkiej do oceanu. Byli wśród nich żółwiarze, rozpoznawalni z daleka po zielonych T-shirtach. Zjawiała się też ekipa telewizyjna. Toy uśmiechnęła się, widząc, że reporter przeprowadza wywiad z Flo. Nikt nie mógł bardziej barwnie zrelacjonować historii Maleńkiej.

Favel, Irvin, Elizabeth, Brett, Ethan i Toy wdrapali się na skrzynię furgonetki. Na dany przez Ethana znak cała szóstka uniosła

wielki pojemnik, w którym podróżowała żółwica, i ostrożnie opuściła go na piasek. Natychmiast został otoczony przez ciekawski tłum, zachwycony widokiem majestatycznego gada. Wolontariusze zaczęli zaprowadzać porządek, prosząc, by zebrani ustawili się w określonym szyku i pozwolili przejść Maleńkiej.

Toy wzięła mikrofon do ręki i opowiedziała pokrótce historię choroby i rehabilitacji żółwicy, a potem smutna i przejęta podeszła do Cary.

- Odprowadzisz Maleńką razem z nami?

- Ja? - zdumiała się Cara.

- Oczywiście. Spędziłaś przy niej pierwszą noc. Powinnaś dzisiaj przyłączyć się do naszej gwardii honorowej.

- Co mam robić?

- Pomożesz nam ją przenieść, tylko kawałek. Dalej niech idzie sama. Ostrzegam cię, jest teraz sporo cięższa niż wtedy, kiedy ją znalazłyśmy.

Teraz w siedmioro dźwignęli żółwicę. Przenieśli ją kilka metrów i ostrożnie postawili na piasku. Maleńka odwróciła łeb i spojrzała na nich swoimi migdałowymi oczami.

- Wszystko w porządku, Maleńka - przemówiła do niej Toy. - Ocean cię wzywa. Słyszysz jego głos? Idź już. Niczego się nie bój. Wracasz do domu.

Toy głos się załamał, zacisnęła wargi. Nie chciała się rozkleić, a już na pewno nie przed kamerą. Leczyła żółwie, na tym polegała jej praca, ale czasami ta praca miła gorzko-słodki smak. Patrzyła przez

ły, jak Maleńka powoli rusza ku linii wody. To już nie był nieszczęsny zwierzak dryfujący bez sił na powierzchni wody. W stronę oceanu szła powoli piękna, zdrowa samica w pełnym rozkwicie sił. Im bliżej była wody, tym pewniej się poruszała, unosząc od czasu do czasu łeb i wciągając w nozdrza słone powietrze. O brzeg rozbiła się kolejna fala. Jeszcze jeden ostatni krok i Maleńka zanurzyła wiosła w białej pianie. Toy i Cara odprowadziły ją na sam brzeg, były jej gwardią honorową. Żółwica odbiła się, zaczęła płynąć ze wzrokiem utkwionym w widnokrąg, gdzie niebo spotykało się z oceanem. Cara została na brzegu, ale Toy przeszła jeszcze kilka kroków, brodząc w przyboju. Piękny rudobrazowy pancerz obmywany przez fale połyskiwał w popołudniowym słońcu. Toy miała wrażenie, że czuje, jak żółwica budzi się na powrót do życia w oceanie. Przeszła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się, kiedy woda sięgnęła jej bioder. Maleńka oddalała się szybko, w końcu zanurkowała i zniknęła Toy z oczu.

Toy stała przez chwilę nieruchomo, myśląc o swoim powracającym śnie. Oto ogromna żółwica matka znowu przemierza mroczne głębiny posłuszna instynktowi. We śnie to ona była żółwicą. Pokonywała ogromne fale, płynęła niesiona silnym prądem i kierowała się cały czas do domu.

Tłum za jej plecami zegnał Maleńką głośnymi oklaskami i okrzykami. Toy zrobiła jeszcze kilka kroków, na próżno wypatrując widoku pancerza. Uratowała ją, pod jej opieką żółwica nabierała sił i wracała do zdrowia. Chciała jeszcze raz powiedzieć jej „żegnaj”, ale

Maleńka, zanurzywszy się w ocenie, wiosłowała gdzieś przed siebie, wracała na dobre do swojego świata.

Toy odwróciła się i z ciężkim sercem ruszyła z powrotem ku plaży. Ludzie powoli się rozchodzili, ekipa telewizyjna pakowała sprzęt. Dojrzała Flo i Emmi idące w stronę ich wspólnego domu. I wysokiego mężczyznę stojącego na samym brzegu, z dłonią opartą na ramieniu drobnej dziewczynki.

Raptem Lovie rzuciła się pędem przez plażę, stanęła na szczycie wydmy i zaczęła wymachiwać rękami.

- Do widzenia, Maleńka! Do widzenia! - wołała z radością, która może mieszkać tylko w duszy dziecka.

Toy odwróciła się i zapało jej dech. W oddali, ponad falami, zobaczyła brązowy łeb wychylony z wody. Uszczęśliwiona uniosła rękę i pomachała szerokim, zamaszystym gestem.

- Żegnaj, Maleńka - szepnęła. - Dziękuję ci.

Po chwili żółwica już na zawsze zniknęła jej z oczu. Ethan czekał na nią na brzegu. Szła ku niemu z lekkim, przepełnionym radością sercem. Wyciągnął do niej rękę, z wydmy zbiegła Lovie, wołając na cały głos:

- Mama!

Toy czuła, jak niesie ją fala, owiewa wiatr, a miłość dodaje wiary.

Szła do swojej rodziny. Znalazła wreszcie drogę do domu.

KONIEC